

**Papi Teresa Jadwiga**

**OPOWIADANIA  
CIOTKI LUDMIŁY**

*O DAWNYCH CZASACH I LUDZIACH*

WSTĘP DO CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Zdaje mi się, że to było wczoraj, tak świeżo mam ten wieczór  
w pamięci, tak mi  
żywo stoją przed oczami wszystkie te postacie, które skreślić  
zamierzam... Dzień  
chylił się ku zachodowi, dzień cichy, letni, pogodny; słońce  
schodziło zwolna w  
purpurze na wysokie łańcuchy gór Alp i rzucało złociste swe  
promienie ziemi na  
pożegnanie i jasno było na niej, jasno, cicho, pogodnie; od łąk,  
co rozpostarły  
się u stóp Alp, podnosiły się białe mgły, utworzyły lekkie,  
przejrzyste wieńce i  
okrzyły nimi ściany skał, a na szczytach tych skał pasterze  
rozpalili ogniska,  
na łąkach kwiaty stulały swe kielichy i o śnie zamyślały, a nad  
nimi unosiły się

roje owadów, tworząc leciuchnemi swemi skrzydły cichy  
monotonny szmer... Po za  
temi łąkami, naprzeciw łańcucha gór, co je okalały, wznosił  
się domek  
jednopiętrowy, drewniany w guście szwajcarskim; na  
pierwszem piętrze widać było  
balkon, którego drzwi do pokoju wiodące narozcież były  
otwarte, silny zapach  
kwiatów, lecący od łąk, szmer cichy, jaki tworzyły te owady,  
dostawał się przez  
owe drzwi do pokoju i pełen on był woni, pełen promieni  
słonecznych...

W pokoju tym siedziało kilka osób, wszyscy jakoś dziwnie  
zadumani, zupełna cisza  
panowała w nim, nikt do siebie nie mówił, może szmer  
owadów ich uśpił, może  
wieczór letni rozmarzył...  
Najbliżej drzwi siedziała dziewczynka czternastoletnia w  
ciemnej sukience z  
ciemnymi włosami, które splecione w dwa warkocze spadały  
jej swobodnie na  
ramiona. Jakaś nieokreślona tęsknota malowała się w dużych,  
siwych jej oczach,  
długą czarną rzęsą przysłoniętych, jakiś smutek poważny  
malował się na pół  
dziecięcej jej twarzyczce, lecz nie dziw choć młodziutką była,  
miała ona już  
wspomnienia za sobą, nie tutaj wśród Alp stała niegdyś jej  
kołyska, ale tam,

gdzie Wisła płynie, w jednej z wiosek Mazowsza. Lat ośm nie  
widziała ona już tej  
wioski, ale pamiętała ją dobrze w snach i we wspomnieniach  
widywała ją snąć  
nieraz, bo nam młodszemu rodzeństwu, mówiła o niej często;  
była to najstarsza  
moja siostra, moja dobra, ukochana Terenia... I teraz oto  
zapach polnych  
kwiatów, ciepły powiew wiatru, lecący od łąki, przypomniały  
jej może wioskę  
rodzimą, o niej to pewno tak się zamyśliła, o modrzewiowym  
dworku, który ja też  
pamiętałam dobrze, o którym lubiłam mówić z siostrzyczką  
Terenią, w którym  
nauczyłam się chodzić, o pięknym sadzie pełnym grusz, śliw i  
jabłoni, który  
otaczał ów dworek, o murowanym kościółku i cmentarzu, co  
się z nim łączył.  
Najlepiej pamiętałam dwie mogiły tego cmentarza, obie były  
darnią kryte, obie  
kwiatami osadzone, nad obiema wierzby płaczące zwieszały  
swe gałęzie wiotkie,  
pod jedną spał w trumnie mój dziaduś, pod drugą babunia, a  
nad obiema krzyż  
kamienny roztaczał

swe ramiona, na tym krzyżu czarnemi zgłoskami były  
wypisane następujące wyrazy:

"Tomasz Gałęzowski i Anna Gałęzowska jego małżonka tu  
spoczywają. Pokój, którego  
zażycia nie zaznali, cieniom ich."

Siedząc w kącie kanapy naprzeciw Tereni, patrzyłam na nią i myślałam o tem  
wszystkiem, o czem wspomniałam w tej chwili i pewną  
byłam, że ona również  
myślami do dworku naszego modrzewiowego odbiegła.  
Opodal, przytulone główkami do siebie, siedziało dwoje  
najmłodszych z mego  
rodzeństwa: dziewięcioletnia Anielcia o główce pełnej złotych  
kędziorów, taka  
bieluchna, przezroczysta, delikatna, że rzekłbyś, powiew  
wiatru przyniósł ją na  
ziemię, obok niej młodszy brat Marcys, tęgi chłopiec. Ci  
dwoje wspomnień jeszcze  
nie mieli, za młodzi byli na to, szmer owadów ich ukołysał,  
drzemali napół. Obok  
kanapy w jednym szerokim fotelu siedziały dwie moje starsze  
siostry: Mania o  
twarzyczce przypominającej wielce Madonnę Rafaela i  
Magdzia z figlarnym  
uśmiechem na ustach, te coś z sobą szeptały, lecz ręczę, że nie  
o wiosce:  
ideałem Mani była wielka lalka z warkoczem płowym,  
Magdzi figle i psoty, pewno  
Mania zwierzała się Magdzi, jaką suknię lalce uszyje, lub  
Magdzia opowiadała,  
jaką psotę wyrządziła Marcysiowi. Mówiły cicho, by nie  
spłoszyć dumań cioci  
Ludmiły, która siedziała naprzeciw nich w miękkim fotelu,  
wpatrzona w kwieciste  
łąki Meranu... Na bladej jej twarzy smutek cichy był  
wypisany, na czole —  
cierpienia przebyte zarysowały głęboką podłużną bruzdę, w  
oczach słodycz

bezgraniczna i powaga się malowały...

Ciocia Ludmiła miała o czym dumać, wiele, wiele wspomnień  
miała za sobą, wiele,  
wiele już przeżyła i przeboleła... Dwadzieścia kilka lat liczyła  
ona, gdy  
pożegnała wioskę rodzimą, gdy z chorym bratem i z jego żoną  
delikatną, jak  
cieplarniany kwiatek, który bolesne przejścia i gwałtowne  
zmiany losu już  
nadważyły i z tą gromadką, co ją teraz otacza, przeniosła się z  
Mazowsza między  
Alpy do Meranu, tu brata i jego żonę pochowała, tu została  
jedyną opiekunką nas  
sześciorga sierot i dobrą troskliwą była matką, rośliśmy  
szczęśliwie pod jej  
okiem, chowaliśmy się zdrowo, byliśmy jedyną jej pociechą w  
dniach tęsknoty, co  
serce jej tłoczyła, bo ciocia Ludmiła do wioski rodzinnej, do  
swoich wracać nie  
mogła, lekarze obawiali się dla niej północnego klimatu,  
groziła jej bowiem  
choroba płuc.  
Zmrok powoli począł pokój ogarniać, ciocia Ludmiła ruszyła  
się w krześle,  
westchnęła, potarła ręką czoło i obiegłszy wzrokiem  
gromadkę dzieci, uśmiechnęła  
się do nas.  
— Już dnię krótkie, — rzekła — wieczory się rozpoczynają,  
postaram się je wam  
uprzyjemnić ciekawymi opowiadaniem.

Zerwaliśmy się wszyscy, nawet Marcyś i Anielcia, otrząsnęli się z drzemki, przybiegliśmy do niej.

— O czym będziesz opowiadać ciotucho? — zapytaliśmy chórem.

— O tem, co było kiedyś, o tych co kiedyś żyli, o dawnych czasach i zwyczajach — odparła ciocia.

Tu położyła dłoń na głowie Tereni.

— Dzieweczko, — dodała, do niej zwróciwszy się wyłącznie

— co ja opowiem, ty z czasem opiszesz i po-

dzielisz się z tem ze wszystkimi dziećmi, które kocham, jesteś najzdolniejsza z rodzeństwa, dla tego zwracam się z tem żądaniem do ciebie.

— Dobrze ciotuniu, — odparła Terenia z powagą, bo dumną się uczuła z obowiązku na nią włożonego, — teraz spiszę twoje opowiadania, a gdy dorosnę, to poprawię, i wydrukować każę, mów tylko.

Ciocia uśmiechnęła się.

— Zobaczmy, czy potrafisz tak napisać, aby wydrukować było warto, — rzekła —

tymczasem przynieś tę wielką kartę, co wisi nad mem łóżkiem i połóż ją tutaj na stole.

Wyřęczając Terenię pobiegłam spełnić rozkaz cioci i wróciłam niebawem z kartą

Europy, położyłam ją tam, gdzie ciocia poleciła, ona podniosła się, siadła na

kanapce przed stolikiem, myśmy ją otoczyły wokół. Słońce  
rzucało już ostatnie  
swoje promienie, złoty snop światła padł na kartę Europy,  
ciocia uśmiechnęła  
się:

— Tam, gdzie ten promień słoneczny pada, tam od dawien  
dawna mieszkał lud

Słowianami zwany, lud, od którego my pochodzimy, o nim  
opowiadać wam będę, —

rzekła — lud to rolniczy, cichy, pobożny, do którego mile  
wdzięczyły się

rozległe łany zbożami okryte, uśmiechały się kwieciste łąki,  
który całym sercem

kochał ziemię swoją i tak czuł się na niej szczęśliwym, iż  
nazwał ją światem od

światła, jasno mu widocznie na niej było.

Czy widzicie tu na północy, ciągnęła dalej ciocia, to morze  
Bałtyckiem zwane,

dziś jest to wielka zatoka między Daniją, Szwecyją, Rosyją i  
Prusami; niegdyś

siedziby Słowian na północ aż do jego brzegów sięgały,

aż do jezior Ładogi i Onegi, do początków rzek Peczory,  
Onegi i Północnej

Dźwiny, na południe aż do morza Czarnego o górzystych  
wybrzeżach aż do

Adryjatyku zwanego także Sinem morzem, tego co jest zatoką  
morza Śródziemnego

między Włochami, Dalmacyją i Turcyją; aż do szerokiego  
Dunaju, którego wody z

zadziwiająco szybkością i siłą się toczą. Zachodnią granicę  
stanowiła rzeka  
Elba, ta wypada gwałtownie z gór czeskich, lecz potem toczy  
poważnie i powolnie  
swe wody; na wschód Słowianie dotarli aż do okolic  
pobliskich źródeł Wołgi,  
najznaczniejszej ze wszystkich rzek europejskich.  
Lud ten wielki dzielił się na liczne plemiona: na zachodzie  
siedzieli Czesi,  
Morawianie, Łużycanie, Wilcy, Lutycy, Obotrycy i wiele  
jeszcze innych plemion,  
których dziś śladu niema; na wschodzie Drewlanie,  
Wołynianie, Nowogrodzanie,  
Połoczanie, Krywiczanie i t. d.; na południu Słowacy, Kroaci,  
Serbowie; we  
środku na szerokim płacie ziemi zawartym pomiędzy Odrą i  
Wisłą Pomorzanie,  
Kaszuby, którzy ścigali do Bałtyku, Polanie, Łęczycanie,  
Kujawianie,  
Mazowszanie, Chrobaci. O tych wszystkich Słowianach  
mówić wam będę.  
To powiedziawszy ciocia poprawiła się na krzesło i zamierzała  
rozpocząć  
opowiadanie, gdy wtem u drzwi dało się słyszeć lekkie  
stukanie, pobiełam  
otworzyć: w progu ukazała się dobra nasza znajoma pani L. z  
trzema córkami i z  
synem. Najstarsza z dziewczynek Zosia była serdeczną  
przyjaciółką Tereni, jak  
tamta miała wielkie pełne smutku oczy, druga Emma o  
żywych, siwych oczach serce  
Magdzi i Mani posiadała; ja kochałam Adele, a obie  
kochałyśmy książki, Wacław

najmłodszy z dzieci pani L. był przyjacielem Marcysia.

Zawsze rada tym gościom, dzisiaj nie tak wesoło, jak zwykle ich powitałam, bo przerwali opowiadanie cioci, nie wróciła ona już tego wieczora do rozpoczętej powieści, gdyż pani L. została u nas na herbacie, lecz jakże potem byłam rada z tych odwiedzin. Pani L., dowiedziawszy się o uczynionej nam przez ciocię obietnicy, prosiła, by jej córki mogły też przysłuchiwać się tym opowiadaniom, Terenia gorąco poparła ten projekt, ciocia zgodziła się nań, odtąd zawsze, gdy zmrok zaczął zapadać Zosia, Emma, Adelka i Wacio przychodzili do nas, ja rozkładałam na stole wielką kartę Europy, potem otaczaliśmy stół, ciocia siadała wśród nas i czasem do dziesiątej, czasem dłużej nawet opowiadała ciekawe dzieje przeszłości, opowiadała bez książki, bo o książkę polską zbyt trudno było w Meranie, czerpała z pamięci, i wrażenie czyniła, słuchaliśmy jej w skupieniu wszyscy, a nazajutrz Terenia spisywała pilnie, to cośmy się od niej dowiedzieli. Dziś lat wiele już bardzo minęło od owych miłych wieczorów w Meranie spędzonych i wiele zmieniło się od tego czasu: ciocia Ludmiła spoczywa już dawno pod jedną

z mogił cmentarza i moja dobra, moja najdroższa Terenia  
pożegnała nas także;  
przez lat kilka po śmierci ciotki Ludmiły zastępowała nam jej  
troskliwą opiekę,  
poczem za nią podążyła...  
I wróciliśmy w istocie do naszej wioski rodzinnej: wuj, który  
ją nabył po  
wyjeździe rodziców, dowiedziawszy się o naszym sieroctwie,  
wezwał nas do siebie  
i pracujemy, jak umiemy: Mania zawołana gospodyni, robi  
masło, sery, konfitury i  
na sprzedaż do miasta wysyła, Magdzia wesołym humorem  
wszystkich rozwesela,

przytem leczy chorych, Anielka hoduje kwiaty i sadem się  
zajmuje, a jej owoce  
słyną na całą okolicę, Marcyś z wujem w polu pracują, ja uczę  
działwę wiejską.  
Przeglądając dawne pamiątki, znalazłam spisane przez drogą  
moją Terenię  
opowiadania cioci Ludmiły, przejrzałam je i wydałam  
drukem, aby stosownie do  
cioci życzenia wszystkie dzieci mogły je poznać.

## CZEŚĆ PIERWSZA.

### I. SŁOWIANIE.

Charakter, obyczaje, urządzenie społeczne.

Kiedy Słowianie przybyli z Azji do Europy o tem nikt na pewno nie wie, to jednak wiadomo, że w czasach już bardzo dawnych zamieszkiwali szerokie przestrzenie ziemi za Dunajem, że należą do szczepu indo-europejskiego, że jeszcze w czasach przedhistorycznych już znajdowali się w Europie, iż rozpostarli się w niej od morza Bałtyckiego do Czarnego i Adryjatyku, od Elby do Wołgi i że dzielili się na liczne plemiona, które tworzyły jakby jedną wielką rodzinę, łączyły ich bowiem jedne obyczaje, jedno urządzenie, jeden charakter, tylko od dawien dawna różniły się te plemiona między sobą mową, a różnice zachodzące w językach stawały się coraz wyraźniejsze, później i obyczaje przyjęli różne i charakterem jedni do drugich już nie byli podobni i religiję i sposób urządzenia nie wszędzie mieli jednakowy; różne okoliczności

były tego przyczyną: wpływy sąsiednich, obcych ludów, koleje losu, jakie przechodzili.

Dawni Słowianie byli charakteru łagodnego, kochali życie ciche, pracę domową,

byli bardzo pobożni. Napadnięci bronili się odważnie, rośli,  
krzepcy, mieli  
ciało zdrowe, zahartowane prostym życiem, jakie wiedli i  
trudami łowiectwa,  
jakiemu się oddawali, siłę też mieli wielką: złamać podkowę,  
rozerwać powróż  
przychodziło im z taką łatwością jakby gałązkę łamali, lub  
zrywali nitkę. W  
walce nie łatwo ustępowali, używali do obrony dzidy, miecza,  
oszczepu i łuku ze  
strzałami jadem zaprawionemi; zbroi nie znali, zasłaniali się  
tylko tarczą; gdy  
szli na nieprzyjaciela, to najczęściej odzieży prawie nie brali  
na siebie. W  
razie niebezpieczeństwa kryli się pod wodę, a umieli bardzo  
długo utrzymać się  
pod nią za pomocą trzcin poszytych, przez których końce po  
nad powierzchnią wody  
wystawione wciągali powietrze dla oddychania. Jeśli w  
bliskości wody nie było,  
lecz lasy, wówczas w razie niebezpieczeństwa kryli się w  
nich, pociągając za  
sobą nieprzyjaciela w miejsca najniebezpieczniejsze, ciasne,  
gąszczami zarosłe, w  
jakich najlepiej walczyć lubili. Porządku w boju Słowianie nie  
znali, niechętnie  
potykali się w otwartych miejscach i walki rozpoczynać nie  
lubili, woleli  
niespodzianie wypadać z zasadzek, jeśli zaś wypadło im  
wstępnym bojem na  
nieprzyjaciela uderzyć, wówczas postępowali zwolna naprzód,  
krzycząc głośno i

dopiero nacierali na nieprzyjaciela, gdy ten na ich krzyk,  
krzykiem  
odpowiedział; jeśli zaś nie uczynił tego, wracali do lasu i  
czekali zaczepki.  
Gdy zwyciężyli, nie mścili się na nieprzyjacielu, bo zemsta w  
ich

sercach rzadko kiedy gościła, jeńców pobranych do niewoli  
trzymali do czasu w  
służbie, obchodzili się z nimi dobrze, a gdy im złożyli pewien  
okup, pozwalali  
powracać do domu, lub osiąść wśród Słowian. Nieraz  
niewolnik tak się przywiązał  
do swego pana, do rodziny i do ziemi jego, iż ciężko mu było  
z nimi się  
rozstawać, wówczas Słowianie dawali mu posiadłość, boć  
ziemi w te czasy nie  
brakło, całe jej obszary niezaludnione, do nikogo nie należały,  
i niewolnik  
obcym przestawał być dla nich, uważali go za brata. Jeśli dla  
obcych umieli być  
ludzy, tem więcej dla swoich: starych i chorych otaczali  
opieką, biednym nigdy  
nie odmawiali wsparcia, a że kradzież była u Słowian  
nieznana, więc domy ich  
były zawsze otwarte, aby podróżny dniem i nocą wstąpić mógł  
do nich i spocząć; u  
zamożniejszych stoły były zawsze jadłem zastawione: miód,  
kołacze, pieczone  
mięsiwa, ceber świeżej wody czekały głodnych i pragnących,  
ława — strudzonych;

gościnność była bowiem jednym z najpiękniejszych  
przymiotów Słowian. Wolny czas  
od pracy chętnie oddawali zabawom, lubili życie towarzyskie,  
tańce, gonitwy,  
pieśni, dźwięki gęśli, chętnie gości podejmowali u siebie i  
hojnie ich  
przyjmowali, zbytków nie znali wszakże. Jak proste były ich  
serca, tak proste  
obyczaje: pili z rogów bawolich, jedli z mis glinianych, z  
domowej przędzy tkali  
płótno na ubranie, mieszkali w lichych chatach, najczęściej po  
lasach i  
trzęsawiskach rozrzuconych, w które obcy bez przewodnika  
nie ważył się  
zapuszczać. Lasy te i błota broniły Słowian od napaści wroga;  
najzaciętszym ich  
nieprzyjacielem byli Niemcy, którzy siedzieli na granicy  
zachodniej, czyhali na  
Słowian, ustawicznie na

nich napadali, podbijali drobniejsze ludy, wytępiali lub  
wymarodowali; to też  
chaty Słowian miały zawsze kilka wnijść, aby w razie napadu  
łatwiej uchodzić  
mogli.

Słowianie dawniejsi zajmowali się rolnictwem,  
pszczolnictwem, rybołóstwem i  
myśliwstwem; życie ich domowe przedstawiało obraz czysto  
patryjarchalny: ojciec  
był głową domu, był królem w rodzinie, królem dobrym,  
łagodnym, którego dzieci

czciły jak świętość; niewiasty tak kochały mężów, iż często,  
gdy zwłoki męża  
palono, szły dobrowolnie na stos i ginęły w płomieniach.  
Rodzeństwo łączył  
serdeczny stosunek, brat dla brata gotów był życie oddać, a na  
pomoc rodzeństwa  
każdy wiedział, iż w razie nieszczęścia napewno liczyć może.  
Ojciec rodziny zwał  
się starostą lub władką, miał on władzę zupełną nad dziećmi,  
był panem ich  
życia i mienia, był ich sędzią najwyższym. Mieli liczne i  
piękne przymioty  
Słowianie, lecz jak niema człowieka bez grzechu, tak i oni  
mieli wady, które ich  
gubiły: rody, plemiona prowadziły często właśnie ze sobą, nie  
łączyli się  
Słowianie, lecz rozdzielali na drobne państewka, stąd obcy  
łatwo ich pokonywali,  
stąd tyle plemion pod niemieckie jarzmo się dostało.  
Rząd u Słowian był patryjarchalny, na obraz rodziny  
utworzony: na czele  
plemienia, które kilkadziesiąt rodzin tworzyło, stał naczelnik  
wybrany z  
pomiędzy ojców, ten prócz dowództwa na wojnie, miał godzić  
spory, sądzić winy,  
nagradzać cnoty, karać występki, jednym słowem miał te  
prawa i obowiązki, co  
każdy ojciec w rodzinie. Naczelnicy plemion nosili różne  
nazwy: południowe  
plemiona zwały ich żupanami, ba-

gzami, inne kneziami. Jeśli w rodzinie umarł ojciec, natenczas najstarszy brat zostawał starostą, pilnował spraw rodziny, dzielił pracę wśród swoich, żywność, odzież, sądził, wydawał wyroki, a bracia słuchać go musieli; lecz gdy nadużywał władzy, krzywdził rodzeństwo, wówczas młodsi bracia zwoływali sąd i albo zmuszali go do zmienienia postępowania, albo władzę mu odejmowali i obierali jednego z pomiędzy siebie na jego miejsce. Jeśli umarł kneź, wówczas starostowie zwoływali wiec, narodowe zebranie, i nowego naczelnika z pomiędzy siebie wybierali, a często synowi zmarłego oddawali tę godność, jeśli ojciec postępowaniem swoim pozyskał ich miłość i szacunek. Z czasem rząd patryjarchalny przybrał u Słowian charakter rządu monarchicznego: kneziowie plemion zachodnich zapatrując się na sąsiadów Niemców, z którymi mieli ustawiczne stosunki, poczęli rządzić jak władzcy udzielni: otaczać się urzędnikami i rycerstwem, ziemię, którą się opiekowali uważali za swoją własność, kmiecie, dawni właściciele ziemscy stali się ich dzierżawcami, tym, co się odznaczyli w usługach im oddawanych, rozdawali obszary niezamieszkałe wszakże przez nikogo, tym sposobem wytworzyły się stany: urzędników, rycerzy czyli właścicieli ziemskich i kmieci czyli dzierżawców; tym sposobem powstały:

na zachodzie w wieku IX państwa Morawskie z miastem  
Welegrodem, Czeskie u źródeł  
Elby w objętej czterema pasmami gór kotlinie z pięknym  
miastem Praga; w wieku X  
państwo Polskie, te brały cywilizacją z zachodu. Na  
wschodzie powstało potężne  
państwo Ruskie, którego stolicą był Kijów. a z czasem stała  
się Moskwa, na  
południu Serbskie

i Bułgarskie, te trzy urządziły się na wzór państwa  
wschodniego Greckiego i  
stamtąd cywilizacją czerpały.

Religija.

Religija Słowian w tych czasach, kiedy urządzenie mieli  
patryarchalne, była  
pogańską, powstała ze czci przyrody. Bóstwa ich były  
nieliczne, wszystkie  
plemiona uznawały jednego Boga najwyższego, któremu w  
ważniejszych chwilach  
składali ofiary, nieśli modły, wzywali jego pomocy, dawali  
oni temu bóstwu  
wszechpotężnemu, panu świata całego, bogowi piorunów,  
światła, jasności różne  
nazwy: Prowe, Perun, Radegast, Jesse, Syarog, Światowid,  
Łado są odmianami  
jednego i tego samego pojęcia wszechpotęgi bożej. Prócz tego  
Boga

najpotężniejszego ze wszystkich czcili jeszcze pomniejsze  
bóstwa: jak Marzannę,  
boginię śmierci ( ), Żywie, boginię żywota, Pochwista, boga  
wiatrów, Pogodę,  
boginię dni pięknych i t. d.; oddawali cześć słońcu i ziemi;  
ziemię  
przedstawiali sobie jako kobietę. Na wiosnę, jako młodą  
dziewicę, latem — jako  
małżonkę słońca, jesienią — jako wdowę w żałobie, na  
początku zimy jako matkę  
słońca odradzającego się, w ciągu zimy jako jędzę babę;  
słońce według Słowian,  
rodziło się w grudniu z początkiem zimy, kiedy to dni  
zaczynają być dłuższe i  
przynosiło z sobą ziemi dary hojne, na wiosnę stawało się  
młodzieńcem i  
wyzwalało ziemię

-----  
( ) Marzanna wyobrażała u Słowian w przyrodzie zimę.

z pod władzy bóstwa ciemności, w lecie poślubiało ziemię,  
zwyciężało ostatecznie  
bóstwo ciemności i panowało nad światem wszechwładnie; z  
początkiem jesieni  
traciło siłę i władzę, nikło prawie z horyzontu i ukrywało się  
gdzieś na uboczu  
we wnętrzościach jakiego potworu jako złoty brylant, albo  
perła. Takie to  
przesądne pojęcia mieli w owych czasach Słowianie o  
wszechświecie; wierzyli

jeszcze, że istnieją inne podrzędne bóstwa dobroczynne, lub niegodziwe, które snują się po lasach, ukrywają w wodach, w ziemi, w drzewach, do takich należały u nich biesy, złe duchy, baba jędza, czarownice, zmory pokrewne Marzannie, rusalki, dziewice wodne i obłoczne, wile — mieszkanki lasów i t. d. Ofiary składali najczęściej bogom na wzgórzach lub w gajach, w niektórych wszakże miejscowościach mieli wspaniałe świątynie, które świadczą, że sztuka budowania nie była im obcą. W Arkonie na wyspie Rugii, leżącej na morzu Bałtyckim. zamieszkałej przez plemiona słowiańskie wznosiła się piękna świątynia z drzewa modrzewiowego, wzniesiona na cześć najwyższego boga, zwanego tam Światowidem, która licznych pielgrzymów ściągała z darami, do której skarbcza prócz zwykłej daniny ile razy Rugijanie zwyciężyli nieprzyjaciół, składali złoto i srebro, zdobyte na wrogu; trzysta rycerzy zbrojnych strzegło tej świątyni, ozdobioną ona była wewnątrz malowidłami i rzeźbą; w pośrodku świątyni stał bałwan, który wielkością swoją przechodził wzrost ciała ludzkiego, miał on cztery głowy z czterema karkami, dwie głowy naprzód, dwie na tył patrzyły. Bożek ów w prawej ręce trzymał róg kruszcem wysadzany, w który kapłan corocznie miodu nalewał, a gdy

owego miodu przez cały rok z rogu nie ubyło, to przepowiadał ludowi urodzaje i wypijał miód a w róg świeży nalewał; jeśli zaś w ciągu roku ubyło miodu z rogu, kapłan przestrzegał, iż nastaną lata nieurodzaju i radził by zbierać zapasy... W lewej ręce trzymał Światowid miecz i wędzidło, gdyż Słowianie wierzyli, iż bóg ten nocą objeżdża na koniu ziemię całą, wybudowali z tej przyczyny obok świątyni stajnię, w której utrzymywali bardzo starannie białego konia. W mieście Retrze wznosiła się wspaniała świątynia na cześć Radegasta najwyższego boga Obotrytów, sklepienie wspierały słupy utworzone z rogów zwierzęcych, wewnątrz stał posąg boga, na ścianach zaś były rzeźbione różne bóstwa złotem i srebrem ozdobione; w mieście Szczecinie aż cztery były świątynie, z których jedna podziw Niemców budziła, tak piękne rzeźby stroiły jej ściany, rzeźby te wyobrażały postacie ludzi, ozdobione farbami, łudziły oko, że to żywe istoty. Świątynie Słowian wielką czcią były otaczane, wchodzili do nich tylko kapłani, lub ci, co ofiary składali, dawano też w nich przytułek tym, którym niebezpieczeństwo życia groziło. Kapłan, który czuwał nad świątynią sam w niej porządek utrzymywał, sam

ją zamiatał, oczyszczał, a w czasie tej czynności starał się o ile  
możności dech  
wstrzymywać, gdyż mniemali Słowianie, że dech człowieka  
śmiertelnego niemiły  
jest bogom, biegał też co chwila do drzwi, by zaparte w sobie  
powietrze, świeżem  
odmienić. Kapłani na równi z książętami byli szanowani,  
używali wielkiej powagi,  
nosili białe długie suknie z szerokimi rękawami, odznaczali  
się od innych  
wielkością kędziorów i bro-

darni które do pasa im sięgały; czuwali oni nad świątyniami,  
przewodniczyli  
obrzędom na cześć bogów odprawianym, składali im ofiary,  
wydawali w imieniu ich  
wyroki, wróżyli przyszłość ludowi; wróżenie to czynili z  
rozmaitych znaków: w  
świątyni Światowida czynił je kapłan za pośrednictwem konia:  
gdy wojna groziła  
krajowi, wówczas kładł przed świątynią trzy rzędy kopij,  
poczem odprawiwszy  
modły wyprowadzał ze stajni białego, a jeśli ten w owe rzędy  
pierwej prawą nogą  
stąpił, wówczas wróżył ludowi, iż zwycięży wroga; w innych  
świątyniach wróżki  
czyli kapłanki, dziewice, które służbie bogów się poświęcały,  
przepowiadały  
przyszłość z biegu wody, z płomieni, lub z innych  
przedmiotów.

Słowianie, którzy wytworzyli państwo Ruskie, oddawali szczególną cześć bogowi, którego Perunem nazywali. Wyobrażali sobie, że bóg ten jeździ po niebie na ognistym wozie, że skrzydlate konie, ogniem zionące ciągną ów wóz, a Perun uzbrojony jest w strzały i łuk; strzałami były promienie słoneczne, którymi rozpraszał ciemności nocne, którymi niszczył śniegi i lody, strzałami jego były też błyskawice przerywające chmury, wspaniała zaś tęcza był to łuk Peruna. W ciepłe wiosenne i letnie dni zjawiał się Perun z błyskawicami i spuszczał na role i niwy zbawienny deszcz. Mroźna zima przychodziła potem, zabijała wszystko życie, lodem pokrywała rzeki i jeziora, śniegiem łąki, pola i lasy, lecz z wiosną zjawiał się znowu Perun na swym ognistym wozie, topił bryły lodu, wypuszczał z niewoli wody, łąki pola i lasy w zielone szaty przystrajał. Bóg Peru u według Słowian zjawiał się tylko od czasu do

czasu, przyjście swoje oznajmiał błyskawicami i hukami grzmotów, Bóg Słońce zwany Daru Bóg zjawiał się każdego ranka i do samego wieczora darzył ludzi światłem.

Perun był bogiem, władcą nieba i ziemi, pojęcie o Perunie łączyło się u Słowian

z pojęciem o bogu Swarogu, była to jakby jedna całość, był to bóg nieba, bóg świata, prabóg, bóg bogów. Ofiary składali Słowianie bogom ze zwierząt i ziół różnych, czasem z niewolników. Zabiwszy ofiarę palili ją na cześć bóstwa na jego ołtarzu; obowiązani też byli przysyłać rocznie kosztowne dary do świątyń. Obchodzili uroczyste święta na początku każdej nowej pory roku na cześć słońca i ziemi: na początku wiosny odbywali uroczystość odradzającej się i wyzwalającej z pod władzy zimy ziemi, a raczej zmartwychstającej natury; na początku lata odbywali uroczystość na cześć przesilenia się dnia z nocą, a święto owe zwali Kupało; na początku jesieni odprawiali dożynki na uczczenie zebranych plonów, na początku zimy narodzenie słońca, które u niektórych starożytnych Słowian zwało się Koleda; obchodzili te święta modłami, ofiarami składanymi bogom, tańcami i biesiadą, najuroczystsze z tych świąt było święto Kupały. Mieli też Słowianie swoje obrzędy religijne: jak postrzyżyny, wesela, pogrzeby, wierzyli w życie pozagrobowe, według ich przekonania dusza rozłączywszy się z ciałem, przelatując z drzewa na drzewo, unosiła się następnie na skrzydłach wiatru, przepływała przez powietrze i przez most tęczy przechodziła do krainy pozagrobowej, gdzieś łąki wiecznie zielone, kwiaty

zawsze kwitną, drzewa liśćmi szumią, ptaki zawsze śpiewają,  
słońce świeci  
ciągle, troski są nieznane i pokój wieczny panuje, krainę tę  
zwali nów, albo  
raj. Złych dusze szły według mniemania Słowian do piekła,  
gdzie straszne burze  
srożą się ciągle, deszcze leją, wyją wichry, gromy biją, gdzie  
drzewa ogołoczone  
z liści jęczą żałośnie, gdzie wieczna noc panuje.  
Z początkiem wieku dziewiątego religija chrześcijańska  
rozświeciła te przesądne  
pojęcia i rozszerzyła wśród Słowian światło wiary  
prawdziwej, a pogańskie  
obrzędy i uroczystości swemi zastąpiła. Pierwszymi  
apostołami Słowian byli Cyryl  
i Metody.

## II. UROCZYSTOŚCI I OBRZĘDY ().

Święto Kupały. Święto Kupały, jedno z najuroczystszych  
świąt, obchodzili starzy  
Słowianie w dzień przesilenia się dnia z nocą, na cześć boga  
dnia i światłości,  
kupało znaczyło toż samo co kąpiel przez ogień, czyli  
oczyszczenie przez ogień.  
W dniu tym uroczystym w każdym zakątku ziemi słowiańskiej  
nad Elbą i Wisłą, nad  
Dniestrem

-----  
( ) Baśni Kraszewskiego czerpane.

i Rodanem, nad morzem Bałtyckiem i Adryjatyckieni  
rozpalano ogniska. Z różnych  
stron: ze wschodu i z zachodu, z północy i z południa  
schodzili się Słowianie na  
ona uroczystość. Zaledwie świt zarumienił niebo, zrywali się  
chłopcy z  
pościeli, biegli do lasu po drzewo i wśród miejsc pustych  
ustawiali stosy  
wysokie, szerokie u dołu, w górze spiczaste. Od rana wśród  
lasu rozlegał się  
łaskot siekiery, krzyk spłoszonego ptactwa i śmiechy  
młodzieży, a drzewo, z  
którego stosy robili, musiało być świeże, bo koło niego żywi,  
młodzi i zdrowi  
zabawiać się mieli; suchego drzewa Słowianie tylko dla  
umarłych używali,  
ponieważ w ich przekonaniu w suchem śmierć gościła. W  
chatach niewiasty zajęte  
były tymczasem pieczeniem kołaczy i przygotowaniem  
mięsiwa.  
Już stosy gotowe, jadło i napitek również, gromady strojne  
ukazują się z różnych  
stron lasu, wśród nich idą starzy guślarze, lecą od pól dźwięki  
gęśli, pieśń  
dziewcząt im towarzyszy; lecą od pól słowa pieśni:

"Słoneczko dnia jasnego świeć nam, a grzej  
Strumienie światła na ziemię lej  
Kupało! Kupało!  
Niech czarne smoki nie śmieją zakryć twarzy słońca  
Tyś życiem, tyś szczęściem, nadzieją tyś Bóg nasz.  
Kupało! Kupało!  
Króluj dniom naszym, panuj nam bez chmury do życia  
obudzaj.  
Siej, żyw, budź!  
Kupało! Kupało!"

I spieszy gromada, bo dziewczętom pilno do tańca, a  
chłopcom do skoków, przytem  
święto Kupały tak pełne czarownych zjawisk; wszakże, gdy  
noc ziemię osłoni, to  
po rzekach blask srebrzysty będzie się ścigać, a drzewa  
przechodzić będą z  
miejsca na miejsce i gadać o bohaterach przeszłości, a kto w  
oną noc znajdzie  
kwiat paproci, ten zrozumie ową mowę, ten zobaczy, jak  
słońce wyjeżdża ze swego  
pałacu naprzeciw księżycy na trzech koniach srebrnych,  
złotym i brylantowym, jak  
w podróży rozsypuje po niebie iskry płomieniste... Młodzi  
wierzą, iż zobaczą  
naprawdę te cuda, więc śpieszą do lasu, więc z utęsknieniem  
nocy wyglądają i  
nową pieśń nucą, a gęślarze im wtórują.  
Pieśni ty moja pieśni, ptaszyno moja złota, brzmi po siołach,  
Tyś jak woda

żywota: wskrzeszasz ze śmierci, lecz kto się w nurt twój  
miota, ten prędko życie  
prześni.

Dwojaką twoja cnota, żywot i śmierć jest w pieśni, pieśń  
zmarłych z grobu  
wskrzesza, pieśń żywych na śmierć miota."

Już las chwyta słowa pieśni, już drzewa ją powtarzają, wesola  
drużyna dotarła do  
celu, dziewczęta

I chłopcy skacząc, klaszcząc w dłonie wbiegają do lasu:  
"Kupało, Kupało" brzmi  
zewsząd.

Słońce rzuca już ostatnie blaski ziemi na pożegnanie, lecz  
jeszcze złoci szczyty  
sosen, więc ognisk rozpalić jeszcze nie można, trzeba czekać,  
aż zniknie

zupełnie. Starcy i niewiasty rozsiedli pod drzewami, między  
nimi gęslarze,

opodal postawiono niecki z mięsiwem i cebry miodem, oraz  
kołacze, młodzież  
zabawia się tymcza-

sem gonitwami, chłopcy ścigają dziewczęta, one z krzykiem  
uciekają, odpędzają  
ich chustami.

Wreszeie słońce znikło, ciemność las zaległa, młodzież  
skoczyła do  
przygotowanych stosów i ogień rozniecać poczęła, trą gałęzie,  
krzeszą iskry,  
wreszcie błysnęła jedna, druga, trzecia, płomień się ukazał,  
objął naprzód

cieńsze gałęzie, potem grube kłody, zasyczał, czerwone języki  
pną się ku górze,  
czepiają liści, chwytają je; dziewczęta ujęły się za ręce,  
wiankiem żywym  
okrażają stosy, brzmi nowa pieśń w lesie:  
Słońce w morzu się kapało, bo na wesele iść miało, wiodą  
pannę młodą, w złote  
szaty przyodzianą, księżyc jedzie z gwiazd drużyna witaj  
słonko kochane ty mi  
będziesz królowało. Kupało! Kupało!"  
Chłopcy skaczą przez ogień, borykają się, padają na ziemię,  
tarzają w piasku i  
do nowych skoków się zrywają; niewiasty i starcy  
powstawszy z ziemi przypatrują  
się ochocie młodzieży, a z twarzy ich czytać można, że dawne  
lata wspominają,  
oczy i usta się im śmieją, klaszczą w dłonie, drepczą nogami,  
jakby ochota ich  
brała pójść za młodymi, a młodzi tańczą coraz ochoczej,  
wieńce z głów pospadały  
dziewczętom, warkocze się im rozplotły, one tego nie widzą.  
Pełno krzyku i  
wesela w lesie, zbudzone ptactwo z wrzaskiem podniosło się  
ze swych gniazd, lecz  
krzyki jego głuszą krzyki ludzkie.  
Tak noc zbiegła na zabawie, gdy świt zarumienił niebo,  
wówczas puściły się  
dziewczęta, tańce ustały, ucichły pieśni, niewiasty wróciły do  
opuszczonych  
miejsc i jadłem częstować poczęły, ogniska powoli dogasały;  
skaczą jeszcze przez  
nie chłopcy, lecz coraz w mniej-

liczbie, znużenie czuć się daje każdemu; coraz ciszej, coraz spokojniej wśród drzew, słycać tylko radosny świegot ptactwa, które słońce wschodzące wita.

Wreszcie wszyscy otoczyli niecki i cebry, uczta się rozpoczęła, starzy opowiadają dziwy o dawnych bohaterach, o czarownych zjawiskach, jakie w noc kupały widzieć można; młodzież słucha ciekawie i żałuje, że nikt kwiatu paproci nie znalazł, nikt przeto słońca wjeżdżającego naprzeciw księżycy widzieć nie mógł, ani drzew gadających nie słyszał.

Dopiero koło południa gromady opuściły las. kierując się ku domowi, a przez pola i błonia leciały znowu słowa pieśni, dźwięki gęśli i radosne okrzyki "kupało! kupało!" z którymi chłopcy, mając zapalone żagwie w dłoni, niwy obiegali, pilnie bacząc, by ogień nie zgasł, bo kto do chaty zapaloną żagiew przyniesie, ten

szczęście do domu sprowadzi, tak mówili starzy

Słowianie.Święto Kupały

obchodzone było przez wszystkie plemiona słowiańskie, lecz nie wszędzie

jednakowo. U plemion ruskich młode dziewczęta i chłopcy, wykąpowszy się,

zbierali się na pagórku nad rzeką i tam ustawiali dwie postacie wyobrażające

mężczyznę i kobietę pierwsza zwała się Kupało (bóg słońca) druga Marzanna

(zima). Następnie rozkładali ogień, brali się za ręce parami, chłopcy z dziewczętami i tańczyli w okół, a gdy się zmęczyli, wówczas rzucali się na owe postacie z okrzykami Kupało! Kupało! i rzucali je do rzeki. W dzień ten zwykli byli Słowianie odprawiać związki małżeńskie. Do dziś dnia w wielu miejscowościach, odprawiają u nas Czerwca, kiedy dzień najdłuższy uroczystość

zwaną Sobótką, która wiele przypomina owe święto Kupały; w dniu tym młodzież wiejska również rozpala wśród lasu ogniska, tańczy w około nich, śpiewa, lub skacze przez nie, nazwa zaś tej uroczystości nie pochodzi od wyrazu sobota, jak to wielu mniema, lecz od wyrazu Sabotias, który oznaczał bóstwo słońca; na Szlązku jest do dziś dnia góra zwana Sobótką, na której w czasach pogańskich Szlązacy słońcu ofiary składali. Inne uroczystości pogańskie zastąpiono chrześcijańskimi, pozwalając zachować niektóre z dawnych zwyczajów. Pogańscy Słowianie uważali jajko jako symbol obfitości i słońca wiosennego, poświęcali je słońcu, wieprzowinę zaś i ciasto matce słońca, babą zwanej, stąd zapewne ciasta wielkanocne zowią babami. Zwyczaj dzielenia się jajkiem

obchodzono również na cześć boga słońca, który był także bogiem zgody i pokoju.

Dożynki nasze tak wesoło obchodzone przez lud wiejski znane były starym

Słowianom: na wyspie Kugii po skończonych żniwach lud zbierał się przed

świątynią Arkouy, najprzód składał Światowidowi ofiarę z ziół lub zwierząt,

którą kapłan palił na ołtarzu bóstwa, poczem słuchał wróżby co do

przyszłorocznych urodzajów, nakoniec składał w darze kapłanowi ciasto okrągłe z

miodu, czyli piernik, takiej wielkości, że kapłan mógł się skryć za niem, co

uczyniwszy pytał ludu, czy go widzi, a gdy odpowiedzieli, że widzą, życzył im,

żeby go roku przyszłego nie widzieli, dając tą odpowiedzią do zrozumienia, iż im

życzy żniw szczęśliwych. Po skończonej ceremonii lud tańcom się oddawał i

biesiadzie.

Wiele innych dziś święconych zwyczajów pochodzi również z czasów pogańskich,

szanować je winniśmy jako pamiątki, przypominające nam ojców naszych.

Postrzyżyny ().

Do lat siedmiu u dawnych Słowian chłopcy zostawali pod opieką matek, zacząwszy ósmy rok przechodzili pod opiekę ojców. W dniu tym, w dniu urodzin odprawiano tak zwane postrzyżyny, obrzęd, przez który chłopię dostawało imię, wchodziło w świat i za dziecko przestało być uważane. Na tę uroczystość ojciec rodziny spraszał wszystkich krewnych, sąsiadów, przyjaciół, a gdy chata pełną była, wówczas szli wszyscy starsi przed dom, gdzie rósł dąb rozłożysty, zasiadał pod nim ojciec, służba stawiała obok ceber ze źródlaną wodą, krewni go otaczali, a matka przyprowadzała syna. Chłopiec był przybrany na ten dzień w białą suknię, jasne długie włosy, których ani razu nie tknęły nożyce, spływały mu na ramiona. Przyprowadziwszy chłopca do ojca, który powstał na jego przyjęcie, oddała mu go w ręce, pacholę pochyliło się do nóg starca pokornie, on podniósł je, naprzód do serca przycisnął, poczem nabrawszy dłonią wody z cebra, stojącego obok, skropił głowę chłopca, a czyniąc to wzywał boga bogów, niewidzialnego lecz najpotężniejszego ze wszystkich, by miał w opiece chłopca

-----  
( ) Z Baśni Kraszewskiego.

strzegł od wroga i grzechu; następnie ujawszy nożyce, które  
mu jeden z krewnych  
podał, przystrzygał naprzód synowi włosy nad czołem i te  
krewnym na pamiątkę  
uroczystości oddawał, potem dokoła przycinał. To uczyniwszy  
zbierał skrzętnie  
resztę włosów i zwinąwszy je starannie, oddawał matce, aby  
pod kamieniem  
zakopała, bo uważano za szkodliwe, jeśli włosy dostały się na  
ogień, lub wiatr  
je zaniósł w pole, to uczyniwszy zwracał się do chłopca.  
— Od dziś zwiej się Leszkiem — mówił do niego, lub inne  
jakie imię mu nadawał.  
Gdy obrzęd dokonany został, wówczas z ogródka, łączącego  
się z chatą odzywała  
się pieśń postrzy-żyn, dziewczęta tam zebrane, ukazawszy się  
starszym pod dębem,  
wzywały słońca jasnego, aby zesłało szczęśliwe promienie na  
głowę chłopca; rosy,  
aby go poila życiem i męstwem; ziemię, aby w niego wlała  
ducha, aby urósł silny  
i wielki jak dąb; świecił jak gwiazda; jak orzeł padał na  
wrogów. Poczem skacząc  
koło niego, klaszcząc w dłonie i krzycząc "Lado! Lado!"  
odżegnywały od niego złe  
duchy, tak zwane biesy, oraz uroki i nieszczęścia; matka zaś  
przyniósłszy  
wieniec upleciony z dziewanny, rosiczki, bylicy i gałązek  
jemioli, kładła go na  
głowę syna, wieniec taki miał wedle pojęć starych Słowian  
zdrowiem i szczęściem

darzyć dziecko. Teraz znowuż ojciec zbliżał się do chłopca,  
brał go za rękę i  
prosząc gości, by szli za nim, prowadził wszystkich na żalnik.  
Tam pozdrowiwszy  
duchy dziadów, chłopiec składał na ich mogiłach ofiary, które  
mu podała matka:  
wylewał miód na mogiły i stawiał na nich miseczki zjadłem.  
Następnie wracali  
wszyscy pod

dąb, gdzie zastawiali wielki stół białym płótnem nakryty na  
nim misy z mięsiwem,  
kosze z owocami, kołacze i dzbany z piwem, zasiadano przeto  
do uczty, przy  
której pieśni i dźwięki gęśli nie ustawały.  
Do późnej nocy trwała zwykle taka uczta; gdy goście się  
rozeszli, wówczas matka,  
objąwszy ramieniem syna składała, na jego czole czuły  
pocałunek, a często łzami  
oblewała jego głowę, poczem ojciec zabierał go z sobą, odtąd  
bowiem chłopiec  
miał sypiać z nim razem i z braćmi starszymi, dzielić jego  
pracę i zabawy,  
chodzić z nim za pługiem, uganiać się po lasach za zwierzem,  
zapuszczać sieci na  
ryby, pilnować pszczół w ulach, harcować na koniu i do boju z  
wrogiem się  
sposobić.  
Pogrzeb pogański ().  
Ojcowie rodzin nietylko za życia, lecz i po śmierci u starych  
Słowian wielką

czcياً byli otaczani: gdy umarł starosta chowano go zwykle  
bardzo wspaniale, cała  
rodzina zbierała się na pogrzeb, który odbywał się zupełnie  
inaczej jak  
dzisiejsze pogrzeby, gdyż Słowianie ciał zmarłych nie  
grzebali, lecz palili jena  
stosach. Zaledwie pan domu zamknął oczy, wnet rodzina  
rozsyłała w różne strony  
gońców do braci jego, do sióstr, do dalszych krewnych, do  
sąsiadów i przyjaciół,  
zapraszając na pogrzeb; poczem córki zajmowały się  
ubranie zmar-

-----

() Z Baśni Kraszewskiego.

łego, kładły mu świąteczną odzież; czapkę z kitą. Łuk na  
piersiach mu  
zawieszały, przez ten czas matka przywdziewała szaty  
święteczne, najpiękniejsze  
jakie miała, stroiła się w bursztyny, w świecące naramienniki,  
a gdy córki  
wyniosły trupa ze świetlicy i na ławie w izbie gościnnej go  
umieściły, siadała  
naprzeciw z głową ku piersiom spuszczoną, obok niej stawali  
synowie, córki,  
płaczkami zawodząc pieśni żałobne:  
Odszedłeś od nas wołali, osierociłeś nas panie; poszedłeś do  
ojców twoich do  
duchów jasnych, Wszystkoś miał czego dusza zapragnie,  
ziemie rozległe, zwierza

dostatek, trzody bez liku, zboża, pasieki, ułów tysiące, chleb i miód biały i miłość miałeś a ludzi i żonę miałeś i dzieci posłuszne i czeladź pokorną i konie rącze, rzuciłeś wszystko i nigdy nie wrócisz; patrz na sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki, otwórz powieki." Tak noc całą śpiewały dzieci i płaczki przy trupie i rwały sobie włosy i łzy wylewały, a z pieśnią ich żalną mieszały się jęki matki i wycia psów, które słysząc te szlochania i skargi wtórowały im. Na kominie paliło się łuczywo, niezbyt jasno oświecając izbę, od lasu dochodził łoskot siekiery, tam parobcy stos dla umarłego przygotowywali. Nazajutrz skoro świt schodzić się poczyniała rodzina, znajomi i sąsiedzi, izba i dziedziniec często gości pomieścić nie mogły tyle ich nieraz napłynęło, płacze i skargi wzmagają się po przybyciu przyjaciół, gdyż wtórowali oni dzieciom. Gdy parobcy dali znać, że stos gotowy, synowie kładli na nosze zmarłego i nieśli go do lasu; za nimi

córki wiodły jęczącą, matką pod rękę, potem służba prowadziła, ulubionego konia i psy zmarłego, następnie krewni, sąsiedzi cisnęli się, guślarze i płaczki, za

nimi znowuż służba z popielnicami, z misami pełnemi  
mięsiwa, ze dzbanami piwa,  
lub miodu.

Szli jęcząc, zawodząc, przez pola leciały żałosne słowa pieśni,  
tęskne gęśli

dźwięki i krzyki płaczek, które trzymały przy oczach małe  
naczyńka gliniane,  
łzawnicami zwane, i łzy w nie zbierały.

Wśród gęstego boru, na wzgórzu, wznosił się stos wysoki,  
który cztery grube

pale, wbite po rogach podtrzymywały, a kłody go składające  
tak były ułożone, iż

wschody tworzyły, aby wejście ułatwić, synowie sadzali ojca  
na szczycie stosu,

przywiązywali go do kłoców, by się nie przewrócił, poczem  
kładli obok niego

wszystko, czego za życia potrzebował: więc pług, miecz,  
tarczę i dzidę, aby mu

niczego w raju nie brakło; następuie wprowadziwszy konia i  
psy na stos. obok je

przywiązywali; żona nieboszczyka wchodziła sama, klękłszy u  
nóg zmarłego, jęcząc

cicho obejmowała jego kolana, a krewni i synowie otaczali  
stos, służba opodal

ustawiała popielnice i jadło.

Tymczasem przyjaciele rzuciwszy iskrę wykrzesaną przez  
tarcie suchych gałęzi na

łuczywo, które po rogach stosu leżało, zapalili je; płomień  
ukazywał się

jednocześnie z czterech stron i razem piąć się ku górze  
począł, niebawem objął

cały stos, wśród dymu i ognia znikwały dzieciom z oczu  
postacie rodziców. Płaczki

począły biegać w okóło w szalonych podskokach, miały  
ręce, rwały włosy, a  
krzyki ich w wycie przechodziły, z nimi jednocześnie czterech  
pachołków na

koniach, wywijając dzidami, odstraszały biesy, jakie wedle  
mniemania starych  
Słowian czyhały na duszę zmarłego. Synowie i córki rzucali w  
ogień, co mieli  
najdroższego, co rodzicom było najmilsze, krewni i  
przyjaciele zawodzili pieśni  
na cześć Marzanny, bogini śmierci, gęślarze im wtórowali,  
ptactwo wrzaskiem  
przeraźliwym napełniało las, zwierzę dziki wystraszone tym  
hałasem odzywał się z  
głębi ponurym rykiem. Hałas ten głużył jęki palącej się żony  
wycie psów i  
rżenie konia na śmierć skazanych Od czasu do czasu wiatr  
miotając płomieniami  
odślaniał oczom dzieci zczerniałe postacie rodziców, psów i  
konia: nareszcie  
belki zaczynały trzeszczeć, łamać się, usuwać z miejsca,  
poczem — naraz runęły z  
hałasem i trup, żona jego, psy, koń, wszystko zapadało w  
ognistą przepaść,  
płomień czas jakiś jeszcze wybuchał to słabszy, to silniejszy,  
wreszcie gasł  
całkiem, tylko dym siny, gęsty wznosił się jeszcze, tylko iskry  
migały, wreszcie  
i te zniknęły, wtedy płacze i pieśni ucichły, niewiasty  
przystąpiwszy do zgasłego

ogniska z popielnicą, wsypywały w nią popiół oraz  
niedopalone szczątki i znowu  
ruszał orszak żałobny w uroczystym pochodzie, ku miejscu,  
gdzie mogiłę wznieść  
mieli, na tak zwany żalnik. Szli nucąc pieśni żałobne dzieci i  
krewni nieśli  
jedni popielnicę, inni łzawnice i posążki bóstw, służba misy z  
jadłem i dzbany z  
piwem. Grób już był przygotowany, wstawiano weń  
popielnicę, którą wiekiem  
przykrywano, obok niej umieszczano łzawnice i posążki,  
poczem to wszystko razem  
zasypywano ziemią, a każdy się cisnął, by choć garść ziemi  
rzucić; im więcej  
szanowano pamięć zmarłego, tem wyższą sypano mu mogiłę;  
gdy ta urosła

już duża, wówczas zapalano na niej łuczywo i zasiadano do  
uczty. Łzy już oschły,  
płacze i skargi ucichły, Słowianie wierzyli, że przeszedłszy  
most tężowy dusza  
zmarłego już znajduje się w raju i cieszy się tam wierną żoną,  
która dobrowolnie  
za nim poszła w krainę śmierci, ulubionym koniem i psami, że  
używa ciszy i  
szczęścia, więc grzechem według ich mniemania było dłużej  
się smucić. Ktoś z  
sąsiadów, wymowniejszy od innych, wstępował czasami na  
mogiłę, cnoty i zasługi  
zmarłego przypominał, by synów do naśladowania zachęcić,  
lecz to płaczu i jęków

już nie wywoływało.

Wysłuchawszy przemowy pili i jedli wesoło, starzy rozmową się zabawiali, młodzi

biegali do celu na wyścigi, lub oszczepem w górę rzucali dla pokazania swej

zręczności, taka uczta zwała się tryzną.

Tryzna trwała zwykle przez noc całą, często i przez dzień następny, nareszcie

ustroiwszy mogiłę gałęziami zielonemi, wracali każdy do domu. Czasami Słowianie

stawiali na takich mogiłach pomniki, lub okładali je

kamieniami; czasami nie

grzebali popiołów, tylko umieszczali je. przy drogach na słupach, aby

przypominały one ludziom, iż życie wiecznem nie jest, że przyjdzie czas, kiedy

za uczynki nasze karę, lub nagrodę otrzymamy.

Do dziś dnia znajdują się jeszcze w niektórych

miejsowościach mogiły pochodzące

z czasów pogańskich; ludzie, którzy przeszłość ukochali i badaniu jej czas

poświęcają, w niejednej znaleźli popielnice i łzawnice, które przekonywają, iż w

istocie starzy Słowianie palili ciała umarłych, w innych wszakże nic nie

znaleźli. Dochodząc przyczyny, dowiedzieli się, iż Słowianie nie-

tylko zmarłym sypali mogiły, czyli kurhany, lecz także wznosili je na cześć

wodzów, lub na pamiątkę jakiejś chwili pamiętnej w swych  
dziejach, takie kurhany  
nie zawierają w sobie żadnych pamiątek, lecz wspomnienia  
ludu je uświęcają,  
krążą o nich ciekawe powieści, czyli podania; do takich mogił  
należą wznoszące  
się pod Krakowem mogiły Krakusa i Wandy.  
Oprócz mogił zmarłym sypanych, które tworzyły, cmentarze  
dawnych pokoleń, oprócz  
kurhanów na cześć sławnych ludzi wznoszonych, sypali  
jeszcze starzy Słowianie  
tak zwane strażnice, czyli kurhany szlakowe, które kształtem  
mogiły zmarłych  
przypominały, lecz wewnątrz nie zawierają popielnic sypane  
były one po to, by  
jak gwiazdy na niebie, tak one w pustych, niezaludnionych,  
bagnami  
poprzerzynanych dawnych obszarach słowiańskiej ziemi  
wskazywały podróżnym drogę,  
strzegły ich od zbłąkania się. Były też jeszcze nasypy, które  
zwali Słowianie  
ołtarzami ofiarnymi, gdyż na nich składali bogom ofiary.  
W mogiłach na cześć zmarłych sypanych, często badacze  
przeszłości znajdują obok  
popielnic inne przedmioty jak ozdoby kobiece, broń, naczynia;  
jak wiadomo  
Słowianie zmarłym rzucali na stos, to co oni lubili za życia,  
przedmioty z  
metalów zrobione, w ogniu nie ulegały zniszczeniu, więc  
chowano je potem  
widocznie razem z popiołami do grobu.

### III.

#### PODANIA HISTORYCZNE.

Wielkie plemię słowiańskie dzieliło się na liczne, drobne plemiona, z których każde miało swój język, nazwę swoją i swego knezia, lub żupana; lecz wszystkie łączyły jednakowe obyczaje, jedna forma rządu i jedne przekonania religijne.

Jednym z takich plemion byli Polanie, którzy zamieszkiwali rozległe obszary ziemi od Odry na wschód ku Noteci i wzdłuż Warty po obu jej brzegach; na północ stykali się oni z Pomorzanami, na południe z Chrobatami, również pochodzenia słowiańskiego.

Rozległe obszary pól, jakie Polanie zamieszkiwał dostarczały im obficie zboża, od tych pięknych, złotodajnych pól wzięli oni nazwę Polan. Ciemne, olbrzymie bory, które rosły w północnych stronach i tak były wielkie, iż przez kilka dni iść przez nie można było, dostarczały Polanom zwierzyny; rzeki jak Wisła, Warta, Noteć, piękne jezioro Gopło oraz inne mniejsze ryb obficie, mieli też kilka miast jak: Gniezno, Kalisz, Kruszwica.

Każdy lud ma swoje podania, klechdy, bajki, w których snują pierwotne jego dzieje, które mówią o jego dawnych bohaterach i książętach. Gdy lud jeszcze w kolebce, gdy, jak dziecko pisać jeszcze nie umie, wtedy, co

się zdarzy ważniejszego, ojciec opowiada synowi, syn swojej  
działwie, tak

z ust do ust przechodzi przez opowiadanie pamięć o tem  
zdarzeniu, z dziada do  
wnuka, z pokolenia na pokolenie: nie jeden coś doda, coś  
zapomni, coś ujmie, lub  
przekształci, tym sposobem podania stają się coraz mniej  
pewne, w bajkę  
zamieniają się wreszcie; jakaś częśćka prawdy tkwi wszakże w  
każdej takiej  
bajce, pogardzać przeto niemi nie godzi się. Póki lud nie  
zacznie zapisywać  
wydarzonych u siebie faktów, dopóty dzieje jego są niepewne,  
dopóty bajecznemi  
się zowią.

Wszystkie plemiona słowiańskie miały swoją historiją  
bajeczną, swoje czasy  
dzieciństwa, mieli je i Polacy. Historyja bajeczna tego ludu  
powiada, iż dawno,  
bardzo dawno z dalekiej krainy przez Normandów  
zamieszkanej, przybył do Polan  
Lech ze swoją drużyną, a znalazłszy tam bory olbrzymie,  
kazał je ścinać, miasto  
budować i nazwał je Gniezmem. Polanie uznali Lecha swym  
kneziem, zbratali się z  
jego drużyną, Lech około stu lat rządził nimi, potem historyja  
bajeczna mówi o  
Kraku, który mieszkał nad Wisłą, miał tam swoją chatę i swój  
kawałek ziemi, był

kmieciem jednym słowem. W owe czasy dotknęło srogie  
nieszczęście Polan. Tam  
gdzie dziś miasto Kraków, w czarnej pieczarze ukrywał się  
smok straszny, zwierz  
potworny, który pożerał ludzi, napadał na kmiotków orzących  
spokojnie zagon, na  
młode dziewczęta do lasów dążące, na drobną dziatwę,  
bawiącą się nad brzegami  
Wisły; setki ludzi ginęło co rok w jego żarłocznej paszczęce, a  
nikt na to  
poradzić nie umiał.. Krak bolał serdecznie nad braćmi swymi,  
nad ziemią swoją,  
którą kochał nadewszystko, więcej niż ojca, matkę, niż braci i  
siostry, niż  
siebie samego i choć młody smutnym był

zawsze, noc i dzień myślał tylko o tem, jak pozbyć się smoka,  
jak uwolnić ziemię  
Polan od potworu, jak złe usunąć i wciąż modlił się do bogów,  
aby mu radę dali,  
wzywał pomocy dobrych duchów... Aż dnia jednego błysnęła  
mu myśl szczęśliwa,  
wybrał ze swego stada największego barana, zabił go, zdiął z  
niego skórę,  
napchał ją słomą, siarką, węglem żarzącym i podrzucił pod  
smoczą jamę. Podstęp  
się udał: łakomy potwór rzucił się na zdobycz, połknął barana,  
wnętrzości  
poczęły go palić, chcąc ugasić ogień, jaki czuł wewnątrz,  
pobiegł do Wisły i pił

chciwie wodę; pił dzień cały, lecz ognia nie ugasił, pił noc  
całą, aż rozpękł  
się w końcu... Nad rankiem znalazł go Krak nieżywym, wtedy  
uciał mu łeb i  
zatknał na wysokiej żerdzi, aby bracia zobaczyli, iż lękać się  
już nie mają  
czego, bo smok nie żyje...  
Wdzięczni Polanie zwoławszy wiec, gdyż właśnie wygasł ród  
Lecha, umarł ostatni z  
jego potomków, wybrali Kraka kneziem; Krak na górze  
Wawel nowy gród wybudował i  
panował długo nad swymi braćmi, panował mądrze,  
szczęśliwie, a gdy umarł Polanie  
ucztili go wspaniałym pogrzebem i usypali na cześć jego tak  
wielką mogiłę, co aż  
w górę wyrosła i nie garściami rzucali na nią ziemię, lecz w  
rękawach swych  
sukien ją przynosili...  
Po śmierci Kraka rządziła Polanami córka jego. Wanda, takie  
było imię tej córki,  
była piękną, jak gwiazda; łagodną jak gołąb; silną i zdrową,  
jak młody dąb.  
Posłyszawszy, iż niewiasta panuje w Polsce, Rydygier, książę  
niemiecki,  
zebrawszy zbrojne szyki, napadł

na Kraków, pewny, że łatwo gród ten podbije i Słowian w  
Niemców zamieni, lecz  
omylił się...

Wanda zwoławszy kmieci, kazała się im uzbroić i sama braci  
na bój powiodła, a

biła się tak odważnie, tak dobrze bojami dowodziła, iż Niemcy pierzchli.

Zdumiony jej odwagą, zachwycony urodą, Rydygier cofnął się z wojskiem, lecz w

kilka dni potem wysłał posłów do Krakowa i oświadczył przez nich Wandzie, że

pragnie uczynić ją żoną swoją. Wanda dumnie posłom odpowiedziała, iż żoną Niemca

za nic nie zostanie, bo Niemiec, to wróg jej ziemi, to wróg wszystkich Słowian:

grabi ich ziemię, ludzi morduje, lub do niewoli uprowadza.

Rozgniewany tą

odповідzią, Rydygier powtórnie wkroczył z wojskiem na ziemię Polan, głosząc, że

jeśli knehini nie przyjmie go za męża, on nikomu życia nie daruje, żadnego

domostwa w całości nie zostawi. Przestraszona Wanda, nie chcąc być przyczyną

nieszczęścia, swoich, rzuciła się w nurty Wisły. Rydygier, dowiedziawszy się o

tem, pełen żalu i smutku opuścił ziemię Polan, którzy wydobywszy nieżywą Wandę z

wody. równie wspaniały sprawili jej pogrzeb, jak ojcu: równie wysoką usypali jej

mogilę, jak Krakowi...

Następnie czas jakiś rządził u Polan wojewoda z radcami, lecz gdy się znowu

jeden z kmieci odznaczył rozumem, a raczej sprytem, zwołali wiec i kneziem go

uznali, jedni tego kmiecia zowią Przemysławem, inni Leszkiem. O tym kmieciu

podanie mówi, że kiedy raz na ziemię Polan wróg napadł, pobił i rabował wsie,

mordował ludzi, lub brał do niewoli, a wszyscy zwątpili w siłę  
swego oręża,  
wtenczas jakiś złotnik kmiecego rodu porobiwszy z kory  
drzewa tarcze i hełmy  
postroił

ie złotem i zawiesił na górze, a gdy słońce odbiło się w tych  
tarczach, Niemcy  
myśląc, że to wojsko Polan świeci zdala zbroją, wdarli się na  
wzgórze, by  
natrzeć na nie; wtedy Polanie ukryci pod górą, rzucili się na  
nieprzyjaciela z  
tyłu i odnieśli zwycięstwo.

Ród tego Leszka zrazu szczęśliwie rządził, lecz pod koniec  
było inaczej: wnuk  
jego miał dwudziestu synów, którzy podzielili między sobą  
ziemie Polan,  
najstarszy osiadł w mieście Gnieźnie: był to pan srogi, okrutny  
i chciwy,  
gorszym był jeszcze syn jego Popiel II, ten przeniósł stolicę z  
Gniezna do  
Kruszwicy, tam pędził życie na próżniactwie, otoczony  
drużyną, równie jak on  
próżniaczą, mawiał zawsze: "Jedźmy, pijmy, zrywajmy  
kwiaty, niechaj nie więdną."  
"

Stryjowie oburzeni takim postępowaniem, łajali go surowo,  
rozniewało to  
Popiela, postanowił ich się pozbyć i ziemie ich zagarnąć.  
Jakoż dnia jednego zaprosił stryjów do Kruszwicy na ucztę, a  
gdy przybyli,

przyjął gościnnie, napoił miodem zaprawionym trucizną, a  
gdy pomarli, kazał  
ciała wrzucić do jeziora Gopła, z ciał tych wyległy się myszy,  
które wdarły się  
na zamek książęcy; Popiel z żoną i dziećmi dosiadłszy łodzi,  
chciał umknąć przed  
memi do wieżycy, znajdującej się na wyspie w pośrodku  
jeziora Gopła, lecz myszy  
dognały go i zjadły razem z całą rodziną, a Polanie znowuż  
wiec zwołali, by  
wybrać sobie knezia.

Bajki te są pełne nieprawdopodobnych wydarzeń, boć przecie,  
jak nie istnieją,  
tak nie istniały nigdy na ziemi smoki; myszy też nie zjadają i  
nie zjadały nigdy  
ludzi jednakże pewna cząstka prawdy, mgłą wieków

przyćmiona, tkwi w nich; czas, niedokładne opowiadanie  
przeistoczyły ją nakoniec  
w bajkę. Ów smok, którego Krak zgładził, może to był  
rozbójnik, który w lesistej  
krainie Polan łatwo się mógł ukrywać i zdradziecko na kmieci  
napadać, a Krak w  
boju mógł go pokonać i na miłość wnuków przez to zasłużyć...  
Myszy nie zjadły z  
pewnością Popiela, lecz gdy uciskał Polan, rządził źle,  
niesprawiedliwie i  
zgorszenia przykład dawał, poddani choć słabsi od niego  
znaczeniem, złączywszy  
się, utworzyli siłę i pozbyli się knezia, który ich gnębił,  
wycięli go jak

wrzód, jak raka bolesnego. Poważni historycy utrzymują, iż na  
czele zbuntowanych  
stał ród Myszków i stąd podanie o myszach urosło.  
Dwie mogiły pod Krakowem, które lud tamtejszy zowie  
mogiłą Kraka i Wandy, mysia  
wieża na wyspie jeziora Gopła świadczą, że w tych bajkach  
ukryta jest prawda.  
Podania te przekonywają nas, że w owych czasach  
niepewnych tak odległych, bo  
przypadają one na czasy zawarte między wiekiem VI a X  
Polanie mieli już swoich  
władców udzielnych, którzy ziemię synom przekazywali,  
mieli swoje miasta i  
zamki, roztrząsali sprawy na wiecach, mieli swoje obrzędy i  
uroczystości, jednym  
słowem, że zaczęli tworzyć państwo urządzone na wzór  
sąsiedniego państwa  
niemieckiego, które nas wyprzedziło w cywilizacji.

Jeszcze z czasów bajecznych.

Oddawien dawna w starej Wielkopolsce wznosiło się miasto  
Kruszwica. Stolica  
Popielów bezpiecznie była

położoną; z jednej strony długie jezioro Gopło, z drugiej  
bagna czyniły doń  
przystęp trudny, a wrazie niebezpieczeństwa ułatwiały obronę.  
Było to roku .

Na szerokich błoniach rozścielających się za miastem, nad  
jeziorem Gopłem widać  
jakiś ruch niezwykły, ze wszystkich stron, z miasta, z  
sąsiednich i dalszych wsi  
ściągają na owe błonia ludzie, jedni pieszo, inni konno, lub  
wozami: idą, jadą  
starzy z białymi jak mleko głowami, z białymi,  
pomarszczonymi twarzami, w  
białych świtach, w czapkach baranich, z kosturami w ręku, z  
workami  
przewieszonymi przez ramię, z których chleb i wędlina  
wyglądają; idą młodzi,  
krzepcy, dorodni, z rumieńcem zdrowia na twarzy, z blaskiem  
życia w oczach,  
również w świtach białych, w czapkach baranich, z zapasami  
żywności, a wszystko  
to dąży na błonie, pod Kruszwicą się rozciągające, a gdy na  
nie przyjdą, to  
rozsiadają się na niem, czapki zrzucają z głowy, kosztury obok  
siebie kładą i  
przyglądają się sobie, zaczepiają słowami, jeden drugiego  
pyta, skąd przybył,  
jak się zowie. Gdy który konno przyjechał, to spętawszy nogi  
koniowi, puścił go  
dalej na błonie, sam wśród zebranych zajął miejsce, gdy który  
wozem przybył, to  
konia odprzągnął, puścił go również, by swobodnie się pasł, lecz  
wóz zostawił  
bliżej, bo wóz ten nie pusty, żywnością wyładowany;  
widocznie ci, co się tutaj  
zebrali nie na godzinę się rozsiedli, nie po to, by odpocząć i  
dalej ruszyć,  
lecz dłużej posiedzieć zamierzają...

I cóż ich tutaj ściągnęło? wiec... Polanie chcą wybrać nowego  
pana, bo kneź  
Popiel nie żyje, a choć im źle było za jego rządów, bo ich  
uciskał, niedobrze im

i teraz, jak dzieciom bez ojca, jak sierotom bez opieki, niema  
kogo o radę  
zapytać, niema komu skargi zanieść, przywykli już do pana.  
więc wybrać  
postanowili nowego... Konni wysłańcy, jeżdżąc od wsi do wsi,  
od grodu do grodu z  
wicią zieloną oznajmili braciom, iż wiec się ma odbyć, żeby  
Polanie zjeżdżali do  
Kruszwicy, bo gdy pełnia księżyca nastanie, obrady się  
rozpoczną. Więc kto był  
tylko zdrów, ten pośpieszył na wezwanie i zebrali się w  
wielkiej liczbie i  
półkołem błonie obsiedli: naprzeciw nich wznosi się dąb  
rozłożysty, a pod nim  
długa ława stoi, ława ta jeszcze pusta, na niej najstarsi zasiadają,  
starostowie  
rodów, lecz ci jeszcze nie przybyli. Wdali z jednej strony  
widać Kruszwicę, w  
pośrodku miasta na wzgórzu piętrzą się mury zamku  
Popielów, w którego izbach tak  
niedawno jeszcze huczce biesiady się odbywały, a teraz  
głucho i pusto; w  
pośrodku jeziora na wyspie niewielkiej sterczy samotnie  
posepna jakaś wieżyca,  
Polanie z trwogą na nią spoglądają, bo w niej podobno myszy  
zagryzły Popiela;

straszną śmiercią ukarali bogowie truciela wujów i  
gnębiciela ludu, z trwogą  
patrzają na nią i pytają siebie: byćże to może, co mówią o tej  
wieżycy i  
wzdychają, by lepszego tym razem pana wybrali.  
Naraz na błoniu zaszumiało, jak w ulu, zebrani porwali się z  
ziemi, w dali  
ukazały się wozy paradne, na nich siedzieli starcy z srebrnymi  
do pasa brodami,  
z srebrnymi włosami, które ramion sięgały, to starostowie na  
wiec przybyli,  
dworno, paradnie: za każdym ciągną wozy wyładowane  
żywnością i służba na nich  
siedzi, ubiorem nie różnią się wszakże od innych. Zszedłszy z  
wozów krokiem  
powolnym weszli na błonie,

zebranych skinieniem głowy pozdrowili i milcząc ławę zajęli;  
dopiero, gdy szum  
się uciszył i zebrani wrócili na dawne miejsca, na ziemi  
naprzeciw nich znowu  
zasiedli, dopiero wtedy jeden, który wydawał się wiekiem  
najstarszym z pomiędzy  
starostów, podniósłszy się z ławy. przemówił do braci, a  
mówił długo, rozumnie,  
poważnie: radził, by zgodnie obrali nowego pana,  
przedstawiał tego konieczność.  
— Jak w ulu, gdy matka umrze jest zamęt, póki nowej nie  
znajdą — prawil im, —  
tak, gdy król umrze; nie traćmy przeto czasu na swary,  
śpieszmy się z wyborem;

pamiętajmy o tem że na granicy naszej od zachodu siedzą  
Niemcy, którzy czekają  
tylko, by Polan ujarzmić, jak ujarzмили już wiele ludów  
słowiańskich, że  
dowiedziawszy, iż pana nie mamy, gotowi wpaść do nas,  
mordy i pożogi rozpocząć,  
setki ludzi uprowadzić do niewoli.  
W skupieniu słuchali go wszyscy, a gdy skończył  
przystąpiono do obrad, lecz  
niestety, choć głos poważny napominał do zgody, wada  
wrodzona Słowianom wnet  
górze wzięła nad postanowieniem i swary wybuchły; podzielili  
się na gromady: ci  
tego, ci tamtego popierali i dzień ubiegł. Zachodzące słońce  
krwawo odbiło się w  
wodach jeziora, zmrok począł zapadać trzeba było skończyć  
obradę a oni nie  
wybrali nikogo. Więc zrucając winę jeden na drugiego, łajac  
się wzajemnie,  
najpierw spożyli wspólnie wieczerzę, bo na wozach żywności  
nie brakło, potem  
jedni na błoniach legli szukać snu, inni w mieście spoczynek  
znaleźli. Nazajutrz  
zebrali się znowu, lecz znowu dzień na gwarach im upłynął,  
trzeciego nie było  
lepiej, aż zniecierpliwiona

starszyzna postanowiła wysłać jednego z pomiędzy siebie do  
najbliższej świątyni  
i bogów o radę zapytać. I wybrano posła, ten chętnie podjął się  
missyi,

pozostali radzili dalej... Mijały dni, zapasy żywności przywiezione przez starostów i zamożniejszych kmieci wyczerpały się, w mieście czuć się też dawał brak chleba i mięsa, głód groził zebranym. Okrzykami radości powitali też posła wracającego ze świątyni, wszedłszy na błonie pozdrowił on ich naprzód imieniem bogów, potem oznajmił, że Pan najwyższy, władca świata, przez usta kapłana im oznajmia, aby wybrali najskromniejszego i najmędrszego. Odpowiedź ta niewiele ich oświeciła, który z nich jest najskromniejszym, a zarazem najmędrszym nie wiedzieli, każdy radby był za takiego uchodzić... Więc swary podniosły się na nowo, od słowa do słowa przyszło wreszcie do zwawej kłótni, niektórzy już zrywali się ziemi, podnosili pięści na siebie, gdy wtem ktoś krzyknął:  
— Na jeziorze, łódź jakaś ku nam śpieszy. W jednej chwili swary ucichły, wszyscy zwrócili spojrzenia ku Gopłu, w istocie widać tam było łódź ciężko wyładowaną, siwy starzec nią kierował. Łódź powoli dobiła do brzegu, stary kmieć z niej wysiadł, przywiązał barcę do pniaka topoli, sterczącego z ponad wody i ku zgromadzonym podążył. Wszedłszy w środek koła obradującego, pokłonił się wszystkim, poczem rzekł:  
— Słyszałem, że chleba łakniecie, otom przywiózł, co było w chacie; weźcie, co

jest na łodzi, znajdziecie tam trochę mięsa, trochę piwa, czem  
chata bogata tem  
darzy, posilcie się, a potem śpieszcie z wyborem, bo jak

gwarzyć się będziecie, to i na nas ciężar niewoli spaść może,  
jak spadł na braci  
naszych z nad Elby.

To powiedziawszy pokłonił się powtórnie i ręką wskazując  
łódź zdawał się mówić:

- Bierzcie, co daję.

Lecz oni spoglądali po sobie wzrokiem pytającym,  
przypatrywali mu się ciekawie,

bo jeszcze pewni nie byli, kto on, aż jeden wymówił wreszcie:

— To Piast, syn Choszyszka.

Na to imię wysunęło się kilku zpoza pleców innych.

— Tak to on, — potwierdzili, śnać ci go znali. Piast, syn

Choszyszka, był to

kmieć ubogi, lecz powszechnie szanowany, słynął bowiem z  
roзумu, serca i pokory.

— Piast, syn Choszyszka, niech nam panuje, — wymówił  
jeden, za nim drugi,

trzeci, dziesiąty.

— Człek mądry, sprawiedliwy, gościnnie, gospodarny i  
pracowity, bogowie go

przysłali w chwili swarów byśmy je zakończyli, — rzekli inni.

— Piast, syn Choszyszka, niech nam panuje, — powtórzyli ci  
i tamci zrazu cichym

szeptem, potem coraz głośniej, nakoniec wszyscy razem  
wykrzyknęli:

— Piast niech nam panie!

Piast stał zmieszany, zdziwiony w pośrodku, oni otoczyli go kołem i wołali:

panuj! rządź, opiekuj się nami; on się wymawiał, władzy przyjąć nie chciał.

Gdzie mnie rządzić — mówił, — umiem ci ja być panem w swej chacie, ale nie w książęcym zaniku, dzielniejszego wam trzeba.

Lecz im bardziej się wymawiał, tem więcej oni nalegali, aż wreszcie Piast

widząc, że nie ustąpią, prosił, by zostawili mu czas do namysłu, żeby

zastanowili się jeszcze nad wyborem.

Więc zgodzili się na to, kilku poszło do łodzi po żywność im przywieziona, Piast

wsiadł do niej i odpłynął.

Wśród zebranych panowało chwilę milczenie, patrzali po sobie, naradzali się

wzrokiem, aż wreszcie wszyscy razem wykrzyknęli jednym głosem:

— Piast, syn Choszyszka, niech nam panuje!

Nazajutrz przed chatą Piasta kołodzieja stanęli wysłańcy ludu, niosąc kołpak

książęcy, piórem ozdobiony; widząc wolę tak stanowczą narodu, nie wzdragał się

on dłużej, przyjął kołpak i nazajutrz przeniósł się na zamek książęcy.

Postać tego Piasta jest niepewna, do bajecznych czasów liczy się jeszcze, krążą

o nim różne podania i tak historii a bajeczna powiada, iż kiedy pewnego razu ów

Popiel okrutny, Chwostkiem przezwany, wyprawiał  
postrzyżyny starszemu swemu  
synowi i gości zjechało wiele na zamek, a on ich hojnie  
podejmował, służba dała  
znać Popielowi, iż dwóch podróżnych strudzonych drogą stoi  
u wrót zamku i prosi  
go, by im spocząć u siebie pozwolił, lecz Popiel, który  
przymiotów Słowian nie  
posiadał, zamiast przyjąć ich gościnnie, jak obyczaj stary  
nakazywał, kazał  
wyszczuć psami.  
Opuścili dziedziniec zgorszeni jego niegościnnością podróżni  
i udali się do wsi,  
a idąc spotkali ubogą chatę, wstąpili przeto do niej. Chata  
należała do Piasta,  
syna Choszyszka, kołodzieja, który również w dniu tym sy-

nowi postrzyżyny wyprawiał. Goście nie byli jeszcze zebrani,  
lecz Piast i żona  
jego Rzepicha przygotowania na ich przyjęcie czynili;  
jednakże, gdy ujrzeli  
podróżnych, przerwali prace i wyszedłszy naprzeciw  
wprowadzili ich do chaty, na  
ławie posadzili, napoili, nakarmili, a gdy goście się zeszli i  
uczta się  
rozpoczęła, pierwsze, miejsce podróżnym za stołem wskazali.  
Podczas postrzyżyn,  
gdy przyszło synowi nadać imię, Piast prosił jednego z  
podróżnych, aby go  
wyreńczył, obcy gość chętnie to uczynił, wstał, zbliżył się do  
chłopca i

podniósłszy nad głową jego ręce, rzekł uroczystym głosem:  
— Bóg mój jest Bogiem wszystkich, w jego imieniu  
ojcowskiem, w Syna i Ducha  
Świętego imieniu chrzczę cię imieniem Ziemowita, niechaj ci  
danem będzie widzieć  
twa ziemię szczęśliwą i spokojną.  
To mówiąc, umoczył palec w stojącej w cebrze wodzie i na  
czole chłopca znak  
uczynił. Wszyscy zajęli się pięknem imieniem nadanem  
chłopcu, winszować mu  
poczęli, a gdy wreszcie obcych gości przypomnieli, już ich w  
izbie nie było,  
znikli nagle.  
Syn Piasta rósł zdrowo i pięknie, a w chacie starego kmięcia  
odtąd dziwnie  
pomyślnie się działo: miodu i piwa z beczek nigdy u niego nie  
ubywało, mąki i  
mięsa również, wszystko mnożyło się cudownie.  
W tej powieści tkwi także pewna część prawdy: w owe  
czasy przychodzili od  
zachodu i wschodu do Słowian pobożni misyjonarze, by wiarę  
Chrystusa wśród nich  
krzewić; owi podróżni, których Popiel wygnał psami, a Piast  
przyjął tak  
gościnnie, może jednymi z takich byli, może trafiwszy na  
postrzyżyny ochrztili  
mu w istocie syna, a że mnożyło się odtąd jado i napój

w chacie Piasta, to pewno dzięki jego i Rzepichy  
zabiegliwości i oszczędności;  
kochając syna, starali się przysporzyć mu mienia.

Co prawdą, co podaniem w tej powieści, tego napewno  
twierdzić nie można, to  
tylko pewna, że ród Piastów panował u nas długo bardzo,  
gdyż Polska stawała się  
coraz silniejsza, iż zyskał sobie miłość poddanych.  
Słowianie zwoływali wiece nietylko wtedy, gdy potrzebowali  
wybrać nowego knezia,  
lecz we wszystkich ważniejszych chwilach, na wiecach  
odbywały się narady około  
dobra publicznego, na wiecach sądzono głośniejsze sprawy,  
zbrodnie i występki. W  
późniejszych czasach takie zebrania przybrały nazwę sejmów.

## STRESZCZENIE CZĘŚCI PIERWSZEJ DO WIEKU X.

Cudowna to rzecz pamięć: setki, tysiące wrażeń drobnych,  
większych zapisujemy na  
delikatnych, szarych jej tkankach, setki, tysiące obrazów  
składamy do tej  
skarbnicy naszej mózgiem zwanej i leżą one tam sobie cicho,  
zapominamy o nich,  
nie wiemy nic, że się znajdują w nas, gdy naraz drobna  
okoliczność budzi te  
wrażenia i obrazy i stają one przed oczyma duszy naszej tak  
wyraźne, jakby  
rzeczywiście istniały, jakby to coś przeżył, przeboleł,  
pożegnał kiedyś dawno  
bardzo

znowuż wróciło do ciebie i cieszysz się, lub smucisz temi wspomnieniami, cierpisz, lub błogo ci na duszy. Takiego wrażenia doznałam dzisiaj, pewne pamiątki pozostałe po Tereni, jakie przeglądałam przez dni kilka zbudziły w mej pamięci obrazy przeszłości. Zdawało mi się, iż jestem znowu w Meranie, dziewczynką jedenastoletnią, że na stoliku pali się jasno lampa, a my wszyscy z ciotką Ludmiłą otaczamy ten stół i czekamy cierpliwie aż rozpocznie opowiadanie. Lecz ona nie spieszyła się jakoś tego wieczora ze swoją powieścią, z uśmiechem łagodnym spoglądała po nas; poczem zatrzymawszy spojrzenie na Marcysiu i Waciu. którzy obok siebie siedzieli, rzekła: — Powiedzcie mi chłopcy, co się wam najwięcej podobało z tego, coście o Słowianach słyszeli. — Najlepiej mi się podobało, kiedy ciocia opowiadała, jak to oni skakali przez ogień, tańczyli koło niego i borykali się ze sobą, — odparł Marcyś bez namysłu. — I mnie także, — poparł jego zdanie Wacio. Roześmiałyśmy się chórem my dziewczęta, ale ciocia Ludmiła uspokoiła naszą wesołość. — Widzę, iż uważnie słuchaliście — rzekła seryjo, — to mnie cieszy i zachęca do dalszych opowiadań, lecz dziś nic się nowego odemnie nie dowiecie, za to ja dowiem się, ileście odnieśli korzyści z tych opowiadań.

Na te słowa, serce zabiło mi strachem, poczęłam w myśli  
porządkować naprędce to,  
co przez kilka wieczorów usłyszałam, całe nasze kółko  
zdawało się być mocno  
poruszono: Magdzia coś Emci szeptała do ucha, Mania i  
Adelka wylękłymi oczami  
patrzyły na ciotkę,

Zosia żartowała z Wacia i Marcysia, że pewno oni najwięcej  
powiedzą, a chłopcy  
zgadując, iż z nich żartuje, gniewali się. na nią. Jedna Terenia  
siedziała  
spokojna, milcząca.

— To dobrze, — rzekła dopiero po chwili namysłu, —  
uporządkuje mi się w głowie  
to wszystko, com się dowiedziała przez te dni kilka, bo co  
teraz, to straszny  
chaos w niej panuje.

Ciocia Ludmiła uśmiechnęła się do niej.

— Zawsze rozsądną dasz odpowiedź, -odparła, — a kiedyś  
rada z mego projektu, —

dodała następnie, — powiedz mi, czy wiemy na pewno w  
jakiej epoce Słowianie  
osiedlili się w Europie i gdzie były ich siedziby?

— Ściśle określić epoki, w której Słowianie do Europy  
przyszli niepodobna, —

odparła spokojnie Terenia, — to tylko wiemy, że w czasach  
bardzo dawnych, że

starożytnym Rzymianom byli oni już znani, co do ich siedzib,  
to wiemy, iż

zamieszkali szerokie przestrzenie ziemi, jakie rozpościerają się między Bałtykiem a morzem Czarnym, między rzeką Elbą, a Wołgą. Patrzałam z radością na Terenię, jej powodzenie, cieszyło mnie zawsze więcej niż moje własne; z radością i pewną zazdrością czułam, że gdy na mnie kolej odpowiednia przyjdzie, nie zdobędę się na taki spokój; mnie za nią biło serce teraz tak silnie.

— A czy pamiętasz na jakie plemiona się dzielili Słowianie i jak te plemiona się grupowały? — zapytała znowuż ciocia, której trzeźwe odpowiedzi Tereni widoczną przyjemność sprawiały.

— Pamiętam, — odparła Terenia, — plemiona Słowiańskie tworzyły cztery grupy, zachodnią, wschod-

nią, południową i środkową; do zachodniej należeli Wilcy, Lutycy, Obotryci, Czesi, Łużycanie i Morawianie, do południowej: Serbowie, Kroaci, Słowacy, do wschodniej: Poloczanie, Krywiczanie, Wołynianie, Nowogrodzianie, Drewlanie, oraz wiele jeszcze innych, które złączyły się razem utworzyły państwo Ruskie, do środkowej: Polanie, Mazowszanie, Łęczycanie, Chrobaci, Szlązacy, Pomorzanie, Kaszubi.

Ciocia uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Dobrze, bardzo dobrze, — rzekła, poczem zwróciła się do mnie.

— Teraz Jadwinia mi powie, jaki był charakter Słowian. Czuję, jak się zaczerwieniłam, spuściłam głowę i poczęłam miąć bez litości róg

mego fartuszka, w głowie mej był straszny zamęt, nic przypomnieć sobie nie

mogłam. Ciocia ani mnie łajała, ani odwagi dodawała i zmieszane myśli ułożyły

się jakoś, serce bić wolniej poczęło, podniosłam głowę.

— Byli pobożni, — trochę drżącym zrazu głosem, poczęłam mówić, lecz stopniowo

coraz więcej równym — łagodni, pracowici, gościnni, hojni, ludzcy, nawet dla

wrogów, lecz między sobą gwarzyli się często i zamiast się łączyć, żyli

podzieleni na drobne rody, przez co Niemcy łatwo ich ujarzmiali. Niemiec był to

wróg odwieczny Słowian.

I jest nim dotąd, wszak prawda ciociu? — odezwała się niepytana Terenia.

— W istocie, — odparła ciotka Ludmiła, — dlatego też Słowianie powinni starać

się żyć w zgodzie i łączyć się, aby mogli opór im stawiać.

— Powiedz mi, — rzekła zwróciwszy się teraz do Zosi — jakie było urządzenie społeczne u Słowian.

— Patryjarchalne, — odparła bez namysłu Zosia — dzielili się na rody, nad każdą

rodziną, czyli rodem, miał władzę nieograniczoną ojciec,  
zwany starostą lub  
władzykiem; ojcowie w ważniejszych chwilach zbierali się na  
wiece, były to  
zebrania starszyzny i radzili o po-  
trzebach narodu; gdy zaś wojna groziła, wybierali  
najdzielniejszego z pomiędzy  
siebie i powierzali mu dowództwo, a cały naród przysięgał  
wodzowi wojów  
(wojewodzie) posłuszeństwo. Po skończonej wojnie  
wojewoda składał władzę i był  
znowu tylko kmieciem, lub starostą.

— Jaby tam nie złożył, — odezwał się Marcyś.

— Tak też w końcu zrobili, — odparła Zosia, — nie oddali  
władzy, potem synom ją  
przekazali i tak wytworzyła się u Słowian władza  
monarchiczna i tak powstały  
państwa słowiańskie, wszak prawda pani? — tu zwróciła się z  
pytaniem do ciotki  
Ludmiły.

— Tak jest, — odparła ciocia, — władza tych monarchów  
była nieograniczona, byli  
oni panami życia i mienia swych poddanych, cała ziemia była  
ich własnością;  
kmiecie nie byli teraz właścicielami ziemi, jaką uprawiali, lecz  
dzierzawcami  
swych kneziów. A czy pamiętasz Zosiu, jakie były  
główniejsze państwa  
słowiańskie?

— Pamiętam, — odparła Zosia — Czeskie, Morawskie,  
Polskie, Serbskie, Bułgarskie  
i Ruskie.

— Czeskie i Morawskie nie tworzą dziś udzielnych państw,  
lecz do Austrii należą,  
Polskie podzielone zostało przez trzy mocarstwa, — objaśniła  
ciotka Ludmiła, —  
Ruskie istnieje pod nazwą cesarstwa Rosyj-

skiego Serbskie i Bułgarskie po długich latach niewoli, gdyż  
Turcy podbili je w  
XV wieku, wyzwoliły się na koniec i cieszą się dziś swobodą,  
tworzą osobne  
państwa.

— Jaką religiję mieli Słowianie w czasach kiedy  
patryjarchalne było u nich urządzenie? — zapytała ciocia  
Manię.

Mania spuściła oczy.

— Bałwochwalską, — szepnęła niepewnym tonem i umilkła.

— Cóż za bóstwa czcili? — zapytała ciocia. Mania zamiast  
odpowiedzi błagalnym  
wzrokiem

spojrzała na Magdzie, zdawała się wzywać jej pomocy, lecz i  
tę pamięć widocznie  
zawiodła, śmielsza jednak i sprytniejsza od Mani, nie  
zakłopotana się swem  
położeniem.

— Ciotucho kochana, doprawdy, tak i ja nie pamiętam, —  
rzekła, — wiem tylko, iż  
w IX wieku wyrzekli się bałwochwalstwa Czesi, Morawianie,  
Serbowie i Bułgarzy,  
a w X przyjął wiarę chrześcijańską Włodzimierz, Wielki  
książe ruski i Mieszko I,  
kneź Polan.

To powiedziawszy, zadowolona zupełnie z siebie z miną tryjumfującą spojrzała po wszystkich Mania, tymczasem przypomniła coś sobie z mitologii, podniosła śmieiej głowę.

— Słowianie czcili jednego Boga najwyższego, któremu różne nazwy nadawali, jak Światowid, Perun, Lada, Jese prowe Radegast, — poczęła — czcili też słońce i ziemię i na cześć tych bóstw, na początku czterech por roku odprawiali uroczystości; czcili bardzo jeszcze wiele bóstw podrzędnych.

— A jakie to były śliczne te uroczystości, czemu to dziś nie obchodzą święta

Kupały, — odezwała się Anielcia.

— Toś zapomniała o sobótkach, — zwrócił jej uwagę Mareys.

— Jeśli kiedy wrócę do

naszych gór kochanych, to każę zawsze czerwca układać stosy z drzewa i

tańczyć kmieciom koło nich, a potem zaproszę ich na ucztę do dworu.

— Jak widzę, każde z was coś zapamiętało z tego. co mówiłam przez te trzy

wieczory, — rzekła ciocia, zwracając się do Marcysia, — to mnie zachęca do

dalszego opowiadania, może mi tylko Emcia jeszcze powie czym zajmowali się

Słowianie, w epoce, gdy patryjarchalne było w nich urządzenie.

— Pasterstwem, rybołówstwem, łowiectwem i pszczolnictwem,  
— odparła Emcia.

— A czy uprawiali sztuki piękne?

Emcia zamyśliła się, podniosła w górę siwe oczy, główka jej chwilę pracowała,  
poczem rzekła wolno, lecz pewnym siebie tonem.

— Uprawiali budownictwo, gdyż mieli piękne świątynie,  
rzeźbiarstwo, bo posągi  
bóstwom stawiali, malarstwo, ponieważ świątynie ich były  
ustrojone malowidłami,  
śpiew i muzykę, gdyż podczas uroczystości grali na gęślach i  
pieśni nucili.

— A zatem i poezycja, — wtrąciłam niespodzianie,  
zdziwiwszy się sama, skąd mi ta  
odwaga przyszła i umilkłam naraz przestraszona tą śmiałością.

— Słuszna twoja uwaga, — odparła ciotka Ludmiła —  
uprawiali poezycja, gdyż  
tworzyli pieśni, baśnie i podania, Czesi mają bardzo piękny  
utwór z tych czasów

opisujący walki, jakie toczyli w obronie swej ziemi z  
Frankami, plemieniem  
gerniańskim. Polanie prócz drobnych pieśni, baśni, podań,  
które z ust do ust  
przechodząc nas doszły, piśmiennego pomnika nie zostawili; a  
może i zostawili,  
lecz zaginął wśród walk, jakie prowadzili z sąsiadami, tego  
napewno powiedzieć  
wam nie mogę, za to mogę przytoczyć wyjątek z poematu  
czeskiego, który nosi

tytuł "Zabój, Sławój, Lodiek" gdyż umiem część jego na  
pamięć, — i nie czekając,  
aż prosić ją zaczniesz tak poczęła:

Z czarnego lasu wygląda skała  
Zabój na skały wystąpił czoło,  
Po wszech krainach spojrział w około  
Cała kraina smutkiem powiała,  
I on głębokim zawodzi płaczem.  
Siedzi tak długo, w długiej tęsknicy;  
Aż się jak jeleń schwyci na nogi,  
Na dół przez bory, przez puste drogi,  
Pędzi po mężach; był u każdego,  
Z włości do włości w całej ziemnicy;  
Każdemu w ucho rzekł coś skrytego  
Bogom się skłonił Dalej pogonił.  
I minął dzień Minął wtóry dzień  
Gdy w trzecim spędził księżyc nocy cień  
W las czarny wszyscy przyszli mężowie.  
Z nimi Zabój współ,  
Poszli w dół,  
W najgłębszy parów,

Sród leśnych czaharów;  
I Zabój jeszcze  
W głębszym parowie stanie.  
I bierze w ręce warito () wieszczę  
"Mężę bratnich serc  
Mężę ognistych wzroków,  
Wam pieję pieśń  
Z padołu najgłębszych mroków.

Od serca płynie pieśń,  
Od serca głębi ku wam  
A w sercu smutek sam:  
"Poszedł ojciec za ojcami  
Zostawił dziedzice  
Małe dziatki sierotami  
I swoje lubice.  
Nie zostawił żadnej głowy  
Nie rzekł komu: "bracie przemów  
Ojcowskiem! słowy."

Z uwagą wielką słuchaliśmy cioci, serdecznie mi żal było  
Czechów, lecz niebawem  
pocieszyłam się. Ciotka Ludmiła przerwawszy deklamacją,  
powiedziała nam iż  
poemat opiewa dalej, jak Zabój namówił Czechów, by uzbroili  
się przeciw  
najezdeom; jak stanął razem ze Sławojem na ich czele i  
pokonali straszego  
Ludieka, wodza nieprzyjaciół.  
— Posłuchajcie teraz opisu zwycięstwa Czechów — rzekła  
ciotka, tu poczęła znowu  
deklamować:

-----  
( ) gęśl

I skoczą hufce na ręce konie;  
Trop, w trop za wrogiem puszcza pogonie.  
Cios w cios już zemstę wywarli krwawą  
Znikają im równiny

I lasy i wyżyny  
Wszystko precz znika w lewo i w prawo.  
Huczy strumień wezbrany  
Sadzą w górę bałwany  
Huczą wojacy i skok za skokiem  
Walą najezdcy wzdętym potokiem,  
Dużo ich woda topi w swem łonie  
A ziomków niesie ku drugiej stronie.  
Długo, szeroko, jak starczy pole,  
Drapieżny jastrząb rozwija.  
W górze szerokie skrzydeł półkole,  
Ptaków gromady rozbija.  
Wojsko Zabój a puszcza zagony  
Długo szeroko na wszystkie strony  
Kupa najezdców spędzona zbita  
Resztę zdeptały kopyta.

.....

Z wyciągniętymi rękami przybiegliśmy wszyscy do cioci, by  
jej podziękować za  
miły wieczór, ona uściskała każde z kolei.  
Jutro powrócę znowu do przerwanych opowiadań — rzekła,  
— słuchacie z uwagą,  
korzystacie z tego, o mówie, praca moja niedaremna, więc z  
ochotą do niej  
zasiadę.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

## CHRZEST POLAN.

Na zamku gnieźnieńskim Mieszko potomek Piasta kołodzieja  
panował, rządził on  
mądrze i sprawiedliwie, więc lud go kochał i szanował. Lecz  
od niejakiego czasu  
niepokojące wieści krążyły wśród Polan, a roznosili je ci, co  
przy księciu na  
zamku mieszkali; Polanie poczęli podejrzliwym okiem patrzeć  
na swego knezia,  
badać go, podpatrywać. Niestety czyny potwierdzały krążące  
pogłoski, mówiono  
coraz głośniej, iż Mieszko wiarę ojców rzucić zamierza, że  
wysłał swatów do  
sąsiedniej krainy Czech, prosząc panującego tam króla Bolka,  
by mu swą siostrę  
Dąbrówkę dał za żonę; mówiono, że Bolko przychylną dał  
odpowiedź, lecz za  
warunek położył, aby Mieszko przyjął jego wiarę; te samą  
wiarę, którą wyznawali  
Niemcy, którą mieczem i ogniem wśród Słowian szerzyli,  
wiarę im nienawistną,  
wiarę której godłem był krzyż.  
Jakoż w istocie do Gniezna zjechała Dąbrówka i Mieszko  
wziął ją za żonę i  
oddalił za jej przybyciem

dawne żony, których zwyczajem pogańskim miał kilka. Z  
Dąbrówką przybyło do

Gniezna kilku księży chrześcijańskich, a ludzie, co przy  
dworze księcia  
mieszkali mówili, że lada dzień Mieszko każe obalać posągi  
bóstw pogańskich,  
palić chramy, a nowe świątynie na cześć Boga swej żony  
stawiać i chrzcić  
wszystkich, opornych zaś śmiercią karać będzie.  
Z Dąbrówką prócz księży przyjechało też kilku  
rzemieślników, z których jedni  
poczęli wystawiać jakieś mury i mówili, że kościół  
chrześcijański budują, drudzy  
wyrabiali ze złota i srebra różne naczynia i posągi.  
Wzburzenie było silne, Polanie już nie wątpili, że pogłoski  
mylne nie są, lada  
dzień oczekiwali, iż bóstwa ich Mieszko niszczyć każe...  
Smutek powiał po ziemi  
Polan, starostowie schodzili się po chramach, gajach i lasach,  
radzili jak  
bronić swych bogów i świątyń, wiary swych ojców... Mieli  
nadzieję, iż bogowie  
nie dozwolą zniewagi, że sami ukażą winnego; lub, że  
Mieszko, który w latach  
dziecinnych łaski bogów doznał, nie wyrzeknie się ich;  
krążyło bowiem podanie,  
iż Mieszko urodził się niewidomym i że nagle podczas  
postrzyżyn przejrzał...  
Czekali cierpliwie, rozpaczy nie oddając się jeszcze.  
Tymczasem w Gnieźnie, w Kruszwicy, w innych miastach, w  
siołach sąsiednich i  
dalszych, rzeczy szły wciąż jednakowym trybem: Mieszko żył  
z Dąbrówką, lecz  
bogów i świątyń pogańskich nie znieważał, nie bronił też  
odprawiać obrzędów

starej wiary, wzburzenie poczęło się uspakajać. Starzy łudzili się, że może to wszystko próżne pogłoski, a gdy patrzyli na wznoszone mury przez robotników czeskich, mówili:

— Któż wiedzieć może, czyli kneź nie stawia tej świątyni na cześć Trigłowa, Światowida, lub innego bóstwa naszego; jest ci w Retrze piękna świątynia, jest w Arkonie, dlaczegóżby w Gnieźnie być nie miała. Młodzi, którzy pod wpływem ojców na obcych przybyszów ze strachem spoglądali, poczęli się z nimi oswajać, boć widzieli, że to nie Niemcy, że nie mordują ich, nie rabują mienia, kajdan niewoli nie nakładają, lecz łagodnie przemawiają i czynią każdemu dobrze... Kapłani, których z Czech przywiozła Dąbrówka, a których oni tak się obawiali, zaczepiali ich po drogach, do chat ich zachodzili, opowiadali im o swoim Bogu, zachęcali do uznania Go i przyjęcia ich wiary, wiary Chrystusa, która każe ludziom miłować się między sobą, lecz nie zmuszali nikogo, nie łajali nawet gdy kto oświadczył stanowczo, iż za nic swych bogów nie opuści, a takie piękne rzeczy z życia Chrystusa opowiadali, tak sławili Jego cnoty, rozum, boskość, iż

niejednego brała ochota zostać Jego wyznawcą... Świadczyli  
też tyle dobrego:  
leczyli chorych, biednych wspierali, sieroty otaczali opieką.  
Kilkakrotnie  
zdarzyło się też, że w nocy ktoś bóstwa pogańskie, stojące po  
drogach obalił,  
rankiem znaleźli je ludzie porąbanemi; kto to uczynił, tego  
nikt nie wiedział,  
lecz widocznem było, iż bogi nie pomściły się za zniewagę,  
nie ukarały winnego,  
nie odkryły go ludowi, wiara w ich potęgę zachwiała się  
wśród młodzieży.  
Coraz głośniej mówili ci, co na zamku przy kneziu mieszkali,  
iż Mieszko nową  
wiarę przyjmie, świątynie nowemu Bogu postawi i lud skłoni  
do przyjęcia chrztu,  
lecz pogłoski te coraz słabsze wywoływały

wzburzenie wśród Polan: jedni przestali wierzyć pogłoskom,  
które krążyły, a nie  
spełniały się nigdy, drudzy mówili:  
— A choćby i tak było to i cóż, przyjęli Czesi, przyjęć  
Serbowie, przyjęli inni  
nową wiarę, dlaczegóżbyśmy jej przyjąć nie mieli.  
Aż dnia jednego, a było to na wiosnę roku , Mieszko  
zwoławszy starostów z  
całego grodu i ze wsi okolicznych, powiedział zebranym, iż  
obznajmiwszy się z  
wiarą Chrystusową, przekonawszy się jak piękną jest  
postanowił ją przyjąć i

pragnie, by lud poszedł za jego przykładem, że zmuszać nie będzie nikogo, lecz nagrodzi hojnie tych, co z nim razem chrzest przyjmą i że naznacza im dzień piątego marca za ostateczny do namysłu, a kto w dniu tym przyjdzie na dziedziniec zamkowy, ten ochrzczonym zostanie i darami obdarzon.

W posepnem milczeniu rozeszli się starostowie i znowuż zbierać się i radzić poczęli w tajemnicy. Tymczasem zbliżył się dzień piątego marca, na dziedzińcu zamkowym od rana tłoczno było, z wielką radością dowiedziała się o tem Dąbrówka.

Mieszko ani się domyślał ilu miał już chrześcijan, pomiędzy poddanymi. Biskup

Jordan, ksiądz Bohowita, oraz inni, którzy przybyli z Dąbrówką do Gniezna,

cicho, lecz pilnie pracowali i praca ich wydała owoce.

Dąbrówka posłała

czekającym białe szaty, poleciwszy, aby ci, co chrztu pragną, przywdzieli je; od

kilku miesięcy już gotowano te szaty na zamku, a jednak okazało się ich za mało.

Przybrawszy się w nie, po-dzielili się na gromadki, po jednej stronie stanęły

kobiety, po drugiej mężczyźni. Słońce już było wyso-

ko na niebie, dzień był jasny, pogodny, jakby na uczczenie tak wielkiej

uroczystości, na dziedzińcu zamkowym ukazał się wreszcie biskup Jordan w infule

na głowie, w kapie srebrzystej, w jednej ręce trzymał kropidło,  
w drugiej  
pastorał. Powaga, słodycz i cicha radość, jakie malowały się  
na jego obliczu,  
budziły w czekających uczucia im nieznane w sercach: czci i  
uwielbienia pełnego  
pokory.

Przed biskupem szło biało ubrane chłopię i niosło naczynie  
miedziane pełne wody,  
biskup od czasu do czasu maczał kropidło w wodzie,  
zatrzymywał się przy  
pojedynczych grupach i błogosławił je i kropił głowy, a  
czyniąc w powietrzu znak  
krzyża mówił:

— Chrzcę ciebie w imię Ojca, Syna i Ducha świętego,  
poczem grupom pojedynczym  
imiona nadawał naprzemian do mężczyzn i niewiast się  
zwracając. Za biskupem  
postępowała Dąbrówka i Mieszko, obok nich mali chłopcy  
strojnie przybrani,  
którzy dźwigali ciężkie szkatułki, pełne kosztowności. Kneź i  
knehini brali z  
nich złote krzyżyki, medaliki, różańce, obrazki święte i dary te  
między świeżo  
ochrzczonych rozdawali Minąwszy dziedziniec skierowali się  
wszyscy do nowej  
świątyni, nie była ona jeszcze zupełnie ukończoną, lecz dach  
już ją przykrywał i  
biskup Jordan poświęcił ją dnia poprzedniego. Na wielkim  
ołtarzu woskowe świece  
gorzały, kilku kapłanów przybranych uroczyście otaczało go.  
Zbliżywszy się do

tego ołtarza, biskup Jordan mszę odprawiać począł, padła na kolana Dąbrówka, za jej przykładem Mieszko, oraz ci wszyscy, co chrzest już przyjęli i za kneziem tu przyciągnęli.

Śpiewy uroczyste zabrzmiały, pełne radości, dzieło wielkie dokonaniem zostało, dzieło nawrócenia ludu całego, bo nie wątpiono, że jak ta garstka, tak i reszta nawróci się równie łatwo. Po skończonem nabożeństwie odbył się obrzęd chrztu knezia, a potem ksiądz Bohowita pobłogosławił związek małżeński Mieszka z Dąbrówką, który miał się zwać odtąd Mieczysławem. Opuściwszy kościół Mieszko z żoną, księżmi i tymi, co chrzest przyjęli w uroczystym pochodzie przeszli miasto całe, a gdziekolwiek zobaczył książe ślad pogaństwa, posąg bóstwa, lub świątynię, kazał natychmiast niszczyć je i w owem miejscu, krzyż, godło wiary Chrystusa zatykać. U wszystkich źródeł, na wszystkich drogach rozstajnych, w gajach, w których Słowianie ofiary stawiali, wszędzie godło nowej wiary wzniesionem zostało.

Reszta dnia zbiegła w zamku na uczenie, na którą świeżo nawróceni zaproszeni zostali.

Nazajutrz Mieszko wydał rozkaz, aby na całej ziemi Polan pogańskie świątynie zburzyć i bogów popalić, wszędzie kazał krzyże i kościoły chrześcijańskie stawiać.

Dzieło nawrócenia szło zwolna, lecz szerzyło się coraz dalej: Mieszko nie zmuszał nikogo, ale zachęcał i nagradzał posłusznych. Starzy odprawiali stare obrzędy, obalali nowo wzniesione krzyże, nie karano ich za to, pozwalano im składać ofiary swym bóstwom, palić ciała umarłych, krzyże napowrót stawiano.

Ta łagodność, a przytem wytrwałość zwyciężyła, najuporczywszych: wiara chrześcijan przyjętą została

na całej ziemi Polan, Polskę do rzędu państw chrześcijańskich policzono, a zawdzięczamy to Dąbrówce (), żonie Mieszka I, która męża do przyjęcia chrztu nakłoniła.

## II. PAŃSTWO MIESZKA.

Niewielkie to było państwo, jakie Mieszko po ojcu swoim  
Ziemowicie odziedziczył,  
składała je właściwa Polska, a raczej Wielkopolska z  
miastami: Gnieznom,  
Kruszwicą, Poznaniem, Łęczycą i Sieradzem; Mazowsze,  
rozciągające się na prawym  
brzegu Wisły z miastem Płockiem i pagórkowate Kujawy,  
które na lewym brzegu  
Wisły się znajdowały. Państwo to graniczyło na północ z  
Pomorzem i Prusakami,  
odwiecznymi wrogami Mazowsza, na wschód z Litwinami, z  
którymi często krwawe  
zapasy wiodło; na południe ze Szląskiem i Chrobacyją, na  
zachód z państwem  
Niemieckiem. Rzeki: Wisła, Warta, Warta, Noteć, Bug i Bzura  
przebiegały je, z  
jezior najgłówniejsze było: Gopło. Najstarsze ze wszystkich,  
miasto Gniezno  
położone było wśród jezior i stawów, otoczone wieńcem  
wzgórzy; bajeczne podanie  
powiada, iż zbudował je Lech. Było ono zrazu stolicą kneziów  
Polan, lecz Popiel  
II przeniósł stolicę do

-----

() Siostra króla Czeskiego Bolesława

Kruszwicy, ze śmiercią jego, gdy Piast kneziem obrany został,  
znowuż Gniezno  
uznano głównym miastem w państwie, lecz Mieczysław pod  
koniec życia przeniósł

stolicę do Poznania. Niewiele później od Gniezna powstało miasto Kruszwica, które nad jeziorem Gopłem położone, otoczone było nieprzebytemi bagnami, oraz głębokimi zatokami. O siedm mil od Gniezna wznosił się Poznań nad rzeką Wartą, ku południowi nad rzeką Bzurą Łęczycą, a niżej jeszcze Sieradz, otoczony rozległymi łąkami, przez które Warta płynęła. Wszystkie te miasta istnieją do dziś dnia, lecz obecnie najpiękniejszym z nich jest Poznań. Na Mazowszu głównym miastem był wówczas Płock; leżący nad Wisłą, Warszawa o wiele później powstała. Tak w Wielkopolsce, jak na Mazowszu ogromne obszary ziemi były wtedy niezaludnione, osady ludzkie, rzadkie bardzo, cały kraj przedstawiał jedną wielką puszcę leśną, połyskującą jeziorami i bagnami, poprzerzynaną tu i owdzie srebrnymi wstęgami rzek i licznych strumieni, a między temi lasami, bagnami, jeziorami i rzekami zrzadka gdzieś widać było drewniany zamek otoczony murem, a koło niego wznoszące się skromniejsze zabudowania. Ówczesne rzeki i strumienie jakże niepodobne były do dzisiejszych: nabrzmiałe wodą, którą ledwo koryto pomieścić mogło szumiały głośno; a jakie niezliczone roje ryb żyło w tych wodach, niełatwo to dziś sobie wyobrazić. Lasy były olbrzymie i tak gęste, iż

odważnym być musiał nielada ten, co w ich głąb się zapaścił,  
boć nic  
łatwiejszego było, jak zabłądzić w nich, a wte-

dy śmierć od dzikiego zwierza, lub straszniejsza jeszcze  
śmierć z głodu czekały  
śmiałka.

Wszelkie gatunki drzew, jakie tylko w kraju naszym rosna,  
więc olbrzymie dęby,  
olchy, klony, jesiony, wiązy, modrzewie, sosny, lipy, tworzyły  
te gąszcze  
splatając razem swe gałęzie, u stóp ich miękki mech zielonym  
kobiercem zaścielał  
las, wśród niego najróżnorodniejsze gatunki grzybów,  
pierzaste paprocie, i  
rózowy wrzos tworzyły jakby klomby. Gdy zniszczony  
wiekiem, który z tych  
olbrzymów powalił się na miękki mech, to leżał tam wśród  
paproci i wrzосу  
nieporuszony i próchniał powoli, a w około niego młode  
latorośle rosły, męźniały  
i powoli zapełniały puste miejsce.  
Lasy te pełne były pszczół, które w pniach spróchniałych  
drzew się roiły, stąd  
zwano je miodopłynnemi; pełne dzikiego zwierza: tury, żubry,  
już dawno  
wytępione, całemi stadami w owych czasach chodziły po tych  
gąszczach, zgrabne  
łośie o rogach rosochatych przebiegały je, a poza temi lasami,  
wśród zielonych

dolin pasły się tabuny dzikich koni i osłów, nad strumieniami gnieździły się całe miliony bobrów, - budując dziwaczne swe pałace, a nad temi lasami, puszczami, łąkami, jeziorami i rzekami unosiły się chmury najróżnorodniejszych ptaków, wśród których szybkołotny sokół królował, o którego ubiegali się myśliwi, gdyż wyuczony wybornie im w łowach pomagał. Lesistość ta i wodnistość kraju broniły go od napaści wrogów. Miała Polska w owej epoce bardzo niewiele obronnych grodów, lasy i bagna je zastępowały i częstokroć lepszą były obroną od najsilniejszych zamków i twierdz.

Chaty kmiece, które wznosiły się koło uprawnych pól wielce się też różniły od dzisiejszych; najczęściej w jednej izbie, w której okien i komina nie było, mieścili się razem ludzie i zwierzęta; w dachu znajdował się otwór, pod tym otworem rozniecano ognisko, gdy chciano sobie jeść ugotować, a dym otworem, w dachu się znajdującym, uchodził pod obłoki. Wszystkie prawie zabudowania ówczesne nawet zamki książęce były drewniane, gdziekolwiek tylko ku podziwieniu ludności okolicznej wznosił się kościół murowany. Prostota wielka panowała w ówczesnych obyczajach, w ubiorze i jadle. Rolnictwo,

bartnictwo, rybołówstwo, hodowla bydła lub koni były  
głównym zajęciem kmieci; z  
rozmaitych gatunków zboża najczęściej uprawiano pszenicę,  
owies i jęczmień, len i  
konopie były też znane. Rycerze większą część życia na  
usługach knezia spędzali;  
gdy mu potrzebni nie byli, łowami czas sobie skracali, o nauce  
myślał ten tylko,  
co księdzem był, lub na księdza się przysposabiał, kneziowie  
nawet pisać nie  
umieli. Co do przemysłu ten nisko stał jeszcze bardzo za  
Mieszka i jego  
następców Piastów.  
Rzemieślnicze osady gnieździły się najczęściej w pobliżu  
zamków, lub klasztorów,  
kmiecie bowiem sami sobie wszystko robili, nie potrzebowali  
przeto ich pomocy. W  
takich osadach rzemieślniczych, mieszkali: łagiewnicy, którzy  
naczynia drewniane  
robili; zduny, którzy z gliny je lepili; cieśle, ci stawiali dwory  
pańskie,  
korabnicy, ci zbijali statki do przewozu zboża po rzekach,  
stolarze, szewcy,  
krawcy, kołodzieje, którzy wozy robili, tokarze, mularze,  
tkacze, na koniec  
kowale najczęściej cenieni ze wszystkich ówczesnych  
rzemieślników,

gdyż wyrabiali oręż, tarcze, pancerze i szyszaki, jednym  
słowem zasłaniali

rycerzy od pocisków wroga. Obok osad rzemieślniczych przy zamkach gnieździły się jeszcze osady służebne, które składały się ze służby kuchennej księcia, tu należeli: kucharze, piwowary, miodosytnicy i piekarze; ci, gdy książę puszczał się w podróż po kraju, towarzyszyli mu zawsze. W licznym orszaku panów i służby księżęta odbywali owe podróże; wieźli też zwykle ze sobą namioty, które gdy noc zaskoczyła kazali rozbijać wśród łąk, lub puszcz leśnych i w nich spoczynek znajdowali, bo w skromnych mieszkaniach swych rycerzy nie mieli chęci nocować; niskie i ciasne były te mieszkania, lecz panowie nie dbali o nie, bo większą część życia na dworze przy księciu spędzali. Koło monarchy wszystko kupiło się wówczas, a włości pańskie, albo pustką stały, albo żona wiodła w nich ciche, samotne życie, pilnując domu, dziatwę wychowując i czekając cierpliwie, rychłoli syty trudów bojowych i życia dworskiego, mąż do niej powróci. I przybywał od czasu do czasu, lecz zabawiwszy dni kilka, znudzony bezczynnością, wracał na dwór książęcy, a żona znowuż samotne, lecz czynne wiodła życie. Niewiasty ówczesne, żony i córki rycerzy zarówno z żonami i córkami kmieci same przędły nici, tkwały płótno, piekły ciasto, dzieci niańczyły, szyły odzież, prały bieliznę, sadów doglądały, jednym słowem nie brakło im

zajęcia... Czasami rycerz zabierał żonę i dziatwę ze sobą na  
dwór książęcy, a  
wtedy żona jego towarzyszką księżnej była, dzieliła z nią  
zabawy dworu, dziatwa  
zaś rosła razem z dziatwą książęcą

a służba pilnowała domu i mienia pańskiego, lecz zdarzało się  
to rzadko.

Niewiasty, które w domu cicho pracowały, nie widywały  
prawie obcych, bo rzadko  
kiedy rycerz we własnym domu wyprawiał uroczystość, chyba  
odwiedziny książęce,  
lub poświęcenie kościoła skłaniały go do tego; lecz wówczas  
występował  
wspaniale, nie żałował niczego. Stare przysłowie: "czem chata  
bogata, tem rada,"  
sprawdzał. Co było zapasów w domu, co skrzętna gospodyni  
latami w spiżarni i  
piwnicy nagromadziła, to wszystko kazał wystawiać na stoły,  
które, gdy izby  
gości pomieścić nie były w stanie, pod namiotami  
umieszczano. Miód, piwo a  
często i wino domowej przyprawy, pieczone mięsiwa, ciasto  
oto były przysmaki,  
którymi raczono gości.

Mieszkania rycerzy nieco wygodniej jak chaty kmieci były  
urządzone, lecz z  
pewnością nie wygodniej, jak chaty dzisiejszych kmieci.  
Domy były najczęściej z  
drzewa modrzewiowego budowane, bogatsi ściany izb  
kobiercami wyścielali, w

oknach były szyby z pęcherza, lub rogu cienko rżniętego,  
przez które niewiele  
światła wchodziło. Zimową porą zasuwano te okna  
drewnianymi okiennicami i  
rozpalano ogień na kominie, by światło dawał; świece  
woskowe zapalano tylko w  
czasie uroczystości. Dębowe ławy i stoły, u bogatych kryte  
kobiercami,  
zapełniały wnętrze mieszkania. Do pańskich izb przypierały  
czeladnie, a do tych  
stajnia i śpichrz, dwory pańskie otaczane były wałem i fosą  
dla  
bezpieczeństwa; jednakże najczęściej razie napadu  
nieprzyjaciela, rycerz żonę i  
dzieci do zamku odsyłał, a sam szedł z bronią przeciw  
wrogom,

Takie było państwo Mieszkowe, takie w nim obyczaje za jego  
panowania, a niewiele  
się w nim zmieniło za jego następców Piastów, przybyło  
tylko trochę więcej  
ziemi uprawnej, ludzi, osad, podniosło się kilka nowych miast  
i zamków  
obronnych...

### III.

#### BOLESŁAW CHROBRY.

Było to roku , w mieście Gnieźnie ruch wielki panuje, lada  
chwila oczekują w

niej bowiem przybycia Ottona III-go cesarza Niemiec, na  
wszystkich ulicach  
tłoczno, gwarno i wesoło. Znany z pobożności, Otton III  
zapraǳął odwiedzić grób  
Świętego Wojciecha, którego ciało Bolesław sprowadził do  
Polski z sąsiedniej  
Polanom ziemi pruskiej, gdzie był zamordowany przez  
dzikich Prusaków, za to, iż  
chciał wiarę Chrystusa wśród nich szerzyć. Mówiono też, że  
inna jeszcze pobudka  
skłoniła cesarza do nawiedzenia Gniezna, oto chciał on poznać  
Bolesława, który  
po ojcu swym Mieszku władzę kneziowską nad Polanami  
odziedziczył, a rządząc  
mądrze i dzielnie, zyskał sławę nietylko wśród swoich, lecz i  
wśród obcych.  
Zwykle taką pielgrzymkę pobożny, choćby z najdostojniejszej  
rodziny pochodził,  
choćby to był sam król, sam cesarz, odprawiał boso w koszuli.

Wiedział o tem Bolesław, więc kazał od samego poznania aż  
do Gniezna i przez  
Gniezno całe aż do kościoła Wniebowzięcia Panny Maryi,  
gdzie spoczywały zwłoki  
świętego męczennika wysłać drogę czerwonym sukmem i na  
spotkanie cesarza w  
licznym orszaku rycerstwa podążyć.  
Około południa pobożny orszak ujrzał wśród błyszczących  
zdala jak wielkie  
szmaragdy jezior i stawów, naprzeciw siebie mury Gniezna,  
otoczone wieńcem

wzgórzy. Przodem szedł Otton III bosy w koszuli, obok niego Bolesław Chrobry w świecącej zbroi w hełmie na głowie, za nimi na koniach panowie niemieccy i rycerstwo polskie, z których jeden wiódł konia Bolesławowego, drugi Ottona; za tymi szli łucznicy i tarczownicy, którzy stanowili piechotę Bolesława. Rycerstwo polskie strojnie i bogato było przybrane, wszystko w jedwabiach, w złocie, a każdy oddział inną barwę miał na sobie, błękit, purpura, szmaragd mieszały się tu razem i tworzyły olśniewającą grę kolorów. Minąwszy mury, otaczające miasto, weszli do środka i skierowali się ku górze, zwanej Lechową, na której wznosił się kościół Wniebowzięcia Panny Maryi, wspaniała murowana świątynia. W progu kościoła spotkał cesarza, otoczony młodszymi kapłanami, biskup poznański Ungier i poprowadził go do wnętrza, gdzie w samym środku kościoła wznosiło się wspaniałe mauzoleum, mające na ołtarzu trumnę, ozdobioną srebrnymi blachami, na których zasługi Ś. Wojciecha były wypisane. Trumna zawierała kości męczennika, na niej spoczywał ze srebra wyrobiony sam święty w szatach biskupich.

Na widok grobu świętego męża cesarz Otton padł na kolana i zalawszy się łzami,

modlił się gorąco; inni też samo uczynili. Gdy powstał.  
Bolesław zaprosił go do  
siebie na ucztę, udali się przeto na zamek, lecz pierwej w  
zakrystyi kościoła  
cesarz przybrał się inaczej: wdział suknię jedwabną, płaszcz  
purpurowy podbity  
gronostajami, trzewiki i złocistą koronę.  
Zamek gnieźnieński skromnym był z pozoru, drewniany,  
prostej budowy, gdyż innych  
wówczas jeszcze w Polsce nie znano, tylko kościoły stawiano  
murowane, lecz  
wnętrze świadczyło, jak Polska bogatą się stała. W  
drewnianym budynku ściany  
izby gościnnej pozakrywane były oponami jedwabnemi, na  
których lśniły złote i  
srebrne blachy, tarcze ozdobione drogiemi kamieniami, szable  
o rękojeściach  
bogatych, luki i hełmy. W pośrodku stał stół olbrzymi do  
uczty przygotowany,  
przykryty srebrną lamą, złote i srebrne puławy, misy, kubki  
błyszczały na nim  
rzędem, w okół widać było ławy przykryte kobiercami.  
Zaprosiwszy gości do stołu, Bolesław podejmował ich hojnie,  
po każdym daniu  
rozdawał panom niemieckim złote kubki, misy, lub łyżki,  
częstował, zabawiał  
rozmową. Cesarz był olśniony jego hojnością, bogactwem,  
rozumem, długo w  
milczeniu rozglądał się i przysłuchiwał, nakoniec nie mógł  
utaić swego  
uwielbienia, wstał:  
— Na koronę cesarską, — rzekł, — daleko więcej tu widzę,  
niż spodziewałem się

zastać; zaprawdę nie godzi się tak wielkiego rneża, jakby  
jednego z książąt  
dukiem, albo hrabią nazywać a słuszna owszem wynieść na  
stolicę królewską i  
koroną ozdobić.

To powiedziawszy zdjął ze swoich skroni koronę i włożył ją  
na głowę Bolesława  
jako znak przyjaźni.  
Przez trzy dni jeszcze Bolesław gościnnie podejmował  
cesarza, obdarzał go  
kosztownymi darami i jego służbę; poczem gdy cesarz  
oświadczył, iż wracać musi  
do siebie, odprowadził go aż do Merzeburga, Otton przysłał  
mu potem w darze  
włócznię świętego Maurycego i gwóźdź z krzyża Pana Jezusa.  
Czyn dokonany przez Ottona, był bardzo ważnym dla  
Bolesława i dla całego jego  
państwa, w owym bowiem czasie cesarze niemieccy taką  
władzę posiadali, iż mogli  
rozdawać korony.  
Włożenie przez Ottona na głowę Bolesława korony podnosiło  
go z podrzędnego  
stanowiska knezia do godności króla, a ziemię jego do  
znaczenia państwa  
niezależnego, gdyż dotychczas cesarze niemieccy uważali  
Polskę za hołdownicze  
sobie państwo.  
Odtąd też Bolesław począł postępować, jak niezależny  
władca. Zwoławszy

rycerstwo, poprowadził je do boju i zdobycze rozpoczął, a  
szczęście sprzyjało  
jego mieczowi, zwyciężał prawie zawsze, rozszerzył on  
granice Polski od morza  
Bałtyckiego do Dniepru i Elby, a dla pamięci, gdzie granica  
jego państwa, kazał  
w Dnieprze, Sali i Elbie wbić słupy żelazne, poczem zajął się  
wewnętrznem  
urządzeniem państwa, podzielił je na części, na tak zwane  
kastelatury; w każdej  
kastelaturze kazał wybudować gród, a w nim zamek  
drewniany kastelum zwany,  
otoczony wałem i fosą, w której woda zwykle bywała, lub  
murem wysokim. Najwięcej  
takich grodów wznosił na granicy niemieckiej; grody te z  
czasem, gdy ludzie  
poczęli się do nich garnać,

stawiać koło nich domy, zamieniły się w miasta. W zamku  
takim mieszkał tak zwany  
kasztelan, który czuwał nad całą kastelaturą, godził spory  
mieszkańców, winnych  
karał, pobierał podatki, te zaś składano wówczas nie w  
pieniądzach, lecz w  
naturze, to jest w tem, co ziemia dawała; z każdego łanu  
kmiecie obowiązani byli  
dawać po miarce żyta i owsa w czystem ziarnie na utrzymanie  
garnizonu, czyli  
wojska, które każdy kasztelan utrzymywał w grodzie. W razie  
napadu

nieprzyjaciela kasztelan obowiązany był bronić swej  
kastelatury, w razie wojny  
poza granicami państwa dostarczyć królowi oddział rycerzy.  
Cała ziemia była  
własnością króla, kmiecie byli tylko dzierżawcami; rycerzom,  
którzy na wojnie  
się odznaczyli, rozdawał Bolesław ziemię na własność, stąd za  
Piastów powstają u  
Polan stany, czego nie było w dawnych czasach: jest stan  
rycerzy, czyli  
właścicieli ziemi; stan kmiecy czyli dzierżawców i stan  
niewolników, którzy  
powstali z jeńców wojennych.  
Przyproceedziwszy sobie z wojny niewolnika rycerz, lub król  
osadzał go zwykle na  
swej ziemi i kazał mu różne usługi spełniać, uprawiać ziemię,  
bydła, lub koni  
pilnować; pełnić rzemiosło, które umiał: więc albo broń robić,  
albo narzędzia  
rolnicze, albo płótno tkać i t. d. Taki niewolnik należał w  
zupełności do pana,  
który mógł go sprzedać, wygnać, ukarać, jak mu się podobało,  
na wojnę nie  
chodził on nigdy, nie mógł przeto nigdy wyswobodzić się ze  
swego stanu  
niewolniczego; co do kmiecia, gdy powołany na wojnę  
odznaczył się w niej odwagą,  
obdarowany od króla, zostawał rycerzem.

Podbiwszy wiele ziem: Pomorze, Szląsk i Chrobację,  
Bolesław wziął bardzo wielu

ksiąząt do niewoli, z tych uczynił urzędników świeckich.  
Najwyższy urząd w epoce  
Piastów, był urząd wojewody, który w nieobecności króla, lub  
jego choroby  
zastępował go; potem szli kasztelani, następnie kanclerz, który  
miał na zamku  
królewskim kancelaryją i strzegł w niej papierów królewskich,  
skarbnik, który  
czuwał nad skarbem królewskim; kmiecie prócz daniny, jaką  
w zbożu płacili na  
utrzymanie wojska kasztelanom, składali jeszcze podatki  
również w naturze na  
utrzymanie dróg, mostów, opłacenie urzędników i t. d. Każda  
ziemia dawała, co  
miała: więc jedna futra piękne, inna zboże, owoce, bydło i t. d.  
Do urzędników  
królewskich liczył się jeszcze szatny, podczasz, kuchmistrz,  
koniusz i t. d.,  
których tytuły mówią, jakie zajęcie spełniali.  
Liczny poczet takich urzędników otaczał zawsze osobę króla,  
bywały też i  
niewiasty dworskie, które różne obowiązki przy królowej  
spełniały.  
Bolesław Chrobry miał władzę nieograniczoną, jego następcy  
również: najwyższy  
wódz w czasie pokoju: gdy kto przewinił, zanoszono skargę  
do króla, a król sam  
winnego sądził i karał czasem chłostą tylko, czasem  
więzieniem, czasem wyrok  
śmierci wydawał.  
Chcąc by nikomu krzywda w państwie się nie działa,  
objeżdżał często ziemie,

zatrzymywał się w grodach, zwoływał kmieci i pytał, czy nie mają jakiej skargi do zanieśienia.

Urządziwszy państwo na wzór niemieckiego, uczyniwszy je przeto silnem zabezpieczywszy jego granice, pomyślał następuie o tem, żeby w niem oświatę rozsze-

rzyć, sprowadził przeto do kraju zakon Benedyktynów i osadził ich w Tyńcu, na Łysej górze, oraz w Międzyzycu, poleciwszy im, by zakładali szkoły przy klasztorach. Benedyktyni uczyli dziatwę czytać, pisać, śpiewu i religii, a prócz tego, uczyli dorosłych szczepić drzewa, uprawiać lepiej ziemię, oraz innych pożytecznych rzeczy, Nakoniec chcąc uwieńczyć długoletnią swą pracę Bolesław posłał do Rzymu z prośbą, by papież pozwolił mu odbyć uroczystą koronację, a gdy to otrzymał, wówczas arcybiskup Hipolit Ursinos włożył mu na czoło koronę. Uroczystość ta odbyła się w r. -ym w katedralnym kościele gnieźnieńskim wobec zebranego tam duchowieństwa. Bolesław I-szy syn Mieczysława I-go, przewany dla swej waleczności chrobrym, dla rozumu wielkim, był jednym z najpotężniejszych królów z rodu Piastów.

IV.

BOLESŁAW SĘDZIA.

W komnacie wspaniałej, bogato kobiercami i oponami  
jedwabnemi przystrojonej,  
siedział w krześle, które zdobila wyrzeźbiona korona  
królewska, Bolesław  
Chrobry. Kozuch sobolowy, pokryty jedwabiem, buty futrzane  
i biała, cienka  
bielizna stanowiły całe jego ubranie. Chmurnie zmarszczone  
czoło, brew  
ściągnięta, posepne spojrzenie, jakie wbił w ścianę naprzeciw,

świadczyły, iż nie wesołe były myśli jego. Tłum panów  
świeckich i duchownych  
napelniał izbę, jedni tworzyli grupy i szeptali ze sobą, drudzy  
siedzieli tu i  
owdzie na krzesłach, posepnie, jak król; obok tronu na ziemi  
małe pacholę na pół  
klęcząc, na pół siedząc wpatrywało się w twarz pana, czekając  
rozkazu. Posepne w  
istocie były myśli króla, od pewnego czasu panowie polscy,  
naśladować  
niemieckich, poczęli napadać po lasach i drogach na  
przejeżdżających i działały  
się rzeczy srom przynoszące uczciwemu narodowi, bo kupiec  
spokojnie nie mógł  
wieźć swych towarów do miasta, rabusie leśni, lub panowie  
ziemscy wypadali na

niego z zarośli, z rowów, wiazali, rzucali go na ziemię i towary mu zabierali. Nieraz zwyczajni podróżni doświadczali tych samych przygód, zabierano im wszystko, co mieli przy sobie: stroje, kosztowności, pieniądze, służbę do niewoli uprowadzano i zostawiano skrepowanych na drodze. Nieraz napady owe dokonywane były nie w celu rabunku, lecz by dogodzić zemście, zazdrości, wtedy kufców nie zabierali napastnicy przejeżdżającemu lecz życie. Dochodziły ustawiczne skargi do króla o te napady, aż, chcąc im koniec położyć, ogłosił wyrok, że ktokolwiek na podobnym uczynku pochwycen będzie, ten głową bezprawie przypłaci, kazał też kasztelanom pilnie strzedz lasów i dróg, rozstawić straż, by nadużycia się nie działy. I uciszyło się jakoś po tem rozporządzeniu, zlekli się ludzie kary i cieszył się Bolesław, iż złe wyplenił, kupcy spokojnie towary wieźli do miasta, a poróżni do wsi sąsiednich śpieszyli. Aż oto doniesiono Bolesławowi, że trzech synów możnego rycerza dopuściło się znowu napaści, iż przejeżdżającego kupca napadli

złupili i zostawiwszy w lesie związanego na łasce dzikiego zwierza, uciekli z towarami. Szczęściem strażnik, który czuwał nad lasem, usłyszał jęk, poszedł za

jego głosem, znalazł kupca i z pęt go uwolnił. Kupiec znał tych, co go napadli, zaniósł przeto skargę do grodu, a kasztelan przesłał ją królowi.

Rozgniewany

Bolesław, kazał pochwycić natychmiast oskarżonych i do Gniezna przed jego oblicze stawić. I siedzi teraz oto posepny, milczący i czeka na winowajców i za

chwilę wyrok na nich wyda. Kroki idących dały się słyszeć, Bolesław zmarszczył

się jeszcze bardziej, groźniej jeszcze spojrzął, rozchyliła się firanka i w

progu królewskiej komnaty stanęło trzech młodych chłopców, z których najstarszy

mógł liczyć najwyżej lat -cie, za nimi widać było straż. Król skinął na

młodzieńców, by się zbliżyli, straż zatrzymała się w progu, oni naprzód

postąpili i doszedłszy do środka izby, padli na kolana, pokłon królowi czyniąc.

W tej samej chwili z prawej strony, gdzie widać było drzwi, wiodąc; do dalszych

komnat, przykryte ciężką firanką, szmer jakiś dał się słyszeć, firanka się

odchyliła i na jedną przelotną chwilę ukazała się w jej fałdach głowa

niewieścia, poczem znikła i nie pokazała się więcej; w komnacie królewskiej nikt

jej nie widział.

Król gniewnem spojrzeniem zmierzył klęczących, poczem rzekł:

— Wstańcie.

A gdy usłuchali rozkazu, zapytał.

— Czy znaliście rozporządzenie moje względem tych, co rabunków dopuszczają się będą? Nie słyszeliście,

iż śmiercią zagroziłem tym, co pochwyceni będą na onym gorszącym uczynku?

— Słyszeliśmy — odparli winowajcy.

— I mimo to zbrodni się dopuściliście?

— Sądziliśmy, iż sprawa się nie odkryje, — rzekł jeden. Król ściągnął brew mocniej.

— A ponieważ się odkryła, kara was nic minie — odparł. — Wyprowadźcie ich, — dodał po chwili, — jutro niechaj te trzy głowy pójdą pod miecz.

Straż otoczyła młodzieńców i wyprowadziła ich, komnatę królewską posępna cisza

zaległa; z prawej tylko strony poza firanką, kryjącą boczne drzwi, dał się

słyszeć znowu jakiś szelest, jakby odgłos odchodzących kroków, ale niedługo to

trwało, wnet i ten hałas ścichł.

Minęło kilka miesięcy od powyżej opisanego wypadku,

Bolesław znowu siedział w

swej komnacie, lecz dziś jasny, wesół, rozmowny, huśtał na kolanach ukochanego

syna, który imię dziada nosił, imię Mieszka, obok niego siedziała żona jego

Kunilda i do dziecka się wdzięczyła, dalej panów i niewiast kilka. Śmiechy,

żarty obijały się o ściany komnaty. Naraz jakieś kroki dały się słyszeć, król

sposepniał: ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi, do komnaty weszło kilka jeszcze osób.

— Co wam jest panie? — spytała troskliwie żona, spostrzegłszy zmianę w twarzy męża.

— Et nic odparł, król ilekroć kroki czyjeś rozlegną się poza tamtymi drzwiami, przypominają się mnie owi trzej, których rok temu na śmierć skazałem; za srogi

byłem dla nich, toż to dzieci były, mogły się jeszcze poprawić. Blade ich twarze często mię budzą w nocy i zdają się mówić: "oddaj nam życie, które nam wydarłeś, ojczyźnie nie zasłużyliśmy się jeszcze, a ty umierać nam kazałeś. "

Rumieniec oblał twarz Kunildy.

— A gdyby panie, gdyby pacholęta owe żyły, — szepnęła nieśmiałym głosem, — cóżbyś rzekł na to?

— Cudu nie godnym; — odparł posepnie Bolesław.

— Niegodzien nikt z nas, lecz miłosierdzie Boże jest bez granic, odpowiedz

przeto panie, cóżbyś uczynił, gdyby cud taki się stał — nalegała Kunilda.

— Złożyłbym Panu korne dzięki, a pacholęta do łaski przywrócił, — odparł Bolesław.

— Mieszku, — rzekła Kunilda, do syna się zwracając — padnij ze mną razem do nóg

ojcu i błagaj go o przebaczenie dla matki.

Chłopczyna wystraszony jej słowami, sam nie wiedząc dla czego, padł ojcu do nóg  
i podniósł na niego wzrok modlący.

— Panie — rzekła drżącym głosem Kunilda, klękawszy obok syna — oto cud stał się, wstali z grobu ci, których śmierć ciąży na twem sumieniu i żyją i czekają w więzieniu twego zmiłowania.

Tu drżącym głosem wyznała, iż kiedy król wydał wyrok śmierci na winowajców, ona ukryta za oponą w progu drzwi wysłuchiwała wyroku i żal ją zdjął nad dziećmi, kazała przeto odebrać je z rąk oprawców i odwieść do klasztoru świętokrzyżskiego pod opiekę Benedyktynów, a tam trzymać za kratą w turmie

pod kluczem, dopóki nowe rozporządzenie królewskie nie przyjdzie.

Dworzanie kochali królowę, bo dobrą była, spełnili przeto jej wolę w największej tajemnicy; gdy król był pewien, że wyrok spełnionym został; młodzi winowajcy na Łysą górę powiezieni zostali.

Bolesław nietylko, że się nie rozgniewał, lecz wdzięcznym był żonie, za to co uczyniła, posłał natychmiast po skazanych, a gdy stawili się przed jego obliczem najprzód upomniał surowo, by więcej podobnie niegodnych czynów się nie dopuszczali, potem obdarzył i stroskanym rodzicom odesłał.

Tak niejednego zbawiła od śmierci dobra królowa Kunilda,  
żona Bolesława  
Chrobrego, poddani błogosławili ją za to i podali jej imię  
potomnym, aby nie  
zaginięło w pamięci ludzkiej.  
Kunilda była pochodzenia słowiańskiego, ojciec jej zwał się  
Dobromir.

V.

#### ZIEMIE PRZEZ CHROBREGO ZDOBYTE.

Bolesław Chrobry niewielkie państwo jakie odziedziczył po  
ojcu, znacznie  
rozszerzył, podbiwszy kilka plemion słowiańskich i  
połączywszy je ze swoim  
królestwem: Szląsk, Chrobacyja, Pomorze, oto były zdobycze  
przez niego  
poczynione. Szląsk i Chrobacyja,

jak już wiemy, leżały na południowej granicy państwu  
Mieszkowego. Szlązanie  
siedzieli na całym obszarze odrzańskiego porzecza, objętym  
od zachodu stokami  
gór Sudeckich, od wschodu działem wodnym,  
rozgraniczającym dopływy Warty i Odry.  
Oddani rolnictwu, pasterstwu i pszczolnictwu, w obyczajach  
wielce podobni do  
Polan, zleli się z nimi łatwo i chętnie wiarę nową przyjęli;  
główne miasto na

Szląsku było Wrocław, leżało ono na lewym brzegu Odry,  
przy spływie do niej  
rzeki Oławy. Co do Chrobacyi, to granice jej są niepewne,  
wiadomo tylko, iż  
leżała ona na południe państwa Mieszkowego, że nazwa  
Chrobacyi powstała od  
wyrazu Chreb, który znaczy szczyt, grzbiet góry, a wiadomo,  
iż południowa część  
tej krainy była górzysta, rozciągały się tąd łańcuchy  
wyniosłych Karpat.  
Ta część Chrobacyi, którą zdobył Bolesław Wielki, znaną była  
potem, gdy z  
Wielkopolską się połączyła, pod nazwą Hało-Polski, a nazwa  
ta powstała od wyrazu  
Młoda Polska, czyli Nowa Polska.  
W skład owej Małopolski wchodziły za Chrobrego ziemie  
położone nad Wartą,  
Prosna, Notecią, między którymi z czasem najprzedniejsze  
miejsce zajmowała  
ziemia Krakowska, która rozciągała się po obu stronach  
Wisły, na południe  
graniczyła z górami Karpackimi, na północ i wschód z  
ziemią Sandomierską, na  
zachód ze Szląskiem, a główne miasto w niej było Kraków, o  
którym bajeczna  
historja powiada, iż zbudował je Krak, pogromca smoka.  
Ziemia Krakowska  
uchodziła za najbogatszą ze wszystkich, należących do  
państwa Piastów, gdyż  
urodzajne jej niwy wydawały najpiękniejsze zboże, a w łonie  
jej ziemi kryły

się skarby jako to: kruszce różnego gatunku, marmur, sól i t.  
d.; przytem  
otoczona wyniosłemi łańcuchami Karpat, posiadała  
miejscowości pełne uroku i  
powabu. Na północo-wschód ziemi krakowskiej rozciągała się  
ziemia sandomierska,  
a za nią lubelska, również przez Chrobrego zdobyte, obie  
urodzajne, obie  
posiadające kopalnie kruszcu i marmuru, główne miasto  
pierwszej był Sandomierz,  
leżący nad Wisłą, drugiej Lublin, położony nad rzeką  
Bystrzycą wśród miłej,  
górzystej okolicy.  
Chrobacyja równie jak Szląsk łatwo się złąła z Wielko-Polską,  
Bolesław Chrobry  
podbiwszy ją, nie miał z nią następnie trudności, zrosła się z  
państwem  
Mieszkowem w jedną całość; inaczej rzecz się miała z  
Pomorzem. Jedna krew w  
Pomorzanach i Polanach wprawdzie krążyła, lecz położenie  
kraju, jaki  
zamieszkiwali, różne wielce było. Bliskość ponurego Bałtyku,  
z którym  
graniczyli, oddziałała na ich charakter, Pomorzanie byli  
posepni, uparci i  
pohopni do chwytania za broń. Na brzegach Bałtyku uwijali  
się w owych czasach  
ustawicznie normandzcy korsarze, nieraz wpadli oni na  
Pomorze i zmuszali  
mieszkających tam Słowian do walki z nimi; odgraniczeni od  
Polan ogromnemi

lasami, żyjąc w odosobnieniu, przywiązani byli niezmiernie do starych swych obyczajów i podbici przez Chrobrego, uparcie wracali do wiary pogańskiej, ustawicznie chwyтали za broń i wyłaniać się usiłowali z pod panowania Piastów.

Pomorze graniczyło na północ z morzem Bałtyckim, na wschód z Prusami, na południe z Wielkopolską na zachód z państwem Niemieckim, główne

miasta były w niem Gdańsk i Kołobrzeg. Nadbrzeża były piaszczyste lecz środek i południowe części tej ziemi, zlane Odrą, która na Pomorzu ma swoje ujście były urodzajne. Pomorzanie trudnili się rolnictwem, a także pasterstwem, pszczelnictwem, i rybołóstwem; obok tych zajęć zajmowali się też handlem, do którego strzępiaste zatoki przy ujściu Odry zachęcały ich. To ostatnie zajęcie przyczyniło się, iż miasta pomorskie prędzej od innych polskich wzrosły, rozwinęły się i wzbogaciły. Posadzeni nad morzem, mogli z łatwością zawiązywać stosunki handlowe z państwami europejskimi, inne zaś części państwa Piastów czynić tego nie mogły, bo komunikacyi a z sąsiadami była wielce utrudnioną, nieprzebyte lasy, pełne dzikiego zwierza, bagniste puszcze utrudniały podróż

kupcom, to też handel późno się w Polsce rozwinął; a choć z czasem za staraniem kupców gościńce wygodne poprzerywały kraj w różnym kierunku, ułatwiając kupcom podróż, jednakże miejscowi nie brali się do handlu, tylko czekali przejeżdżających przez Polskę handlarzy cudzoziemców i tym sprzedawali surowy produkt: futra, skóry, wosk, a czasem i zboże. Gościńce handlowe szły u nas przez Kraków, Poznań, Gniezno, Płock, Wrocław. Widywano w tych miastach często Niemców, Żydów, Greków, Anglików i Francuzów, jadących z towarami do Kijowa, Carogrodu, lub wracających z tych miast, kupcy owi zatrzymywali się zwykle w miastach naszych dla zbycia towarów. Pierwsze targi powstały u nas przy dworach książęcych, lub biskupich, gdzie rojno było zawsze od przebywających tam panów.

Ta niechęć Polaków do handlu złe skutki pociągnęła za sobą, boć wiadoma rzecz, iż w państwie, w którym kwitnie handel i przemysł, bogactwo się podnosi, rozwija oświata. Napłynęło też skutkiem tego wielu w owych czasach do nas cudzoziemców, którzy zakładając sobie po miastach kupieckie kantory, korzystając z tego, iż z każdym dniem na dworach książąt wzmagaly się wytworne potrzeby codziennego

życia, dostarczali panom przedmioty zbytku, wyciągali od nich pieniądze i z bogaceni wracali do własnej ojczyzny. Mnóstwo Żydów osiedliło się też w owe czasy w państwie Piastów, prześladowani w innych krajach, chętnie zbiegali oni do Polski, gdzie gościnnego doznawali przyjęcia i gdzie miejscowi handlem się nie trudnili.

W każdym mieście musiał być wówczas u nas plac niezabudowany, na którym odbywały się od czasu do czasu targi; tam w dniu jarmarku kmiecie zwozili swoje produkty i swoją chudobę, tam obcy przejezdni handlarze rozbijali namioty i wystawiali w nich kosztowne swoje towary, tam spotykałeś czasem i jeńców, na sprzedaż wystawionych, gdyż w owych czasach handlowano ludźmi, nie uważając tego sobie za grzech. Gdy który z rycerzy nabrał podczas wojennej wyprawy tylu jeńców, iż nie mógł ich u siebie pomieścić, wówczas sprzedawał ich innemu na jarmarku, który w swej posiadłości miał za mało rąk do pracy, lub handlarzom Żydom; ci chętnie nabywali jeńców, a potem sprzedawali ich Turkom lub Arabom, którzy nie żalowali nigdy złota na silnych, krzepkich chłopców słowiańskich. Najwięcej jeńców sprowadzali panowie z buntującego

się ustawicznie Pomorza, w jednej z wypraw aż , Pomorzan, z  
żonami i  
dziećmi dostało się do niewoli.

W okół placu, na którym jarmark się odbywał. stały zwykle  
karczmy, a w nich  
wesoło się odzywały dźwięki gęśli, piwo i wędlina czekały  
podróżnych, lub inne  
prysmaki; od tych karczem rozchodziły się w różnym  
kierunku ulice brudne,  
błotniste, zabudowane po obu stronach rzędami lichych chałup  
drewnianych; na  
tych ulicach w dniu targu obok wózków kmiecych i wozów  
kupieckich widzieć było  
można paradne kolasy panów, lecz tak jednych jak drugich  
koła tonęły w kałużach  
błota, a piesi tylko po kładkach, naprędce z drzewa  
urządzonych, z jednej strony  
na drugą dostać się mogli. Najgłówniejsze miasta lepiej nie  
wyglądały w epoce  
Piastów, dlatego to Bolesław Chrobry, gdy przyjmował Ottona  
III w Gnieźnie kazał  
wysłać drogę do samej świątyni purpurą i drogiami  
kobiercami złotem  
przetykanemi, aby nędzne ulice stolicy Piastów nie raziły  
panów niemieckich.  
Podczas takich jarmarków kraj ożywiał się zwykle  
przybyciem obcych handlarzy, a  
skarb pański wzbogacał się, gdyż cudzoziemcy musieli  
opłacać królowi cło od  
towarów, przywożonych do miasta, opłatę składali u wrót  
zamku, stojącego na  
straży grodu. Prócz owego cła, a raczej myta przywozowego  
opłacali jeszcze na

targu przy sprzedaży towaru pewien procent od jego ceny, a te opłaty pobierali

urzędnicy zwani celnikami: którzy odnosili pieniądź do skarbcza królewskiego.

Za panowania pierwszych Piastów nie było u nas prawie krajowej monety, obcemi pieniędzmi posługiwano się najczęściej, a ponieważ miały one u nas wielką

wartość, więc, gdy trzeba było opłacić rzecz mniejszej ceny przełamywano

najczęściej monetę na połowe, lub na drobniejsze części stosownie do tego, ile

przedmiot był wart. Dopiero w XI wieku moneta krajowa rozpowszechniła się

więcej, podniosły się w tym czasie dwie mennice jedna w Krakowie, druga w

Gnieźnie, gdzie bito monety z własnego srebra, jakie dobywano w kopalniach

górnego Szląska opodal Bytomia i z min Olkusza..

VI.

WŁODZIMIERZ WIELKI

PODANIE HISTORYCZNE.

We wspaniałej komnacie książęcej, której ściany i podłogę kryły bogate kobierce,

na ławie, miękkim dywanem zasłanej, siedział w postawie pół leżącej Włodzimierz

I, pan licznych ziem słowiańskich, wielki książę kijowski; przed nim na stole

stały złote dzbany z winem i srebrne puhary, a przy stole kilku rycerzy siedziało z łokciami opartymi o stół, z głowami na dłoniach położonemi. Siedzą i milczą, nie śmia mówić, bo książe dziś czegoś posepnie zadumany, lecz czego nie wiedzą. Złota srebra ma poddostatkiem, państwo całe po ojcu posiada, podbił Wiatyczan i Radymiczán, plemiona słowiańskie, na wschodzie mieszkające, zdobył część Chrobacyi pokonał Pieczyngów, setki niewolników z sobą

do Kijowa sprowadził i czegoż chmurny, czego żąda jeszcze, każdy radby wiedzieć, bo może potrafiłby panu dogodzić... Jeśli niewolników ma za mało, to rycerze pójdą chociażby na końce świata i nowe ludy zwojują; jeśli złota pragnie, to przepłyną morze Czarne, wpadną do Konstantynopola i skarbiec cesarski złupią, przywiozą mu pełne stągwie złota, przywiozą pereł i koralí, ile tylko zechce; jeśli mu nudno, to mu piewców sprowadzą. Tak mówią sobie w myśli rycerze, lecz żaden głośno odezwać się nie śmie, książe milczy, więc i oni milczą... Wtem Włodzimierz dźwignął się z ławy, posepniem okiem powiódł w około.  
— Kto mi sprowadzi kapłanów wszystkich świątyń, jakie czczą ludy Europy i Azyi,

lecz nie pogańskich kapłanów, tego ja hojnie złotem obdarzę,  
— rzekł.

Na takie słowa porwali się rycerze od stołu i wnet rozbiegli się  
po świecie,  
szukając kapłanów żydowskich, chrześcijańskich i  
mahometańskich.

Minęło dni kilka, znowuż Włodzimierz siedzi zadumany w  
swej komnacie, a przed  
nim na stole stoją złote dzbany z winem i puhary srebrne, lecz  
drużyny  
rycerskiej niema dziś przy nim, siedzi samotny i duma  
posepnie: wie on o tem, że  
jest potężny, że poddani jego i sąsiedzi drżą przed nim, wie, a  
jednak czegoś mu  
nie dostawa, jednak niepewny czy cesarz niemiecki i cesarz  
grecki pierwszym  
wśród władców słowiańskich nazwałby go, boć on jeszcze  
poganin. Naraz drzwi  
komnaty książęcej się rozwarły i w progu jej ukazało się kilku  
rycerzy,  
— Ci których żądałeś widzieć, czekają twego wezwania, —  
rzekł jeden.

— Niech wejdą, — odparł Włodzimierz.

I weszli do komnaty kapłani różnych wyznań bladzi i drżący,  
pewni, że na śmierć  
idą... W pogańskim państwie odprawiali w tajemnicy  
obrzędy swej wiary, w  
nadziei, że nikt o nich nic nie wie, aż oto porwani zostali i tu  
przyprowadzeni,  
nie wątpią, że kneź uczyni z nich ofiarę bożyszczom swoim...

Najprzód postąpili rabini, siwe ich brody pasa sięgają, długie  
czarne suknie

dodają im powagi. Doszedłszy do środka komnaty, stanęli  
pokorni, nie mają odwagi

iść dalej. Lecz książę skinął, postąpili przeto i znowu przy  
stole się

zatrzymali, drżą i czekają, na jaką śmierć ich skaże.

— Jak się nazywa Bóg, którego czcicie? — zapytał ich

Włodzimierz — wszystkie

ludy nam sąsiednie wyrzekły się wiary w bożyszczą, chcę  
pójść za zwyczajem, lecz

jeszcze nie wiem, którego Boga wybrać; słyszałem o

żydowskim, mahometańskim i

chrześcijańskim, jednego z nich uznam.

Odwaga wstąpiła w stwożone serca rabinów.

— Nasz Bóg Jehowa się zowie, — odparł głosem uroczystym  
najstarszy. Potężny on i

sprawiedliwy, lud izraelski wywiódł z ciężkiej niewoli

egipskiej, manna, go

karmił na puszczy, pokonał jego wrogów filistynów i ziemię  
ich dziedzictwo ojców

oddał im.

— A gdzież jest ta wasza ziemia? — zapytał zdziwiony

książe, — nie słyszałem nic

o państwie żydowskim.

— Jehowa za grzechy nasze odebrał ją nam i rozproszył nas  
po wszystkich stronach

świata.

Włodzimierz ze wzgardą ruszył ręką.

— Precz z moich oczu, — rzekł gniewnie, — wiary waszej i  
Boga waszego nie chcę;

jakże śmiecie drugich nauczać, kiedy Bóg własny was odtrącił  
i pozbawił tego, co  
człowiek ma najdroższego, to jest ziemi własnej...  
Odeszli rabini w pokorze, a księżę skinął na Mahometan;  
przystąpili do niego  
wyznawcy proroka już śmielej niż Żydzi, gdyż uspokoili się,  
że kneź na śmierć  
ich nie wyda, a Włodzimierz toż samo pytanie im zadał: "jak  
się zowie wasz Bóg."  
— Allach, — odparł jeden, — potężny, sprawiedliwy i dobry  
on dla nas; kto w imię  
jego z orężem w ręku polegnie, tego duszę bierze do rajy,  
gdzie cudne ogrody, a  
w nich wspaniałe drzewa cień miły roztaczają, gdzie szemrzą  
strumyki i fontanny  
roskoszny chłód dają, gdzie huryski czarnookie tak pięknie  
tańczą, dzieci w  
czarach kryształowych roznoszą wodę ze źródła rajskiego,  
gdzie wybrańcy Allacha  
noszą zielone szaty, perłami ozdobione, spoczywają na  
miękkich łóżach, jadają  
dwa razy na dzień, gdzie wolno im pić wino...  
Kneź słuchał z zajęciem, lecz gdy ostatnie wyrazy usłyszał  
zmarszczył brwi.  
— Jakto wino w rajy dopiero pić będziecie, — rzekł — o  
takiej wiary ja nie chcę.  
Kusi jest wesoło pić, nie możemy żyć bez wina i kazał odejść  
mahometanom.  
Teraz chrześcijańscy kapłani przystąpili.  
— Nasz Bóg zowie się Stworzycielem wszechświata, — rzekł  
jeden — potężnym jest i  
miłosiernym, największym grzesznikom przebacza, własnego  
Syna

przysłał na ziemię, by ludzi nauczał; Syn Ten mękę poniósł,  
żeby świat zbawić...

Nasz Bóg także nagradza dobrych, wieczny spokój obiecuje  
tym, co żyją  
sprawiedliwie... Gdyby wiara nasza była złą, nie przyjęłaby jej  
twoja babka

Olga, a była ona mędrszą od wszystkich ludzi.

"Włodzimierz podniósł się z ławy.

— Ten, co kapłanów chrześcijańskich sprowadził, niechaj  
wystąpi, — rzekł — a wy  
wracajcie do siebie, posłyszycie niebawem o mnie, — dodał  
zwróciwszy się do

księży; kapłani odeszli, a na środek komnaty wystąpił młody  
rycerz.

— Jam ich sprowadził, — rzekł.

— Złota nie pożałuję tobie, — odezwał się doń książę, — lecz  
teraz zbierz

drużyn; zbrojną, pojedziemy na wyprawę.

Młody rycerz spojrział zdumiony, spostrzegł to kneź.

— O wiarę prosić nie będę, — rzekł, — sam ją wezmę sobie,  
sam przywiodę tu  
kapłanów chrześcijańskich.

W kilka dni potem zbrojna drużyna wyjechała ze złotej bramy  
Kijowa, na jej czele

jechał Włodzimierz, skierowali się na południe, ku morzu  
Czarnemu, tam gdzie nad

brzegami jego wznosiło się miasto Korsuń; należało ono  
wówczas do Greków.

Włodzimierz obiegł to miasto i zdobył je, a gdy wkroczył jako  
bohater, gdy Grecy

padłszy przed nim na twarz, panem go swoim uznali posiał do cesarza greckiego Konstantego, jednego ze swoich rycerzy i tak powiedziec mu kazał: - Słyszałem, że masz siostrę dziewicę, jeśli mi jej nie oddasz z waszem miastem będzie to samo, co z Korsuniem, wezmę je...

Siostra cesarza Anna była obecną przyjęciu posła ruskiego; słysząc jego mowę pobladła, jak lilija, lecz podszedłszy do brata, rzekła: — Bądź spokojny nie wystawię ja ziemi mojej na zemstę sąsiadów, powiedz księciu kijowskiemu, że jeśli przyjmie chrzest, żoną jego zostanie. Poseł powrócił z przychylną odpowiedzią i Włodzimierz wyruszył naprzeciw przyszłej swej żony, Annę bracia do obozu księcia ruskiego odwieźli, Włodzimierz oddał za nią Korsuń cesarzowi greckiemu i zabrawszy z Konstantynopola kapłanów greckich razem z Anną do Kijowa pośpieszył. Gdy po Kijowie rozbiegła się wieść, że kneź z żoną chrześcijanką wraca do kraju, wśród pogan podniosły się szemrania; ale w Kijowie w owym czasie było już wielu takich, co w tajemnicy wiarę Chrystusa wyznawali, ci tłumnie wybiegali na powitanie Anny... Zaraz nazajutrz po swoim powrocie do Kijowa, Włodzimierz przyjął chrzest, poczem otoczony duchowieństwem i rycerstwem przeszedł całe

miasto i wszędzie kazał niszczyć pogańskie świątynie i bożyszcza. Rozbijano posągi, chramy palono, a zniszczeniu temu towarzyszyły krzyki grozy i krzyki radości. Gdy przyszedli na miejsce, gdzie stał posąg Peruna, kneź kazał przywiązać go do ogona koni, a potem konie do Dniepra popędzić, gdy zaś weszły do wody, odwiązano bałwana i popchnięto go na środek rzeki. Lud stał zdumiony nad brzegami Dniepru i patrzył w ponurem milczeniu na zniewagę najwyższego ich bożyszcza i czekał, by Perun porwał się z wód i zmiażdżył księcia, lecz zatopiony bałwan nie pojawił się więcej, wtedy smutek

i zwątpienie ogarnęły ich serca, a gdy Włodzimierz obaliwszy świątynie i bożyszcza pogańskie, kazał następnie wejść ludowi do rzeki i chrzest przyjąć, większość spełniła ten rozkaz w milczeniu, garstka tylko nieposłusznych uciekła do lasu, unikając przymusu. Za przykładem Kijowa poszły inne miasta ruskie, chrześcijaństwo rozpostarło się w całym państwie Włodzimierza, stało się to r. . Włodzimierz Wielki był jednym z potężniejszych książąt ruskich, pochodził z rodu Ruryka; dzieje pierwotne państwa ruskiego, jako wszystkich państw są bajeczne, niepewne. Na

wschodzie Europy od czasów najdawniejszych mieszkało  
wiele plemion Słowiańskich:  
Drewlanie, Krywiczanie, Połoczanie, Wiatyczanie,  
Radymiczanie, Nowogrodzianie i  
t. d. Otoż historia bajeczna powiada, iż r. Nowogrodzianie,  
chcąc koniec  
położyć waśniom domowym, które państwo ich zakłócały  
oddawna, postanowili obcego  
wziąć knezia i wysłali posłów do Szwecyi, zapraszając  
wodza Rusów, Ruryka do  
siebie na tron.

— Ziemia nasza jest rozległa i obfita, lecz nie ma w niej  
porządku, — kazali  
mu rzec, — przyjdź władać i rządzić nami.  
Ruryk wyruszył chętnie z drużyną, przybył do Nowogrodu,  
objął władzę i rządził  
krajem rozumnie, a państwo jego nazwę ruskiego przybrało;  
następcy jego coraz  
bardziej rozszerzali granice tego państwa, zdobyli Kijów,  
plemiona słowiańskie,  
od Bugu i Karpat aż po Okę mieszkające, podbili, nareszcie w  
X-tym wieku wstąpił  
Włodzimierz, ten był tem dla swoich, czem Bo-lesław  
Chrobry dla Polan, mieli oni  
wiele wspólnych przymiotów i wiele wspólnych zasług  
położyli, odważni

i energiczni rozszerzyli granice swych państw, urządzili je,  
silnemi uczynili;  
Włodzimierz wśród plemion wschodnich słowiańskich wiarę  
Chrystusa rozszerzał,

Bolesław nawrócił Pomorzan. Szlązaków i Chrobatów, syn  
Włodzimierza pojął za  
żonę córkę Bolesława, łączyły ich dobre stosunki, obaj miłość  
i szacunek  
poddanych posiadali, obydwóch poddani Wielkimi nazwali.

## VII.

### BOLESŁAW POD KIJOWEM

Po wszystkich ziemiach Polski rozbiegli się wysłańcy  
Bolesławowi, by oznajmić  
kasztelanom, iż król rozkazuje, żeby kmieciom zbroić się  
polecili, zbierali  
wojska i dążyli z nimi pod Kraków, gdzie król czekać ich  
będzie ze swoim  
rycerstwem, a potem razem na wielką wyprawę ich powiedzie  
przeciw księciu  
Jarosławowi, który wygnał z Kijowa brata swego Świętopełka  
i sam na tronie  
zasiadł. Ów Świętopełk był zięciem Bolesława, miał jego  
ukochaną córkę za żonę.  
Dowiedziawszy się o zniewadze mu wyrządzonej, Bolesław  
zapałał gniewem i  
poprzysiągł, że Jarosława daleko za Kijów przegna....  
I zebrały się niebawem zbrojne szeregi w Krakowie, przyszło  
też w pomoc królowi  
pięciuset madziarów z za Karpat i tysiąc Pieczyngów z za  
Dniepru-Bolesław stanął  
na czele olbrzymich zastępów i ruszy

ku Kijowowi; była to stolica książęco-królewska, wspaniałe  
miasto, przeszło o  
czterystu cerkwiach, jak stary kronikarz Dytmar opowiada i  
ośmiu rynkach, główne  
ognisko handlu wschodniego, dokąd kupcy prawie z całej  
Azyi zwozili swe towary;  
bogate i piękne miasto, najkosztowniejszy klejnot wschodu,  
jak je wówczas zwali.

Z mieczem dobytym przeszedł Bolesław długą drogę, dzielącą  
Kraków od Kijowa,  
znacząc ją zwycięstwami licznymi. Pierzchali przed nim  
wszyscy, bo samo imię  
Bolesława już w wojskach nieprzyjacielskich popłoch  
wzniewało. Pogromca tyłu  
nieprzyjaciół począł uchodzić za niezwyciężonego, a ludzie  
opowiadali sobie, iż  
mieczowi Bolesława nikt się nie oprze, bo miecz ten dostał on  
od samego Boga.

Urosło podanie, iż dnia jednego, gdy król drzemał w swej  
konnacie, przyszedł do  
niego anioł światłością otoczony i podawszy mu błyszczący  
miecz, rzeki do niego:

— Oto Pan ci przysłał tę broń, walcz nią dla dobra twej  
ziemi, walcz o jej cześć  
i całość, a uczynię Cię potężnym.

To powiedziawszy położył miecz nad głową króla i znikł  
nagle.

Jako wiatr tumany kurzu, tak ów miecz bolesławowski zastępy  
wrogów, drogę mu  
tamujących, rozpędzał; Bużanie, Łuczanie, Drewlanie, których  
kraje przechodził,  
dobrowolnie bez walki otwierali królowi Polan oamy swych  
grodów i podarki mu

znosili. I stanął wreszcie ten rycerz niezwyciężony pod murami Kijowa.

Jarosław, który do ostatniej chwili nie wierzył, aby Bolesław chciał ujmować się za Świętopełkiem, siedząc sobie spokojnie na barce, łowieniem ryb w rzece

Dniepru się zabawiał, kiedy mu dali znać, że Bolesław z licznym rycerstwem miasto Kijów dokoła opasał, tak iż znikąd nie można się doń dostać ani lądem, ani woda...

Przerażony, tem, co usłyszał książę, kazawszy podać sobie konia, w ucieczce szukał ocalenia.

Miasto Kijów zamknęło wszakże bramy swe przed najeżdżcą; Bolesław musiał przypuścić szturm do murów je opasujących i nie oparły się one zwycięzcy tylu innych grodów, runęły od pocisków wroga, rozwarły się bramy przed niepokonanym i wkroczył w tryumfie do miasta Chrobry, a wjeżdżając, w tak zwaną złotą bramą uderzył w nią mieczem, na znak, że miasto bierze w swą posiadłość, uderzył tak silnie, iż się miecz wyszczerbił.

Bolesław nie miał zamiaru pięknego Kijowa niszczyć, boć barbarzyńcą nie był, ani go sobie zabierać: osadził tylko napowrót na tronie kijowskim zięcia swego

Świętopełka syna Włodzimierza Wielkiego, poczem  
zabawiwszy jeszcze kilka diii w  
pięknem, bogatem mieście, wziął ze skarbca książęcego tyle  
tylko złota, by mieć  
czem nagrodzić swoje i obce rycerstwo, następnie odesławszy  
Madziarów i  
Pieczyngów, sam też do domu powrócił.  
Wielki ten król umarł r. , płakał naród serdecznie po jego  
śmierci, rok cały  
wszyscy w Polsce żałobę po nim nosili, nigdzie zabawy,  
nigdzie muzyki, grania na  
lutni, lub śpiewu dziewczęcego nie słyszano. Lud długo  
uwierzyć w śmierć  
ukochanego pana nie chciał, długo chodziło podanie, iż  
Bolesław oddalił się  
tylko w góry Karpackie i tam śpi snem kamiennym.  
Miecz Bolesława, nazwany po wyprawie kijowskiej  
"Szczerbcem" schowali panowie  
polscy po śmierci jego

do skarbca, jako drogocenną pamiątkę, wydobywali go tylko  
wtedy, gdy nowy król  
wstąpił na tron, wówczas przypasywali mu go do boku  
podczas koronacyi, aby  
przypomniał nowowstępującemu monarsze waleczne czyny  
Chrobrego i zachęcił go do  
naśladowania ich.

## VIII. POWRÓT KRÓLEWICZA.

Nietylko smutno na ziemi Polan, lecz straszno; po dniach  
jasnych, pogodnych  
nastały dni posepne, po dniach sławy i wielkości dni upadku.  
Potężna, silna, wielka za Bolesława Chrobrego Polska budziła  
zazdrość w  
sąsiadach, to też zaledwie umarł dzielny ten król, na którego  
imię drżeli bliżsi  
i dalsi, swoi i obcy, natychmiast zewsząd na ziemię Polan  
napadać poczęli  
nieprzyjaciele: Brzetysław, księżę czeski, Henryk II, cesarz  
niemiecki, i  
Pomorzanie. Nie podołał tylu naraz wrogom Mieczysław,  
pokonany umarł wkrótce z  
żalu, nie podołała również żona jego Royxa, która  
niemieckiego pochodzenia  
będąc, nie umiała przytem sobie zjednać miłości w narodzie, a  
nieczując się  
bezpieczną wśród nieprzychylnych, ujechała z synem swym  
Kazimierzem do brata,  
zabrawszy ze sobą korony i skarbów wiele.  
Gdy pana w domu nie stało, nietylko obcy śmieiej Jeszcze  
najeżdżali, lecz i  
wewnątrz kraju podniósł się

straszny zamęt. Podbite i w jedno państwo połączone różne  
słowiańskie ziemie,  
zerwały węzły je łączące, przytłumione pogaństwo podniosło  
głowę, ci co dawne  
obyczaje wspominali jeszcze, poczęli burzyć świeżo  
wystawione świątynie

chrześcijańskie, obalać krzyże, przy drogach stojące; kmiecie,  
którzy patrzali z  
zazdrością na obdarzonych przez króla rycerzy, napadali na  
tych majątki i  
zabierali im ziemie, dobytek, niszczyli domy, sprzęty, obce  
wojska, wpadłszy w  
granice Polski, rabowały wsie i miasta, z bogatym łupem  
wracało żołnierstwo  
niemieckie i czeskie, z biednej, zniszczonej Polski.  
Pola jej były nie zaorane, po lasach błąkały się gromady na  
pół odziane,  
uzbrojone w dzidy i łuki, które tylko mordami i łupem się  
trudniły; zewsząd  
widać było na niebie czerwone łuny, czarne posepne dymy  
pożarów, pnące się ku  
obłokom, lub ognie buchające z płonących budynków,  
zrujnowane kościoły, zamki i  
domostwa panów, wszędzie zgliszcza i popioły, krew i trupy...  
Okropny obraz przedstawiała Polska, obraz nieładu i upadku,  
ziemia i ludzie w  
niej zdziczeli.  
Tymczasem, gdy tak się dzieje w państwie Chrobrego,  
młodziutki królewicz  
Kaźmierz wywieziony dzieckiem ze swej ojczyzny dorastał  
powoli na obcej ziemi,  
wśród obcych, wśród nieprzyjaciół wszystkiego co polskie. Na  
dworze Henryka II-  
go cesarza niemieckiego nie słyszał on nigdy mowy ojczystej,  
nikt nigdy nie  
mówił o przeszłości, czasami tylko w snach widywał Gniezno,  
zamek stary  
królewski, panów którzy stanowili drużynę jego ojca; czasami  
ktoś z dale-

kich stron przyjechał na dwór cesarza Henryka i przywiózł wiadomość o zbuntowanych Polanach, Kazimierz słuchał takiego gościa zawsze z wielką uwagą, lecz, iakie uczucie te wieści budziły w nim, o tem nie mówił nikomu i nikt go także o to nie pytał, matka, wuj radzi byli, aby zapomniał, czyim jest synem, co za węzły łączą go z Polanami, więc nigdy o nich z nim nie mówili. Lecz nie tak łatwo jest w szlachetnej duszy ludzkiej przygłuszyć miłość do tego, co nasze, co swoje. Kazimierz miał duszę szlachetną, nie zapomniał ziemi ojców i braci swoich; cierpiał nad jej upadkiem, nad jej niedolą, lecz milczał, bo wiedział, że póki dzieckiem jest, nikt mu jechać nie pozwoli do kraju; gdzie na każdym kroku śmierć grozi; milczał, lecz tęsknił i na dno duszy składał to, co czuł, krył się z tem, jakby ze skarbem. Aż wreszcie wyrósł z lat dziecinnych, wtedy dopiero zwierzył się matce i powiedział jej, że pragnie powrócić do państwa swego, ład w niem zaprowadzić, pogaństwo wykorzenić, kościoły chrześcijańskie odbudować i włożyć na czoło korono dziada. Usłyszawszy to Ryksa ze łzami błagać poczęła syna, by zaniechał zamiaru; straszyla, że Polanie go zamordują, że ładu

nie przywróci, a siebie zgubi; chciała go przekonać, że Polska  
już na zagładę  
przeznaczona, obiecywała, że mu odda wszystkie swoje  
posiadłości w Niemczech, że  
brat jej cesarz Henryk doda mu także ziemi, wystawiała tak  
rozkosznie życie  
ciche, spokojne, jakie przy niej wieść Gdzie, tak okropnie  
malowała dni, jakie  
wśród pogan pędzić mu przyjdzie, iż była pewną, że syna  
przekona, I wierzył  
słowom jej Kazimierz, wierzył, że tu przy niej używałby  
uciech młodości, bawiłby  
się, spoczywał

i hołdy zbierał, tam zaś czeka go praca, znój trud i  
niebezpieczeństwo na każdym  
kroku, przecież głos jakiś mówił mu: "tam być powinienes"  
przecież jakieś  
uczucie nieokreślone, tęsknota wielka parły go do ziemi  
Polan.

W milczeniu wysłuchał Ryksy, potem pokornie pochylił się do  
jej kolan i rzekł:

— Nie odwódz mnie matko od tego, co jest mym  
obowiązkiem świętym... Pomyśl,  
czyż twe serce nie krajałoby się z bólu, gdybym,  
posłyszawszy, że grozi ci jakie  
niebezpieczeństwo, z pomocą nie przybieżał; czyż nie  
rzekłabyś wtedy: "wyrodny  
to syn." Na miano takie, ja zasłużyć nie chce, a ziemia Polan,  
to druga matka

moja, na niej ja się zrodziłem, ona, mnie powietrzem swoim,  
owocami swojemi i  
chlebem swoim wykarmiła; żadna posiadłość po wujach  
spadająca, ani macierzysta  
sprawiedliwiej i zaszczytniej nic dierży się nad ojczystą.  
Słowa te zwyciężyły Ryksę, przestała się opierać,  
pobłogosławiła syna  
zaopatrzyła go w złoto i srebro, jakie z Polski wywozła  
poczem do wuja go  
powiodła, by mu oddał korony, które u niego w skarbcu  
złożyła. Henryk III  
nie tylko się nie opierał z wydaniem koron, lecz jeszcze dał  
siostrzeńcowi  
ludzi zbrojnych do obrony.  
Było to r. -go w pierwszych dniach grudnia, gdy po siolach i  
grodach  
polskich rozbiegła się wieść, że Kazimierz syn Mieszka II,  
wnuk Chrobrego stanął  
na ziemi Łużyczan, że wrócił do kraju, by mu spokój i  
szczęście dać. Radość i  
nadzieja błysnęły w sercach jednych, w drugich gniew i  
trwoga, lecz większość  
była

takich, którzy ucieszyli się przybyciem królewicza, gdyż  
większość przekonała  
się, iż źle jest bez władzy. Kmiecie, którzy radzi byli  
bezkrólewii, bo  
korzystając z niego, wydarli rycerzom ich mienie, ze zgrozą  
widzieli, że jak oni

tamtym, tak im teraz niewolnicy zabierają ich własność. Nie było  
sprawiedliwości, więc i porządku nie było, jeden pracował,  
drugi nic nie robił,  
a przecież ten, co duie pędził z założonemi rękoma, napadał  
potem na tego, co  
zebrał coś sobie i wydzierał mu pracę przemocą. Większość  
żałowała zburzonego  
porządku i pragnęła jego powrotu, ci wszyscy, złączywszy się  
razem, pośpieszyli  
naprzeciw królewicza, a ujrzawszy go, po- witali uroczystą  
pieśnią: "Witajże ku  
nam, witaj miły gospodynie" i ująwszy jego konia za uzdę,  
wiedli go z radością,  
w tryumfie do grodu najbliższego i całowali kraj jego szaty i  
wyciągali doń  
ręce błagalnie wołając: "Ratuj nas, ratuj."  
Opanowawszy jeden z zamków, na granicy niemieckiej się  
wznoszący, Kazimierz  
zebrał tutaj koło siebie tych wszystkich, co radzi byli jego  
powrotowi i  
uzbroiwszy, rozpoczął walkę ze zbuntowanymi i poddawały  
mu się gród za grodem,  
miasto za miastem i zajmował wsie, ziemie całe. Długa,  
krwawa i uciążliwa była  
to praca, gdyż codzień staczać musiał boje z poganami, którzy  
wypadali nań  
niespodzianie z lasów i wąwozów, musiał patrzeć na mordy i  
pożogi, na bezprawia  
najstraszniejsze, spotykać obalone krzyże i spalone kościoły, a  
na ich miejscu  
widzieć wzniesione posągi w słowiańskich, słyszeć pieśni,  
uświęcające obrzędy

postrzyżyn, lub pogrzebu pogańskiego, lecz zdarzało się coraz rzadziej, coraz więcej ziemi wracało pod jego

władzę, znikwały przy drogach posągi bóstw, krzyże wznosiły się na nowo.

Najdłużej ze wszystkich części opierało się Mazowsze, bo tam niejaki Masław,

dawny Cześnik króla Mieszka, człowiek zdolny i obrotny, okrzyknął się wodzem

zbuntowanych, a pozwalając im odprawiać obrzędy pogańskie, pozyskał sobie ich

zaufanie, tak, iż szanowali go jak króla i Masław, podobno, marzył o tem, by

królem całego państwa się uczynić, w czym obiecali mu dopomóc Prusacy, sąsiedni

i pogański jeszcze naród. Lecz Kazimierz i tego buntownika pokonał, uciekł

Masław do Prusaków, którzy go podobno zabili, a Kazimierz zaprowadziwszy w całym

państwie porządek, wezwał następnie znaczniejszych panów do Gniezna i w

obecności ich, oraz duchowieństwa i rycerstwa kazał arcybiskupowi Stefanowi

włożyć sobie na głowę koronę Chrobrego. Poczem odbudował spalone świątynie,

rycerzom powrócił wydarte im ziemie, wszędzie sprawiedliwość wymierzył; role

przestały leżeć odłogiem, zaszumiały pola zbożem, w pasiekach podniosły się

obalone ule, w ogrodach ukazały się drzewa i kwiaty, wsie i miasta zaludniły

się, napowrót wrócili Benedyktyni do opustoszałych klasztorów i dziatwę do szkoły wezwali.

W nagrodę za spełnione dzieło Kazimierz przydomek Odnowiciela otrzymał, a pamięć jego zawsze drogą będzie ludowi.

IX.

## KRÓL RYCERZ I POKUTNIK.

Drugi z kolei Bolesław zasiadł na tronie Piastów; od lat najmłodszych w kolebce jeszcze słyszał syn Kazimierza I-go o wielkich czynach pradziada, o zwycięstwach, jakie nad cesarzem Niemiec, Henrykiem II odniósł i marzyć począł o sławie, o bojach i smutno mu było, iż nie nadarza się do nich sposobność.

Lat szesnaście dopiero liczył, a już chciałby, żeby świat cały słyszał i mówił o nim.

Aż oto dnia jednego dworzanie oznajmili młodemu panu, iż królewicz węgierski

Bela, przybywszy na zamek gnieźnieński posłuchania prosi.

Bolesław kazał

natychmiast wprowadzić gościa do siebie i stanął przed nim

Bela smutny, pokorny

ukłon złożył i rzekł.

— Oto królu wielką krzywdę mi wyrządzono, brat mój

Andrzej, nie zważając na to,

iż sam przysięgnął niegdyś, że brat jego młodszy po nim berło  
obejmie, że naród  
cały obiecał mi tron po nim syna swego Salomona kazał  
ukoronować, jako swego  
następcę.

Obruszył się Bolesław na krzywoprzysięzcę i przyrzekł  
pomódz pokrzywdzonemu.

Wkrótce potem, roku liczne hufce zbrojne od stóp do głów  
dążyły z Polski do

Węgier, a na ich czele jechał młodziutki król, w którego piersi  
żył duch

rycerski pradziada.

I wkroczyły te hufce na ziemię węgierską i nad Cissą spotkały  
wojska Andrzeja,

bój się rozpoczął, bój krwawy, zacięty i miody Bolesław  
wyszedł z niego

zwycięzcą: najślawniejsi rycerze węgierscy dostali się do jego  
niewoli, król

Andrzej ranny spadł z konia, uciekające tłumy stratowały go,  
znaleziono go

zdeptanym okrutnie na placu boju, ledwie go poznano, z ran  
umarł niedługo, a

tron po nim zajął Bela.

Okryty chwałą zwycięzcy powrócił Bolesław II do kraju, lecz  
niezadowolony

jeszcze z pozyskanej sławy, wmieszał się niebawem w sprawy  
czeskie, gdzie dwaj

bracia Wratysław i Jaromir wiedli spory ze sobą, a wróciwszy  
stamtąd, ruszył na

Pomorzan, którzy korzystając z jego nieobecności, wpadli w granice państwa i mnóstwo wsi popalili. Sława zwycięstw Bolesława rozbiegła się daleko, przytem począł on uchodzić za opiekuna wszystkich pokrzywdzonych. Wówczas w Kijowie podniosły się podobne czeskim i węgierskim zaburzenia domowe, niejaki Wszesław, zdobywszy Kijów, zmusił do ucieczki panującego tam Izasława; wygnany książę z dwoma synami Świętopelkiem i Mścislawem udali się wprost do Gniezna, licząc napewno, że Bolesław nie odmówi im przytułku i pomocy. Jakoż nadzieje ich płonne nie były: wzruszył Bolesława los wygnańców i pomoc obiecał. Szło rycerstwo polskie trzema szlakami, główne siły Bolesław prowadził, zabiegł mu drogę Wszesław, lecz pokonany uciekł do Połocka, Kijowian na lasce zwycięzcy zostawiając. Przerażona ludność do pokory uciec się postanowiła, czuli się bowiem winni względem

Izasława, dopomagali Wszesławowi i zdobycie Kijowa. mu ułatwili. Teraz, widząc się przezeń opuszczonymi, wyszli kilka mil naprzeciw wracającego Izasława. a ujrzawszy zdala nadjeżdżających, padli na kolana i łaski błagali tak Izasława

jakoteż i Bolesława. Izasław przyrzekł, że krzywdy nikomu nie uczyni, iż zemsty niema na myśli, Bolesław oświadczył, że niema nic do mieszkańców Kijowa.

Uspokojeni Kijowianie wprowadzili ich do stolicy razem z rycerstwem; wjeżdżając w złotą bramę, Bolesław uderzył w nią mieczem i znak przez Chrobrego uczyniony ponowił druga kresa na niej przybyła, poczem wyruszył na dalsze podboje: poszedł zdobywać ziemię Przemyską, którą Bolesław Chrobry zdobył, lecz która za jego następców odpadła od Polski.

Spełniły się życzenia Bolesława, swoi Śmiałym go nazwali, obcy mówili, że jest nieodrodnym potomkiem Chrobrego. Lecz miłość sławy przytłumiła niestety w młodym królu wszystkie inne uczucia. Wciąż ubiegając się o nią, rzadko we dworze, ciągle w obozie, rzadko w Ojczyźnie, wiecznie z nieprzyjaciołmi przebywał, nie troszcząc się bynajmniej, co się dzieje w domu.

Wróciwszy z wyprawy przemyskiej pośpieszył do Kijowa, gdzie Wsiewołod znowu groził Izasławowi, umocnił tego na tronie, Wsiewołoda wygnał, poczem wojsko swoje rozłożył w różnych częściach miasta, przykazawszy surowo, aby rabunków się nie dopuszczało, sam zaś bawić się i ucztować począł z Izasławem, a w bogatym i pięknym Kijowie łatwo było o rozrywkę.

W państwie, gdzie król gościem bywał, źle dźać się poczęło: kmiecie

przypomniawszy czasy bezkrólewia,

napadali na ziemi nieobecnych rycerzy, zabierali im  
wszystko: sprzęty,  
kosztowności, nawet żony porywali. Doszły o tych  
nadużyciach wieści do Kijowa,  
rycerstwo żądało powrotu do domu, król się ociągał, wtedy  
rycerze sami bez  
pozwolenia opuszczają go poczęli i Bolesław sam prawie  
pozostał, a w państwie  
działy się jeszcze straszniejsze rzeczy: rycerze mścili się na  
kmięciach,  
kmięcie na rycerzach, wszyscy rozżaleni byli do króla.

Wśród zamieszek, jakie się w kraju działy, naraz straszna  
wieść rozbiegła w  
mieście Gnieźnie i po siółach okolicznych, biskup krakowski  
Stanisław  
Szczepanowski zniecierpliwiony postępowaniem Bolesława  
rzucił na niego klątwę.  
Klątwa była to kara kościelna, kto nią dotknięty został przed  
tym drzwiami  
wszystkich kościołów były zamknięte: nie wolno mu było  
spowiadać się,  
komunikować, słuchać mszy, dopóki ciężkiej i długiej pokuty  
nie odbędzie;  
wyklęty nie mógł być panem, a tym bardziej królem, bo każdy  
był uwolniony od  
posłuszeństwa względem niego.

Zawrzał gniewem na tę wieść Bolesław, z garstką rycerzy  
pośpieszył natychmiast  
do Krakowa, napadł na biskupa, odprawiającego mszę świętą  
w małym kościółku na  
Skałce i zamordował go przed ołtarzem.  
Lecz zaledwie zbrodni dopełnił, gniew w nim ochłonał,  
wyrzuty sumienia zbudziły  
się w jego serca, żal niem ogarnął, a wstydząc się własnych  
poddanych, opuścił  
państwo. Gdzie się udał nikt nie wiedział: znikł z oczu, jak  
kamień, gdy go  
ludzka ręka w głęboki staw rzuci.

Różnie ludzie mówili, że na obcej ziemi szuka sławy i obcym  
pomaga, że poszedł  
do Rzymu prosić o rozgrzeszenie, iż życie sobie odebrał, że  
zginął na polowaniu,  
iż do Węgrów się udał o pomoc i lada chwila zjawi się  
zbrojny, straszny,  
otoczony rycerstwem i karać będzie tych, co go opuścili,  
czego nie mówiono.. a  
tymczasem lata mijały, żadna z tych wieści się nie sprawdzała,  
nikt nic pewnego  
o królu powiedzieć nie umiał.  
W tym samym czasie na Węgrzech, do klasztoru,  
znajdującego się w malowniczej  
okolicy Ossjaku, która rozciąga się nad pięknym jeziorem u  
stóp Alp  
słowiańskich, przybył pielgrzym boso o kiju, prosząc o  
przytułek, oraz o służbę.

Zakonnicy, litując się nad nim przyjęli go w swe mury, zajęcia dostarczyli i nie pożałowali swej gościnności, pielgrzym pracował pilnie od rana do nocy: nosił wodę, rąbał drzewo, palił w piecu, najniższe spełniał posługi, a w chwilach wolnych modlił się gorąco. Lat dziewięć upłynęło wreszcie od przybycia pielgrzyma do klasztoru, lat dziewięć cichych, niezamąconych żadnym ważniejszym wypadkiem, gdy dnia jednego, a było to roku zakonnicy dali znać swemu opatowi, iż tajemniczy pielgrzym wzywa go do siebie, że jest ciężko chory, iż spowiadać się pragnie. Opat pośpieszył, siadł przy łóżu chorego i spowiadać go począł, a ten wyznał mu, iż jest synem Kazimierza I-go Piasta, wyklętym królem Bolesławem, o którym tak różne krążą Mieści, iż za grzech, jaki popełnił, sam sobie tę ciężką pokutę naznaczył; na dowód zaś, że prawdę mówi, pokazał opatowi zawieszony na piersiach kosztowny Pierścień.

Opat dał żałującemu rozgrzeszenie i chory tegoż jeszcze dnia umarł; zakonnicy, lękając się papieża, pochowali go za cmentarzem na ziemi niepoświęconej, lecz papież dowiedziawszy się jak długą i ostrą pokutę naznaczył sobie Bolesław za

popelnioną zbrodnię, jak ją sumiennie wypełnił, jak szczerze  
żałował za grzechy,  
zjął z niego klątwę i wzniesiono na mogile króla rycerza i  
pokutnika grobowiec,  
który trwa dotąd w Ossjaku. Cmentarz który się od tego czasu  
znacznie powiększył  
objął i to miejsce, gdzie zwłoki Bolesława spoczywają, tak iż  
dziś grób jego na  
poświęconej ziemi się znajduje.

X.

## PASOWANIE NA RYCERZA.

Na wojnę się zbierało... Pomorzanie lubo pochodzenia  
słowiańskiego, a zatem  
bratni nam naród, ustawiczne szkody na granicy północnej  
czynili, korzystali z  
lada sposobności, jak tylko Polska miała jakie kłopoty i nad  
nimi czuwać nie  
mogła, wpadali natychmiast, niszczyli wsie i miasta. I teraz  
oto przyszły  
wieści, iż Międzyrzec opanowali, wystawili w nim zamek  
obronny i ani myśleli  
ustępować. Siedział wówczas na tronie Władysław I syn  
Kazimierza Odnowiciela,  
któremu Polacy, gdy klątwą dotknięty, splamiony zbrodnią  
Bolesław II kraj  
opuścił, władzę oddali.

Władysław był chory, niedołężny, mimo to kazał ogłosić po  
kraju, iż

przedsiębiorze wyprawę zbrojną na Pomorzan, lecz sam  
udziału w tej wyprawie nie  
miał odwagi wziąć, postanowił oddać główne dowództwo  
Sieciechowi wojewodzie,  
który był jakby prawą jego ręką, we wszystkim go  
zastępował, słaby Władysław  
wyręczał się nim zawsze. Dowiedział się o tem postanowieniu  
ojca królewicz Bolko  
(), który nie więcej nad lat dziesięć liczył wówczas i począł  
prosić króla, aby  
kiedy sam nie jedzie, jemu pozwolił wziąć udział w  
wyprawie.  
— Godzi się — mówił — aby syn, gdy ojciec chory w  
zastępstwie jego własnymi  
piersiami ziemię swą zasłaniał i przykład rycerstwu dawał.  
I póty prosił, przedstawiał, aż uległ w końcu Władysław.  
Ruszyły zbrojne hufce pod Międzyrzec, a z nimi Bolko cały w  
zbroi i dwunastu  
jego towarzyszy, którzy dowiedziawszy się, że królewicz na  
wojnę jedzie,  
uprosili swoich ojców, aby ich też wysłali, byli to po większej  
części synowie  
urzędników.  
Sieciech mrucał trochę na tę pomoc z dzieci, iż przeszkadzać  
mu będą, że niańkę  
chyba do nich weźmie, lecz przeciw rozkazowi króla wystąpić  
nie śmiał.  
Wojska ruszyły coś w połowie sierpnia roku i przez cały  
miesiąc, oraz  
następny, były o nich

-----

() Bolesław syn Władysława I-go z powodu wrzodu, jaki miał na twarzy, gdy był maleńkim, skrzywione miał usta, stąd zwano go od lat najmłodszych Krzywoustym.

wieści. Wiedział Władysław, że szczęśliwie na miejsce przybyli, że część rycerstwa zajęła się budowaniem machin oblężniczych. a część napadami zaczepiała nieprzyjaciela i boje z nimi staczała, do tych należał Bolesław, spełniał posłusznie rozkazy głównodowodzącego wojewody Sieciecha, w niczem nie wyróżniał się od reszty rycerstwa, sypiał na skórze rysiej, jadł to samo co wszyscy, po nocach straż odbywał, zrywał się ze snu równo ze świtem. Pod koniec września wieści poczęły rzadziej przychodzić, w końcu nie było ich wcale. Król tłómaczył sobie to milczenie tem, że deszcze i błota jesienne. utrudniają komunikacją, mimo to niepokoił się wielce o rycerstwo, a szczególnie o syna. Aż wreszcie dnia jednego, a było to już w drugiej połowie listopada dźwięki rogów bojowych, jakie rozległy się na dziedzińcu zamkowym, oznajmiły powrót z wyprawy; w chwilę potem wbiegł do komnaty królewskiej Bolko i rzucił się z powitaniem do nóg ojcu. za nim wszedł wojewoda Sieciech i kilku ze starszych.

Władysław nacieszyć się nie mógł synem, oglądał go  
troskliwie, patrzył, czy nie  
skaleczony, całował, rozpytywał go.  
Pogięta w wielu miejscach zbroja, połamany kresa przez  
prawy policzek,  
świadczyły, iż Bolesław nie chował się za plecyma starszych,  
lecz jak rycerz  
narażał się na wroga pociski, nie chwalił się jednak królewicz,  
nic o sobie nie  
mówił.  
— Odebraliśmy Międzyrzec — odpowiadał, — zmusiliśmy  
ich do poddania się;  
zabrawszy tłomoki i konie, powędrowali Pomorzanie do  
siebie.

Lecz jeden ze starszych przerwał Bolkowi.  
— Gdyby nie królewicz — rzekł, — nie zdobylibyśmy  
Międzyrzeca: słoty i dżdże  
ustawiczne przeszkadzały nam zrazu, ziemia tak miękką była,  
iż brnęliśmy czasem  
po kolana, a dla tych błot strasznych nie można było  
przysunąć machin  
obłężniczych do zamku bo grzęzły koła i konie poradzić nie  
były w stanie;  
narzekaliśmy wszyscy na czas zmarnowany, aż wojewoda  
chciał już rzucić oblężenie  
i ustąpić Pomorzanom, lecz posłuszny mu zawsze królewicz,  
tym razem się oparł i  
rzekł:  
— Ze wstydem nie wrócę do Gniezna, w imieniu ojca żądam,  
abyśmy mrozów

doczekali; przeciwnościami nie godzi się zrażać, przyjdzie zima. błota zetnie i usuną się przeszkody.

Te słowa na wszystkich podziały, przestaliśmy szemrać, czekaliśmy mrozów, czas zapełniając małemi utarczkami z Pomorzanami i spełniły się słowa królewicza:

zima się zbliżyła, skuła lodowemi okowami grzędawiska i pomknęliśmy bliżej z machinami, otoczyliśmy gród stary i wyparowaliśmy zeń nieprzyjaciela.

Władysław, który z jasną twarzą słuchał tego opowiadania, spojrzął na wojewodę, szukając w jego oczach potwierdzenia tych słów; Sieciech stał chmurny, ale nie przeczył — Godzien jesteś, rycerzem się nazywać, — rzekł przeto król, zwracając się do syna — i lubo lata twoje jeszcze nie odpowiednie, jednakże zważywszy czyny twoje, które dowodzą, iż umysł masz już dojrzały, będę się pasować na rycerza; jutro przygotowania uczynić potrzebne.

Bolko przypadł do nóg ojca.

— Lecz ze mną towarzysze moi dostąpią także tego zaszczytu

— rzekł — wszak oni

zarówno jak i ja pod Międzyrzecem byli.

— Masz prawo dwunastu wybrać — odparł król. Zwyczajem wówczas było, iż chcąc być

uznanym rycerzem, trzeba było pierwiej przejść tak zwaną ceremonija pasowania, która odbywała się bardzo uroczyście, zwykle pełnoletni dopiero dostępowali tego zaszczytu.

Jeszcze tego samego dnia Bolko oznajmił tym, co z nim razem przeciw Pomorzanom chodzili, jakie szczęście ich czeka i kazał im przyjść na noc na zamek. Spali razem w jednej z izb pokotem, a rankiem za ledwie świt zajrzał w okno, przybrani wszyscy jednakowo w ciemne, pokutnicze szaty do kaplicy podążyli, tam spowiadali się, komunikowali, poczem wysłuchawszy mszy świętej, wrócili na zamek, gdzie im podano osobno skromny bardzo posiłek, po obiedzie udali się do kościoła na nieszpory, a po tych nie wracali już do domu, lecz noc całą na rozmyślaniu spędzali. Srebrna lampa, zawieszona przed wielkim ołtarzem słabe światło rzucała, a w półcieniu tu panującym świątynia tak jakoś wspaniale, uroczyście wyglądała, iż chłopcy z przejęciem pacierze mówili i sen nie naprzykrzał się im do oczu.

Rano, wysłuchawszy znowu mszy świętej, udawali się do łaźni, po której ubrawszy się strojnziej w jedwabne obcisłe suknie na zamek wrócili, gdzie Bolko miał przyjmować odwiedziny tych, co mu życzenia złożyć

chcieli; schodzili się i starzy i młodszy, a każdy jedno  
powtarzał: by śladami  
Chrobrego poszedł.  
Nareszcie chwila ceremonii się zbliżała, rano wcześniej bardzo  
trzeciego dnia  
przyniesiono Bolkowi strój stosowny: białą koszulę u szyi i  
pieści złotem  
haftowaną, która niewinność oznaczać miała, na tę włożył  
Bolesław drugą z drutu  
żelaznego, która tak delikatna była, iż zdawało się że to siatka  
jedwabna;  
oznaczała ona trud, ból i wytrwałość, boć każdy rycerz na trud  
i ból się  
skazywał, a wytrwałym powinien być. Na ową koszulę  
drucianą włożył Bolesław  
kaftan łosiowy i ten miał swoje znaczenie: kładąc mu go stary  
dworzanin rzekł:  
"jako ten kaftan kryje koszulę drucianą, tak ty panie pokrywaj  
milczeniem cnoty  
twoje i cierpienia, bo te Bóg tylko jeden widzieć powinien. "  
Nareszcie przybrał  
Bolesław zbroję żelazną, czyli pancierz ozdobiony złotem i  
klejnotami, na ręce  
włożył rękawice, na nogi nagolenniki także z żelaza, zbroja  
wyobrażała wiarę  
silną, nieugiętą, która ozdobą być powinna, każdego rycerza.  
Na zbroję włożył  
płaszcz jedwabny, błękitny, na głowę hełm piórami  
ozdobiony, towarzysze jego  
podobnie przybrani zostali.  
Uroczystość pasowania odbywała się zwykle w kościele  
katedralnym, tam więc król

z synem, jego przyjaciółmi, dworem i rycerstwem się udał;  
duchowieństwo czekało  
w kościele. Podwórzec zamkowy, wały go otaczające, ulica do  
kościółka prowadząca  
pełne były ludu, każdy wzrokiem szukał królewicza, każdy  
pytał siebie w duszy:  
"Będzie on podobny do Chrobrego, podniesie on państwo do  
takiej potęgi, na  
jakiej wówczas stało?"

Na wielkim ołtarzu gorzały świece woskowe, duchowieństwo  
zgromadzone przed  
cymboryjum zajmowało krzesła najparadniejsze, pod  
baldachimem arcybiskup;  
naprzeciw tego stał tron dla króla przygotowany, na nim siadł  
Władysław, panowie  
i rycerstwo ławy na kościele się znajdujące zajęli, lud między  
nimi stał zbity w  
jedną masę.  
Królewicz a z nim dwunastu towarzyszy uklękli przed  
wielkim ołtarzem, zmówili  
krótką, stosowną do ceremonii modlitwę, poczem kolejno do  
króla przystępowali  
składając przed nim na kolanach przysięgę, iż mieniem, krwią  
i życiem bronić  
będą ojczyzny, kościoła, wdów i sierot, że walczyć będą z  
poganami i z  
krzywdzicielami niewinnych.  
Po tej przysiędze i po ucałowaniu krzyża, jaki im ksiądz obok  
króla stojący

podał, klerycy przynieśli królowi miecze, które poprzedniego  
dnia arcybiskup  
poświęcił na ołtarzu.

Władysław uderzywszy najprzód klęczącego Bolka mieczem  
po ramieniu, co  
oznaczało, iż powinien znosić ciosy i razy odważnie za wiarę i  
ojczyznę,  
przyasał mu go następnie do boku, poczem innym też samo  
uczynił.

Gdy młodzi rycerze powstawszy od stóp tronu przeszli do  
wielkiego ołtarza, wtedy  
odezwały się na chórze organy i arcybiskup, który oddalił się  
na chwilę z  
kościółką, wyszedł ze mszą. Klęcząc Bolko oraz jego  
towarzysze wysłuchali jej  
pobożnie, a po skończonem nabożeństwie król zaprosił  
panów świeckich i  
duchownych, oraz przedniej szczy z rycerstwa pośpieszył na  
zamek. Przodem szli  
świeżo pasowani młodzi ryce-

rze na ich czele królewicz, promieniejący radością. Lud  
krzyknął: "Niech żyje  
syn królewski," dzwony kościoła huczały głośno; przed  
kościółką czekały kolasy i  
rumaki, starsi zajęli pierwsze, młodszy na konie skoczyli i cały  
ten orszak  
strojny, głośny, na zamek podążył, ścigany okrzykami ludu i  
echem dzwonów  
kościółki.

Tutaj nowa niespodzianka czekała Bolka, król gości na turniej zaprosił...

Ówczesna młodzież z ochotą wielką tej zabawie się oddawała.

Na wielkim

dzieńcu zamkowym wszystko już było do niej

przygotowane. Pogodny, lubo mroźny

dzień sprzyjał zabawie.

Plac był piaskiem grubo wysypany, dokoła stały ławy sukmem

kryte; krużganki

zamkowe zamieniono w loże, oponami z boków je

zasłoniwszy i rozpostarłszy nad

każdym baldachim. Plac stanowił miejsce, gdzie młodzi

rycerze mieli się

popisywać ze swoją zręcznością, wejścia do niego pilnowali

halabardnicy i

herold, który miał obwoływać imię i herb każdego rycerza w

szranki wchodzącego.

W okół placu widać było słupy stojące, a na nich zawieszzone

obręcze żelazne,

plac otaczała drewniana balustrada, w ten sposób, iż między

nim, a ławami było

wolne przejście. Loże były przeznaczone dla kobiet, dla

starszych panów

świeckich i duchownych, oraz dla sędziów turnieju, jacy w

razie sprzeczki sądzić

mieli, który z walczących zasługuje na nagrodę.

Najparadniejsza była loża króla

i królowej, naprzeciw tej widać było na jednym z ganków,

którego opony nie

zasłaniały muzykantów z długimi trąbami złotymi i fletami.

Ławy przeznaczone

były dla dworu i rycerstwa niższego.

Nie tracąc czasu król i królowa, panowie i panie, wróciwszy z kościoła,  
natychmiast miejsca zajęli w lożach i ławach, młodzież na plac pośpieszyła,  
zagrały trąby i flety, halabardnicy otworzyli wrota na plac wiodące i po obu  
stronach stanęli nieco dalej heroldowie. U wnijscia ukazało się kilku rycerzy,  
spuszczone przyłbice nie dozwalały poznać, kto oni, wszyscy byli ubrani podobnie  
do królewicza, tylko płaszcze niejednakowego koloru mieli: jedni ponsowe, inni  
błękitne, żółte, zielone, najrozmaitszej barwy. Każdy trzymał w jednym ręku  
kopiją, w drugim tarczę, na tej herb rodu rycerza był wyryty, złotem lub  
klejnotami wysadzony, więc na jednej widać było ul i pszczoły się doń zlatujące,  
na drugiej jastrzębia z dziobem rozwartym i szponami rozpostartymi, na innym  
podkowę, lub rogi jelenie... Niektórzy mieli u ramion skrzydła stalowe; skrzydła  
te podczas wojny grały ważną rolę bo gdy tak ubrany szedł cały oddział, to te  
skrzydła sprawiały szum głośny, często wystraszone tym hałasem konie  
nieprzyjaciół iść naprzód nie chciały i cofały się, stając dęba, gdy pan zmuszał  
je postępować.  
Na samym przodzie, przed tymi, co swej zręczności próbować chcieli, stało dwóch,

którzy wzrostem wskazywali, iż lat męskich jeszcze nie  
dobięgli, jeden z nich  
miał u grzebienia hełmu złotą przepaskę, drugi niebieską  
szarą, było bowiem  
zwyczajem, iż każdy rycerz biorący udział w turniejach,  
obierał sobie damę, w  
imieniu której walczył i dama wybrana obdarzała go czemś ze  
stroju swego.  
Ten co złotą miał przepaskę pierwszy wstąpił w szranki  
podniósł przyłbicę i  
szmer objął plac: "kró-

lewicz Bolko" Bolesław, on to był bowiem, skinieniem głowy  
widzów powitał,  
poczem posiał uśmiech i spojrzenie do loży, gdzie siedział  
ojciec jego, macocha  
Judyta i maleńka letnia siostrzyczka, którą obrał za damę  
swoją i dostał od  
niej złotą przepaskę, dziecina na uśmiech pocałunkiem rączką  
przesłanym  
odpowiedziała. Bolesław skinął na rycerza, którego zdołała  
szarfa błękitna, był  
to syn jednego z dworzan króla, herold wygłosił obydwóch  
imiona i herby, poczem  
zapaśnicy ubiegać się poczęli o zdobycie pierścienia. Z dzidą  
wystawioną  
obiegali plac w okół i ze stojących tam słupów starali się zdjąć  
żelazne  
pierścienie zawieszane na nich, zręczny zwinny królewicz za  
każdym razem

zdobywał jeden, trzy razy plac obiegli, a dziesięć miał już  
zawieszonych u boku  
na rękojeści miecza, bo za każdym razem przystawał i  
zdejmował pierścień z  
dzidy. Oklaski uwieńczyły jego zręczność,  
Teraz młodzi rycerze do siebie przyskoczyli i we wspólnym  
zapasie postanowili  
spróbować swej zręczności, lecz i tutaj Bolko zwycięzcą się  
okazał, zdarł dzidą  
z hełmu towarzysza błękitną szarfę, a wzniosłszy ją w górę z  
tryjumfem widzom  
pokazał. Grzmot oklasków uwieńczył powtórne królewicza  
zwycięstwo, pokonany  
rycerz opuściwszy przyłbicę plac opuścił, a Bolko po nagrodę  
pośpieszył, którą z  
rąk swej damy miał otrzymać. Małeńka królowna cała w bieli  
ze złotymi włosami,  
które rozpuszczone spadały jej do ramion, z zielonym  
wiankiem na głowie, anioła  
przypomniała. Wbiegłszy po sztucznie urządzonej  
wschodach królewicz dostał się  
na krużganek, klęknął przed siostrą, a ona ofiarowała mu  
kosztowny pierścień,  
jaki ojciec podaro-

wał jej rano polecając, by bratu go dała podczas turnieju, jeśli  
na nagrodę  
zasłuży.

Tak bawiono się wówczas, występowali potem kolejno inni  
rycerze; dopóki zmrok

nie zapadł, trwał turniej, wspaniała uczta zakończyła ten dzień pełen wrażeń.

Wówczas każdy ziemianin był rycerzem, w razie niebezpieczeństwa grożącego krajowi król rozsyłał tak zwane wici, przez które wzywał każdego, kto zdrów był i szablę mógł udźwignąć, by śpieszył do szeregów.

Prócz tego po grodach stało rycerstwo załogami, które w każdej chwili do boju powinno było być gotowe.

Z czasem królowie przestali powoływać kmieci na wojnę, ich obowiązkiem było dostarczać podwód i żywności dla wojska i ziemię orać, by chleba nic zbrakło; właściciele ziemscy służyli tylko mieczem rzeczypospolitej, kmiecie zaś pługiem.

Lecz obok rycerstwa z ziemian tworzonego na wojnie służyła tak zwana piechota, pierwsi zwali się pancernymi, nosili na sobie zbroję, hełm i skórę rysią zamiast owych jedwabnych płaszczy, jakie podczas uczt wesołych przywdziewali; skóra owa w czasie spoczynku zastępowała im pościel, sypiali na niej; do obrony służył im miecz, kopija, czyli dzida, chorągiewka ustrojona i łuk, który na plecach razem z kołczanem, strzały zawierającym, nosili.

Piechotę tworzonego z niewolników, lub też z tych ludzi, którzy zostali skazani sądownie za popełnioną zbrodnię na utratę wolności. Taki niewolnik był własnością tak osób prywatnych jak króla, w czasie wojny panowie i król tworzyli

z nich zbrojne hufce i brali ze

sobą. Piechota zbroi nie nosiła, a nazwa sama mówi, ii i koni  
nie miała, do  
obrony mieli jedni tarcze i dzidy, drudzy luki i strzały, za  
skórczanemu pasami  
dźwigali topory, które służyły im przy rozrywaniu murów,  
otaczających grody.

XI.

CHRZEST POMORZA.

Pokój panował w kraju; po śmierci Władysława objął władzę  
nad większą częścią  
państwa Bolesław III-ci syn jego młodszy, który dzieckiem  
jeszcze zdobył sobie  
miłość poddanych i sławę dzielnego rycerza. Zamiłowany w  
myśliwstwie postanowił  
korzystać z dogodnej pory i z liczną drużyną starszych oraz  
młodszych dworzan  
wybrał się na łowy w lesiste północne strony swego państwa.  
Znużeni trudami całodziennymi król i panowie pod cieniem  
sosen rozłożyli się na  
spoczynek i posiłek zaperzali przygotować sobie z ubitego  
ptastwa, gdy wtem  
posłyszeli jakiś hałas głośny, wychodzący z poza gęstwiny;  
sądząc, iż może stado  
dzików idzie, król porwał się z ziemi i skryty za pniem drzewa  
wycelował łuk

aby, gdy ujrzy łeb straszego zwierza, strzałę nań wypuścić,  
lecz omylił się,  
zamiast dzików, ujrzał gromadę ludzi... Byli to widocznie  
jacyś rabusie, którzy  
z łupem i z jeńcami wracali; gdy się im bliżej przypa-

trył Bolesław, poznał, że to — Pomorzanie. Przekroczywszy  
granice, na ziemię  
polską napadli widocznie, zrabowali jaką wioskę i teraz z  
łupem i jeńcami  
uciekali do domu. Gniew zawrzał w sercu króla, zapomniał iż  
z garstką jest  
ludzi, wypuścił strzałę z łuku i padł na ziemię jeden z  
rabusiów, trafnie  
pociskiem ugodzony; wtedy Bolesław wyskoczył z ukrycia i  
rzucił się z szablą  
dobytą na Pomorzan... Przerażeni nie spodzianą napaścią,  
puścili zdobycz i  
uciekać poczęli, lecz król za nimi pogonił, a z nim kilku z  
dworzan jego, jeńcy  
zaś, błogosławiąc niebo za szczęśliwe ocalenie, uszli w  
przeciwną stronę. Las  
był olbrzymi, Bolesław niepomny, iż oddala się od drużyny i  
sam prawie w obce,  
nieznane sobie strony się zapuszcza, gonił ciągle Pomorzan;  
naraz usłyszał  
tętent, głosy, krzyki, hałas jakiś niewyraźny, który leciał ku  
niemu z przodu, z  
prawej, z lewej strony, z tyłu; przystanął, obejrzał się, począł  
wsłuchiwać i

zrozumiał niebawem, co tentent ów znaczy: popadł w  
zasadzkę: uciekający przed  
nim Pomorzanie spotkali zbrojny oddział swoich, powiadomili  
go o pogoni i oto  
wróg go otoczył, a miał on w tej chwili tylko kilku dworzan  
przy sobie, liczba  
zaś oblegających była wielka: z poza każdego niemal drzewa  
wysunęła się postać  
zbrojnego Pomorzanina. Nie stracił jednak odwagi Bolesław;  
strach, było to  
uczucie mu nieznane, skinął na swoich i śmiało rzucił się na  
wroga. Pomorzanie  
zdumieni jego zuchwalstwem, tak się zmieszali, iż Bolesław  
bez szwanku, kresy  
jednej nie otrzymawszy, przedarł się przez tłumy, które  
zastąpiły mu drogę,  
poczem wrócił na miejsce, powtórnie drogę moczem  
utorowawszy przez wroga i  
zamierzał poraz trzeci

szczęścia próbować, gdy zdala lecące okrzyki, dały mu  
poznać, że ci z jego  
drużyny co pozostali w tyle, nadciągają. Jakoż w istocie zjawił  
się wkrótce  
chorąży Skarbimir z innymi.  
Pomorzanie, widząc przybywającą pomoc osaczonym, sądząc,  
że lada chwila więcej  
jeszcze rycerstwa polskiego nadciągnie, uciekać poczęli w  
najwyższym nieładzie.  
Bolesław nie ścigał ich więcej, lecz postanowił raz na zawsze  
ukrócić

zuchwalstwo Pomorzan i powróciwszy do domu, obwołał przeciw nim wyprawę.

Na pograniczu Pomorza i Polski, stało w swym czasie, miasto Nakło, które sama

natura uczyniła obronnem, takie bagna i trzęsawiska je otaczały. To postanowił

najprzód obledz. Dowiedziawszy się, iż Bolesław nadciąga z wojskiem, mieszkańcy

Nakła uzbrojeni w dzidy ustawili się w okół owego miasta i wystawiwszy ostrze

dzid naprzeciw nieprzyjaciół, utworzyli tym sposobem mur niedostępny. Ujrzawszy

tę przeszkodę Bolesław podzielił swe wojska na dwie części: jednej powierzył

dowództwo chorążemu Skarbimirowi, nad drugą sarn stanął, a posunąwszy się pod ów

mur żywy, pierwszy na niego uderzył strzałami, a tyle ich rzucił na Pomorzan, iż

złękli się oni i mieszcali na chwilę, widząc na raz kilkunastu z pomiędzy swoich

walących się na ziemię. Zmieszani opuścili broń i w murze otwór się ukazał;

Skarbimir, który zdala patrzył i pilnie uważał, co czynić, widząc to,

natychmiast skinął na swoich; wpadł w ową próżnię i od strony przeciwnej począł

nacierać na nieprzyjaciela, Tak we dwa ognie wzięci Pomorzanie byli zmuszeni

ustąpić, a król kazawszy teraz piechocie przeciągnąć oblężnicze maszyny przez

błota, przypuścił następie szturm do Nakła i zdobył je  
wkrótce, poczem ruszył w  
głąb kraju; poddawały mu się kolejno większe i mniejsze  
miasta, kilka tylko  
jeszcze opór stawiało jak Białogród, Alba Regija; ku tym  
zwrócił się przeto  
Bolesław i posłał mieszkańcom Białogrodu dwa puklerze do  
wyboru: czerwony i  
biały, pierwszy wojnę oznaczał, drugi pokój. Hardzi  
Pomorzanie czerwony wybrali,  
Bolesław przypuścił szturm, krwawa walka zawrzała. Stojący  
na murach miasto  
otaczających Białogrodzianie, celnie rzucali kamienne pociski  
na oblegających,  
ginęły setki od ich uderzeń, w wojsku wszczął się popłoch,  
rycerstwo traciło  
odwagę. Widząc to Bolesław wziął kilkudziesięciu ludzi z  
pomiędzy swej piechoty,  
zeskoczył z konia i oddawszy go jednemu z pancernych, sam  
na czele tarczowników  
ku murom postąpił. Uzbrojeni w tarcze, łuki i topory innej  
broni nie mieli, lecz  
Bolesław przekonał, się że i tą wiele dokazać można. Schował  
miecz do pochwy,  
tarczę wznosił nad głowę, zasłaniając się nią od pocisków  
wroga, w drugą rękę  
wziął topór i poszedł odważny, śmiały, nieustraszony i dotarł  
szczęśliwie do  
samej bramy miasta, bo ludzie jego tak samo tarczami się  
pozasłaniaли i kamienne  
pociski głów ich dosięgnąć nie mogły, uderzył w drewniane  
wrota tak silnie

toporem, iż runęły u stóp jego i wkroczył do miasta. Okrzyk  
radości wyrwał się z  
ust rycerstwa polskiego. Tłumnie pośpieszyli teraz oblegający  
ku murom miasta, z  
których Pomorzanie uciekli, Białogród zdobytym został.  
Wystraszeni mieszkańcy  
jękiem i szlochami napełnili

ulice, zdawało się im, iż ostatnia godzina nadchodzi, że  
Bolesław każe wyrznąć  
uparte miasto. Lecz o ile walecznym, o tyle i  
wspaniałomyślnym był Krzywousty,  
darował on życie wszystkim mieszkańcom zdobytego grodu.  
Wiść o poddaniu się Białogrodu i o tem, jak łaskawie obszedł  
się Bolesław z  
pokonanymi, lotem błyskawicy rozbiegła się po Pomorzu,  
inne miasta jak: Kanim,  
Kozlin, Wolin kolejno uznawały nad sobą panowanie Polski,  
niebawem całe Pomorze  
jej uległo.  
Zwycięstwo odniesione nad ludem, tak długo opierającym się,  
okryło sławą  
nieśmiertelną imię Krzywoustego, teraz szło tylko o to, by w  
zdobytej ziem wiarę  
Chrystusa rozszerzyć, Bolesław rozmyślał nad tem, jakiegoby  
apostoła posłać  
Pomorzanom, bo nie każdy odważyłby się zapuszczać w dziki  
ten kraj i nie każdego  
przyjęliby oni.

— Cóż to za gość dostojny przybywa do Gniezna, iż Bolesław wyszedł na jego spotkanie aż kroków za miasto, wyszedł boso, chcąc widocznie pokorę swą okazać? Wyszedł otoczony pierwszymi panami państwa, dostojny to musi być gość... Tak mówili między sobą mieszkańcy Gniezna, widząc króla swego, dążącego za mury starego grodu. Ciekawość ich wkrótce zaspokojoną została. Do murów Gniezna zbliżył się jakiś orszak konnych, który jednak zawiódł wszystkich oczekiwania. Na czele orszaku jechał starzec w kapłańskiej szacie, za nim kilku panów polskich.

Zbliżywszy ku nadjeżdżającemu, Bolesław powitał starca pokornym ukłonem, a starzec krzyż błogosławieństwa nad głową pochylonego uczynił.

Tym starcem był Otton, biskup bamberski, dawny nauczyciel Bolesława, którego król uprosił, aby się podjął nawrócenia Pomorza. Wezwany listownie Otton pobożny wielce, pełen poświęcenia dla wiary, pośpieszył do Gniezna i obiecał królowi, że spełni jego życzenia. Zabawiwszy kilka dni w starym grodzie, ruszył Otton na pobożną pielgrzymkę, a król dla bezpieczeństwa i ulżenia pracy dodał mu kilku

młodych księży i rycerza Pawlicza z ludźmi zbrojnymi; Otton zakupił sukna drogiego, odzieży pięknej, żywności, kazał wyładować wozy i ruszono w drogę, a droga wiodła przez lasy tak gęste, iż nieraz siekierą musieli ścieżkę sobie tworzyć i schylać się ciągle pod gałęzmi drzew, które ziemi sięgały, tak były wielkie, iż łatwo zbłąkać się można było wśród nich, gdyby nie Pawlicz, który znał je dobrze. Zwierz dziki i dzikszys jeszcze mieszkaniec Pomorza z tej gąszczy mógł też łatwo wypaść z nienacka na idących. Nieraz natrafiali też na takie moczary, błota, trzęsawiska, iż przebyć je było niepodobna, wtedy albo cofać się trzeba było i drogi innej szukać, albo rąbać drzewo, walić kłody w błoto i po nich przechodzić. Wreszcie po wielu, wielu dniach pełnych niebezpieczeństw i trudów ujrzeli przed sobą mury miasta Pirycza. Tu nowe groziło apostołom niebezpieczeństwo — śmierć z ręki pogan. Alboż nie zginął z ręki bałwochwalców św. Wojciech, iluż tak nie zginęło, wspomnie-

nie męczenników stanęło im w pamięci, lecz odwagi nie odebrało ani Ottonowi, ani jego towarzyszom. Ponieważ noc nadchodziła, rozbili przeto płócienne swoje namioty pod miastem i

tu ją spędzić postanowili. Zdala dochodziły ich echa pieśni pogańskich, widzieli porozpalane wielkie ogniska, koło nich młodzież tańczącą, widocznie Piryczanie obchodzili jakieś święto... Nie chcieli im przeszkadzać, modlili się cicho i dnia czekali. Ranek wreszcie zawitał, w mieście się uciszyło, wtedy Pawlicz w towarzystwie dwóch żołnierzy, udał się do Pirycza i mieszkańcom jego oznajmił, iż przybył do nich z Gniezna biskup bogaty, który nie chce nic od Pomorzan, lecz którego król Bolesław poleca, aby go przyjąć gościnnie. W mieście powstał ruch, ludzie zbierać się poczęli, szeptać, radzić, nareszcie zwołali wiec, na którym starszyzna po długich sporach uradziła, by biskupowi pozwolić wejść do miasta.

— Nie należy obrażać tak potężnego króla, jak Bolesław, — mówili starostowie do siebie — a przytem Bóg chrześcijan widocznie od naszych silniejszy, kiedy Go coraz więcej ludzi uznaje.

Jakoż kilku najstarszych z pomiędzy władków, otoczeni ciekawą młodzieżą, wybrało się do obozu Ottona. Biskup uwiadomiony o ich przybyciu, wyszedł naprzeciw w szatach uroczystych i począł im mówić o wielkim Bogu chrześcijan, jak sprawiedliwym i miłosiernym jest, o Bogn, który zarówno pokornych, jak wielkich kochać każe; biednych jak bogatych; szczęśliwych, jak strapionych.

Słuchali go Pomorzanie w skupieniu, a gdy skończył podniósł się głos jeden z tego tłumu.

— Niechaj ten Bóg i naszym Bogiem będzie.

W kilka dni potem odbył się chrzest Piryczan: na wielkim polu pod miastem ustawiono kadzie z wodą w nie zanurzyli się ci, co chrztu pragnęli, przy każdej kadzi stawali rodzice chrzestni, a biskup Otton zbliżał się do zanurzonych w wodzie, olejem świętym ich namaszczał, wymawiał wyrazy błogosławieństwa i nadawał imię. Nawróconym rodzice chrzestni, gdy z wody wychodzili, nakładali białą świeżą szatę.

Dwadzieścia dni pracował wytrwale biskup Otton w Piryczu, skąd udał się znowu przez lasy i błota do innych miast wszędzie słowo Boże szerząc.

Pomorze było nawrócone dzięki Bolesławowi Krzywoustemu, który orężem drogę Ottonowi utorował.

Dzieło nawrócenia i zdobycia Pomorza dokonaniem było r. .

## XII.

### POD GŁOGOWEM.

Za czasów panowania królów z rodu Piasta, Polacy ustawiczne wojny prowadzić byli

zmuszeni, to Niemcy, to pokrewne im ludy słowiańskie:  
Pomorzanie, Czesi, ziemię  
ich najeżdżali. Lecz nietylko u nas tak było wówczas,  
wszędzie toż samo,  
wszędzie wojna była

głównym zajęciem książąt, a sława na polu bitwy była sławą  
najpiękniejszą.

Dopiero z postępem oświaty ludzie w człowieku inne  
przymioty wyżej nad siłę  
fizyczną cenić poczęli.

Zaledwie Bolesław uspokoił się nieco z Pomorzanami i począł  
myśleć o tem, by

wiarę wśród nich rozkrzewić, doszły go wieści, iż Henryk V,  
cesarz Niemiec

wkroczył w granice jego państwa, podobno namówił go do  
tego starszy brat

Krzywoustego Zbigniew, który nie mógł darować narodowi, iż  
młodszemu władzę

powierzył, a jemu tylko mniejszą część państwa przyznał.

Pogłoska nie była

mylną, w istocie cesarz Henryk V postąpiwszy ku rzece

Odrze, z licznym wojskiem

na ziemię Polan wszedł i dotarł aż do miasta Bytomia, lecz tu  
spotkał go tak

dzielny opór, iż zawahał się, czy iść dalej. Dumny i

zarozumiały, był pewny, że

gdy go ujrzą Polacy, padną przed nim na kolana, że nie będą  
śmieli podnieść

broni na cesarza Niemiec, cesarza jednego z największych  
państw Europy; widząc

wszakże, iż się omylił, że nim Polskę zawojuje, musi pierwej  
niejeden swój  
hufiec stracić, wołał zaniechać wojny niepewnej i wysłał do  
Krzywoustego gońca z  
listem uprzejmym:

"Cesarz, Bolesławowi księciu zasyła pozdrowienie i łaskę,  
napisał w tym liście,  
poznawszy dzielność twoją do rady moich, wodzów się  
przychylam i oznajmiam, że  
odebrawszy grzywien spokojnie odejdę, inaczej sięgnę pod  
Kraków. "

List ten obraził Bolesława. Trzysta grzywien posłać cesarzowi  
znaczyło toż samo,  
co powiedzieć mu: "lękam się twej potęgi" toż samo, co uznać  
się hołdo-

wnikiem cesarza Niemiec, tego zwycięzca Pomorzan potomek  
Chrobrego nie uczyni,  
na list listem odpowiedział:

"Bolesław książę polski pragnie również pokoju," brzmiała  
odpowieź, "ale nie za  
pieniądze; wasza cesarska władza iść dalej, lub się wrócić,  
lecz dla bojaźni nie  
znajdzie tutaj ani jednego grosza, wolę bowiem władzę,  
wolność, życie utracić  
niż panowanie dzierżyć w pokoju, a niesławie."

Wysławszy ten list, począł Krzywousty czynić przygotowania  
do wielkiej wojny:

ściągał ludzi z pod Krakowa, Lublina, Sandomierza ze  
wszystkich dzielnic kraju;

zbroił hufce, działa gromadził rozesłał poselstwa w różne  
strony o pomoc  
prosząc, a tymczasem obrażony odpowiedzią Henryk V obiegił  
znajdujące się na  
Szlązku miasto Głogów.  
Było to stare bardzo miasto, niskie mury je utuczające obrony  
bezpiecznej nie  
stanowiły, kasztelan głogowski, widząc olbrzymie siły  
nieprzyjaciela, czuł, iż z  
nielicznym garnizonem, jakim rozporządzał, jeśli król pomocy  
nie przyśle, nie  
odeprze nieprzyjaciela, że Niemcy zburzą Głogów i pójdą  
dalej, a zachęceni  
pierwszem powodzeniem śmieiej działać będą, wysłał przeto  
gońca do króla,  
błagając pomocy, a cesarza prosił przez posłów, by wstrzymał  
się z oblężeniem,  
póki odpowiedzi od króla nie otrzyma. Cesarz, którego wojska  
były znużone długim  
pochodem chętnie zgodził się na zwłokę, lecz zażądał, aby  
Głogowianie dali mu w  
zakład kilku synów najbogatszych rodzin miasta Głogowianie  
zgodzili się chętnie,  
zdrada przez myśl im nie przeszła, wymagali tylko, by cesarz  
złożył im przy-

siege, że jeśli Bolesław przyśle im odsiecz i walczyć z  
cesarzem rozkaże, on  
wróci im synów; cesarz złożył przysięgę, że tak uczyni i  
Głogowianie posłali mu

dziesięciu synów najzamożniejszych rodów, pomiędzy nimi  
był i syn samego  
kasztelana Głogowa. Chłopięta poszły odważnie do obozu  
Niemców, a gdy ich matki  
płacząc żegnały, mówili:  
— Radujcie się raczej, iż syny wasze idą służyć ojczyźnie,  
lubo dziećmi są  
jeszcze.

W kilka dni potem przyszła odpowiedź od króla. Bolesław  
obiecywał, iż niebawem z  
pomocą nadciągnie, polecił bronić się swoim odważnie.  
Głogowianie przesłali natychmiast tę odpowiedź cesarzowi,  
żądając jednocześnie  
zwrotu zakładników; spiesznie zajęli się naprawianiem starych  
murów, oraz  
przygotowaniem środków obrony, jakoż niebawem stanęły na  
murach Głogowa kusze,  
które kamieniami wielkości głowy ludzkiej miały razić  
oblegających, śmigownice,  
oraz inne maszyny, a obok nich stosy kamieni młyńskich,  
kloce drzewa, snopy  
słomy, kadzie ze smołą wrzącą, a między tem wszystkim  
ludzie uzbrojeni w łuki,  
topory i szable... Wszystko było gotowe do obrony, dzień i  
noc pracowali  
Głogowianie, kobiety mężczyznom pomagały, dzieci  
kobietom, czekali tylko powrotu  
zakładników, lecz tych widać nie było, ani też posła, którego  
po nich wysłali.  
Tymczasem ranka jednego, stojący na murach, ujrzeli wielką,  
czarną masę,  
Pełzającą zwolna, jak żółw, ku miastu, masa ta coraz  
wyraźniejsze kształty

przybierała, stawała się coraz dłuższa i dłuższa, aż wreszcie  
poznać było już  
łatwo, że to olbrzymie wojsko Henryka V-go idzie ku Głogo-

wu, a przed wojskiem toczą się ciągnięte przez rosłe konie  
machiny oblężnicze;

kusze i śmigownice, wozy pełne belek i kamieni, tarany o  
głowach żelaznych,

baranie kształtem przypominających, a przy machinach  
własnych synów ujrzeli

przywiązanych powrozami.

Zgroza przejęła ich serca: tak to dotrzymywał przysięgi

Henryk V, wierzyć w tak

haniebną zdradę jeszcze nie chcieli; łudzili się, że cesarz odda  
im dzieci, gdy

pod miastem stanie. Olbrzymie wojska niemieckie dotarły do  
Głogowa, obiewały w

okół jego mury, przed wojskami stanęły maszyny, a na nich  
dzieci Głogowian, lecz

szturmu jeszcze nie rozpoczynano, Henryk V wysłał posła do  
kasztelana grodu,

posłem jego był tym razem goniec, który mu odpowiedź

Głogowian i żądanie zwrotu

zakładników przyniósł, lękał się Niemca posłać. Nieszczęsny  
goniec oświadczył

swym braciom, iż cesarz żąda, aby mu bramy miasta  
otworzyli, że w takim razie

odda im dzieci, w przeciwnym zatrzyma je, bo mu przydatne  
będą, aby oblężonym

ręce bezwładnie opadły, aby nie mieli odwagi rzucać  
pocisków na jego wojsko.

Lecz kasztelan Głogowa bram miasta nie otworzył.  
— Bądź krzywoprzysięzcą i mordercą, my zdrajcami nie  
będziem — taką odpowiedź  
przyniósł poseł cesarzowi.  
Niemcy szturm przypuścili, z kusz i śmigownic poleciały ku  
murom Głogowa  
kamienie śmierć na nich siejąc, padł ten i ów żołnierz tam  
stojący, lecz inni  
wahają się jeszcze. Rzucić na Niemca pocisk to znaczy krew  
własną przelać, wszak  
tam wśród wrogów stoją

ich własne dzieci. Wtem od machin, do których synowie  
Głogowian są przywiązani  
leci jeden okrzyk.  
— Ratujcie Głogów! ratujcie miasto!  
Okrzyk ten do kroku stanowczego skłania ojców, sił im  
dodaje.  
— Bolesławie przybywaj! przybywaj! — jękiem bolesnym  
rozległo się na murach,  
lecz jednocześnie zaskrzypiały stojące tam kusze i kamienne  
pociski spadły na  
Niemców, warczą strzały, prują ze świstem powietrze i godzą  
w serca Niemców...  
padli wszyscy synowie Głogowian, lecz padło obok nich wielu  
najeźdźców, a  
Głogów za to stoi i opiera się mężnie. Bój wrzał zacięty.  
Niemcy nakryci deskami  
podsunęli się pod mury miasta by je podkopać, lecz  
Głogowianie zanurzywszy pęki

słomy w smole, zapalili je i rzucali na wroga, gnietli go  
kamieniami młyńskimi,  
jakie staczali na niego ze swych murów. Niemcy przystawili  
drabiny, wdzierali  
się na nie, by na szczyt murów się dostać. Głogowianie wodą  
wrzącą, lub smołą  
oblewali śmiałków i z drabin uciekali Niemcy; czasem, który  
ze stojących na  
murach chwycił ją zręcznie, przewracał razem z Niemcem, lub  
wciągał na górę i  
brał do niewoli śmiałka, coraz zawzięciej jedni i drudzy  
walczą, coraz więcej tu  
i tam trupów, mijają dni za dniami, słońce się kryje i powraca  
znowu, a Głogów  
wciąż stoi, a bramy jego dla najeźdźców zamknięte.  
Tymczasem nadciągnął Bolesław  
z wojskiem, przyszli z nim Mazowszanie, Chrobaci,  
Szlązanie, Pomorzanie. Polanie  
wszystkie podwładne mu ludy, przyszli i Madziarowie;  
olbrzymie to wojsko  
rozcuciło się szeroko po ziemi Szląskiej i poczęło napadać  
pojedynczemi  
oddziałami, wojska ce-

sarskie zewsząd otoczone zostały, Wtedy sądził Bolesław, iż  
cesarz przekonał się  
dostatecznie, iż nie tak łatwo jest ujarzmić tych, których  
Chrobry złączył w  
jedno państwo i wysłał do obozu cesarskiego posłów, by  
nakłonili cesarza do  
opuszczenia ziemi jego.

— Krwi nie chcę od nich, ino pokoju, bo mi żal poddanych —  
mówił do posłów —  
jeśli dobrowolnie odstąpi od Głogowa, dozwolę mu odejść do  
domu i drogi mu  
tamować nie będę.  
Dowiedziawszy się, iż panowie polscy pragną z nim mówić,  
Henryk V sądził, że  
Bolesław. do pokory się ucieka. Przybrawszy się w płaszcz  
cesarski i koronę  
zasiadł przeto na swym tronie, kazał przynieść skrzynie, w  
których kosztowności  
miał złożone, postawić je obok, kazał hrabiom tron otoczyć i  
tak przyjął  
poselstwo; prowadził je Skarbek z Góry, rycerz wymowny i  
zacny; przystąpiwszy do  
tronu pokłonił się on hardo dumnemu cesarzowi Niemiec i  
temi słowy się odezwał:  
— Oto pan mój Bolesław przysłał mnie do ciebie wielki  
cesarzu i rzec ci kazał:  
"odstap od Głogowa, wróć do ojczyzny, zamiast wojować z  
chrześcijany, wspólnie z  
nami obróć oręż przeciw poganom, których siła jeszcze na  
ziemi, a Bolesław  
Krzywousty z wroga przyjacielem twoim się stanie."  
Lecz cesarz z uśmiechem pogardy posła wysłuchał, gdy  
mówić skończył, wskazał  
ręką na skrzynię pełną złota, przed nim stojącą.  
— Oto mój oręż. którym Polan ujarzmię — rzeki. Zawrzał  
gniewem Skarbek, toż  
cesarz dawał mu do zrozumienia, iż przekupi Polaków złotem,  
Polacy na

złoto nie chciwi, a na zniewagę drażliwi, hardo spojrział poseł  
po wszystkich,

zjął z palca kosztowny pierścień.

— Dodajmyż złoto do złota, — odparł i pierścień rzucił do  
skrzyni.

Potem uderzył ręką po szabli.

— My żelazo wolim — dodał, a wzrok jego więcej mówił,  
wzrok jego groził.

— Habe dank — odparł cesarz.

Skarbek pokłonił się cesarzowi i wrócił do króla i słowa  
Henryka V mu powtórzył.

Obrażony Bolesław postanowił zgnębić nieprzyjaciela, wojna  
trwała dalej, Niemcy

oblegali Głogów, a Polacy nękali ich napadami ustawicznymi,  
tymczasem poczęło

brakować żywności w obozie cesarza, gdyż Bolesław pilnie  
strzegł, aby mu jej nie

dostarczono, głód począł zaglądać do namiotów niemieckich,  
zjawiały się w nich

choroby zaraźliwe, ludzie umierali z niedostatku, z trudów,  
ran, zarazy. Żle

zagrzebywane ciała rozszerzały powietrze trujące, dłużej  
niepodobna było

wytrwać, Henryk postanowił się cofnąć, lecz nocą, cichaczem,  
by nikt sromu jego

nie widział; przebrany w suknie prostego żołnierza, otoczony  
odartem,

wynędziałem rycerstwem uchodził potajemnie, lecz tentent  
kopyt końskich

zdradził go, straż namiotu Bolesława posłyszała hałas, dała znać o ucieczce i puścił się w pogoń król za Niemcami i dogał pod Wrocławiem, tu stoczył bitwę, i klęskę straszną wrogom zadał. Z garstką powrócił Henryk do domu, zmarnował olbrzymią armiją, setki matek niemieckich płakało na niego, pole pod Wrocławiem pokryte było trupami, zwabione zapa-

chem krwi zbiegły się psy z okolicznych wsi i wyprawiły sobie ucztę na owym polu, które dzisiejszego dnia "Psiem polem" nazywają. Odpočząwszy po trudach Henryk V zaprosił Bolesława Krzywoustego do miasta Baniberga, by pokój i przyjaźń z tak sławnym rycerzem zawrzeć. Chętnie pospieszył na to wezwanie Bolesław i pokój zawartym został. Cesarz Henryk V i Bolesław Krzywousty odnowili przymierze, jakie niegdyś Otton III i Bolesław Chrobry z sobą zawarli, prócz tego cesarz królowi panowanie swoje nad Elbą rozszerzać pozwolił, za co Bolesław wydał mu wszystkich jeńców pojmanyh do niewoli w czasie ostatniej wojny.

**STRESZCZENIE CZĘŚCI DRUGIEJ,  
DO WIEKU XII I-GO.**

I znowu wieczoru jednego ciotka Ludmiła zebrawszy nas na  
około stołu, zamiast  
opowiadać zadawała nam pytania; a gwarny to był wieczór,  
tyleśmy ciekawych  
rzeczy dowiedzieli się przez te dwa tygodnie ubiegłe, tak  
każdy chciał się  
pochwalić, iż pamięta, o czym ciocia mówiła, zasłużyć, by  
nadal opowiadała, iż  
każdy chciał pierwszy zabrać głos, ale Marcyś nie dopuścił  
nikogo.

— Wiesz co cioteczko — zawołał, Zaledwieśmy stół obsiedli,  
— gdy dorosnę, to  
pójdę w Karpaty i poszukam

Bolesława Chrobrego, zbudzę go ze snu i poproszę by mi swój  
Szczerbiec pokazał,  
bo mu go anioł pewno wtedy odda, ja bardzo kocham tego  
króla, on był taki  
rozumny, taki dobry, taki waleczny.

Ciocia pogładziła jasną główkę Marcysia.

— Tak, to był największy ze wszystkich naszych królów, —  
odparła.

— Co do mnie bardzo mi się podobał Bolesław Śmiały, —  
odezwała się Adelka, tak  
chętnie wspomagał drugich w niedoli, choć zato żadnej  
nagrody nie otrzymał, a  
potem tak wytrwale pokutował za grzech popełniony...  
Biedny, jedno uniesienie  
gniewu zgubiło go.

— Niestety, jeden krok fałszywy, jeden błąd popełniony gubi nas i czyni nieszczęśliwymi na całe życie, — odparła ciocia; z historii wiele nauczyć się można. Nietylko dowiadujemy się z niej bowiem, jakie ważniejsze wypadki w tem, lub owem państwie niegdyś się wydarzyły, lecz także z życia ludzi możemy czerpać dla siebie naukę. Bolesław Śmiały to przykład dla każdego, jak niebezpiecznym jest, gdy od lat dzieciennych nie nauczymy się panować nad naszym charakterem.

— Ja mam najwięcej sympatii do Kazimierza Odnowiciela, ojca Bolesława Śmiałego.

— rzekła Terenia — ten król, który rzucił spokojne i wygodne życie, jakie wiódł przy matce, by dziedzictwo ratować, który stojąc nad przepaścią państwo dźwignął i uporządkował na nowo; którzy nie zważając na to, że śmierć mu grozi z ręki zbuntowanych poddanych, spieszył by przywrócić porządek w ich ziemi, budzi we mnie cześć i uwielbienie.

— Ach jaka to szkoda, że dziś niema już turniejów, — odezwała się naraz Anielcia, — dałabym Marcysiowi błękitną szarfę, jakby się wybierał na owe turnieje, a gdyby zwyciężył, to ustroiłabym jego hełm wieńcem zielonym. Ciocia uśmiechnęła się.

— Piękne to były zabawy, nie przeczę, — rzekła — jednakże lepiej dzisiejsze mnie się podobają. Teatr, muzyka, książka, rozmowa, czyż to nie miłsza rozrywka; nie można się wszakże dziwić naszym przodkom: w owych czasach prócz księży nikt czytać i pisać nawet nie umiał, więc obmyślano tego rodzaju zabawy, na których nie rozumem, nie talentami się popisywano, ale siłą. Lecz rozpocznę pytania, bo czas ubiega, a chciałabym się dowiedzieć, co też tam w waszych główkach pozostało z tego coście odemnie słyszeli...

— Powiedz mi Jadziu, za czyjego panowania Poanie przyjęli wiarę chrześcijańską i w którym wieku?

— Za Mieczysława syna Ziemowita, potomka Piasta roku , — odparłam dziś tonem zupełnie spokojnym, bo dzisiaj pewną byłam siebie: co wieczór z Terenią powtarzałam, to o czym opowiadała nam ciocia.

— A który z książąt Polan pierwszy królem uznany został? — zapytała znowu ciotka.

— Bolesław Chrobry, syn Mieszka. Roku Otton III cesarz niemiecki, przybywszy do Gniezna, by pomodlić się u grobu Ś-go Wojciecha, zaproszony na ucztę przez Bolesława włożył mu na głowę koronę, mówiąc, iż zasługuje na nią, a r. , Bolesław, otrzymawszy pozwolenie od papieża, odbył uroczystą koronację w Gnieźnie.

— Czy położył jeszcze więcej zasług dla kraju Bolesław? —  
zapytała mnie znowu  
ciotka Ludmiła.

— Jeszcze bardzo wiele — odparłam, — rozszerzył granice  
państwa, które za  
Mieczysława I-go, składało się tylko z Wielkopolski, ziemi  
Łęczyckiej i  
Sieradzkiej, z Mazowsza i Kujaw; Bolesław zdobył Pomorze  
Szląsk i Chrobacją  
białą, czyli ziemię Krakowską i Sandomierską; urządził  
państwo wewnątrz,  
ubezpieczył jego granice, ustanowił urzędników, sprowadził  
zakon Benedyktynów,  
którzy zakładali szkoły, uczyli lud szczepić drzewa i uprawiać  
rolę.

— Bardzo dobrze, — rzekła ciocia, — chodź niech cię  
uściskam.

Zerwałam się uszczęśliwiona, rzuciłam się w objęcia cioci.

— To zasługa Tereni, powtarza ze mną co wieczór, to o czym  
nam mówisz cioteczko,

— wyznałam cicho.

— Powinnaś ją kochać serdecznie, bo dobrą jest bardzo  
siostrzyczką, ta wasza

Terenia, — rzekła ciocia głosem wzruszonym; gdy mnie nie  
będzie wśród was, ona  
opiekunką waszą będzie.

To powiedziawszy wyciągnęła dłoń do Tereni, która tuż obok  
niej siedziała, a

moja dobra siostrzyczka zarumieniona tą pochwałą, z  
pocałunkami do jej ręki się

pochyliła.

— Powiedz mi Tereniu, jak to Bolesław urządził swoje państwo i czem ubezpieczył

jego granice? — zapytała ją ciocia.

Podzielił je na części zwane kastelaturami, — odparła Terenia,

— w każdej

kastelaturze wybudował

gród, a w nim zamek drewniany, w którym osadził kasztelana, temu nadał władzę

sądowniczą i wojenna. dał mu też do pomocy garnizon

wojska; kasztelan miał

sądzić sprawy, karać winnych w swej kastelaturze a w razie

wojny, bronić jej,

lub śpieszyć z pomocą królowi; ubezpieczył państwo

Bolesław przez to, iż na

granicy jego pobudował wiele grodów i zamków obronnych.

— A jakie prowadził Bolesław wojny, prócz wojen, w których zdobywał ziemie

Słowian? — zapytała jeszcze Terenię ciocia.

— Dał pomoc wygnanemu z Kijowa Świętopelkowi, zdobył dlań Kijów roku , a

wjeżdżając do tego miasta na znak zwycięstwa uderzył swym mieczem w złotą bramę

tak silnie, iż miecz się wyszczerbił.

— Wojował też z cesarzem niemieckim Henrykiem II synem Ottona III — uzupełniła

odpowiedź Tereni ciocia. Czesi obrali Bolesława królem, on przyjął koronę, a

cesarz zażądał wówczas, aby mu hołd złożył, bo królowie czescy uznawali się

hołdownikami cesarzy. Bolesław odmówił, rozpoczęła się stąd  
wojna, Bolesław  
zmuszony był z Czech ustąpić, lecz przeniósł wojnę do kraju  
Łużyczan, i tutaj  
odniósł zwycięstwo. Roku cesarz zawarł z nim pokój w  
Budziszynie, na mocy  
którego oddał mu wszystkie zdobycze poczynione w tej  
wojnie między Odrą i Elbą.  
— Teraz Zosia niechaj mi powie, — dodała ciocia  
zwróciwszy się naraz do niej, —  
co się działo w Polsce po śmierci Bolesława?  
— Rządził w niej Mieczysław, syn jego, ale panowanie to  
było nieszczęśliwe,  
napadli nań Czesi i Niemcy,

zbuntowali się Pomorzanie, pokonany umarł z żalu — śmiało  
odpowiedziała Zosia.  
Żona Mieczysława Ryksa no jego śmierci odjechała z  
małoletnim swym synem do  
Niemiec, a w kraju był nieład okropny, powróciło  
bałwochwalstwo, złączone przez  
Chrobrego ziemie poczęły odpadać. Szczęściem, jak tylko  
Każmierz doszedł do lat,  
pośpieszył do Polski i porządek powrócił, a było to roku za co  
Odnowicielem  
go nazwano.  
W oczach cioci, można było czytać zadowolenie, słowem nie  
pochwaliła jednak  
Zosi, tylko jeszcze jedno pytanie jej zadała.  
— Który z synów objął władzę po śmierci Kaźmierz?

— Bolesław Śmiały — odparła zawsze tonem pewnym, -  
prowadził on wojny z Węgrami  
roku , gdzie osadził na tronie strąconego Bełę. z Czechami r. ,  
gdzie  
pokrzywdzonego przez brata Jarosława popierał, roku  
pomagał Izasławowi do  
odzyskania Kijowa.

— Miałam nadzieję, że będziecie mnie słuchać uważnie, —  
rzekła ciocia, — lecz  
przyznaję, iż wasze odpowiedzi są niespodzianką dla mnie,  
bardzo z was  
zadowolona.

— I codziennie więcej będzie ciocia zadowolona, gdyż pochwała  
zachęca, — rzekła  
Terenia.

— A mnie pani nic jeszcze nie pytała — odezwała się  
milcząca dotychczas Emma, —  
i mnie także ciotu-  
niu dodała Magdzia — i nas — tonem zmartwionym, odezwał  
się Marcyś, wzrokiem  
przyjaciela wskazując. Na każdego kolej przyjdzie, nie  
lękajcie się, — odparła  
ciocia, — teraz Marcyś powie mi swoje zdanie:

jak ci się zdaje, czy dobrze dzieje się tam, gdzie pana nigdy w  
domu niema, a

raczej, czy dzieci mogą pozostać bez opieki?

— Nie mogą, bo się pokłócą i pobiją najczęściej gdy są sami,  
— odparł Marcyś.

— Więc czy dobrze działo się w Polsce za rządów Bolesława.  
Śmiałego? Wacio na to

pytanie mi odpowie.

Chłopiec zsunął brwi, nachmurzył się.

— A źle bardzo, — rzekł poważnym tonem, — był nieporządek, kmiecie napadali na domy panów i zabierali im wszystko.

— Dobrze Waciu, dobrze — pochwaliła go najstarsza siostra, nie zdradzając się że

to jej zasługa, bo go uczyła codzień w skróceniu tego co usłyszała od ciotki

Ludmiły, a ciocia nowe pytanie uczyniła.

— Czy nikt nie napominał Bolesława za jego postępowanie.

— Łajał go biskup Stanisław, ale Bolesław nie słuchał, więc biskup go wyklął, za

co król tak się rozgniewał, że go zabił przy mszy świętej.

— Lecz potem żałował tego co uczynił, złożył władzę, poszedł do klasztoru i w

ciężkiej pokucie ostatnie lata życia spędził, — stanęła żywo w obronie swego

ulubieńca Adela.

— A w którym, że to roku ową zbrodnię Bolesław popełnił?

— spytała ją ciocia.

— Koku , — odparła Adelka.

— Któż władzę po nim objął nad państwem?

— Brat jego Władysław, — mówiła dalej Adela, — lecz nie koronował się na króla.

Długi czas, po owej

zbrodni popełnionej przez Bolesława Śmiałego, władcy Polan używali tylko tytułu kneziów.

— Po śmierci Władysława, objął władzę syn jego Bolesław Krzywousty, — odezwała się niepytana Emcia, — był to król waleczny, prowadził on wojnę z Niemcami i pokonał ich roku pod Wrocławiem, przywiódł do posłuszeństwa Pomorze i ostatecznie je nawrócił roku .

— A jaki błąd popełnił Bolesław? — zapytała ją ciocia.

— Rozdzielił państwo między czterech synów z czego długoletnie domowe niezgody wynikły.

— Teraz kolej na Magdzie i na Manie, bo one nic jeszcze nie mówiły, — rzekła ciocia, — Magdzia mi powie, jaką władzę mieli w tej epoce królowie?

— Nieograniczoną: ziemia cała była ich własnością, mieszkańcy jej ich poddanymi

— pośpieszyła z odpowiedzią Magdzia.

— A jakie były wówczas stany w Polsce?

— Urzędnicy, rycerze, kmiecie i niewolnicy: urzędnicy dzieli się na duchownych i świeckich, najwyższy urzędnik duchowny był arcybiskup, potem biskupi, najwyższy urzędnik świecki był wojewoda, potem szli Kasztelani, kanclerz, który kancelaryją miał na dworze króla, podskarbi, który pobierał podatki i do skarbu królewskiego je składał, a podatki te płacono w naturze; rycerze służyli na wojnie, kmiecie rolę uprawiali, niewolnicy rzemiosłami się zajmowali, lub na pańskim zagonie z pługiem chodzili.

A czy w owych czasach posiadał już kto ziemię na własność?  
— zapytała ją ciocia.

— Posiadali, — odparła Magdzia, — królowie zasłużonych urzędników i rycerzy często w nagrodę obdarzali ziemią, którą oni umierając mogli synom swoim przekazywać.

— Teraz niechaj Mania skupi uwagę, — rzekła ciocia łagodnie, — powiedz mi, czy duchowieństwo miało w tej epoce wielkie znaczenie u nas Mania zarumieniła się.

— Bardzo wielkie, — rzekła nieśmiałym głosem — mogli nawet królów karać; gdy im byli nieposłuszni, rzucali wówczas na nich klątwy, to jest zabraniali im uczęszczać do kościoła, przyjmować sakramenta i uwalniali każdego od obowiązków posłuszeństwa względem wyklętego.

— Bardzo dobrze, — odparła ciocia, — lecz przez co doszli oni do takiego znaczenia?

— Bo byli najrozumniejsi w narodzie, — odpowiedziała już śmielej Mania, — oni jedni zajmowali się naukami, królowie zaś i rycerze prowadzili ustawiczne wojny, byli też bardzo pożyteczni, gdyż w ciemnym kraju rozszerzali oświatę.

— Tak jest. Duchowieństwu zawdzięczamy pierwsze promienie światła, które ciemne

umysły Polan rozjaśniły. — rzekła ciocia, — to też królowie wywdzięczając się im, obdarzali ich ogromnemi majątkami, i duchowieństwo było bardzo zamożne w owych czasach, ale też i dużo dobrego czyniło, zakładali księza szkoły, zajmowali się naukami, wpływali na moralność ludu, na wyrobienie wśród niego obyczai mniej surowych.. Ponieważ oświata w tych czasach nisko bardzo stała, więc literatura była też bardzo ubogą; tworzyli

niewiadomi poeci po polsku pieśni rozmaite, księza pisali kazania i modlitwy także po polsku, lub po łacinie, zapisywali ważniejsze wypadki, jakie zdarzyły się w kraju, tacy zwali się kronikarzami. Pierwszy kronikarz pojawił się u nas za panowania Bolesława Krzywoustego nazywał się on Gallus. Pisali też księza i po łacinie wiersze. W Poznaniu do dziś dnia można przeczytać na grobie Bolesława Chrobrego następujący wiersz który wam w polskim języku powiem:  
"Tu leży w grobie księżę chwalebna gołębica, Chrobrym jesteś nazwany, bądź na wieki błogosławiony. W źródle świętem omyty słuگو Boży, ucięte włosy twoje siedmioletniego czasu posłano do Rzymu. Posiadłeś jako zapostnik Chrystusa

państwo Słowian. Cesarz prześwietny chciał ci godności  
książęcej odmówić, temuś  
złożył dary, boć na bogactwach nie zbywało. Chwalebny  
książe tobie chwała,  
najjaśniejszy Bolesławie. Zrodzony z niewiernego ojca, lecz z  
prawowiernej matki  
zawojowałeś ziemię. Dla dobrej sławy dał tobie Otto koronę.  
Dla pieczy nad nami  
bądź zbawion."

Tak więc i tego wieczora, chociaż pytania tylko zadawać  
miała dobra nasza ciotka  
Ludmiła, usłyszeliśmy jednak coś nowego; następnych  
wieczorów dalsze wypadki  
opowiedziała nam znowu.

## CZEŚĆ TRZECIA.

### I.

#### LESZEK BIAŁY.

W dawnych bardzo czasach nad Wisłą i Sanem, tam gdzie  
niegdyś te rzeki się  
łączyły, stało miasto drewniane, bo takimi były wszystkie  
wówczas, zwało się  
ono w owym czasie Sudomir, nazwę tę zmieniono z czasem na  
Sandomierz. Na wzgórzu  
wznosił się zamek drewniany, otoczony murem i fosą, długi  
wąwóz wiódł do bramy  
wjazdowej W owym zamku lat kilka, przemieszkiwał wnuk  
Bolesława Krzywoustego

Leszek, dla jasnych włosów zwany Białym, a z nim matka jego Helena i brat Konrad.

Bolesław Krzywousty podzielił swoje państwo między czterech synów; Piastowie uważali państwo za dziedzictwo swoje i wedle upodobania nim rozporządzali, więc Krzywousty, jak dziedzictwem podzielił je między swych synów, tylko najmłodszemu Kaźmierzowi

nie zapisał. Najstarszy Władysław dostał ziemie: Krakowską, Sieradzką, Łęczycką, Szląsk i Pomorze; drugi z kolei Bolesław Kędzierzawy: Mazowsze i Kujawy, ziemie Dobrzyńską i Chełmińską, leżące na północ Mazowsza; Mieczysław zwany Starym: Wielkopolskę, Henryk ziemie Sandomierską i Lubelską, ziemie te wkrótce dostały się wszakże Kazimierzowi, którego ojciec pominął testamentem. Henryk zginął w walce z dzikimi Prusakami, którzy ustawicznie Mazowsze najeżdżali, a ponieważ syna nie zostawił, przeto odziedziczył jego część najmłodszy z braci Kazimierz. Władysław otrzymał najwięcej ziemi, lecz i najważniejsze obowiązki włożył na niego umierający ojciec. Miał on rozciągać opiekę nad młodszymi braćmi, bronić

ich w razie napadu nieprzyjaciół, czuwać w każdej chwili nad nimi, dzielnica jego tak była położoną, iż graniczyła z dzielnicami wszystkich braci, aby mu łatwiej było czuwać nad nimi i odwiedzać ich. Prócz obowiązków względem braci, miał jeszcze Władysław obowiązki względem własnej ziemi: mu siał strzedz jej granic od napadu sąsiadów, te obowiązki miał każdy z synów Bolesława, a prócz tych młodszy winni byli posłuszeństwo najstarszemu i w razie niebezpieczeństwa mieli spieszyć mu z pomocą. Takimi obowiązkami połączone były rozdzielone przez Krzywoustego testamentem części wielkiego państwa Chrobrego i gdyby synowie ściśle ojca wolę byli spełniali, państwo to tworzyłoby jedną potężną całość, lecz niestety, niezgoda, owa wada narodowa Polan, rozdzieliła je i omal do upadku nie przywiodła. Zaledwie umarł Krzywousty, podniosły się wśród jego sy-

nów kłótnie, które rozdzieliły na długo potężne wielkie państwo Chrobrego. Władysław II, podburzany przez chciwą żonę Agnieszkę, siostrzenicę cesarza Henryka V chciał braciom zabrać ich ziemie i sam całym państwem rządzić bez współdziałania drugich, nie pozwolili na to panowie, którzy w owe czasy już do

pewnego znaczenia doszli i nieraz opór królom stawiali,  
powstała stąd wojna  
domowa, pokonany Władysław uszedł do Niemiec i tam  
wezwał pomocy cesarza  
Fryderyka Rudobrodego, tymczasem panowie oddali ziemię  
Krakowską, a z nią i  
powagę, jaką posiadał Władysław młodszemu z braci  
Bolesławowi. Wsparty przez  
cesarza Niemiec Władysław wypowiedział wojnę  
Bolesławowi i pokonał go, mimo to  
panowie nie oddali mu ziemi Krakowskiej, do końca życia  
siedział w niej  
Bolesław, a gdy umarł wezwali do Krakowa trzeciego z kolei  
brata Mieczysława,  
Władysławowi oddali tylko Szląsk, który od tego czasu odpadł  
od Polski; inne  
ziemie połączyły się z czasem z Krakowską, Szląsk nigdy.  
Mieczysław niedługo siedział w ziemi Krakowskiej dumny,  
chciwy upokarzał panów i  
nakładał ciężkie podatki na wszystkich, zniechęceni poddani  
odebrali mu władzę  
najwyższą, a wezwali do Krakowa najmłodszego z synów  
Krzywoustego —  
Kazimierza... Kazimierz potrafił zyskać serca poddanych  
otrzymał nawet przydomek  
Sprawiedliwego. Z braćmi żył też w zgodzie, błysnęła  
nadzieja, że pokój  
nastanie, lecz niestety Kazimierz umarł młodo i zostawił po  
sobie dwóch  
małoletnich synów, z których starszy Leszek liczył za ledwie

lat Mimo to panowie ziemię Krakowską oddali Leszkowi,  
postanowiwszy, że póki  
książę do pełnoletności nie dojdzie, razem z matką jego  
Heleną czuwać będą nad  
nim i nad całem państwem. Niezadowolony z tego  
postanowienia Mieczysław  
wypowiedział panom wojnę, niepokoje domowe znowu  
państwo niszczyły; pokonanym  
wprawdzie został Mieczysław, mimo to nie wyrzekł się  
jeszcze nadziei odzyskania  
ziemi Krakowskiej. Widząc, że mieczem nic nie dokaże,  
począł namawiać Helenę,  
aby mu opiekę nad państwem i synem oddała, przedstawił jej.  
że panowie nigdy  
Leszka do całkowitej władzy nie dopuszczą, że choć on  
dorośnie zechcą ją z nim  
dzielić, on zaś, dostawszy się na zamek krakowski dumę ich  
upokorzy, władzę  
ukróci, a gdy Leszek dorośnie odda mu koronę taką, jaką nosił  
Chrobry, władze  
pełną, samodzielną.  
Uwierzyła Helena Mieczysławowi, dobrowolnie oddała mu  
opiekę nad państwem i nad  
synami, lecz niebawem przekonała się, jak wielką popełniła  
pomyłkę. Mieczysław z  
każdym dniem jawniej pokazywał, iż nie myśli władzy  
oddawać Leszkowi, że syna  
swego Władysława na następcę przygotowuje.  
Obrażona Helena usunęła się do Sandomierza, dziedzictwa  
synów, tam wiodła życie  
we łzach i smutku, tam wychowywała Leszka i Konrada.  
Wtem dobrowolnem wygnaniu

pocieszycielem jej i doradcą, był stary wojewoda, przyjaciel jej męża, Goworek, którego dzieci, mianowicie starszy Leszek, serdecznie pokochały.

Minęło lat parę od wyjazdu Heleny z Krakowa, Mieczysław wciąż siedział na zamku krakowskim i opie-

kę nad całym państwem sprawował. Było to roku : dnia jednego służba zamkowa dała znać Helenie, że z Krakowa przysłani posłowie chcą widzieć jej syna.

Przybrawszy szaty uroczyste, Helena podążyła do sali godowej w towarzystwie synów i wojewody. Niebawem rozległy się w izbie sąsiedniej kroki idących,

Goworek pośpieszył naprzeciw, Helena siadła, by panów powitać, w progu komnaty stanęli panowie krakowscy, przed nimi pachole, które dźwigało poduszkę szkarłatną, a na niej berło i koronę książęcą. Ujrawszy Leszka, który stał przy matce, panowie zbliżyli się do niego i korny ukłon mu złożyli, potem matce i bratu.

— Synu Kazimierza Sprawiedliwego — przemówił jeden — oto przychodzimy z błaganiem do ciebie; stryj twój Mieczysław nie żyje, ziemia Krakowska osierocona, przyjmij koronę i berło, panuj nam mądrze i sprawiedliwie, jak

ojciec twój panował. Jest co prawda w Krakowie brat twój  
Władysław Laskonogi,  
syn zmarłego, lecz ojciec jego był nam niemiłym, tobie więc  
władzę powierzamy, o  
jedno tylko prosimy nie bierz ze sobą do Krakowa wojewody  
sandomierskiego, bo z  
tym nie życzy sobie widzieć się Mikołaj Pełka, wojewoda  
krakowski.

Na te słowa twarz Leszka, która wyrażała przychyłność dla  
posłów zmieniła się  
nagle.

— Chcecie bym zdradą kupił koronę krakowską — rzekł z  
gniewem — niewdzięcznością  
względem najszczęśliwszego przyjaciela, tego syna Kazimierza  
Sprawiedliwego nie  
uczyni. Niechaj brat mój Władysław wam panuje.

Próżno prosił Goworek, próżno błagali panowie, by korony  
nie odpychał. Leszek  
postanowienia nie zmienił, wrócili posłowie bez syna  
Kazimierzowego do Krakowa i  
Władysław Laskonogi, syn Mieczysława Starego koronę  
otrzymał, niedługo cieszył  
się nią wszakże.. Gdy roku Roman, książę Halicza, wpadł na  
ziemię.

Sandomierską z wojskiem, a Leszek wyszedł przeciwko  
niemu i sławą bohatera się  
okrył, panowie polscy, którzy z rządów syna Mieczysława  
Władysława, zwanego

Laskonogim byli niezadowoleni, zwrócili się powtórnie do niego z prośbą, by koronę przyjął i nie żądali już teraz zerwania stosunków z Goworkiem.

Leszek przyjął ofiarowaną godność, a Władysław dobrowolnie z ziemi Krakowskiej się usunął. Panował lat kilka Leszek na ziemi Krakowskiej szczęśliwie. Roku wybrał się on na Pomorze, aby odnowić połączenie tej ziemi z dzielnicą Krakowską, gdyż pogłoski biegały, że Pomorzanie oderwać się chcą od Polski, oddał rządy tej ziemi Świętopelkowi herbu Gryf, żądając, aby hołd mu składał, lecz świetopełk, za ledwie Leszek się oddalił, począł knuć spisek, by Pomorze niezależnym uczynić. Leszek zwołał zjazd do Gąsawy, chcąc z książętami i panami uradzić co czynić; przybyli: Władysław Laskonogi — książę Wielkopolski, Henryk Brodaty — książę szląski, Konrad — książę mazowiecki, oraz mni. Przed obradami Leszek udał się do łaźni, wtem dają mu znać, iż Świętopełk wpadł do Gąsawy na czele dojnego oddziału. Ratując życie, wskoczył na konia i uciekać postanowił, lecz poznali go napastnicy,

dognali i zabili we wsi Marcinkowie. Inni książęta szczęśliwsi byli, uszli

szczęśliwie. Świętopełk uznał się niezależnym księciem Pomorza.

II.

## Z HISTORYI HALICZA ()

Już śniegi dawno stopniały, na urodzajnych niwach Halicza,  
wiatr wiosenny  
potrąca trawami, czarne skiby w majową zieleń się ustroiły,  
białe motyle unosząc  
się nad nimi kapią delikatne swe skrzydła w promieniach  
słonecznych, a wyżej  
jeszcze nad nimi wzbija się skowronek i nuci radośnie, bo któż  
wiosną się nie  
cieszy. Za zielonemi polami widać srebrną wstęgę wijącą się  
krętym szlakiem, to  
rzeka Łukiew. Płyńie ona cicho i spokojnie, w jej nurtach setki  
ryb się  
pluszcze, a nad jej brzegami tysiące kwitnie niezabudek; dalej  
zaś jeszcze za  
rzeką widać skupionych kilkadziesiąt domów, wśród nich  
świecą okrągłe kopuły  
cerkwi, nad nimi góruje zamek drewniany o wysokich  
wieżycach. Wznosi się on na  
wzgórzu, mur obronny go otacza a na murze stoją działa;  
baszty sterczą ponuro ku  
niebu. Rzeka Łukiew i Dniepr wspaniały, szeroki, z którym ta  
ostatnia się łączy,  
a który tuż koło zamku toczy swe

-----

() Księstwo Halickie, czyli dzisiejsza Galicyja.

wody, utrudniają przystęp. To zamek książąt halickich czuwa nad miastem, strzeże go od napaści wrogów. Niejednych już klęsk doznał Halicz, napady Tatarów, wojny domowe, nieraz dotkliwie czuć mu się daty, lecz dziś nikomu smutne myśli w głowie nie goszczą, dziś Halicz się raduje, bo nadzieja pokoju dlań błysnęła..

Zaledwie ranek zawitał, tłumy ludu wysypały się na rynek miasta i rozdzieliwszy się, utworzyły dwa żywe szpalery, drogę wolną w pośrodku zostawiając. I ozwały się dzwony cerkwi Halicza, a lud skupiony na rynku poruszył się niespokojnie i z dwóch tych mas wybiegło jedno wołanie:

— Jada! już jada!

Jakoż w istocie na rynek miasta wkroczył orszak wspaniały, przodem na białych koniach dwoje dzieci widać. Jedno z nich to Koloman, syn króla węgierskiego, którego Haliczanie na tron powołali; drugie, to żona Kolomana, Salomea, córka Leszka Białego, księcia krakowskiego, on strój węgierski ma na sobie, ona białą szatę perlami szytą, oboje lat dziesięcju jeszcze nie dobiegają. Taż przy nim na rośłym czarnym koniu w szatach świątecznych jedzie biskup Ostrochowski, tuż przy niej Wincenty Kadłubek, biskup krakowski, za nimi tłum panów ruskich, polskich i

węgierskich, wszyscy świecą od złota, drogich kamieni i szat jedwabnych.

Pomiędzy panami pierwsze miejsce zajmuje podskarbi, ten Pychotą idzie, przy nim małe pacholę niesie naczynie pełne złota, podskarbi sięga dłonią po pieniądz rzuca go ludowi, a lud chciwie złoto chwyta i wola: Niech żyje Koloman książę Halicza! niech żyje Salomea!

Za panami rycerstwo dąży, za tymi kolasy z dworem niewieścim, za kolasami muzykanci, potem służba potem jeszcze wozy wyładowane. Cały ten orszak minąwszy rynek wtoczył się na dziedziniec, tu Koloman, Salomea, panowie i rycerzu posiadali z koni i ku kaplicy podążyli, służba i wozy na dziedzińcu pozostały. W kaplicy gorejącej od świateł tysiąca, czekał na książęca parę biskup w świąteczne szaty przybrany, otoczony duchowieństwem. Powitawszy Kolomana i Salomeę pobłogosławił ich związek małżeński, a potem na godność królewską namaścił, gdyż Koloman taki tytuł przybrał. Właśnie kładł koronę na młodziutkie czoło Kolomana, gdy jakiś hałas rozległ się w świątyni. Czyjeż to kroki zadźwięczały na kamiennej posadzce kaplicy i zgłuszyły słowa przysięgi, jakie Koloman wymawiał, iż dobrym będzie i troskliwym o los

poddanych. Wszystkich spojrzenia zwróciły się w stronę skąd  
hałas szedł, lecz  
biskup nie przerwał koronacyi, a Koloman przysięgi  
dokończył.  
Środkiem kaplicy kroczył rycerz olbrzymiej postawy, cały w  
żelazo przybrany,  
prawica jego żelazną rękawicą przybrana spoczywała na  
rękojeści szabli,  
przyłbicę miał spuszczoną. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie  
orszak książęcy był  
zebrany, stanął nieruchomy i wyglądał jak posąg spiżowy.  
Koronacja się odbyła, paziowie ujeli końce płaszczy  
królewskich, Koloman i  
Salomea otoczeni panami ku podwojom świątyni się  
skierowali, olbrzymi rycerz nie  
ruszył się z miejsca, rzekłbyś wrósł w ziemię, lecz gdy  
królewska para tuż przy  
nim stanęła, naraz

dał znak życia, podniósł rękę do hełmu, przyłbicę odsłonił i  
ponure spojrzenie  
rzucił na to dwoje dzieci, one zdziwiony wzrok podniosły na  
niego, nieznanym był  
im ten rycerz całkiem, znało go jednak wielu z orszaku, wśród  
panów podniosły  
się szepty:  
— Mścisław Mścisławowicz.  
A ci co go poznali, nie bez trwogi wymawiali to imię:  
Mścisław Mścisławowicz  
"Zuchowatym" zwany, lub Rycerzem błędnym znanym był  
dobrze, jako dzielny wojak,

lubiący nieść pomoc wszystkim uciśnionym.  
Ród Ruryka od lat dawnych panował w Haliczu. Pod koniec  
wieku XII został  
księciem Halicza Roman II, pan srogi, okrutny, który w  
nieładzki sposób  
obchodził się z bojarami: zakopywał ich żywcem, ćwiertował,  
setki na śmierć  
skazał; wojowniczego ducha, wiódł przytem ustawiczne  
wojny, r. wybrał się  
na wyprawę przeciw Sandomierzowi, lecz z tej wyprawy nie  
powrócił, poległ pod  
Zawichostem, pokonany przez Leszka Białego.  
Zostawił on po sobie dwóch małoletnich synów, znaczna  
część Haliczan, lękając  
się, by synowie, równie jak ojciec nie uciskali ich, powołali na  
tron królewicza  
węgierskiego, który miał córkę Leszka Białego za żonę;  
Leszek Biały dał im  
zbrojną pomoc i młoda para wkroczyła do Halicza i  
ukoronowaną została.  
Lecz wielu było niezadowolonych z tego wyboru, na czele tej  
partyi stał Mściśław  
Mściśławowicz, który oświadczył, iż bronić będzie sprawy  
synów Kowana, bo im się  
tron Halicki należy.  
Zjawienie się niespodziane błędnego rycerza w kaplicy  
podczas koronacyi,  
przypomniało stronnikom Ko-

lomana groźbę Mściśława i zatrwożyli się o los młodego  
króla; lecz uczta do

jakiej zasiedli wróciwszy na zamek, zatarła niemiłe wrażenie,  
zapomnieli o  
spotkaniu z Mścisławem.

Wkrótce jednak sam przypomniał się im Mścisław  
Mścisławowicz. Zebrawszy  
stronników, obiegł Halicz i po kilku dniach szturm zdobył  
go; Koloman i Salomea  
schronili się do warownego kościoła Panny Maryi, lecz rycerz  
błądny głodem  
zmusił ich do poddania się, wziął do niewoli, i lat kilka w  
więzieniu trzymał.

Andrzej, król Węgierski i Leszek Biały, książę Krakowski  
dowiedziawszy się o  
losie swych dzieci, zbrojno upomnieli się o nie, Mścisław  
Mścisławowicz wypuścił  
ich z więzienia lecz tronu nie oddał, osadził w Haliczu Daniela  
Romanowicza.  
który z czasem stał się jednym z najślawniejszych książąt  
Ruskich.

Księstwo Halickie stanowiło niegdyś część Wielkiej  
Chrobacy, jaka leżała na  
południe W. Polski, której północno-zachodnią część zdobył  
Bolesław Chrobry i z  
państwem swoim połączył. Chrobacyja dzieliła się na Białą i  
Czerwoną. Skąd  
powstały te nazwy, różnie tłumaczą: jedni wywodzą je stąd, iż  
niegdyś mieszkańcy  
wschodniej Chrobacyi czerwone suknie nosili; drudzy, iż dla  
tego tak ją nazwano,  
bo najślawniejszym miastem w niej był Czerwony gród; inni  
dowodzą, iż  
najeżdżana przez sąsiadów, broczona krwią przybrała z tej  
przyczyny nazwę

Czerwonej. Ziemia Halicka wchodziła, w skład Chrobacyi Czerwonej, nazwa jej pochodziła od miasta Halicza, które było w tej części Chrobacyi najważniejszym.

Chrobaeyja zdobyta przez Włodzimierza Wielkiego wcieloną zostaią do jego państwa, lecz w wieku dwunastym po śmierci Jarosława Mądrego, syna i następcy Włodzimierza, który państwo swe między sy w którym ród Rurykautworzyła niezależne państwo, nów podzielił, długo panował.

### III. TATARZY.

Od lat kilku biegały już pogłoski o bliskim napadzie Mongołów, czyli Tatarów. Lud ten nie był jeszcze znany Polakom, lecz tyle się o nim nasłuchali, iż zdawało się wszystkim, że go znają dobrze, nieraz bowiem nawiedzili Tatarzy sąsiednie. Polakom państwa ruskie i z podań, jakie stamtąd do nas przeszły utworzyli sobie pojęcie o tych dzikich mieszkańcach Azyi środkowej, którzy od wieków tam osiedleni prowadzili, życie Koczownicze, zajmowali się mordem, a podbiwszy różne Pokolenia w Azyi nawiedzać poczęli Europę.

Na wspomnienie Tatarów truchleli starzy i młodzi, bladły  
kobiety, mężczyźni zęby  
zacinali... Imieniem tatarów matki dzieci straszły.. Srodzy,  
okrutni, dzicy, tak  
wstrętną mieli powierzchowność, jak straszne obyczaje.  
Twarze mieli szerokie,  
nosy płaskie, oczy niby szpary, cerę brudno śniadą... Kozuchy  
na wierzch wełną

wywrócone, kołpaki baranie na głowie, na plecach dwa lub  
trzy łuki i sajdak  
pełen strzał zatrutych, u boku topór i szabla krzywa, w ręku  
nahajką na konia —  
oto był strój i przybór wojenny Tatarów; koniki ich małe  
niezmiernie zwinne były,  
to też gdy wpadli do miasta, lub wsi, trudno było uciec przed  
nimi, dognali  
najczęściej. Pożywieniem ich było mięso końskie, którego nie  
piekli, ani  
gotowali, tylko urznawszy kawał kładli pod siodło i póty na  
nim jeździli, aż  
skruszało, za napój służyło im mleko końskie.  
Podbiwszy liczne pokolenia Azji, utworzyli tam olbrzymie  
państwo, które  
zajmowało dwa razy większą przestrzeń, niż cała Europa.  
Władzca ich, pan, zwal  
się chanem, był on zarazem dowódcą na wojnie, prorokiem i  
prawodawcą, celem ich  
życia były podboje, sławą największą mordy i pożogi;  
powiadano o tych chanach,

że po każdej bitwie stoczonej, kazali poległym wrogom głowy  
ucinać, zbierać je  
do worów i z głów tych następnie stawiali w swem państwie  
wieże, a im większą  
chan wystawi! taką wieżę, tem większą była jego sława, tem  
głośniej i lepiej o  
nim poddani jego mówili... Chanowie głosili, że jak jeden Bóg  
jest im niebie,  
tak z czasem będzie jeden tylko chan na ziemi.  
Najsławniejszym z chanów tatarskich, królem królów był  
Dżyngischan, po nim zaś  
wnuk jego Batuchan. Otóż mówiono, że ów Batuchau ciągnie  
z Azyi do Europy, z  
olbrzymią orda, czyli wojskiem; że wiedzie ze sobą  
nieprzeliczoną ilość koni.  
aby gdy jedną się zmęczą mieć drugie do zmiany,  
nieprzeliczoną ilość machin  
obłętniczych, wozów z żywnością, toporami i strzałami, że  
ziemia drży pod  
ciężarem, jaki dźwigi

a rzenie koni, ryk wielbłądów, krzyki Mongołów tworzą  
razem tak ogłuszający  
bałas, że na mile nikt słowa ludzkiego nie rozumie.  
Było to roku : księciem krakowskim był wówczas Bolesław  
syn Leszka Białego.  
Właśnie zbliżały się święta Bożego Narodzenia; Kunegunda,  
żona Bolesława  
obchodzić je chciała uroczyście, dobra i pobożna wielce,  
cieszyła się, gdy komu

sprawiła radość, więc zamierzała w tym roku wyprawić na  
zamku krakowskim  
wigilią dla wszystkich ubogich i rozpoczęła już  
przygotowania do tej  
uroczystości. Pieczono ciasta, znoszono z klasztorów opłatki,  
gdy dobiegła  
wieść, że Batuchan z olbrzymią orzą wkroczył w granice  
księstwa Ruskiego,  
zburzył Kijów i podzieliwszy swe wielkie wojsko na części,  
sani na czele jednego  
z oddziałów ku Polsce skierować się zamierza. Strach, jaki  
ogarnął wszystkich,  
odjął ochotę do uroczystości, zaniechano przygotowań do  
wigilii, a innemi się  
zajęto: przygotowaniami na przyjęcie wroga.  
Był w skarbcu królewskim posąg żony Bolesława złożony;  
Kunegunda, córka Beli IV,  
króla węgierskiego, wychodząc za mąż bogate wiano od ojca  
dostała w zlocie,  
klejnotach i szatach wspaniałych, gdy teraz przyszła wieść o  
zbliżaniu się  
Tatarów, prosiła męża, aby, jeśli potrzebować będzie  
pieniędzy, brał z jej  
skrzynki ile zechce.  
Wszakże żoną twoją, matką tego ludu jestem, — mówiła —  
co moję to nasze, to  
państwa całego, żałować nie będę, choćby wszystko, co mam,  
poszło na potrzeby  
kraju.

Tymczasem minęły święta spokojnie, zapusty również,  
Tatarzy nie przyszli,  
krążyły wszakże ustawicznie pogłoski, o okrucieństwach,  
jakich dopuścili się na  
ziemi Ruskiej i Węgierskiej, gdzie jeden z oddziałów już  
wkroczył, ile miast i  
wsi złupili. ilu ludzi wymordowali, ilu do niewoli  
uprowadzili... Starców i  
niemowlęta Tatarzy zwykle zabijali, kobiety i dzieci starsze  
zabierali ze sobą  
aby im służyły, często też mężczyznom w sile wieku  
darowywali życie, a to  
dlatego, by wskazywali im drogę po kraju, którego nie znali i  
łatwo zbłądzić w  
nim mogli, jeńców tych, by im nie uszli, powrozami do swych  
koni przywiązywali.  
Była to niedziela pierwsza wielkiego postu: Bolesław V,  
pobożna jego żona  
Kunegunda i matka Grzymisława, dwór cały udali się do  
kościółka na nabożeństwo,  
zbiegł i lud cały, wszyscy gorąco się modlili o odwrócenie  
nieszczęścia, gdy  
wtę w kościele rozruch się zrobił, ktoś bowiem wpadł z  
wieścią, iż dnia  
trzynastego lutego w sam popielec, a zatem trzy dni temu  
Ratuchan wpadł z orzą  
swoją do Sandomierza, spalił miasto, ludność w części  
wymordował, w części do  
niewoli pojmał, a teraz wzdłuż wybrzeży Wisły szerzy dalej  
śmierć i pożogi.  
Jęki i płacz rozległy się w świątyni, każdej chwili mieszkańcy  
Krakowa mogli

takiego samego losu się spodziewać, mimo to ksiądz mszę  
odprawiać dokończył,  
dopiero po odbytem nabożeństwie Bolesław wezwał panów na  
radę do zamku.

Postanowiono uzbroić hufce i wyjść naprzeciw wroga;  
grzywny węgierskie, jakie  
znajdowały się w skrzyni, która zawierała posag Kunegundy  
dostar-

czyły broni i zbroi, niebawem hufce były gotowe Bolesław V i  
krewny jego

Bolesław, syn Konrada brata Leszka Białego, stanęli na czele  
wojska, książęta

postanowili nie dopuścić Tatarom przejścia przez Wisłę,  
posunęli się przeto

wzdłuż brzegów tej rzeki ku Lublinowi, lecz Tatarzy nie  
zjawiali się jakoś. Już

Bolesław począł przypuszczać, że pogłoski są mylne, gdy dnia  
jednego dzikie

wrzaski Ała! Ała! jakie rozległy się w powietrzu, oznajmiły  
czekającym, że

wróg się zbliża. Niebawem ukazały się pierwsze oddziały; nie  
był to jeszcze sam

Batucban, lecz jego wodzowie, którzy ze swą drużyną  
potężnemu królowi królów

drogę torowali.

Rzeka nie była zamarznięta, wkroczywszy w jej nurty  
uczepieni jeden za drugim za

ogony końskie, przebyli ją Tatarzy i na przeciwny brzeg się  
dostali. Tutaj

czekał na nich Bolesław, starły się wojska chrześcijańskie z  
mongolskimi, bój  
srogi zawrzał; wprędce przekonał się Bolesław, że wszystko,  
co słyszał o  
okrucieństwie i zřeczności Tatarów w bitwie, prawdą jest jak  
najwierniejszą;  
pobity, złamany, straciwszy mnóstwo rycerzy, w ucieczce  
szukał ratunku, schronił  
się do Krakowa, gdzie niespokojne o niego matka i żona,  
oczekiwały go  
niecierpliwie.  
Na wieść o poniesionej klęsce zbiegło tu wielu mieszkańców z  
okolicznych i  
dalszych wsi, oraz miast, schronienia przed dzikimi  
najeźdźcami szukając; ksiązę  
zwołał znowu radę, Kunegunda dobyła klejnoty i nowe hufce  
stały, ci co  
schronili się do miasta, mówi że Tatarzy idą na Kraków i po  
długich naradach  
mimo klęski już raz poniesionej postanowili po-śpieszyć  
znowu na spotkanie  
wroga; ruszył hufiec

zbrojny, a na jego czele szli tym razem Włodzimierz  
wojewoda Krakowski, Klimunt  
kasztelan, Pokosław i Jakób Raciborowicz kasztelan i  
wojewoda Sandomierski,  
Bolesław pozostał w Krakowie. Na pół drogi pod Wiślica, pod  
wsią Cbmielnikiem  
wojsko chrześcijańskie rozłożyło się obozem i tu  
nieprzyjaciela oczekiwac

postanowiło...

Dzień za dniem schodził, Tatarów nie było widać,  
niecierpliwość poczęła ogarniać  
rycerstwo, woleliby raz zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy,  
niżeli tak codzień  
czekać, a wyobrażać sobie, jakie olbrzymie siły spaść na nich  
mogą lada chwila.

Luty już minął, połowa marca dobiegała, Tatarów nie było, aż  
wreszcie w

niedzielę Białą, ostatnią przed Palmową zjawili się, lecz  
przyszli w tak

szczupłej liczbie, iż rycerstwo postanowiło zaraz na nich  
uderzyć, wodzowie dali

hasło do bitwy i natarły hufce polskie śmiało, dzielnie na tę  
dzicz okrutną, a

Tatarzy zaraz prawie cofać się poczęli, a potem pierzchać;  
rycerstwo polskie

puściło się za nimi w pogoń, lecz gdy w dobrej wierze ściga i  
siecze wroga, goni

go strzałami i cieszy się zwycięstwem, naraz po za sobą słyszy  
dzikie wrzaski...

Część tylko ordy wysłał Batuchan przodem, z resztą ukryty w  
gąszczy oczekiwał

dogodnej pory, do uderzenia, i kiedy nierozważni rycerze  
polscy puścili się w

pogoń za uciekającymi, którzy w istocie ucieczkę tylko udali,  
rzucił się na nich

z tyłu, tamci zaś zwrócili nagle swe konie z powrotem i oto  
rycerstwo ujrzało

się naciśnięte z dwóch stron przez nieprzyjaciela... Walka  
długą być nie mogła:

pod gradem strzał spadających na nich z dwóch stron ich  
siekących, polegli

wszyscy wo-

dzowie i żołnierze, wszyscy zasłali pole ciałami i krwiaje obleli.

Uradowany odniesionem zwycięstwem Batuchan pod Kraków pociągnął, lecz zanim tu

doszedł, pierwiej dobiegła do starego grodu wieść o klęsce Chmiełnickiej, kto o

niej doniósł, czy bój miał świadka, i ten ostrzedz braci pośpieszył, czy któryś

z rycerzy uszedłszy z życiem dopadł do miasta pierwiej nim Tatarzy, o tem nic

powiedzieć pewnego nie można, dość, że powiadomiony o klęsce Bolesław i o tem,

że zwycięski Batuchan ciągnie ku Krakowu, zdążył jeszcze za pozostałe w skrzyni

Kunegundy klejnoty uzbroić nowy hufiec, pod którego osłoną razem z żoną, matką i

dworem całym poszedł w Karpatach szukać schronienia, zabrawszy ze sobą, co mógł

z zamku Wawelskiego. Za jego przykładem mieszkańcy Krakowa tłumnie poczęli

opuszczać stary gród: bogatsi uchodzili za granicę, biedniejsi kryli się bliżej

po lasach okolicznych, a każdy zabierał z domu, co tylko mógł unieść, lub w

ziemi mienie swe zakopywał.

Batuchan nic i nikogo nie zastał w Krakowie, garstka tych, co spóźniła się w

ucieczce, schroniła się do kościoła Ś. Andrzeja w pobliżu zamku się wznoszącego

i tu się obwarowała. Tatarzy przypuścili szturm co kościoła,  
lecz gdy spotkali  
zacięty opór, podpalili miasto i poszli dalej rozszerzać  
zniszczenie i śmierć;  
doszli aż na ziemio Szląską, tu czekał na nich książę  
wrocławski Henryk Pobożny,  
wnuk Władysława II, A z nim mieszkańcy Szląska i wielu z  
tych, co uszło ziemi  
Krakowskiej oraz Sandomierskiej, a nie chcieli być  
bezczyнными, więc zamiast  
kryć się w górach, lub

za graucą, zebrali się koło księcia Henryka, by służyć  
ojczyźnie.  
Pod miastem Lignicą stoczony został bój krwawy polegli  
wszyscy rycerze polscy,  
poległ i sam Henryk Pobożny, lecz Batucban taką klęskę  
poniósł, tylu ludzi  
stracił, iż opuścił wreszcie Polskę i poszedł połączyć się z  
resztą swej ordy do  
Węgier, a stąd już do swego państwa podążył.  
Straszny obraz spustoszenia przedstawiało po ich odejściu  
państwo Chrobrego:  
wszędzie zgliszcza i popioły, wszędzie pustka głucha, ptactwo  
nawet odbiegło dla  
braku żeru. Nie tak łatwo ludzie odważyli się wrócić do  
porzuconych wiosek i  
miast, wspomnienie Tatarów zatrzymywało jeszcze długo  
wśród lasów i gór  
zbiegłych; żywili się korzonkami i roślinami, a ziemia leżała  
odłogiem,

warsztaty zniszczone, były bezczynne, a miasta w gruzach  
stały. Aż wreszcie głód  
uczucie strachu pokonał, wrócili powoli ludzie z wygnania,  
powrócił i Bolesław z  
żoną, matką i dworem, i powoli dźwignęły się miasta z  
gruzów, warsztaty  
zawarczały, pola zaszumiały zbożem; gdzie brakło rąk do  
pług, lub rzemiosła,  
tam Bolesław sprowadzał obcych osadników i kraj się znów  
zaludnił, zatarły się  
klęski, zagoiły rany, czegoż to praca i silna wola ludzka nie  
dokona?  
Drugi podobny napad Tatarów zniszczył znów Polskę w r. za  
rządów Leszka  
Czarnego, który po śmierci Bolesława otrzymał ziemię  
Krakowską: był to wnuk  
Konrada brata Leszka Białego.

#### IV.

#### KORONACYJA KRÓLA ŁOKIETKA.

W starym grodzie Piastów, w odwiecznym Gnieźnie,  
najstarszem ze wszystkich miast  
polskich, odbywa się wiec panów.  
Sprzykrzyły się narodowi ustawiczne waśnie domowe, jakie  
prowadzili ze sobą  
potomkowie Krzywoustego, ziemia Krakowska coraz to  
innemu dostawała się w  
posiadanie. Synowie Bolesława III rozdzielili swe dzielnice  
między własnych

synów, namnożyło się tych udzielnych książątek mnóstwo, a każdy chciałby być mieć wśród innych największe znaczenie, każdy przeto dobijał się o ziemię

Krakowską.

W przeciągu lat, jakie nastąpiły po śmierci Leszka Czarnego, któremu Bolesław

V, jako swemu siostrzeńcowi swe ziemie zapisał, Kraków siedm razy zmienił pana:

Bolesław, książę Mazowiecki, Henryk Rzetelny, książę Szląski, Władysław Łokietek

książę Łęczycki i Sieradzki, Przemysław, książę Poznański naprzemian wydzielali

sobie gród Krakusa, a niejeden jak Władysław Łokietek kilkakrotnie go zdobywał.

Chcieli raz koniec tym niesnaskom domowym położyć panowie, tem więcej, że

ośmielały one sąsiadów i coraz to który najeżdżał ziemie

Polan: Tatarzy,

pogańscy Prusacy i Litwini ustawicznie rabowali ich wsie i miasta, teściem iż

Niemcy zaięci własnymi sprawami, gdyż

i u nich także powstały kłótnie domowe, nie mieli czasu na nich najeżdzać.

Po długich naradach panowie postanowili zaprosić do Krakowa Władysława Łokietka,

który był bratem rodzonym Leszka Czarnego, a rządząc już dwa razy Krakowem, dał

niejednokrotnie dowody wielkiej odwagi i wielkiego serca, przytem jako wnuk

Kazimierza Sprawiedliwego i prawnuk Krzywoustego miłym był dla wielu.

Wysłane z Gniezna do Łęczycy poselstwo z koroną,  
przywiozło z sobą Władysława, a  
ziemie należące niegdyś do Chrobrego, kolejno uznawały go  
panem. Prócz Mazowsza  
i Szląska wszystkie dzielnice złączyły się; opierał się  
chwilowo Kraków,  
opierała Wielkopolska, lecz opór ten trwał niedługo i Łokietek  
jednogłośnie  
panem uznany, odebrał od poddanych przysięgę . wierności,  
poczem panów do  
Krakowa na koronacyją zaprosił. W wigiliją koronacyi całe  
popołudnie spędził w  
kościelie na Skałce modląc się i nieszporów słuchając. a  
nazajutrz rano dnia  
stycznia r. odbył uroczysty obrządek, który w owym czasie z  
wielką  
wystawnością odprawianym bywał.  
Dzień mroźny, ale pogodny sprzyjał uroczystości, niedziela  
pozwalała biednym  
zarówno z możnymi wziąć w niej udział.  
Już o samym świcie marszałek przyniósł królowi stosowną do  
uroczystości suknię  
jedwabną wspaniałą, na nią włożył mu dalmatykę i kapę ze  
złotogłowa, na głowę  
czapkę książęcą czerwoną, perłami szytą, na ręce rękawice.  
Zaledwie skończył  
strój Łokietek, marszałek dał mu znać, iż duchowieństwo  
przybyło na zamek.  
Pospiesz! przeto książę naprzeciw i w progu sali godowej

spotkał dostojnych gości; wszyscy w uroczyste szaty byli przybrani. Łokietek kornym ukłonem gości powitał, ii najstarszy z przybyłych arcybiskupów, Muskata, wyciągnąwszy nad schyłym ręce, odezwał się uroczystym głosem:

"Wszechmogący wieczny Boże, niebieskich i ziemskich spraw kierowniku, któryś sługę twego na godność i dostojność królewską powołać raczył, spraw błagamy, aby on od wszelkich przeciwności swobodny, darem kościelnego pokoju był umocniony i do radości, pokoju za Twoją łaską przyjść zasłużył przez Chrystusa Pana naszego. Amen."

To powiedziawszy pokropił króla wodą święconą, którą mu podał w kropielnicy jeden z księży przy nim stojący, poczem dwóch biskupów ujęło Władysława Łokietka pod ręce i poprowadziło do katedry. Wspaniały to był pochód: przed królem panowie krakowscy nieśli insygnia królewskie na szkarłatnych poduszkach, więc miecznik — szczerbiec, kasztelan — berło i jabłko, wojewoda — koronę. Przed panami postępowali biskupi, każdy w infule, każdy z kijem pasterskim w ręku, a przed tymi mali chłopcy w białych komżach, jedni z dzwonkami, drudzy z kadzielnicami. Dym od kadzideł wzbijał się pod jasne, czyste sklepienia niebios,

srebrne dźwięki dzwoneków mieszały z donośnym głosem  
dzwonów katedry i zlewając  
się razem tworzyły uroczystą muzykę. Za królem postępowało  
niższe duchowieństwo  
ze śpiewem i światłem panowie i rycerstwo wszyscy w  
strojach czystych, panowie w  
sukniach oznaczających urząd

każdego, rycerze w zbroi, w jedwabnych płaszczach i w  
hełmach postrojonych  
piórami.  
Lud skupiony na dziedzińcu zamkowym przypatrywał się w  
milczeniu temu  
wspaniałemu pochodowi. Wszedłszy do kościoła panowie  
złożyli godła królewskie na  
wielkim ołtarzu, król zaś ukląkł u stóp ołtarza, otoczony  
duchowieństwem i w  
kornej modlitwie się zatopił.  
Sercem całym pragnął Łokietek dać szczęście ludowi, pokój  
mu zapewnić, prosił  
więc Boga gorąco, by mu w tem dopomógł.  
Poważne dźwięki organów kościoła, uroczysty hymn, jaki obić  
się o ściany  
świątyni podnosił ducha klęczącego przed ołtarzem króla,  
szczerą była jego  
modlitwa... Skończył wreszcie, powstał, wtedy zbliżył się do  
ołtarza arcybiskup  
i zaintonował psalm: "Niech cię wysłucha Pan." Wszyscy  
obecni w kościele  
pochwycili te słowa. "Niech cię wysłucha Pan" obięło się o  
ściany świątyni,

wybiegło za mury i lud, który w kościele pomieszczenia nie znalazłszy, w progu

jego kruchty się skupił, powtarzał toż samo i pieśń wielka, święta, przez

tysiące ust powtarzana, leciała do nieba.

Tymczasem arcybiskup zwrócił się od ołtarza do stojącego za nim króla, pieśń

umilkła, kościół cisza zaległa.

— Królewską przyjmujesz godność — przemówił poważnym głosem Muskata — królewską

godność przyjmujesz, a z nią trud rządzenia ludem, tobie powierzonym; wspaniale,

ale pełne trosk i niebezpieczeństw zajmujesz miejsce,

pamiętaj, że wszelka

władza jest od Boga. Wymierzaj sprawiedliwość, oddawaj nagrody dobrym,

złym kary, szanuj kościół i religija, czcij Boga; wdowy i sieroty otaczaj

opieką, bądź dla wszystkich łaskawy i przystępny, postępuj tak, aby się okazało

że nie dla swego, ale dla pożytku całego państwa królujesz.

Co niech ci udzielić

raczy Ten, który żyje i króluje, Bóg na wieki wieków. Amen.

— Amen, — powtórzył Łokietek.

— Czy chcesz być wiernym sługą kościoła katolickiego, wiernym synem Boga,

którego czcisz? — zapytał go arcybiskup.

— Chcę, — odparł król.

— Czy chcesz królestwo ci powierzone trzymać, rządzić i bronić?

— Chcę — brzmiała odpowiedź.

Tu Władysław Łokietek zdjął z głowy czapkę u stóp ołtarza ją położył, ukląkł.

— Ja, z Bożej łaski, król Polaków, — mówił głosem wzruszonym, — obiecuję w obec

Boga i aniołów Jego nadać prawo i sprawiedliwość kościołowi Bożemu i narodowi

poddanemu mnie, bronić odważnie kościoła i narodu, spełniać sumiennie obowiązki

moje i czuwać, by inni swoje spełniali.

Tymczasem zbliżył się arcybiskup do klęczącego, a gdy Łokietek wymówił ostatnie

wyrazy przysięgi, podał mu ewangeliją, król położył na niej obie ręce. Tak mi

Boże dopomóż, — ciągnął dalej z mocą — i ty święta ewangelijo.

Amen! zabrzmiało w świątyni. Arcybiskup oddał ewangeliją jednemu z biskupów,

bliżej stojących, zwrócił się do ołtarza, a król padł na ziemię i ręce

rozkrzyżowawszy modlił się teraz cicho. Nad leżącym księża

śpiewali głośno psalmy, a lud chwycił słowa pieśni ) i głośno je powtarzał.

Pieśń szczerą, pobożną leciała znowu do nieba, lud wzywał łaski Pana zastępów dla przyszłego króla.

Ucichło nareszcie, arcybiskup zasiadł w złocionym krześle obok ołtarza stojącym,

podniósł się Łokietek i ukląkł przed nim, otoczyli go biskupi, jeden zdjął mu z

ramion dalmatykę i kapeć, drugi obnażył mu szyję i rękę  
prawą, arcybiskup  
namaścił klęczącemu ramie prawe i rękę od dłoni do łokcia, a  
czyniąc to mówił:

— Namaszczam cię olejem świętym na króla w imię Ojca, i  
Syna, i Ducha Świętego,

Amen, — poczem jeden z biskupów podał arcybiskupowi  
szczyrbec Chrobrego, a ten  
w ręce klęczącego króla go włożył.

— Weź ten miecz — mówił czyniąc to, — broń nim  
sprawiedliwości, utwierdzaj  
dobre.

Jeden z panów przypasał królowi do boku szczyrbec, a  
tymczasem arcybiskup

włożył mu na głowę koronę, w ręce dał berło i jabłko.

— Pamiętaj — mówił dalej, — że korona ta oznacza chwałę,  
cześć i świętość, berło

— władzę, że przez te godła stajesz się uczestnikiem naszego  
urzędu, bądź przeto

przykładnym królem, abyś między mocarzami ozdobiony  
perłami cnót, nagrodę  
wiecznej szczęśliwości otrzymał.

Obrzęd koronacyi był skończony, w kościele zabrzmiał hymn:  
"Te Deum laudamus," a

za oknami kościoła brzmiały wesołe okrzyki ludu:

— Niech żyje króli!

Na ramiona świeżo ukoronowanemu włożono płaszcz  
purpurowy podbity gronostajami,  
płaszcz kro-

lewski, poczem otoczony panami i starszymi duchownymi  
oraz rycerstwem, Władysław  
Łokietek podążył na zamek, przed nim skarbnik jego ze  
złoconej szkatuły  
rozzucał ludowi pieniądze, a lud je chwycił chciwie i głośnie  
jeszcze  
krzyczał:  
— Niech żyje król!  
Tak zwykle odbywano dawniej obrzęd koronacyjny; od czasu  
jak klątwą dotknięty  
Bolesław. Śmiały splamił godność monarszą, książęta  
Krakowscy przestali tak  
uroczyście odbywać tę ceremoniją, pierwszy odnowił dawny  
zwyczaj Przemysław  
książe Poznański poprzednik Łokietka, a ten poszedł za jego  
przykładem z tą  
różnicą że koronacją odbył w Krakowie nie w Gnieźnie.  
Następcy Łokietka również koronowali się zawsze w  
Krakowie, gdyż Łokietek  
przeniósł wszystkie insygnia królewskie ze skarbcza  
gnieźnieńskiego do  
krakowskiego.  
Dotrzymał przysięgi Łokietek: był to pan dobry, dbał o  
szczęście poddanych,  
troskliwy o pomyślność państwa, dźwignął on je też z upadku.

V.

## KRZYŻACY I ŁOKIETEK.

W ziemi Kujawskiej, w powiecie Radziejowskim, na  
niewielkiem wzgórzu wznosi się

do dziś dnia drewniane miasteczko Radziejów, dawne ono  
czasy pamięta... Było to  
roku we wsi Płowce, która o mile od owego miasta leżała,  
widać było rozbite  
pod lasem białe namioty na błoniach, a wśród nich rozpalone  
ogniska, koło  
których krzatali się słudzy; dalej potężne konie, wozy z  
żywnością, maszyny  
obłężnicze i rycerzy zwolna gromadzących się koło ognisk,  
był to jednym słowem  
obóz wojenny. Strój odmienny, od stroju jaki zwykle nosili  
rycerze polscy,  
świadczył, że to obcy goście ziemię Polan nawiedzili. W  
zbroję byli oni  
przyodziani, w hełmy i miecze, jak zwykle rycerze, lecz na  
pancerzach mieli  
białe płaszcze krzyżami ozdobione.  
Mieszkańcy okoliczni omijali zdala miejsce, gdzie obóz ten  
był rozłożony, bo  
lubo krzyże świeciły na piersiach rycerzy, jednakże nie jako  
przyjaciele, lecz  
jako wrogowie tu przyszli; mówili też ze sobą mową obcą, mową  
niemiecką. Niejeden  
zmuszony przejść koło obozu żegnał się pobożnie, mijając go,  
a spoglądając na  
białe płaszcze godłem Chrystusa ozdobione mrucał:  
— Krzyżacy oni, Niemcy, a nie Krzyżacy, nie krzyż czczą  
oni, ale szatana.  
Byli to jednak w istocie Krzyżacy.

Na ziemi Krakowskiej panował jeszcze Leszek Biały, kiedy  
oni po raz pierwszy  
przywędrowali do Polski- Ziemia Mazowiecka, która  
Krzywousty zapisał testamentem  
Bolesławowi Kędzierzawemu, gdy ten umarł, a po nim  
wkrótce syn jego Leszek,  
dostała się w spadku Kazimierzowi Sprawiedliwemu, po nim  
zaś młodszemu jego  
synowi Konradowi.  
Sąsiadami Mazowsza byli Prusacy, lud dziki, pogański jeszcze  
i nieprzyjazny  
sąsiadom, który ustawicznie napadał na Polskę, a rzecz  
naturalna najczęściej na  
najbliższe mu Mazowsze; książę Konrad postanowił temu  
zapobiedz, ukrócić im  
krwawe swawole. Słyszał on, iż w Niemczech istnieje zakon  
pobożny, zwany  
Teutońskim, iż zakonnicy, co doń należą, poświęcili swe życie  
na usługi  
Chrystusa i walczą jedynie z poganami, aby wiarę  
chrześcijańską wszędzie, gdzie  
jej jeszcze niema szerzyć; otóż zdało mu się, iż najstosowniej  
będzie udać się o  
pomoc do tych rycerzy zakonników i prosić, aby część ich  
przyszła do Polski  
walczyć z pogańskimi Prusakami.  
Herman de Saltz, mistrz Zakonu, nie odmówił księciu  
Mazowieckiemu, lecz zanim  
braci do Polski wysłał, pierwej poznać chciał kraj, w którym  
mieszkać mieli i  
zapewnić im pobyt spokojny; wysłał przeto dwóch posłów do  
Polski.

Roku w mieście Brześciu na Kujawach Konrad Mazowiecki przyjmował poselstwo mistrza zakonu leutońskiego po długich obradach stanęło na tem, że Konrad zakonnikom rycerzom nada na własność ziemię Chełmińską ze wsią Orłowem, a oni zato bronić będą jego dzielnicę od napadu dzikich Prusaków.

I wkrótce potem przybyli do Polski pobożni rycerze, a mieszkańcy Mazowsza widząc ich białe płaszcze krzyżami ozdobione, różańce wiszące obok mieczów, z radością wchodzących witali; zapomnieli, że to- Niemcy. Tłumnie wylegli na drogę, którą szli rycerze Chrystusa, matki dziatwę w górę podnosiły i mówiły: "Oto obrońcy nasi," Jeden okrzyk błogosławieństwa towarzyszył im w pochodzie. Krzyżakami ich lud nazwał, nic jeszcze dla niego nie zrobili, a już kocha! ich i błogosławił im.

Od tego dnia minęło wszakże około stu lat, Krzyżacy osiedlili się na ziemi Chełmińskiej, pobudowali sobie miasta i za wiarę Chrystusa toczyli boje wytrwale. O tych bojach różnie mówiono, że były to raczej mordy, niż boje, że Krzyżacy spokojnych mieszkańców Prus często napadali, w pień ich wycinali, lub w niewolników zamieniali, a sprowadzali z Niemiec osadników, którym ziemie

nadawali i na północy Mazowsza tworzyło się powoli państwo Niemieckie, bo w wielu wioskach już i śladu nie było, że to ziemia Pruska. Nie chciano wierzyć tym pogłoskom, wszak to byli rycerze Chrystusa nie cesarstwa Niemieckiego, więc wiarę tylko Chrystusa, nie zaś narodowość obcą szczepić mieli.

Kiedy Łokietek ukoronowanym został w Krakowie, już zakon braci Krzyżaków licznym był i potężnym, bo ci co pozostali w Niemczech za pierwszymi tu ściągęli; przytem synowie możnych rodzin niemieckich ciągle tu napływali i płaszcz z krzyżem przywdziewali, powiększał się zakon przeto, powiększały jego dobra, bo ciągle zwycięstwa odnosili nad Prusakami. Mimo

krążących nieprzychylnych pogłosek Łokietek ich szanował i przyjaciół w nich widział.

Złączywszy po długich niezgodach zdobyte przez Chrobrego ziemie, król ten pilnie strzegł całości swego państwa, tymczasem Pomorzanie znowuż burzyć się poczęli.

Piotr, kasztelan Gdański, z rodziny Szweńców. która tam wielkiego znaczenia używała, zapragnął oderwać Pomorze od ziemi Krakowskiej i poddać je Waldemarowi margrabi Brandeburskiemu, który w zamian Szweńcom obiecywał nadać liczne grody i

włości. Jakoż r. poddali Szweńcowie Pomorze  
Waldemarowi. Łokietek lękając  
się, iż sam nie podoła ze zbuntowanymi, wezwał pomocy  
braci Krzyżaków. Dali mu  
oni ją chętnie: mistrz Lüder, który wówczas stał na czele  
Zakonu, sam z  
rycerstwem wybrał się na Pomorze, pokonał nieposłusznych, a  
potem zostawił na  
Pomorzu swoją załogę i oświadczył Łokietkowi, iż z niego  
więcej nie ustąpi.  
Oburzony tem podejściem król, posłał skargę do papieża,  
papież rozkazał ustąpić  
Krzyżakom z Pomorza, lecz mistrz Lüder nie posłuchał  
rozkazu. Wtedy  
duchowieństwo polskie karę na nieposłusznych wymierzyło:  
Ozwały się dzwony wszystkich kościołów, żałobne echa  
rozległy się po miastach i  
siołach, głosząc, iż kościół polski wyklina Krzyżaków: lecz i  
tej kary nie  
wlekli się oni i tego nie zlekli się także, że Łokietek obwołał w  
kraju swym  
przeciw nim wojnę.  
Odtąd Krzyżak przestał być przyjacielem Polan, za wroga go  
poczytywali, kto  
tylko mógł zbroję przywdziewał i śpieszył pod króla  
dowództwo, gdyż sam

Łokietek wybierał się na tę wyprawę. Chcąc przyspieszyć  
spotkanie, Krzyżacy  
wkroczyli na ziemie Kujaw i pod miastem Radziejowem we  
wsi Płowce rozłożyli się

obozem.

Dzień września posepnie zapowiadał się mieszkańcom wsi Płowce, gęsta szara mgła, jak gruba opona spadała od nieba do ziemi, słońce nie mogło się przedrzeć przez nią. Otoczeni tą mgłą Krzyżacy nic dojrzeć prawie nie mogli, co się poza ich obozem dzieje; rozpaliwszy ognisko, zamyślali o posiłku, gdy naraz doleciał ich uszu głuchy tętent zdradzający, że jakieś wojsko ku nim nadciąga. Domyślając się, że to wróg, przygotowali się do spotkania, przywdzieli zbroję, dosiedli koni, ustawili maszyny oblężnicze przed sobą i w szeregi za nimi się ustawili. Ci zaś którzy byli trwożliwego serca, powiązali się z odważniejszymi łańcuchami, aby nie móżd uciekać w razie niebezpieczeństwa — utworzyli tym sposobem mur nieprzebyty. Tymczasem mgła rzednieć poczęła, gruba opona w lekką przejrzystą zasłonę się zamieniła, zamajaczyły za nią wojska polskie, lecz nie zadrżały na ich widok serca Krzyżaków, byli pewni zwycięstwa; wprawdzie klątwa nad nimi wisiała, lecz oni ufali, że miecze ich klątwę zażegnają. Mgła wreszcie opadła całkiem, przejrzysta zasłona kryjąca wojska polskie znikła i ukazały się one w całym blasku swoim. Pancerze i hełmy rycerzy oblane promieniami słońca mieniły się jak złoto; różnokolorowe chorągwie u kopij

powiewające, jak tęcza różnobarwna nad ich głowami się unosiły. Na czele wojska stał sam król, biały jak łabędź, od trosk, które przeżył, nieszczęść,

jakich zaznał w życiu, pracy i tułactwa, boć dwa razy wypędzany był z Krakowa przez obcych książąt i ukrywać się musiał przed nimi w skalach Karpackich. Wreszcie zasiadł spokojny w Krakowie, wreszcie państwo jego do sił wracać poczęło, gdy oto nowe mu grozi niebezpieczeństwo. Stanęły już zbrojne szeregi naprzeciw siebie, ale hasła do boju jeszcze nie dano, król modli się cicho; wzniosłszy wzrok w niebo, wzywa Pana wszechrzeczy, by w ciężkiej chwili mu dopomógł, by wsparł tych, co za sprawiedliwością walczą, i rozjaśniło się niebo, jakby na znak, że modlitwa wysłuchana. Łokietek skinął na swoich: zagrały trąby bojowe, zaszumiały skrzydła pancernych, zadźwięczały szable, strzały ze świstem prują powietrze, skrzypią maszyny krzyżackie, pociski śmiertelne rzucają na lecących ku nim rycerzy, szeleszczą chorągwie, ziemia drży od kopyt końskich, padają trupy, mijają ich ci, co do wroga śpieszą. Dotarli wreszcie, spotkały się szable, teraz bój na miecze się toczy, bój zacięty,

Krzyżacy widzą, że zwyciężą. Mija godzina jedna, druga, nie  
ustępują im  
przeciwnicy: słońce uchodzić poczyna, oni wciąż z jednakową  
siłą nacierają. W  
serca krzyżackie zwątpienie się wkrada, chwiać się poczynają,  
cofać, w końcu  
popłoch ogarnia całe wojsko. Owi odważni, co tchórzliwszych  
do siebie  
Przywiązali, pociągają ich z sobą: pobici Krzyżacy, Pierzchają  
w największym  
nieładzie. Ścigani przez Łokietka jeszcze w ucieczce zostawili  
niejednego na  
placu boju.  
Do późnego wieczora gnali zwycięzcy Niemców, noc dopiero  
zmusiła ich do powrotu,  
legli znużeni pod

osłoną swych namiotów, a nazajutrz król poszedł zwiedzić  
pole bojowe.  
Smutny widok przedstawił się mu tutaj, całe pole trupami było  
zasłane, Krzyżacy  
obok Polaków leżeli razem snem śmierci uśpieni: blade ich  
twarze, zsiniałe usta,  
pokurczone członki świadczyły w jakich mękach konali.  
Straszną rzeczą jest wojna.  
Wydawszy polecenie, aby wszystkich, wrogów i swoich  
chrześcijańskim uczyć  
pogrzebem, już Łokietek chciał wracać do swego namiotu,  
gdy jęk posłyszał.  
Zwrócił się przeto w stronę skąd szedł i spostrzegł, że jeden z  
leżących porusza

się jeszcze. Ranny żył, a strasznie był pokaleczony: trzy  
włócznie krzyżackie w  
nim tkwiły, złamane drzewce w rękach nieprzyjaciół  
pozostało. Zaciśnięte zęby,  
skurczone członki świadczyły o cierpieniu bardzo, jęczał wszakże  
niewiele Król  
pochylił się nad nim wzruszony.  
— Jakże was boleć muszą te rany? — zapytał.  
— Więcej bolały mnie rany, jakie kraj mój tak długo od złego  
sąsiada ponosił, -  
rzekł dzielny rycerz.  
— Te da Bóg teraz boleć nie będą, — odparł król. Kazał  
przenieść rannego do  
swego namiotu i polecił go swemu lekarzowi, a gdy  
wyzdrowiał, obdarzył go wioską  
i do herbu, jaki posiadał dodał trzy włócznie: rycerz ten zwał  
się Floryjan  
Szary. Z czasem rodzina jego nazwę Szary na Saryjusze ()  
zmieniła.

-----  
( ) Ród Zamojskich wywodzi swe pochodzenie od owego  
Saryjusza.

Mistrz Krzyżacki Lüder otrzymawszy wieść o porażce pod  
Płowcami prosił, aby na  
czas jakiś zawiesić broń; zgodził się na to Łokietek, zawarł  
przymierze  
Krzyżakami, a oni obiecali, iż opuszczą Pomorze. Wkrótce  
potem umarł Łokietek,

zanim sprawa z Krzyżakami ostatecznie rozstrzygnięta została.

Między starożytnościami w Dreźnie znajduje się tego króla wizerunek, pod którym jest położony następujący napis:

"Postawa ciała ledwo łokieć długa,  
Ale serce wielkie, co nigdy nie ulękło;  
Dzicy Prusacy, równie jak Czechy  
Uczuli przez swoje straty moją dzielną rękę  
Pokonałem i musiało się ugiąć przedemną.  
Potrzykroć odjęto mi koronę orężem i podstępem,  
A przecież wróciłem znów zwycięsko do berła.  
Mąż w małym ciele, musi nosić wielkie serce.  
Czy ten, który powalił Goljata, nie był także małym,  
I wielkiego Polifema zbił mały Ulises.  
Boga prośbami, ludzi mieczem zwyciężyłem  
Czyliż nie dosyć!

## STRESZCZENIE CZĘŚCI TRZECIEJ WIEK XIII.

Był to wieczór posepny, mglisty, wilgotny, takie wieczory i dnie całe na jesieni w górach nic są rzadkiem zjawiskiem: chmury powieszawszy się zasłoniły całkiem oczom naszym piękne Alpy, stanęły między nami a niemi jak biały, długi, drażniący swą jednostajnością mur. Przez cały dzień słońce ani jednym złotym promykiem nie obdarzyło ziemi, ani na chwilę jedną szara zasłona, kryjąca

błękity, nie uchylła się z nich.  
Smutek głęboki tłoczył mi duszę, a smutek ten zwiększał się  
ilekroć spojrzałam  
na ciotkę Ludmiłę, była bardzo bladą tego wieczora, oczy jej  
ożywione zwykle  
pięknym blaskiem, dzisiaj, jak przez mgłę patrzyły, z piersi  
wydobywał się  
suchy, krótki kaszel, który mnie niepokoju nabawiał i  
odświeżał w pamięci  
bolesne chwile dzieciństwa: ojciec nasz tak samo w ostatnich  
latach życia  
wyglądał. Ilekroć przypominałam go sobie, widziałam go  
zawsze bladym, z oczami  
zgasłymi, pokasłującym cicho.  
Odbywwszy lekcje, jakie miewaliśmy rano z panną Holajs,  
która do nas na godziny  
przychodziła i udzielała języka niemieckiego, historii i  
geografii powszechnej,  
my dziewczęta zajęłyśmy się robotą, Marcyś łąnu główkę  
układał. Czekaliśmy  
przybycia Zosi, Emmy, Adeli i Wacia, oraz uderzenia  
godziny, o której ciotka

Ludmiła rozpoczynała zwykle swe opowiadanie; lecz  
szósta minęła, nie zjawili się.  
— Zapewne lękają się deszczu, — rzekła ciocia —  
nie przyjdą już dzisiaj, zdacie mi przeto bez nich sprawę z  
tego, co w waszych  
główkach przez te dni parę przybyło.  
To powiedziawszy przysunęła się z fotelem do stołu, przy  
którym siedzieliśmy

zebrani.

— Terenia streści moje opowiadania. — dodała — obrazki, jakie wam odmalowałam słowami, zwiąże w jedną całość.

Terenia podniosła spokojnie białe swoje czoło.

— Smutna to epoka, o której mam opowiadać, — rzekła.

Bolesław Krzywousty, ten

rycerz, dzielny, przed śmiercią błąd popełnił, bo ziemię swoją na cztery części

rozdzielił; wynikły stąd długie wojny domowe, a do tych klęsk przyłączyły się

jeszcze inne i Tatarzy poczęli napadać na ziemię Polan;

wyniszczyli oni kraj

straszliwie, setki ludzi uprowadzili do niewoli. Nieszczęście to po raz pierwszy

dotknęło Polskę roku za panowania Bolesława V-go.

— Tak smutna to bardzo epoka, — potwierdziła ciocia — synowie Krzywoustego

swarzyli się ustawicznie między sobą i rozdzielali dziedzictwo ojcowskie, między

swoich potomków; państwo Chrobrego rozpadało się na coraz drobniejsze części.

Książęta Piastowie wydzielali też sobie ustawicznie ziemię Krakowską, gdyż ten,

co ją posiadał, miał największe znaczenie, Wszyscy inni winni mu byli

posłuszeństwo. Bolesław zastrzegł wprawdzie testamentem, aby ziemia Krakow

ska należała do najstarszego jego syna, a potem do

jego potomków, lecz wola ta spełnioną nie została. Panowie usunawszy Władysława, oddali ją Bolesławowi Kędzierzawemu, a gdy ten umarł, Mieczysławowi Staremu, potem zaś usunawszy Mieczysława, oddali ją najmłodszemu z synów Krzywoustego Kazimierzowi, który nosił przydomek "Sprawiedliwego." Odtąd ziemia Krakowska zostawała w posiadaniu najmłodszej linii Piastów, po śmierci Kazimierza objął ją syn jego Leszek, a potem wnuk Bolesław. Zatargi domowe, jakie zakłócały wiek XIII były też przyczyną, iż w tej epoce odpadł Szląsk, oddali go bowiem panowie synom Władysława II, by pretensyi nie rościli do ziemi Krakowskiej. Nie powrócił Szląsk więcej do Polski, zajęli go następnie Czesi, a z Czechami dostał się Austrii, poczem skutkiem wojen, jakie Austryja z Prusami wiodła; znaczna część Szląska przyłączoną została do Prus. Dziś większa część tej ziemi jest w posiadaniu Prusaków, mniejsza do Austrii należy. Lat tyle już minęło odkąd ta ziemia Słowiańska w niemieckiem jest ręku, jednak ludność nie zapomniała pochodzenia swego, a dziś więcej niż kiedykolwiek myśli o tem i daje dowody, iż nie jest Niemiecką tylko Słowiańską. Wiele zawdzięczają Szlązacy Karolowi Miarczy znanemu mężowi, który grosza i pracy nie żałował, by przypominać ustawicznie

Szlązakom ich przeszłość; wiele też zawdzięczają innym  
zacnym ludziom, którzy z  
różnych stron kraju przysyłają im pieniądze, by zakładali  
szkoły i książki w  
miejscowym języku pisane drukowali. Krótki suchy kaszel  
przerwał opowiadanie  
cioci, zapanowała jednak nad nim wkrótce i pokrywając  
uśmiechem cierpienie,  
zwróciła się do Marcysia.

— Może ty mi teraz powiesz, jak ci się podobał Leszek Biały,  
syn i następca

Kazimierza Sprawiedliwego?

Marcyś się ożywił, gdyż poważne opowiadanie cioci znużyło  
chłopczynę.

— Kocham go, — wykrzyknął z zapaleni — bo był dobry,  
zacny i odważny, a

najwięcej za to, że nie wyrzekł się przyjaciela dla korony.

Ciocia uśmiechnęła się.

— Nie zapominaj nigdy tego coś w tej chwili powiedział, —  
rzekła — pamiętaj, że

przyjaźń ludzka to skarb największy, że te nad wszystko cenić  
trzeba.

— Ja też tak zrobiłem wczora, — odparł Marcyś — Frytz, ten  
co to przybiega

czasem na naszą łąkę, by się ze mną pobawić, wie ciocia  
który, otóż ten Frytz,

powiedział mi wczoraj: Jeśli nie pójdiesz do Wacia, tylko ze  
mną zostaniesz, to

dam ci jabłko" a ja mu na to odpowiedziałem: "Dla jabłka nie  
wyrzeknę się

przyjaciela. "

Roześmiałyśmy się wszystkie głośno na te słowa, aż Marcyś się zmieszał, lecz

ciocia wyciągnęła do niego rękę, objęła go ramieniem i pocałowała w czoło

rzekła:

— Widzę, iż nietylko pamięć twoja skorzysta na moich opowiadaniach, lecz także i serduszko, cieszy mnie to bardzo... Kiedy tak dobrze zapamiętałeś historję.

Leszka, to powiedz mi teraz, jak się nazywał jego brat i jaka ziemia do niego

należała?

— Brat Leszka nazywał się Konrad, dostał on po ojcu Mazowsze — odparł Marcyś —

ale ja jeszcze coś więcej wiem o nim, — dodał z figlarnym uśmiechem.

— Jeśli wiesz, to powiedz nam, — odparła ciocia.

— Konrad Mazowiecki sprowadził roku do Mazowsza Krzyżaków, aby go bronili

od napaści Prusaków, — rzekł Marcyś, patrząc na Terenię, która go uczyła.

— Nawet rok zapamiętałeś, to pięknie, — pochwaliła go ciocia.

— Bo taki łatwy, jedynka i trzy dwójki. Uśmiechnęła się do niego ciocia, poczem

zwróciła

się do najmłodszej z nas.

— Powiedz mi Anielciu, — rzekła — gdzie to leży Lignica i czem pamiętne jest to

miasto? — spytała.

Anielcia, również jak Marcyś, była uczennicą Tereni, więc odpowiedz ją nie zawiodła.

— Lignica leży na Szląsku, pamiętna jest bitwą stoczoną na jej polach r. z

Tatarami, — odpowiedziała śmiało — w bitwie tej poległ Henryk książę Wrocławski; panował wówczas na ziemi Krakowskiej Bolesław V wnuk Kazimierza Sprawiedliwego.

— Bardzo dobrze, — odparła ciocia — Tatarzy napadli powtórnie Polskę za Leszka Czarnego, który po śmierci Bolesława V odziedziczył ziemię Krakowską, był to wnuk Konrada Mazowieckiego. Po śmierci Leszka znowuż zamieszki domowe zakłócały państwo Chrobrego, różni książęta z rodu Piasta, szląscy, wielkopolscy, mazowieccy, a także i obcy, jak król Czeski Wacław, dobijali się kolejno o godność księcia Krakowskiego. Chwilowo otrzymał ją Przemysław, książę Poznański, lecz ten niedługo po przybyciu do Krakowa zamordowany został przez napastników, gdy wracał nocą z zabawy. Potem Władysław Łokietek, książę Sie-

radzki uznany był księciem Krakowskim, lecz tego wygnał Wacław, król Czeski i sam rządzić począł w Krakowie, umarł jednakże wkrótce. — I Łokietek odzyskał ziemię Krakowską, wszak

prawda ciociu? — odezwała się niespodzianie milcząca, dotychczas Mania.

— Tak jest, — odparła ciocia, — po wielu latach tułaczego życia, wrócił do ziemi

Krakowskiej, złączył rozdzielone długo dzielnice Piastów i odbył znowuż

uroczystą koronacją r. .

Mania z zadowoleniem po nas wszystkich spójrzała, jakby chciała powiedzieć: "A

co że i ja coś umiem."

— A jaka to ziemia odpadła za Łokietka od Polski? —

zapytała jeszcze Magdzie

ciotka Ludmiła.

Lecz Magdzie pamięć zawiodła, pośpieszyłam jej z pomocą.

— Pomorze, — rzekłam, — zabrali je Krzyżacy których

Łokietek wezwał, aby mu

pomogli uspokoić zbuntowanych, gdyż Pomorzanie chcieli się oderwać od Polski. I

uspokoili ich Krzyżacy, ale ziemię ich sobie przywłaszczyli, stało się to roku

, a zatem już na początku XIV wieku.

— Kiedy tak dobrze wyreczyłaś Manię, to powiedz mi teraz,

jaki to stan nowy

wytworzył się w Polsce w wieku XIII; jak wicie było już duchowieństwo, byli

rycerze, kmiecie i niewolnicy, zgadnij teraz jaki stan przybywa?

— Mieszczanie — odparłam.

— Teraz na mnie kolej dorzucić jeszcze słów kilka. — rzekła ciotka Ludmiła.

Znacie już ważniejsze wypadki, jakie w tym wieku się wydarzyły, lecz nic

jeszcze nie mówiliśmy o tem, jak to Polacy żyli, mieszkali, w owej epoce, jakie były ich zabawy i zatrudnienia.. Pod tym względem niewielkie zmiany zaszły:

obyczaje są jeszcze bardzo proste, tak samo mieszkają, jak w poprzedniej epoce,

wojna i łowy są zawsze ulubionem zajęciem mężczyzn,

kobiety wiodą życie samotne,

odosobnione. Jednakże jest pewien postęp ku lepszemu.

Mieczysław Stary

sprowadził do kraju zakonników Cystersów. Cystersi założyli w kilku miejscach

klasztory, a przy nich fabryki i warsztaty, wice przemysł się podniósł, gdyż

sprowadzeni zakonnicy nauczyli miejscową ludność nowych rzemiosł jak:

kuśnierstwa, tkactwa, pasamonnikostwa i t. d., powstały nowe mennice, w których

ze srebra krajowego bito pieniądze, urządzono kopalnie soli w Wieliczce. Jednym

słowem kraj staje się bogatszym. Wiek XIII może się też pochwalić uczonym mężem,

który żył i pracował w tych czasach, był Wincenty Kadłubek kronikarz, który

opisał panowanie Kazimierza Sprawiedliwego i jego poprzedników. Nieznani poeci

tworzyli w tych czasach jak i w poprzednich pieśni religijne i bojowe, lub

okolicznościowe. Umiejętnie na pamięć kilka zwrotek z pieśni, która opiewa dzieje

niejakiego Alberta, wójta Krakowskiego; wójt ten podniósł  
bunt przeciw  
Władysławowi Łokietkowi, gdyż będąc Niemcem z  
pochodzenia, pragnął widzieć na  
tronie krakowskim jakiego księcia, który byłby jeśli nie  
Niemcem, to chociaż  
hołdownikiem Niemiec.  
Powiem wam parę zwrotek tej pieśni, abyście poznały choć  
jeden utwór polskiej  
literatury z tej epoki.

By wykazać losów zdradę,  
Ja mój przykład dla was kładę  
Albertem rzeczony,  
Miałem skarby, miałem zdrowie,  
Byłem wójtem na Krakowie  
Pisałem zakony (prawa).

I cześć miałem w każdym razie,  
Mnie barony, hrabie, knezie  
Nazywały bratem.  
Jam ich wspierał w każdym względzie,  
Jura ich bronił na urządzie  
I przed Majestatem.

Król, czy baron, czy wielmożne  
Na mej radzie, na wyborze,  
Polegał zwyczajnie,  
I książęta i panowie  
Powierzali mojej głowie,  
Najważniejsze tajnie.

Sprawowałem żupy solne,  
Miałem miasta, wsi okólne,  
Których sam nie liczę;  
Miałem zamki jak książęce  
Piastowałem w mojej ręce  
Władzę namiestniczą.

Lecz gdy rośnie moja siła,  
Czarna dola pośpieszyła,

Z haniebną zatrata,  
A ów człek co tyle znaczy,  
Upadł, nagle w stan żebraczy.  
Czym zasłużył na to?

Ja wierzyłem w szczęście zradne,  
Anim sądził, że upadnęPrzeszła moja władza.  
Przeszła wielkość znakomita,  
Książ Bolesław w plen mię chwytą  
W Opolu osadza.

Skuty w pęta i łańcuchy,  
Ledwie miałem chleb mój suchy  
W zimnej wieży rogu;  
Zamiast komnat i alkowy,  
Loch wilgotny i niezdrowy  
I kupa barłogu.

.....

Suchy, krótki kaszel znowu wyrwał się z piersi ciotki,  
prosiłyśmy ją przeto, by  
się więcej nie męczyła i uległa naszym prośbom, udała się na  
spoczynek.

Nazajutrz i przez kilka dni następnych nie podniosła się z  
łóżka; lecz gdy  
deszcze ustały, słońce zabłysło, wróciły jej siły i znowu  
zbierała nas każdego  
wieczora i opowiadała ciekawe dzieje z przeszłości. Myśmy  
słuchały jej z  
zajęciem, a Terenia spisywała jak najwierniej wszystko.

## CZEŚĆ CZWARTA.

### I. KRÓL KMIECY.

Cóż to za drużyna wyjechała z murów miasta Krakowa i ku  
wioskom okolicznym się  
skierowała. Przodem na rączym, dzielnym koniu widać  
młodzieńca, który nie liczy  
z pewnością więcej lat nad . Suknie jego skromne, ciemne nie  
zwracają uwagi,  
ale twarz dziwnie rozumna i jasna pociąga przechodniów  
spojrzeniem, a choć  
skromnie ubrany, dostojne chyba stanowisko zajmuje, bo ci,  
co za nim jadą choć  
starsi wiekiem i strojniejsi od niego znacznie, bo w  
iedwabnych szatach,

trzymają się jednak zdala z uszanowaniem. Ci zaś, którzy go spotykają po drodze, niskie, pokorne składają mu ukłony, a gdy kmieć przechodzi, to powitawszy go ukłonem, potem stanie, patrzy za nim długo i szepcze sam do siebie:

Bóg najwyższy niechaj cię ma w Swej opiece.

Bo kmiecie kochają króla Kazimierza, on to właśnie wyjechał z miasta z drużyną.

Po ojcu swoim Wła-

dysławie objął Kazimierz tron Krakowski, królem kmieci zowią go poddani, bo dobrym jest dla chłopów: czuwa nad nimi i krzywdzić ich nie pozwala.

Drużyna wjechała między pola szumiące srebrnymi łanami żyta, między zielone błonia. Słońce jasno świeci na niebie, chłodny wiatr powiewa, skwar nie dokucza, choć to lato, więc król i panowie jadą zwawo coraz bardziej oddalają się od miasta. Wreszcie znikło im ono z oczu, tylko pola, wsie i błonia ich otaczają, a na jednym błoniu widać dąb olbrzymi, rozłożysty: tam skierował się król, za nim dworzanie.

— Tu spoczniemy, — rzekł Kazimierz, — niechaj jeden każe przynieść ze wsi ławę, siadziem w chłodzie i pogawędzimy z kmieciami. Kto wie, jakie czasy ten dąb

pamięta, może pod nim ojcowie nasi na wiece się zbierali,  
może sądy odbywali, my  
też do sądu zasiądziem.

I z konia zeskoczył, panowie toż samo uczynili, puścili rumaki  
swobodnie na  
trawę, jeden tylko ku wsi pośpieszył, by rozkaz królewski  
spełnić, a król  
krzyknął za nim:

— Powiedzcie we wsi, że król Kazimierz czeka pod dębem na  
smutnych i  
uciśnionych.

Dworzanin uderzył konia ostrogą i pomknął zwawiej,  
niebawem znikł z oczu  
czekających na błoniu, niebawem zjawił się znowu, lecz teraz  
nie sam; za nim w  
dali widać było dwóch kmieci, którzy ławę dźwigali. a jeszcze  
dalej gromadkę  
ludzi posuwającą się nieśmiało ku błoniom.

Wieśniacy ustawili ławę pod dębem, król zasiadł na niej i  
dworzan zaprosił. Tuż  
obok króla zajął miej.

jednej strony Jaśko z Melsztyna dodany mu za doradcę, z  
drugiej mąż nauki,  
historyk sławny, Janko z Czarnkowa, przy nich kanclerz  
królewski, podskarbi oraz  
inni urzędnicy.

Gromadka wieśniaków, przyszedłszy na błonie, stanęła zdala  
od dębu pokornie,  
nieśmiało na króla spoglądając. Byli między nimi starzy i  
młodzi, kobiety i

mężczyźni, było nawet jakieś maleństwo nędzne, chude,  
brudne i obdarte,  
dziewczynka ośmioletnia.

Kazimierz powiódłszy po nich wzrokiem, skinął na starca, co  
jak gołąb miał białą  
głowę i śnieżnej białości brodę do pasa.

— Jak się zowiesz i co ci dolega? — zapytał. Starzec  
westchnął.

Zowie się Grzegorz Jasińczyk - rzekł, — niedołężny jestem,  
pracować nie mogę i

nędza mi grozi, bo dzieci nie mam, co by na mnie pracowały.

Miałem syna, lecz

poszedł na wojnę przeciw Czechom, co Szląsk chcieli zabrać i  
nie wrócił z niej:

na starość sierotą zostałem.

Król z politowaniem spojrział na biedaka.

— Nędza ci nie dokuczy, — rzekł. — oddałeś ziemi twej, co  
miałeś najdroższego,

syna własnego, państwo myśleć o tobie będzie, ze skarbu  
królewskiego będziesz od

dziś dnia pobierać pensyjną na utrzymanie. —

powiedziawszy zwrócił się do podskarbiego. —

Zapamiętajcie jego imię, — dodał.

Podskarbi skłonił się królowi.

Rozkaz twój panie, spełnionym będzie — rzekł.

A król skinął teraz na jedną z wieśniaczek, w gromadzie  
stojącą; ta nie była

starą, lecz twarz miała tak

bladą, i taki wielki smutek na niej wypisany, iż współczucie  
budziła większe niż

inne.

— A tobie co dolega? — spytał ją Kazimierz.

— Oj ciężka ma dola, — odparła kobieta, ocierając dłonią łzy, które przy

pierwszych słowach polały się z jej oczu, — miałam męża:

Jan Grada zwał się on,

dobrym był człowiekiem, pracowitym, żwawym. Pan wezwał go do dworu, by w

ogrodzie pracował; poszedł, bo dziatwy pięcioro w domu,

chciał zarobić, a pan

hojnie płaci, lecz źli ludzie oskarżyli go pewno przez

zazdrość, że skradł

pańskie jabłka i pan do turmy go wtrącił; a jam pewna, że nie winien.

— Bez sądu uwięził, to nadużycie, sprawa ta rozjaśnioną być winna, bądź spokojną

niewiasto, jeśli mąż twój nie winien, krzywdę wyrządzoną panu nagrodzi. — To

powiedziawszy król zwrócił się teraz do kanclerza. —

Zapamiętajcie imię męża tej

kobiety i pošlijcie jutro wezwanie panu tej włości, by stawiał się na zamek.

— A twoja skarga jaką będzie, na kogo uzalić się chcesz? — zapytał następnie

chłopca który choć młody, choć więcej nad lat liczyć nie mógł, stał jednak

smutny wśród gromadki.

Chłopiec wystąpił naprzód, rumieniec oblał mu twarz, oczy błysnęły gniewem.

— Wczoraj na łowy z paniczem pojechałem, — rzekł, — goniliśmy dzika i umknął

nam, panicz powiedział, że winien i obił mnie, obił w obec wsi całej — tu nowy

rumieniec oblał twarz mówiącego, drżał widocznie z oburzenia i bliskim był płaczu, oczy miał pełne łez.  
Król zmarszczył czoło.

— Młodzież odbiega zwyczajai ojców — rzekł posepnie, — smuci mnie to wielce; zbyt często słyszę nadużyciach, jakich względem kmieci się dopuszczają, ukróczę ja tę swawolę, nie pozwolę gnębić słabszych, a ciebie panicz, jak znieważył w obec wsi całej, tak cię w obec niej przeprosi.

Twarz chłopca rozjaśniła się.

— Dzięki wam miłościwy Panie, — rzekł — srom w obec innych, to ból straszny, mnie nie razy bolały, ino wstyd jakiegom doznał.

Król spojrział na dworzan.

— Czyż ta odpowiedź nie przekonywa nas, że kmiecie tak samo czują jak my, — rzeki.

I znowu zwrócił się do gromadki wieśniaków w dali stojącej pokornie.

— A cóż to dziecko tu robi? — zapytał wskazując bladą, nędzną dziewczynkę.

Mała postąpiła naprzód nieśmiało.

— Poszłam wczoraj do lasu z bratem o rok starszym. — rzekła — zbieraliśmy

chróst, bo w chacie drzewa nie było, a matka chora i na zimno się skarżyła. Wtem

wypadł pański słuźalec, odebrał nam chróst, krzycząc, że w pańskim lesie nic nie

wolno zbierać brata zabrał ze sobą. Pono do piwnicy na tydzień cały o chlebie i wodzie zamknęli go we dworze, aby pamiętał, że las do pana należy.

Chmura gniewu zawisła na nowo na czole króla, sięgnął do kieszeni, dobył parę sztuk złota.

Kup za te pieniądze drzewa, — rzeki — i powiedz matce, że król chłopów od dziś pamiętać o was będzie.

Poczem zwrócił się do innych wieśniaków i badał dalej, pytał, pocieszał, a każdy miał jakąś skargę do zanieśienia: jednemu za to, że długi na termin nie oddał wierzycie] zabrał cały dobytek jaki miał, drugiemu niesłusznie dowiódł, że

pieniędzmi fałszywymi zapłacił i poraz drugi się dopominał o należytość, każdy użalał się przed Kazimierzem, a on każdego pocieszył.

Południe dawno już minęło, gdy król na zamek podążył, a wieśniacy z nadzieją w sercu do wsi powrócili.

Syn Łokietka zasługiwał w istocie na nazwę "króla chłopów," jaką mu poddani

nadali. Troskliwą opieką otaczał on kmieci, których panowie poczynali wówczas

uciskać, a poznawszy ten ucisk, gdyż często odwiedzał ich i sam rozmawiał z

nimi, widząc wiele nadużyć popełnianych, postanowił złemu zaradzić przez nadanie

narodowi rozumnych praw. Kazał przeto, by panowie zebrali wszystkie prawa jakimi dotychczas naród się rządził, spisali je, poczem wybrawszy lepsze, złe zmieniwszy na inne, zwołał zjazd do miasta Wiślicy i tam w obec zebranych biskupów, wojewodów, kasztelanów, urzędników ziemskich i znakomitszych ziemian czyli szlachty wszystkim dzielnicom Polski nadał jednakowe prawa, i na wszystkie stany nałożył podatki stosownie do położenia; panowie większe mieli podatki, biedni mniejsze. Prawo to otaczało szczególną opieką kmieci, nie pozwalało Żydów prześladować i mieszczanom dawało przepisy, jak rządzić się mają. Jednym słowem o żadnym stanie nie zapomniał Kazimierz, a były już teraz w Polsce różne stany: urzędnicy świeccy i duchowni, szlachta czyli ziemianie, mieszczanie, kmiecie

wolni i niewolili. Prawa nadane w Wiślicy spisane w jednej księdze zostały, a księga ta otrzymała nazwę statutu wiślickiego." Bolesław Chrobry mieczem i wiara połączył wiele plemion słowiańskich w jedno państwo, Władysław Łokietek odnowił to połączenie przez uroczystą koronację, Kazimierz utwierdził je r. przez nadanie wszystkim dzielnicom jednakowych praw.

Zjazd wiślicki przekonywa nas, że w tej epoce, królowie polscy, już nie rządzili samowolnie, lecz gdy chcieli coś ważnego postanowić, zwoływali zjazdy, czyli sejmy i razem z panami, oraz znakomitszą szlachtą radzili, władza przestała być przeto nieograniczona.

Król Kazimierz wiele dobrego zrobił dla kraju, nietylko bowiem nadał prawa narodowi, lecz założył też we wsi Bawole pod Krakowem wyższą szkołę, to jest akademię, gdzie uczono już nauk wyższych jak matematyki, geografii, historii, filozofii i t. d. Jego też staraniem mnóstwo miast, które dawniej były drewniane, zamieniły się na murowane, przez co napady nieprzyjaciół już nie tak łatwo klęski szerzyły, gdyż o wiele łatwiej jest zdobyć i zniszczyć budynek drewniany, niż murowany. Postawił wiele warowni, które granic państwa strzegły; spichrze, gdzie w czasie lat urodzajnych składano zboże, a gdy lata głodu nastąpiły, to król kazał zboże, w spichrzach zebrane, tanio biednym ludziom sprzedawać, biedniejszym jeszcze rozdawać darmo. Za tyle czynów mądrych i pożytecznych naród dobremu monarsze nadal przydomek Wielkiego.

Kazimierz Wielki nie był rycerzem, wojen nie lubił, Krzyżacy, korzystając ze śmierci Łokietka nie oddali Pomorza, on nie upomniał się o nie. Jan król

Czeski zajął Szląsk, przeciw temu wystąpił zrazu zbrojnie, lecz potem zawarł zgodę i zrzekł się Szląska na korzyść Czech. Nie czynił wszakże tego przez lenistwo lub tchórzostwo, lecz dlatego, iż rozumiał, że Polsko pierwiej trzeba wewnątrz urządzić, a potem dopiero rozszerzyć jej granice i w istocie urządził ją i uczynił silną, bogatą, szczęśliwą. Ciesząc się pokojem, państwo jego zagospodarowało się: podniosło się rolnictwo i handel, powstało wiele w niem wspaniałych gmachów, przybyło miast i wsi nowych. Polska Kazimierza już niebyła podobną do Polski Chrobrego pokrytej moczarami i porosłej lasami; panowie poczęli stawiać sobie domy wspaniałe, urządzać się wygodnie, obyczaję łagodniały, oświata postępowała; a choć Kazimierz Wielki wojen nie prowadził, jednak powiększył granice państwa przez przyłączenie do niego księstwa Halickiego.

W wieku XIV po śmierci panującego tam księcia Jerzego potomka Ruryka, który zmarł bezpotomnie, Halicz odziedziczyła siostra Jerzego, żona księcia Mazowieckiego Bolesława, wnuka Łokietka, bliskiego przeto krewnego Kazimierza

Wielkiego. Bolesław zmarł także bezpotomnie.  
Dowiedziawszy się o jego śmierci  
Kazimierz pośpieszył do Halicza i zajął ziemię całą, a  
mieszkańcy oporu nie  
stawiali, chętnie go panem swym uznali. Wkroczywszy do  
Halicza już jako król  
odziedziczonej po zmarłym księciu ziemi, odebrawszy  
przysięgę wierności od  
nowych poddanych, Kazimierz powitał ich piękną przemową.  
— Do was — rzekł — pokazać należy żeście dawną naszą  
bracią, aby nieba zlały  
błogosławieństwo

ten święty związek dwóch ludów słowiańskich, aby miłość i  
zgoda łączyły ich  
zawsze.

## II. DYMISTR DOŃSKI.

Wśród ludności słowiańskiej nad Odrą mieszkającej rozbiegła  
się okropna wieść,  
że Tatarzy, dzicy mieszkańcy Azji, wkroczyli do Europy, że  
wpadli na ziemie  
Rusiuów i zajęli potężną stolicę naddnieprską, sławny Kijów,  
w którym niegdyś  
Włodzimierz Wielki przyjął chrzest.  
Jarosław W. Mądrym zwany, umierając podzielił państwo  
swoje między pięciu synów,

Kijów oddał najstarszemu; gród ten zmieniał panów, młodsza linia starszą zastąpiła, lecz rósł ciągle w potęgę, granice jego coraz dalej sięgały.

Włodzimierz Monomach, który na początku XII-go wieku wstąpił na tron kijowski złączył ze swym państwem Nowogród, Wołyń i ziemie wschodnie nad Wołgą położone, następcy jego, powiększyli jeszcze to państwo. Wtem na Kijów straszna Klęska uderzyła, wpadli w granice tego księstwa Tatarzy i wygnali z niego panującego tam wówczas Michała. Nietylko Kijów doznał tej klęski, lecz wiele innych ziem słowiańskich: mieszkańcy Szląska niewątpili, że straszna ta doła nie minie ich, że lada dzień ujrzą u siebie Tatarów... I dnia jednego spostrzegli w istocie na

drodze ku miastu Neumarkt wiodącej jakąś masę ruchliwą, jakiś tłum ludzi i zwierząt idący bezładnie, niewątpili, że to Tatarzy. Przodem na koniach widać było mężczyzn w kozuchy baranie przybranych, za nimi wozy jedne z niewiastami, inne ciężko wyładowane, za wozami trzody, bydło, stada koni. Szlązacy pewni byli, że to podjazd Tatarski, wysłany na zwiady i w lasy okoliczne skryli się przed nim.

Wśród ludności szląskiej było w owe czasy wielu osadników  
niemieckich; gdy noc  
roztoczyła owe cienie, postanowili oni uzbroić się i napaść  
niespodzianie  
Tatarów, zachęcały ich do tego niewielka liczba najezdników i  
wozy ciężkie  
wyładowane, w których niewątpliwie skarby się kryją.  
A właśnie owi mniemani Tatarzy zatrzymali się na skraju  
lasów i rozbiwszy  
namioty spocząc tu zamyślali. Mylili się bowiem Szlązacy, nie  
Tatarzy to byli,  
lecz nieszczęśliwy książę Michał, który z rodziną i  
rycerstwem uchodził z  
zajętego przez Tatarów Kijowa. Sześćkroćstotysięcy  
Mongolów wpadło na ziemie  
Rusinów; było to w tym samym czasie, gdy w Krakowie  
panował Bolesław V. Takiej  
potędze nie czuli się na siłach oprzeć książęta: uciekł  
Bolesław z Krakowa w  
góry Karpackie, uciekł Daniel, książę halicki, do Węgier,  
Michał, Wielki książę  
kijowski, ze swej stolicy uszedł także i nad Odrą postanowił  
szukać schronienia.  
Już mury miasta Neumarkt ukazywały się zdala podróżnym,  
lecz strudzone konie nie  
były w stanie iść dalej; kazał przeto książę zatrzymać się  
drużynie, zdjęć z  
wozów namioty, rozbić je pod lasem, rozniecić ogniska i  
posilić się. Zmęczona  
drużyna chętnie usłuchała rozkazu

najchętniej za wszystkich młodziutka wnuczka W. księcia,  
dziewczę  
piętnastoletnie, która wraz z dziadkiem uszła szczęśliwie  
pogoni tatarskiej. Już  
namiot książęcy rozbity, już ognisko przed nim rozpalone, już  
około niego  
rycerze postawili kilka pieńków i przykryli je kobiercami, by  
wygodniej było na  
nich; siadł książę Michał, obok niego blada od znużenia i od  
łez, których tyle  
wylała młodziutka wnuczka książęca. Dziewczę wsparło  
główkę na ramieniu dziadka  
i duma o Kijowie i pyta siebie, czy Tatarzy goszczą w nim  
jeszcze, czy spaliwszy  
miasto, oraz wioski okoliczne, dalej powędrowali. Wtem z  
lasu jakiś krzyk  
złowrogi wybiegł, porwali się od ognisk wszyscy, powstał  
żywo książę Michał i  
każdy w duchu pyta siebie: "Czy to Tatarzy?" Lecz chyba nie  
oni, bo imienia  
Ałlach, z którym zwykle bój rozpoczynają nie słyszą. W  
każdym jednak razie  
krzyk ten nic dobrego nie wróży. Książę dobył szabli, zawołał  
na swoich, by się  
koło niego skupili i na czas się uszykowali, z lasu wypadli  
Szlązacy. Pewni, że  
Tatarów mają przed sobą, uderzyli na nich, bój się rozpoczął;  
Szlązacy nie znali  
Rusinów, więc w ciągłym złudzeniu, że Mongołów mają przed  
sobą, mordują zajadle,  
lecz książę Kijowa liczną miał drużynę ze sobą, obronił się  
przeto odparł

najczudników i kazawszy coperędzej zwijać namioty, postanowił się cofnąć z niegościnnej ziemi. Gdy mieli już wsiadać na wozy, okazało się, iż wnuczka księcia znikła w czasie tej bójki, próżno stary dziadek ją przywoływał, nie przybiegła do niego; wówczas straszne przypuszczenie zakradło się do duszy księcia, kazał szukać dziewczęcia między trupami i tam ją znaleziono...

Zimne, martwe ciało dziewczeczki złożono na wóz i odjechał z nad Odry książę Michał i na Mazowsze podążył, tu postanowił przeczekać burzę. A burza owa nadciągnęła potem na Szląsk. Miasto Neuniarkt na trakcie leżało, Tatarzy przebiegając całą ziemię Szląską ominąć jej nie mogli i nie szczędzili go, zburzyli do szczytu; kto do lasu na czas nie uciekł, ten więcej słońca nie zobaczył. Ludność szląską, która teraz dopiero przekonała się, jaką pomyłkę popełniła, pewną była, że to cień wnuczki księcia Michała sprowadził na nią Tatarów, mszcząc się za wczesnie wydarte życie. Nie tylko Neumarkt był w gruzach, Wrocław doznał tegoż samego losu, oraz wiele innych miast szląskich; pod Lignicą poległ dzielny książę wrocławski Henryk

Pobożny, który zabiegł drogę Tatarom, stąd dopiero cofnęli  
się dzicy najezdniczy  
i z bogaceni łupami wrócili na swoje stepy.  
Najazd tatarski najdotkliwiej ze wszystkich państw  
słowiańskich dał się uczuć  
księstwom ruskim, gdyż Mongołowie nałożyli na nie daninę.  
Książęta ruscy musieli  
odtąd posyłać chanom roczny haracz i do Złotej hordy jeździć,  
składać  
czołobitność władzcom Tatarów. Toż samo musiał uczynić W.  
książe Michał:  
wróciwszy do Kijowa posłał daninę chanowi, aby znowu nie  
wpadł w granice jego  
państwa.

I któż to jest ten, co siedzi na złocistym tronie, śniada jego  
twarz, maleńkie  
oczy pełne wyrazu srogości, nos płaski budzą uczucie grozy i  
wstrętu, i któż  
jest ten, co patrzy z owego tronu złocistego na tych, co go

otaczają, jakby panem był życia i mienia ich, jakby na iedno  
jego skinienie  
wszystkie te głowy mogły spaść w jednej chwili z karków; i  
któż są ci, co stoją  
pokorni, nieśmiali w około złocistego tronu, którzy zdają się  
śledzić wyraz  
twarzy tego, co na nim siedzi, by życzenia jego odgadnąć i ze  
służalczą

niewolnika je spełnić. To chan Tatarów, Maniajem zwany, to  
władzca ich życia i  
mienia, to pan Złotej hordy, najpotężniejszej hordy tatarskiej,  
to gnębiciel  
słowiańskich książąt, a ci co go otaczają to jego urzędnicy, a  
raczej słudzy, bo  
każdy z nich lęka się chana, jak pana swego pies się lęka; bo  
każdy z nich  
zgięty, pokorny jak sługa.  
Od tronu długa ulica prowadzi ku stepom, które szeroko  
rozpostarły się między  
Donem i Wołgą, rozłożyły się na ziemi niby piękny zielony  
kobierzec haftowany w  
różnobarwne kwiaty, A po obu stronach ulicy widać ogniska  
rozpalone, pomiędzy  
niemi jakieś bałwany, to bożyszczka tatarskie i święte ich  
ognie. I kogóż oni  
oczekują, jakaż uroczystość ma się tu odbyć. Chan siedzi  
nieruchomy, jakby nie  
człowiekiem był, lecz posągim ulanym z żelaza, a lśni cały  
od złota i drogich  
kamieni, urzędnicy jego świecą także, lecz nie tak jasnym  
blaskiem, niby  
księżyce przy słońcu... Przy ogniskach widać gromadki  
Tatarów, to czerń, tłum,  
pospólstwo jednym słowem. Ci w kozuchach na wierzch  
wywróconych, w baszłykach na  
głowie, podniecają ognisko, coś szepczą do siebie, a wzrokiem  
zwracają się  
ciągle ku stepom, jakby stamtąd kogoś oczekiwali. Wtem  
wśród Tatarów zawrzało,  
jak w kotle, gdy woda gotować się zaczyna, poruszyli się  
wszyscy, nawet chan

drgnął na swym tronie, skrzywił się i ociężałe podniósł

powieki; urzędnicy i gromady koło ognisk zbite, poczęły sobie  
coś palcem

wskazywać... Na końcu drogi, do tronu wiodącej ukazała się  
gromadka ludzi, szli

pieszo za nimi pacholcy nieśli wielką skrzynię złotą, za  
pachołkami posuwały się

kolasy, lecz te w pół drogi się zatrzymały, a ludzie szli dalej.

Jedwabne

suknie, szuby sobolami podbite, kołpaki futrzane zaradzały, że  
to słowiańska

drużyna; wśród starszych widać było małe chłopię o twarzy  
bladej, smutnej,

strojno, bogato przybrane. Szli wszyscy z głowami odkrytem,  
a ilekroć zbliżyli

się do którego bałwana, lub ognia świętego, padali na kolana i  
czołem bili o

ziemię. Małe chłopię toż samo czyniło, lecz ilekroć uklęknęło,  
zawsze na gładkiem

jego czole pojawiała się głęboka zmarszczka gniewu i zawsze  
pierwej, który ze

starszych coś mu szeptał do ucha, jakby namawiał, by ukląkł i  
niezawsze chłopiec

zaraz usłuchał, parę razy zdawał się wahać, opierać. Wreszcie  
dotarli do tronu

złocistego, teraz padli wszyscy razem na kolana i czołem  
uderzywszy o ziemię,

nie podnosili się z klęczek, chłopię toż samo uczyniło, lecz ten  
co najbliżej

niego był, trzymał rękę położoną na jego ramieniu, jakby się lękał, by nie wstał.

Chan srogim wejrzeniem ' mierzył ich długo, wreszcie poruszył się, skinął na jednego ze swych urzędników, a ten zwrócił się do klęczących i rzekł:

— Wielki chan Mamaj, pan Złotej hordy, rozkazuje, abyście wstali i rzekli z czem przybywacie.

Powstali z klęczek przybyli, jeden, ten co zdawał się być najstarszym i najdostojniejszym z drużyny, tak przemówił:

— Jesteśmy ruscy bojarowie, z księstwa Moskiewskiego przybywamy, oto stoi przed tobą potężny władzco, najpotężniejszy z monarchów Azji i Europy, wnuk Iwana Kalety, któremu sławny chan Uzbek jarłyk udzielił, syn Iwana II zmarłego przedwcześnie, Dymitr Iwanowicz stoi pokorny i czeka, byś mu pozwolił hołd sobie złożyć, daninę zwykłą oddać, byś go uznał W. księciem Moskwy.

Rozdzielone państwo Włodzimierza Wielkiego pomiędzy pięciu synów Jarosława Mądrego, rozpadło się z czasem na więcej, części, gdyż książęta ruscy, jak Piastowie, uważając państwo za swoje dziedzictwo, dowolnie niem rozporządzali.

Jednym z większych księstw ruskich w wieku XIV było księstwo Moskiewskie, ulegało ono wszakże jak inne Mongołom, książęta Moskiewscy zmuszeni byli składać chanom hołd i daninę. Roku po śmierci Iwana II bojarowie wprowadzili na tron małoletniego syna jego Dymitra i przybyli teraz z nim do Złotej hordy, aby otrzymał jarłyk. od chana Marnują, panującego wówczas nad Tatarami, Chan zsunął brew, groźne pełne złości, straszne swoje spojrzenie wpił w młodego Dymitra, próbował czy chłopiec się go nie ulęknie; lecz Dymitr hardą miał duszę, wytrzymał spojrzenie. Chan mruknął coś do siebie, potem skinął że się zgadza, młodziutki książę zgiął znowu kolana i czoło pochylił. Mamaj długo trzymał go w tej postawie, nakoniec zwrócił się do urzędników, ci zgadli życzenie pana, podali mu jarłyk i Mamaj oddał go klęczącemu. Dymitr uznanym został Wielkim księciem Moskwy, teraz powstał, skinął na pachołków, ci przystąpili do

tronu i skrzynię ze złotem, daninę księcia Moskwy Mamajowi oddali, poczem cała drużyna oddaliła się zwolna a wracając tą samą drogą, znowu zmuszeni byli bić pokłony bożyszczom i ogniom świętym. Dotarli wreszcie do kolas, Dymitr wskoczył

do najparadniejszej, zwrócił się ku stepom w stronę, gdzie za nimi widać było  
złocisty tron chanów tatarskich, a za tym dalej jeszcze stolicę,  
ich, miasto

Krym.

— Niechaj tylko podrosnę, czołem bić ci nie będę, — rzekł  
hardo — niechaj z  
pacholęcia mężem zostanę, w siły się wzmogę, a powiem ci:  
"chanie Mamaju! tyś  
nie Bóg, przed Bogiem tylko człowiek zginać może kolano."  
Uśmiechnęli się bojarowie i z dumą spojrzeli na swego  
księcia.

I dotrzymał słowa Dymitr. Wyrosłszy z lat pacholęcych, gdy  
bojarowie uznali, iż  
sam już władać państwem może, nie złożył Tatarom zwykłej  
daniny. Chan przysłał  
do niego swoich, stanąwszy przed obliczem wielkiego księcia  
Moskwy, rzekli mu  
wysłańcy krymscy.

— Pan nasz i twój, władzca Złotej hordy, wielki Mamaj kazał  
ci rzec, że jeśli w  
tej chwili nie ruszysz z nami do hordy, czołem przed nim nie  
uderzysz, daniny  
należnej nie oddasz, głowę ci z karku strącić każe i państwo  
twoje ogniem i  
mieczem zniszczy.

— Niech przyjdzie i spróbuje — odparł chmurnie Dymitr.  
Chan nie dał sobie powtórzyć tego wezwaniu. Wkrótce po  
całej Moskwie rozległo  
się bolesne wołanie, z jękiem i ze szlochaniem połączone:

— Tatarzy idą! Tatarzy.

Wkrótce łuny pożarów oświeciły niebiosa rozciągające się nad ziemią Ruską,  
czarne słupy dymów podniosły się od jej wiosek i miast ku błękitom; wkrótce  
tłumy Mongołów wrzeszcząc Ałlach! Ałlach! rozbiegły się po grodach i siołach  
szerząc w nich śmierć i opustoszenie. Lecz Dymitr nie stracił odwagi, zebrał  
rycerstwo, zwołał innych książąt ruskich i pośpieszył naprzeciw wrogów... Na  
Kulikowem polu, tam gdzie rzeka Neprawda do Donu uchodzi, spojrzeli sobie w oczy  
Rosjanie i Tatarzy. Bój zawrzał srogi, zacięty, trwał od świtu do rana, i  
ustąpili Tatarzy, Dymitr powrócił jako bohater do Moskwy i otrzymał przydomek  
"Dońskiego."  
Nie uwolnili się wprawdzie jeszcze wówczas książęta ruscy z pod jarzma  
mongolskiego, lecz przekonali się, że Tatarów można pokonać, odtąd też imię  
Tatara nie rozpraszało już hufców słowiańskich, stawiali im czoło odważnie i  
oswobodzili się w końcu z pod ich ucisku, lecz dopiero w wieku XV-ym.

### III. KRÓLOWA JADWIGA.

Źle się działo w Polsce za panowania Ludwika Andegaweńskiego, któremu panowie po

śmierci Kazimierza Wielkiego koronę oddali. Był to syn  
Elżbiety, siostry  
Kazimierza i króla Węgier, sam Kazimierz po-

lecił go panom jako swego następcę. W Węgrzech objąłszy  
tron po śmierci ojca,  
panował on rozumnie i zadłużył na imię Wielkiego, lecz o  
Polskę nie dbał  
Włożywszy w Krakowie na czoło koronę, wrócił do Węgier,  
opiekę nad Polską.  
powierzywszy matce swej Elżbiecie, która rządzić nie umiała i  
działo się źle w  
kraju. Napadali nań pogańscy Litwini, palili miasta, wioski, a  
król nie stanął  
na czele wojsk, by go bronić; przyłączony przez Kazimierza  
Wielkiego Halicz  
zajęli Węgrzy, on rozkaz ku temu wydał. Założona tak  
niedawno akademija  
krakowska, poczęła, upadać, gdyż nauczyciele sprowadzeni  
przez Kazimierza, nie  
otrzymując, obiecanej im pensji porzucili ją, Ludwik temu nie  
zaradził; panowie  
uciskali kmiotków, pozwalał na to, jeszcze nadał im  
przywileje, prawa  
niesprawiedliwe z krzywdą kmieci dla nich ustanowione,  
słowem wszystko, co  
dobrego zrobił Kazimierz Wielki, Ludwik obalił. Przed  
śmiercią, ponieważ syna  
nie miał tylko dwie córki, starszą z nich Maryją polecił  
panom, aby po nim  
rządziła.

Po śmierci Ludwika powstał jeszcze większy zamęt w państwie, bo każdy innego chciał mieć pana. Żyli jeszcze książęta z rodu Piasta: ci którzy mile wspominali dawne czasy, zebrawszy sejm, czyli wiec, wołali: "Niech nam panuje Ziemowit, książę Mazowiecki." Ci, którzy wdzięczni byli Ludwikowi za przywileje im nadane krzyczeli: "Nie chcemy Ziemowita, tylko Maryją." I wojna domowa powstała, zbrojne oddziały przebiegały ustawicznie wsie i miasta, mordowały i niszczyły braci, i wszędzie skargi, jęki, przekleństwa słyszeć

było; w nocy świeciły łuny i pożary, w dzień czerniały dymy, zgliszcza i popioły.

Dwie partyje utworzyły się w narodzie: na czele jednej stanął Domarat Grzymała, starosta wielkopolski, na czele drugiej Wincenty z Kempy, wojewoda poznański, herbu Nałęcz. Ci co do pierwszej partyi należeli, zwali się Grzymalczykami i popierali córkę Ludwika, bo mu przyrzekli, że po jego śmierci oddadzą Maryi koronę; ci, którymi dowodził Wincenty z Kempy Nałęczami się zwali i żądali Ziemowita, o Maryi słyszeć nie chcieli, gdyż była żoną Niemca... Wojna niszczyła kraj, kmiecie i rzemieślnicy ciężko wzdychali, narzekała i uboższa szlachta,

rolnictwo upadało, warsztaty stały bezczynne, handel nie  
szedł, nikt życia i  
mienia pewnym nie był, pola leżały odłogiem, gościńce,  
któremi kupcy wozili  
towary, chwastem zarosły... Przybył do Krakowa Zygmunt,  
margrabia Brandeburski,  
mąż Maryi, lecz Nałęczowie go wygnali, a niemieckie  
książątka mszcząc się za  
zniewagę spustoszyło wiele wsi i grodów... Na czym te zatargi  
domowe się  
skończą, nikt nie wiedział, czas upływał, a zmiany nie  
przynosił. Aż oto  
przyszła wieść, że królowa Elżbieta nową propozycją  
uczyniła, aby panowie  
polscy młodszej córce Ludwika koronę oddali. Jadwiga, takie  
było jej imię, męża  
jeszcze nie miała, więc mogli pana wedle woli wybrać;  
biegały o niej wieści, że  
dobra, jak anioł i piękna jak anioł, więc rada królowej  
przypadła do serca  
wszystkim, przychylną odpowiedź wysłano Elżbiecie.  
— Niechaj przybywa Jadwiga — rzekł naród.

I właśnie ustały, wojna domowa ucichła, pogasły pożary,  
Nałęczowie i Grzymalicy  
broń pochowali... Panowie pośpieszyli za granicę, by powitać  
przyszłą swa panią;  
Kraków, oraz inne miasta, które spodziewały się, że przez nie  
Jadwiga  
przejeżdżać będzie, przygotowały się na jej przyjęcie:  
czyszczono ulice i domy,

z gałęzi jodeł pleciono wieńce i strojono w nie kamienice  
główniejszych ulic.  
Wszędzie ruch, życie i wesele widać było, bo każdy rad że  
wojna ucichła,  
oddychał swobodnie i czynnie się krzątał: kmiotek powrócił  
do pługą spokojny, że  
nikt nie zniszczy mu już plonu, rzemieślnik do warsztatu,  
kupiec bez strachu  
wiózł znowu towary do miasta, po wielu, wielu dniach łez i  
niepokoją błysnęła  
nadzieja lepszej doli.  
Lecz dzień za dniem mijał, Jadwiga nie przybywała.  
Wprawdzie dochodziły wieści,  
że już w drodze, że poczet panów węgierskich ją odprowadza,  
że skarby niezmiernie  
wiezie ze sobą, lecz wieści te jakoś nie sprawdzały się i  
nadzieja poczęła  
słabnąć, zwątpienie wkradało się w serca dawne niechęci się  
przypomniały. Już  
Nałęczowie i Grzymalicy na nowo odgrażać sobie poczęli, gdy  
oto wpadł do miasta  
zdyszany poseł, że królowa już jedzie, że już na granicy, że  
najstarsi panowie  
na kolanach ją powitali, bo taka dobroć bije z jej czoła, takie  
męstwo i rozum  
patrzą z oczu. Więc znowu mieszkańcy Krakowa poczęli się  
krzątać kole ustrojenia  
domów, każdy też dobył ze skrzyni co miał ze strojów  
najparadniejszego:  
mężczyźni żupany i kontusze atłasowe, czapki sobolowe,  
kobiety — jubki kabaty  
jedwabne, aksamitne, perły, złoto, rubiny; zbytki w owe czasy  
już poczęły powoli

się wkradać, wprowa-

dzili je kupcy cudzoziemcy. Co kto miał piękniejszego,  
droższego, to dobywał ze  
skrzyni, a każdy był pewien, że królowa Jadwiga szczęście  
swemu ludowi  
przyniesie, że Polska pod jej rządami do sil powróci, że spokój  
i bogactwo  
zakwitną w niej znowu.

Radosne echa dzwonów kościelnych oznajmiły ludowi  
krakowskiemu, dzień przyjazdu  
wyczekiwanej, kto tylko zdrów był, biegł na ulicę, spiesząc do  
bramy

Floryjańskiej, którą wjechać miała. Ulica cała od bramy do  
zamku zieleń wysypaną  
była, wszystkie kamienice postrojone w kobierce, w wianki i  
głowy ludzkie, bo z  
każdego okna kilka wyglądało. Wreszcie rozległo się w  
powietrzu:

— Jedzie! jedzie! i tłum sam dobrowolnie bez niczyjego  
rozkazu uszykował się w  
dwa rzędy, mieszczanie i mieszczanki, kmiecie, panowie,  
razem wszystko stało  
obok siebie, nie lękając się ścisku, pragnąc jedynie ujrzeć tę,  
której sam  
przyjazd już tyle klęsk od kraju odwrócił, tyle nieszczęść,  
jakie wojna za sobą  
pociąga. ukazał się wreszcie orszak królewski (): w samym  
środku na białym  
koniu, który w rząd złocisty był przybrany, w płaszczu  
srebrnym, w białej,

lśniące od pereł sukni, jechała młodzianka królowa Jadwiga,  
lat dwanaście  
liczyła ona wówczas. Czarne jej włosy wiatr rozwiewał po  
ramionach, biała  
perłami szyta czapka skronie zasłaniała, koń jej dzwonił  
złotymi wędzidłami i  
zrywał się niespokojnie, lecz ona silną

-----  
( ) Opis wjazdu z powieści Kraszewskiego wzięty.

dłonią go trzymała i słodkim uśmiechem witała lud, który  
stojąc po obu stronach  
ulicy krzyczał:  
— Niech żyje królowa Jadwiga!  
Snać dobrą i odważną była... Działwa miejska przecisnąwszy  
się przez tłum słała  
jej drogę ostatnimi kwiatami, jakie ziemia wydała, boć to już  
był październik,  
a rzucając je pod nogi konia wołała:  
— Niechaj żyje królowa Jadwiga!  
Tuż obok młodzianki córki Ludwika, na gniadym koniu  
jechał z jednej strony  
siwy starzec w skarłatnym kapeluszu, ze sznurami złotymi, w  
czerwonym płaszczu,  
był to Dymitr z Goraja. Z drugiej w infule w stroju  
uroczystym biskup Bodzanta.  
Za nimi widać było dwanaście dziewic, również na koniach,  
wszystkie w szatach  
błękitnych, jedwabnych, srebrem bramowanych, w takichże  
czapkach, były to panny

dworskie, które za Jadwigą z Węgier przyjechały.  
Na samym przodzie orszaku królewskiego szli muzykanci w  
szkarłatne obcisłe  
suknie przyodziani, jedni na trąbach, drudzy na fletach grali, a  
dźwięki  
instrumentów mieszały się z głosami dzwonów. Za nimi  
rycerstwo polskie w  
zbrojach lśniących od złota i drogich kamieni; u hełmów  
rycerzy powiewały pióra  
u kapie chorągwie, a konie miały łby i ogony we wstęgi  
postrojone. W pośrodku  
rycerstwa widać było chorążego, który jadąc na roslym  
rumaku zdawał się być  
wyższym od wszystkich, trzymał on w ręku rozpostarty  
proporzec, na którym  
świecił orzeł. Za pancernymi szli łucznicy i tarczownicy, za  
królową panowie  
polscy

i węgierscy w zlocie i klejnotach, potem wozy ciężko  
wyładowane, otoczone  
strażą, służba i znowu muzykanci. Po bokach zaś orszaku  
biegały błazny nadworne  
królowej w pstrokatych sukniach, w czapkach dzwonekami  
oszytych i wykrzywając  
się do ludu, kozły przewracając dzwoniły czapkami, skakały,  
klaskały w ręce i  
krzyczały:  
— Niech żyje królowa Jadwiga!  
Cały ten orszak strojny, błyszczący od złota i drogich kamieni,  
głośny od

krzyków ludzi, dźwięków, jakie instrumenty muzyczne  
wydawały, od rżenia koni i  
tętentu ziemi, przesunął się zwolna przez ulice miasta i  
skierował się wprost ku  
świątyni wawelskiej, gdzie już wszystko było przygotowane  
do koronacji. Poważne  
dźwięki dzwonów mu towarzyszyły w tym pochodzie.  
I weszła Jadwiga do katedry wawelskiej, w której tak  
niedawno król Łokietek  
odbył pierwszą tutaj koronacją, uklękła przed arcybiskupem i  
otrzymała z rąk  
jego koronę, a w drobne, dziecinne swe dłonie "jęła ciężki  
szczyrbec  
Chrobrego... Kiedy w kościele zabrzmiał uroczysty hymn: "Te  
Deum laudamus,"  
który oznajmił ludowi, że obrzęd koronacyjny już skończony,  
to na dziedzińcu  
zamkowym obili się o niebiosa tak radosne okrzyki, jak nigdy  
jeszcze chyba tu  
nie brzmiały. A gdy dwunastoletnia królowa orszakiem panów  
świeckich i  
duchownych otoczona, ukazała się w progu kruchty kościelnej  
i ludowi owemu  
kazała sypać złoto ze skrzyni, którą na jej rozkaz zdjęto z  
jednego z jej wozów,  
jakie już stały na dziedzińcu, to lud cisnący się do niej z  
podziękowaniem ledwo  
powstrzy-

mać mogli strażnicy, bo każdy chciał pięknej królowej choć  
kraj płaszcza

ucałować.

Jadwiga ukoronowaną została dnia piętnastego października,  
w sam dzień swych  
imienin r. -go, Całym sercem ukochała dobra ta królowa  
ziemię, której panią  
została, i lud, który koronę jej włożył na głowę; świadczyła to  
czynem od  
początku panowania, aż do ostatniej chwili życia. Zaręczona  
od lat najmłodszych  
z Wilhelmem, księciem Rakuskim, kiedy panowie polscy  
powiedzieli jej, że dla  
dobra państwa trzeba, aby została żoną księcia Litwy, bo tym  
sposobem Litwa nie  
będzie więcej napadać i przyjmie chrzest. Jadwiga zerwała z  
Wilhelmem i rękę  
oddała pół dzikiemu jeszcze księciu Jagielle. Pamiętając, że  
ojciec jej  
nieprawnie zajął Halicz, gdy Jagiełło zajęty był na Litwie  
ustanowieniem tam  
władzy, co by go zastępowała, zebrała rycerstwo i sama na  
czele wojsk do dawnego  
księstwa Halickiego pośpieszyła, lecz krew nie poląła się,  
gdyż Węgrzy  
dobrowolnie z niego ustąpili. Nie koniec na tem. Widząc  
upadek akademii  
krakowskiej, by ją podźwignąć własne klejnoty oddała,  
wspierała biednych, kmieci  
nie pozwalając uciskać.  
Opowiadają, że gdy po ślubie objeżdżała kraj z mężem, by  
hołd od poddanych

odebrać, przyszli do niej wieśniacy z płaczem i ze skargą, że ludzie królewscy zabrali im bydło. Jadwiga wzruszona niedolą biednych kmieci, zwróciła się do męża z prośbą, by pokrzywdzonym sprawiedliwość wymierzył; spełnił to ży-

czenie Jagiełło, a dowiedziawszy się że rozkaz jego już wykonany, pośpieszył do żony.

— Wieśniacy już pocieszeni — rzekł z uśmiechem, powrócono im zabrane bydło.

— A któż im łzy powróci? — zapytała dobra królowa.

#### IV.

#### LITWA

Na wschodniej granicy Polski od czasów najdawniejszych siedział lud zwany Litwinami, obyczaje jego, obrzędy religijne przypominały w wielu razach Słowian, w mowie ich spotykały się również wyrazy słowiańskie, stało się to zapewne skutkiem sąsiedztwa: mając ciągle stosunki ze Słowianami, niejedno przyjęli od nich. Lud ten dzielił się na trzy główne plemiona: Prusów, właściwych Litwinów i Łotyszów. Prusowie siedzieli między Niemnem i Wisłą, graniczyli na zachód z

Pomorzanami. na północ z morzem Bałtyckiem, na południe z Mazowszem, na które ustawicznie napadali; podbici przez Krzyżaków sprowadzonych dla obrony Mazowsza przez ks. Konrada brata Leszka Białego, a którzy niemieckiego byli pochodzenia, wynarodowieni przez nich, zniknęli zupełnie. Łotysze naciskani przez Słowian przeszli do Kurlandyi i do Inflant, leżących nad

brzegami morza Bałtyckiego, na północo-wschód Prus podbili mieszkający tam lud Kuronów, a potem sami obcym przybyszom rycerzom niemieckim, zwanym Kawalerami mieczowymi ulegli; właściwi Litwini na wschodniej granicy Prus siedzieli.

Kiedy do Krakowa przybyła królowa Jadwiga, właściwa Litwa była jeszcze pogańską, najwyższą, cześć odbierały tam trzy bogi: Perkun, bóg piorunów na cześć którego Litwini utrzymywali wieczny ogień zwany Zniczem. Ogień ten podniecały w świątyniach Perkuna dzień i noc młode dziewice, kapłanki, poświęciwszy swe życie na usługi boga; gdy która dozwoliła zagasnąć świętemu ogniowi, śmiercią była karana. Kapłanki, a raczej wajdelotki, bo tak się zwały owe położne dziewice na Litwie, zmieniały się kolejno w pełnieniu służby, gdy jedne odpoczywały, inne

natenczas czuwały nad świętym ogniem. Drugim bogiem Litwy był Patrymon, na cześć którego Litwini po domach węże chowali; węże te uważane były za święte, opiekowano się nimi troskliwie, karmiono mlekiem, grzechem wielkim było zabicie węża. Trzeci bożek Poklus, bóg srogi mieszkał według mniemania Litwinów w piekle i stroił się w czaszki ludzkie. Prócz tych bogów czcili jeszcze Litwini najwyższego, wszystko wiedzącego boga, którego zwali Dewe-Dewojte. W przyszłe życie wierzyli: według ich mniemania, tych, co cnotliwie postępowali na ziemi, czeka wiele dobrego w przyszłym życiu: piękne żony i dzieci, słodkie napoje, smaczne pokarmy, w lecie białe suknie, w zimie ciepłe kaftany i sen na miękkich łóżach. Występnym wszystko odbiorą, występny żyć będzie samotnie, tęsknić, płakać i ręce ła-

mać. Ciała umarłych palili oni, jak Słowianie, na stosach żony szły często razem z mężami w płomienie. Litwini składali bogom ofiary krwawe ze zwierząt, lub z niewolników pojmanyh w czasie wojny, z chorych dzieci, żon i sług. Zabiwszy ofiarę, palili ją potem na ołtarzu, a czynność tę spełniali kapłani, którzy na

Litwie wielkiej czci doznawali, Najstarszy znaczeniem z kapłanów zwał się krywe-krywejto, to jest kapłan kapłanów, mieszkał on w mieście Romowno, które w kraju pruskim leżało. Do niego w chwilach ważniejszych udawali się Litwini o radę, on przez usta wróżek, któremi, jak u Słowian były młode dziewice, lub stare kobiety odpowiedzi dawał; wróżki takie z płomieni, z dymu, z biegu wody wróżby ciągnęły. Niżsi kapłani zwali się krywe, najniżsi wajdeloci. Oznaką godności kapłańskiej były kije długie, podobne do pastorałów, krywe-krywejto nosił kij potrójny, krywe podwójny, wajdeloci pojedynczy. Rząd u Litwinów był zrazu patryjarchalny, ojcowie rodów, a raczej naczelnicy zwali się kunigasami, znaczenie ich było takie same, jak żupanów czyli władków słowiańskich. Pierwotny naród litewski składał się z następujących stanów: pierwszy stan tworzyli kapłani, drugi kunigasi, trzeci rycerze, czwarty kmiecie, piąty, najniższy stanowili jeńcy wojenni. Rycerze byli najczęściej właścicielami ziemi, kmiecie ją dzierżawili, niewolnicy spełniali najrozmaitsze obowiązki u rycerzy, do których należeli, lub u kunigasów: z nich najczęściej składała się czeladź dworska, oni rzemiosłom się oddawali, często też uprawiali rolę pańską. W ważniejszych chwilach, gdy naprzykład wojna groziła, kunigasowie

zbierali się na wiec, radzili nad obroną kraju, wodza sobie  
obierali, nakładali  
daniny.

Pierwotne dzieje tego ludu są niepewne, podanie mówi, iż w  
miejscu, gdzie

Prusowie graniczyli z Mazowszem, mieszkał lud

Ulmingierów, że Mazurowie

ustawicznie na niego napadali, wiec zwołał ów naród wiec,  
aby radzić, co czynić

w tak złej doli. A gdy pod cieniem dębu zasiedli kunigasowie  
do rady, podniósł

się z pomiędzy nich jeden, starzec już siwy i rzeki:

"Pszczoly póki królowej nie mają, póty nie mają pokoju;  
obierzcie króla, a pokój  
mieć będziecie. "

I posłuchał naród starca mądrego i okrzyknął go królem, imię  
tego starca było

Wejdawutis, połączył on wszystkie plemiona litewskie w  
jedno państwo, nadał im

prawa i religiję, kazał czcić Perkuna, Patrymona, Poklusa,  
podzielił naród na

stany, ustanowił kapłanów i brata swego Brutena mianował  
arcykapłanem. W

rozkoszarnej dolinie, pod dębem rozłożystym Bruten postawił  
posąg bogów, miejsce

to kazał ogrodzić i nazwał Romowno. W Romownie wszystkie  
plemiona litewskie

składały bogom ofiary, tu arcykapłan rad im udzielał, tu karał  
winnych,

cnotliwych nagradzał. Romowno było to miasto święte dla plemion litewskich.

Długo Bruten i Wejdawutis rządzili szczęśliwie plemieniem litewskim, lecz kiedy

Bruten doczekał się lat -ch, a Wejdawutis , wtedy wezwali naród do

Romowna. W pośrodku miasta świętego, w pobliżu bogów był wzniesiony w dniu tym

stos wielki, weszli nań obaj i oznajmili z niego ludowi, że wolą jest bogów, aby

złożyli już władzę; przeto Wejdawutis podzielił swe

państwo pomiędzy -tu synów, z których najstarszy Litwo dostał najgłówniejsza

część owego państwa właściwą Litwę. Poczem zakławszy lud swój na imię bogów, aby

spełniali nadane przez nich prawa i posłuszni byli nowym panom, Wejdawutis i

Bruten kazali stos zapalić i zginęli w płomieniach. Po ich śmierci, Prusowie

nieposłuszni przyrzeczeniu uczynionemu, wrócili do rządów gminowładnych.

Łotysze, jak już wiemy, przenieśli się nad morze Bałtyckie.

Nad Litwinami

rządzili kolejno różni książęta, lecz dzieje ich niepewne, to tylko wiadomo, że

staczali oni ustawiczne boje z sąsiednimi im Słowianami, niszczyli ich wioski i

miasta, wiele ludu brali do niewoli, niejedną ziemią słowiańska, zdobyli i do

swego państwa wcielili; doznali też niejednokrotnych  
napadów Mongołów  
niejednokrotnie walczyć musieli z Krzyżakami, którzy  
podbiwszy i wynarodowiwszy  
Prusów, pod pozorem, iż chcą Litwę nawrócić najeżdżali ją  
zbrojno. Jeden z  
władców Litewskich, książę Mendog przyjął nawet chrzest, by  
zabezpieczyć naród  
od tych napadów, lecz pod koniec życia wrócił do  
bałwochwalstwa.

Pewniejsze dzieje Litwy rozpoczynają się dopiero w XIV  
wieku. Kiedy to u nas  
panował Władysław Łokietek, na Litwie objął wówczas  
władzę książę Gedymin; chcąc  
zabezpieczyć się od Krzyżaków zawarł przyjaźń z Łokietkiem  
i córkę swą Aldonę  
dał za żonę jego synowi Kazimierzowi, a na wiano dał jej  
wszystkich jeńców,  
jakich Litwini podczas swych napadów na Polskę pobrali do  
niewoli. Piękna  
Litwinka wjeżdżając do Krakowa wprowadziła ze sobą do  
stolicy tłum mężczyzn i  
niewiast, którzy łzami radości witali ojczystą ziemię

a niejeden w tłoku ludzi, co biegł na powitanie królowej  
poznawał siostrę, lub  
brata dawno niewidzianego, żonę lub męża, syna lub córkę i  
okrzyki  
błogosławieństwa wzbijały się nad głową Aldony.  
Gedymin założył piękne miasto Wilno. Podanie mówi, że  
książę ów polując raz

wśród gór, jakie otaczają Wilno, zabiwszy na jednej z nich tura, usnął następuie  
znużony i miał dziwny sen: widział ogromnego wilka, który był cały blachą  
okryty; wilk ów tak potężnym wył głosem, iż się zdawało, jakoby stu wilków  
innych miał w sobie. Zaniepokojony swym snem książę powtórzył go arcykapłanowi,  
który poradził, aby na onej górze, gdzie wilki widział, gród wielki wybudował; i  
posłuchał rady kapłana Gedymin, kazał murować na szczycie góry zamek z wieżycą  
wyniosłą i osiadł w nim. Tak powstało Wilno, do którego Gedymin przeniósł z  
czasem stolicę z miasta Trok. Górę na której stary zamek stał niegdyś, a którego  
obecnie szczątki widzieć jeszcze można, zowią do dziś dnia górą Turzą.  
Gedymin umierając podzielił swe państwo między siedmiu synów, zwierzchnią władzę  
nad wszystkimi oddał temu, który w Wilnie mieszkał. O Wilno gwarzyli się  
ustawicznie bracia ze sobą, aż Olgierd najstarszy, wsparty przez Kiejstuta  
zdobył je, odtąd Olgierd i Kiejstut wspólnie rządzili na Litwie.  
Po śmierci Olgierda Wilno dostało się synowi jego Jagiełłę, który posłyszawszy, że w Polsce  
rządzi piękna i młoda Jadwiga, wysłał do Krakowa swatów. Panowie mile przyjęli  
poselstwo, Jagiełło czynił takie świetne obietnice, iż nietylko sam chrzest

przyjmie, lecz nawróci całą Litwę, połączy ją z państwem  
Jadwigi i postara się  
odebrać

z rąk Krzyżaków ziemię Pomorską, za Łokietka jeszcze  
zabraną.

Jadwiga wzdragająca się zrazu, dziki Litwin przestraszał ją, była  
przytem oddawna

zareczoną z księciem rakuskim Wilhelmem, lecz nalegana  
przez panów zezwoliła w

końcu. Dnia -go lutego r. -go przybył Jagiełło w orszaku  
panów polskich i

litewskich do Krakowa, z nadzwyczajnym przepychem i  
okazałością wśród huku tręb

i bębnow, ciągnąc za sobą liczne wozy wyładowane  
kosztownymi darami dla

przyszłej swej żony i dla dworzan.

W trzy dni po przyjeździe do Krakowa przyjął razem z braćmi  
swymi Witoldem,

Borysem i Skirgiełłą chrzest i otrzymał imię Władysława, a  
dnia -go lutego

odbył się uroczysty obrzęd zaślubin księcia Litwy z królową  
Jadwigą, poczem

razem z żoną, braćmi i arcybiskupem Bodzantą na Litwę  
pośpieszył.

W dzień popielcowy r. -go, zgromadziwszy lud na polu pod  
Wilnem, Jagiełło,

Jadwiga, arcybiskup Bodzantą, otoczeni panami litewskimi,  
przemówili do narodu,

zachęcając go do przyjęcia chrztu. W słowach wymownych  
wystawił im arcybiskup o

ile wiara Chrystusa jest piękniejszą od pogańskiej, Jagiełło  
korzyści, jakie  
osiągnie Litwa, gdy państwem chrześcijańskim zostanie, że  
Krzyżacy nie będą jej  
więcej najeżdżać, ustaną przeto mordy i napady; Jadwiga tak  
zachęcała, tak  
wymownie prosiła Litwinów, by oporu nie stawiali, iż ulegli w  
końcu i setki  
przyjęły tego dnia chrzest. A gdy na rozkaz Jagiełły runęły  
następnie świątynie  
pogańskie obalone zostały posągi bóstw, gdy węże święte  
pozabijano, zalano Znicz  
wodą i żaden bóg Li-

twinów nie przyszedł pomścić tych zniewag, to wiara w ich  
potęgę się zachwiała i  
reszta narodu nawróciła się także.

W Wilnie, gdzie niegdyś stał ołtarz Perkuna a na nim Znicz  
się palił, kazał

Jagiełło wybudować piękny kościół. Stoi on do dziś dnia, a za  
wielkim ołtarzem  
pokazują jeszcze znajdujący się tam wielki kamień, na którym  
podobno Znicz się  
palił.

Koku -go spisany został w mieście Horodle akt połączenia  
dwóch narodów,

Litwini otrzymali zupełnie te same prawa, jakie mieli Polacy.

Wielkie księstwo Litewskie, składało się: ) z właściwej Litwy  
z miastami Wilno,

Troki i Grodno, ) ze Żmujdzi, ) z ziemi Połockiej, Witebskiej,  
Pińskiej, ) z

Wołynia z miastami Łuck, Żytomierz, Krzemieniec, ) z Podola z miastem Kamieniec podolski. ) z Ukrainy, ) z ziemi kozaków Zaporozkich. Prócz Żmudzi i Litwy właściwej, inne części wchodzące w skład państwa Jagiełły, były to ziemie zamieszkałe przez ludność pochodzenia słowiańskiego, które naprzód do książąt ruskich należały, a potem podbite zostały przez Litwinów. Litwa była krajem lesistym, lecz i urodzajnym, ziemia jej wydawała najrozmaitsze gatunki zboża, za to w kruszce nie była bogatą; lasy jej dostarczały najrozmaitszych zwierząt dzikich, a rzeki i jeziora ryb różnorodnych. Z rzek największe były: Niemen, Dźwina, Dniepr.

V.

POD GRUNWALDEM ().

Na rozległej równinie otoczonej z jednej strony lasem, z drugiej zaroślami, za którymi widać snopkiem kryte dachy, bieleją płótna namiotów, jedne większe, drugie mniejsze... na większych świecą złote gałki, a przy nich chorągwie powiewają, to namioty wodzów i króla. Poznasz po chorągwi czyj namiot: na jednej w polu czerwonym, srebrem wyszyty, świeci wielki orzeł ze skrzydłami

rozpostartemi z dziobem otwartym, z koroną na głowie, to  
chorągiew królewska, bo  
też ten cały obóz do króla należy: Władysław Jagiełło z  
rycerstwem polskim,  
litewskim i czeskim tu się rozłożył. Te dachy kryte  
snopkiem, to dachy wsi  
Grunwald, pod którą znużone długim pochodem rozbiło  
namioty rycerstwo i legło na  
spoczynek...  
Jutro, pojutrze najdalej mają się spotkać z Krzyżakami: nadto  
krzywd i zniewag  
wyrządzili oni Jagiełłę, by mógł dłużej cierpliwie to znosić.  
Ustawiczne ich  
napaści na Litwę, podburzanie przeciw niemu braci jego,  
szerzenie w państwie  
niezgód domowych, pamięć obietnicy uczynionej panom  
polskim, iż ziemie  
Chełmińską, Dobrzyńską i Pomorską Krzyżakom odbierze,  
skłoniły

-----

() Z Kraszewskiego powieści Krzyżacy.

wreszcie Jagiełłę do kroku stanowczego i roku przyszło do  
wojny.

Ranek świta dopiero, na polu pod Grunwaldem, cisza jeszcze,  
śpią rycerze w  
namiotach, drzemią strażę przed niemi, wiatr powiewa  
chorągwiemi i szmer cichy  
rozlewa się w powietrzu... Tuż za namiotem króla widać drugi  
wielki, paradny,

przystrojony bogato złotemi gałkami, to namiot księcia Mazowieckiego: świadczy o tem chorągiew o czterech kwadratach białych i czerwonych, na czerwonych widać orły, na białych ślepowrony. Przy trzecim namiocie powiewa chorągiew, na której niedźwiedź ukoronowany unosi w białem polu pannę: to namiot kasztelana Krystyna z Ostrowa. Za nim stoi namiot Jana z Tarnowa i wojewody krakowskiego, ten ma w herbie gwiazdę w polu niebieskiem, na łuku księżycowym wspartą i takiż znak świeci na jego chorągwi. Biskupi przysłali także swoje oddziały, herby ich rodów wyszyte na chorągwiach świecą zdala: arcybiskup Gnieźnieński Mikołaj Kurowski ma w herbie krzyż w polu czerwonym, Wojciech Jastrzębiec, biskup Poznański, krzyż na podkowie w polu niebieskiem. Cała Litwa i Polska tu zbiegły i Jagiełło i Witold a z nimi Zawisza Czarny, Skarbek, Kmita, Mikołaj Gniewosz z Dalewic i wielu, wielu jeszcze innych panów litewskich i polskich, a prócz tych Szlązacy, Czesi, Tatarzy, których namówił Witold. Moc ludu tu przyszła stoczyć bój z Niemcami i harde ich głowy raz upokorzyć. Ranek dopiero świta, cisza panuje w obozie, tylko chorągwie szeleszczą i konie chrapią. Te zbudziły się już, więc gryzą trawę na błoniach, całe ich błonie

leńne Olbrzymi to obóz, wysokie wały bronią doń przystępu,  
na wałach stoją  
działa, za wałami wozy z bronią, z żywnością, z kamieniami;  
wszystko, co  
potrzebne do obrony przed nieprzyjacielem i do atakowania  
go, znajduje się na  
nich.

Mgły ranne rozsunęły się powoli, ukazały się błękity jasne,  
pogodne, wzbił się  
pod nie skowronek i krążąc nad namiotami pieśń cichą  
zanucił, wśród namiotów  
poczęli ukazywać się ludzie: służba, rycerze. Jedni rozpalali  
ogniska, drudzy  
stawali przed namiotami i wpatrywali się wdal, przez lunety  
patrzali, czy wroga  
nie dojrzą, lecz pusto było dookoła obozu... Tu i owdzie  
daleko, daleko za  
błoniami wznosiły się wszakże w górę czarne słupy dymu,  
świadczące, że wróg tam  
był, że spalił domostwo, iż ze zgliszców pozostałych pną się  
teraz do nieba  
dymy, a z wiatrem lecą pewno przez pola jęki i skargi  
pokrzywdzonych, na tych,  
którzy im mienie zniszczyli. Nareszcie cały prawie obóz  
wyległ przed namioty,  
rycerze otoczyli ogniska, na których służba umieściła kotły,  
posilają się  
wszyscy, starszyzna w namiotach własnych spożywa  
śniadanie. Gwar w obozie  
słysząc; każdy chce być wróżbitą, przepowiadają, że dziś bój  
stoczyć przyjdzie,

jedni z lewej, drudzy z prawej strony, spodziewają się ujrzeć  
Krzyżaków. Każdy  
pewny, iż zna myśli króla i księcia Witolda, opowiada, w  
jakim porządku na wroga  
uderzą, kto pierwszy do boju pójdzie.  
Tymczasem w kaplicy polowej, która na pobliskim wzgórzu  
się wznosiła, ozwał się  
dzwonek i przerwał te łożinowy, ruszyło rycerstwo tłumnie,  
ukazał się król  
otoczony panami. Twarz jego wyrażała wielki smutek,

cała postać przygnębienie; zwolna, nic nie mówiąc, skierował  
się ku kaplicy. Tuż  
przy nim szedł z jednej strony Witold, z drugiej Zyndram z  
Maszkowic, rycerz  
znakomity, obok niego młody sekretarz króla Zbigniew  
Oleśnicki. Właśnie wejść  
mieli na wzgórze, na którym stała kaplica polowa, gdy książę  
Witold dłonią oczy  
przysłoniwszy, rzekł:  
— Ktoś pędzi ku nam.  
Zatrzymali się wszyscy, Witold nie mylił się w istocie, w dali  
widać było  
pędzącego na koniu rycerza, pył jaki wzbijał się z pod kopyt  
końskich, otoczył  
go tak grubym obłokiem, iż trudno było poznać kto on,  
wyłonił się jednak po  
chwili z tej kurzawy, dopadł do wzgórza i konia na miejscu  
osadził.  
— Hanek z Chełma, — rzekł Witold do Jagiełły, — nowiny  
nam niesie, wysłałem po

nie.

Jagiello nie ruszał się z miejsca, tymczasem Hanek zeskoczył z konia, oddał go jednemu ze sług, który przybiegł doń, sam zaś na wzgórze z pokłonem do króla pośpieszył.

— Miłościwy panie, — rzekł, — nieprzyjaciel idzie, mistrz Ulryk Jungingen stanął obozem we wsi Grunwald.

Smutna twarz Jagielly bardziej jeszcze sposepniała.

— W jakiej sile? — zapytał.

— Tego nie wiem. skorom ujrzał pierwszą chorągiew, z wieścią tą przybiegłem natychmiast.

— I dobrześ zrobił, — odparł król, tu zwrócił się do Witolda.

— Poczyń przygotowania do bitwy, — dodał — ja wezwę pomocy Boga.

To mówiąc postąpił na wzgórze, a Witold i część rycerstwa cofnęli się, garść za królem podążyła. Nim doszli do kaplicy, zabiegł im wszakże drugi posłaniec, rycerz wysłany również na zwiady i oznajmił, że Krzyżacy ciągną i ciągną bezustannie.

— Jak mrowia ich, — mówił Na twarzach wszystkich odbił się niepokój.

— Moc Boga jest wielka — odezwał się Jagiello — widząc to pomieszenie rycerzy.

Za drugim nadbiegł i trzeci, ten oznajmił, że Krzyżacy gotują się już do

spotkania, że się ustawiają w szyku bojowym. Nie zważając na te wieści król poszedł do kaplicy, księża czekali nań ze mszą, gdy się ukazał, ksiądz Bartłomiej, kapelan nadworny, zbliżył się natychmiast z kielichem do ołtarza, ukląkł Jagiełło, za nim rycerze, i każdy w pobożnej utonął modlitwie, najgoręcej ze wszystkich modlił się Jagiełło. Z niechęcią szedł on na tę wojnę, nie lubił krwi rozlewać, a powtórnie niepokoiła go myśl, że walczyć będzie z tymi, którzy krzyż na piersiach noszą, którzy za wiarę przysięgli ginąć. Lecz czyż mógł inaczej postąpić? wszakże, biorąc na czoło koronę, przysięgł narodowi, iż bronić go będzie od napaści wroga, a czemuże byli Krzyżacy, jak nie wrogami? Msza się skończyła, król jeszcze klęczał i modlił się radby był odwlec jak najdalej chwilę rozpoczęcia boju, wtem przysunął się do niego ieden z rycerzy i szepnął:

Miłościwy Panie, książę Witold rzec kazał, iż ustawił już rycerstwo, że wszystko gotowe do pochodu was tylko czeka, Krzyżacy idą podobno ku nam. Król jakby nie słyszał, nie ruszył się z miejsca w kaplicy cisza panowała,

Jagiełło szeptał pacierze, rycerze jego niespokojnie ku  
drzwiom spoglądali. Po  
chwili znowuż czyjeś kroki się rozległy, a z nimi dźwięki  
szabli, to książę  
Witold wszedł, twarz jego była gniewna, żywym krokiem  
przystąpił do króla.  
— Bracie dosyć modłów, teraz czynu trzeba — rzekł.  
Te słowa skłoniły Jagiełłę do przerwania pacierzy, powstał i  
razem z Witoldem do  
obozu podążył, a za nim ci, co z królem pozostali w kaplicy.  
Rycerstwo już było przygotowane do pochodu, podzielone na  
oddziały, otoczone  
wozami i machinami, czekało tylko na króla. Na prawem  
skrzydle widać było  
Litwinów, wśród nich księcia Zygmunta Korybuta, obok  
Czechów z dzielnym ich  
wodzem Zyska, dalej Tatarów; na lewem stały chorągwie  
polskie, więc książęta  
Mazowieccy ze swemi oddziałami, Zawisza Czarny, Skarbek,  
oraz inni.  
Pośpieszywszy do swego namiotu, król przywdział zbroję,  
hełm i właśnie chciał  
koniu dosiąść, gdy mu dano znać, że dwóch heroldów od  
mistrza przysłanych chce z  
nim mówić. Jagiełło kazał ich wprowadzić do namiotu, sam  
siadł w krześle,  
otoczyli go panowie, niebawem rozsunęła się opona kryjąca  
wnijście królewskiego  
namiotu i dwóch Krzyżaków weszło: obaj trzymali gołe  
miecze w ręku, przy boku  
mieli drugie w pochwach. Stanąwszy w progu namiotu  
skłonili się pokornie, lecz  
twarze ich pokory nie wyrażały,

drwiący uśmiech siedział na ich ustach, na czołach pycha i pogarda. Zbliżyli się do Jagiełły, powtórny ukłon mu złożyli, poczem jeden rzekł: — Królu, oto mistrz Ulryk przysyła tobie i bratu twemu przez nas heroldów dwa miecze, na znak mającej się rozpocząć bitwy i rzec ci kazał: "Nie chowaj się między gaje i lasy, działaj śmielej, jeśli masz za małe pole do walki, Mistrz ci swego ustąpi, byłeś bitwy nie zwlekał, możesz wyznaczyć pobojuwisko."

Twarz Jagiełły wyraziła gniew, słowami go jednak nie zdradził, sięgnął po dar.

— Mam ja dosyć mieczy w mojem wojsku, — odparł z udanym spokojem, ale i te zdadzą się na obronę, naszą; ufam, że Bóg mnie i ludowi memu pomoże.

Posłowie skłonili się w milczeniu i opuścili namiot królewski.

Jagiełło powstał, przywdział hełm, kazał podać sobie konia. Niebawem stal na czele rycerstwa, podano mu chorągiew ze srebrnym orłem, on ujął ją w dłonie i podniósłszy wzrok pełen łez w niebo, rzeki:

— "Ty Boże najdobrotliwszy, co przenikasz wszystkie tajemnice serca, widzisz z Twej wysokości, że wojnę, w której zostaję zmuszony rozpocząłem; w Twojej

Chrystusie zaufany pomocy rozwijam tę chorągiew w Twojem imieniu na obronę sprawiedliwości i narodu mojego. Boże dobrotliwy pomóż twą opieką mnie i ludowi memu."

Król skończył modlitwę, oddał chorągiew, zagrały trąby bojowe, pieśń "Boga Rodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo" szerokim echem rozległa się po błoniach i ruszyły zbrojne hufce naprzeciw wroga.

Jednocześnie i Krzyżacy dali znak do walki i naprzeciw wojsk Jagiełły postąpili.

Z dwóch stron posuwały się ku sobie dwie masy czarne, olbrzymie, a która przewagę weźmie, trudno było zgadnąć. Krzyżacy tak pewni byli zwycięstwa, iż przygotowali niezmierną liczbę łańcuchów, aby mieć czym wiązać wziętych do niewoli. Przodem jechał mistrz Ulryk, obok niego dwóch rycerzy z chorągwiemi, na jednej widać było wyszyty krzyż czarny, na drugiej orła czarnego; Krzyżaków wspierali Niemcy, Szwajcarzy, różnych narodów najemnicy, mogli urągać Jagielle i pewni być zwycięstwa. W dolinie pod Grunwaldem, gdzie sześć dębów rosło, spotkały się wojska, bój zawrzał, bój krwawy, zacięty, lecz trwał niedłżej nad godzinę.

Przekonali się Krzyżacy, że nie zawsze ten zwycięża, kto  
pewien zwycięstwa, pole  
pod Grunwaldem<sup>^</sup> zasłane było przeważnie Krzyżakami, moc  
ich dostała I się też do  
niewoli, garść tylko uszła z pobojowiska! i wróciła do  
Malbarga, by braciom  
pozostałym w zakonie oznajmić o strasznej porażce...  
Zmęczony bojami król  
Jagiełło był na wzgórzu koło kaplicy, by odpocząć i orzeźwić  
się chłodem  
wieczoru. Zachodzące słońce krwawym blaskiem oblewało  
pole trupami zasłane, król  
ze smutkiem patrzył na tyle zmarnowanej młodzieży, gdy  
wtem przystąpił do niego  
jeden z rycerzy i podając mu kosztowny szkaplerz,  
zawierający jakieś relikwie,  
rzekł:  
— Oto sługa mój, Jurga zdjął oną świętość z trupa  
krzyżackiego i przyniósł mi  
ją. Po znakach zda mi się, że szkaplerz Wielkiego Mistrza jest.

Król obejrzawszy szkaplerz, wzniosł wzrok w niebo: — Tak  
karzesz pysznych Panie  
— rzekł głosem uroczystym.  
Skaplerz ów był w istocie własnością mistrza Ulryka, który  
leżał on między  
poległymi. Nigdy jeszcze Krzyżacy nie doznali takiej porażki,  
jak pod  
Grunwaldem, cały ich obóz dostał się w ręce Jagiełły; zdobyte  
na nieprzyjacielu

chorągwie, wróciwszy do Krakowa w katedrze wawelskiej  
król zawiesić kazał, a  
przysłane mu przez Mistrza miecze w skarbcu krakowskim  
złożył.

## VI. POD WARNA.

Uroczyście biją dzwony kościołów miasta Budy, stolicy  
Węgier, a z bram jego  
toczy się, jak fala wezbrana tłum rycerstwa od stóp do głów w  
żelazo okutych,  
snać na bój idą, lecz na jaki?... Na piersiach rycerzy świecą  
krzyże złote, w  
imię Krzyża będą zatem walczyć... Czy z poganami? wszakże  
Prusy i Litwa już  
nawrócone.

Na czele rycerstwa dwóch wodzów jedzie: jeden młodziutki,  
dziecko prawie  
jeszcze, lat szesnaście liczy najwyżej, drugi mąż poważny.  
Starszy to Hunijad,  
dzielny wódz węgierski, młodszy to syn Władysława Jagiełły,  
Władysław III-ci  
dziedzic jego korony, a zarazem król Węgier. Lat siedm miał  
zaledwie, kiedy

objął osierocony tron ojcowski, lat piętnaście dopiec, kiedy  
Węgrzy uprosili go,  
aby objął nad nimi rządy.

Obok króla, między nim a Hunijadem widać z jednej strony kardynała w płaszczu purpurowym, w kapeluszu czerwonym ze złotymi sznurami, z drugiej starca w skromnej duchownej sukni; ten ostatni to Grzegórz z Sanoka, dawny nauczyciel królewicza Władysława mąż uczony, znany w kraju z nauki. Towarzyszą mu obaj, gdyż pierwszy, kardynał Cezarini namówił króla do tej wyprawy, a drugi lękając się o wychowanka pojechał z nim razem; szablą wprowadzić władać nie umie, lecz liczy na to, że rada jego może się przyda młodemu królowi. Wróg z którym walczyć ma Władysław, to wróg obcy Polakom, poraz pierwszy mają go ujrzeć, to wróg Krzyża straszniejszy stokroć od Niemców i Tatarów, bo dzikszy od pierwszych, a silniejszy od drugich. W wieku XIV-tym nowy nieprzyjaciel przybył w Europie ludom słowiańskim. Od najdawniejszych czasów gnębili ich na zachodzie Niemcy, podbijali wynaradawiali, ich ziemie przywłaszczali sobie, potem od wschodu pojawili się Tatarzy, palili ich wsie i miasta haracz nakładali, tysiące ludu słowiańskiego zginęło od ich miecza, tysiące u nich w niewoli zmarniało, a teraz w wieku XIV-tym zjawili się na południu Europy Turcy... Przyszli oni z Azji, gdzie mnóstwo ludów podbili, nie byli oni poganami, wierzyli bowiem w jednego Boga, niewidzialnego Stwórcę

wszech rzeczy, lecz Chrystusa nauki nie uznawali, czcili  
własnego proroka, który  
przepisał im prawa religijne, zwał się on Mahomet. Od jego  
imienia Turków  
nazywano

mahometanami, a jego religija mahometańską. Godłem tej  
wiary był półksiężyc: jak  
chrześcijanie krzyż swoich świątyniach mieścili, tak Turcy  
półksiężyc.

Władca ich zwał się sułtan, był on panem mienia i życia  
swych poddanych. Kiedy w  
Polsce, Litwie i Węgrzech panował Władysław III, sułtanem  
Turków był wówczas

Amurat II-gi; postanowił on podbić całą Europę, obalić  
wszędzie świątynie  
chrześcijańskie, a na ich miejsce mahometańskie meczety  
postawić. Zadrżeli

Serbowie, oraz inne ludy słowiańskie mieszkające na południu  
Europy, bo nieraz

już napaści tych strasznych wrogów doznali; od sąsiednich im  
Bułgarów, których

Turcy podbili, wiedzieli, jak srogi to pan. Nietylko Słowianom  
lecz innym

państwowi Europy groziło także niebezpieczeństwo, Węgrzy  
również drżeli o siebie.

Słyszając, że Amurat gromadzi wojska, Władysław III-ci zwołał  
zjazd do Budy, a gdy

zebrali się panowie, młody król powstawszy, rzekł:

— Wróg Krzyża nam grozi, nietylko nam, lecz wszystkim  
ludom Europy: już bracia

nasi na południu przez niego zgnębieni, już krzyże z ich  
świętyń stracone, a  
półksiężyc na nich świeci. Stańmy się murem, o który rozbijają  
się pociski  
niewiernych; stańmy się tarczą, która osłoni Europę od  
mahometan. Uzbrójmy się,  
uprzedźmy nieprzyjaciela; zanim on nas napadnie, my idźmy  
na niego, wygnajmy go  
z ziemi Słowian, nieprawnie przez nich zajętej, wymierzmy  
sprawiedliwość  
pokrzywdzonym.  
Mowę tę Węgrzy z zapalem przyjęli, wyprawa "chwaloną  
została, panowie polscy i  
litewscy posłyszawszy o niej chętnie się przyłączyli i stanął  
Wła-

dysław III-ci na czele zbrojnych hufców i przy uroczym  
biciu dzwonów ruszyły  
na wyprawę pełne chęci do boju szyki. Wśród rycerstwa, co za  
królem pośpiesza,  
widać Zawiszów, Tarnowskich, widać Piotra herbu Nałęcz,  
Mikołaja z Chrzastowa,  
Michała Lasockiego, widać wielu innych: wszyscy oni to  
synowie tych, co pod  
Grunwaldem walczyli, wszyscy krzyż mują na piersiach, w  
oczach męstwo i zapal.  
Idąc spieszonym krokiem wojska chrześcijańskie dotarły  
niebawem do Dunaju,  
przeplęły rzekę i wkroczywszy do Bulgaryi obległy miasto  
Sofiję, które Turcy

opanowali. Po długim szturmie miasto się poddało, a  
młodziuchny król z wojskiem  
zwycieskiem w głąb kraju zajętego przez Turków się posunął.  
Ciężki to był  
pochód, trzeba było iść drogami całkiem nieznanymi, wspinać  
się po górach  
niedostępnych, śliskich od błot jesiennych, potem od lodów,  
co je pokryły,  
walczyć z mrozem i burzami śniegowymi, z głodem i wrogiem  
ukrytym w wąwozach, w  
górach i jaskiniach, z których Turcy znienacka wypadali, nie  
mając odwagi  
otwartego boju stoczyć. Lecz przejęte myślą, iż w imię Krzyża  
walczy, rycerstwo  
odważnie znosiło te przykrości i biło się dzielnie. Najwięcej  
bodźca dodawał im  
do wytrwania przykład króla, który pierwszy zawsze po nocy  
konia dosiadał,  
ostatni kładł się na spoczynek; pierwszy na wroga się rzucał,  
ostatni o posiłek  
się upominał, a gdy mu podawali jedzenie, zawsze pytał  
pierwej, nim je przyjął:  
"czy żołnierze już jedli. " Nareszcie spotkali wroga. Pobicie  
zupełnie pierzchli  
Turcy w największym nieładzie, rzucając chorągwie, broń,

działa, rannych, wszystko to dostało się w ręce rycerzy  
chrześcijańskich.

Uwolniwszy Bułgarię z pod przemocy mahometan, król  
pośpieszył do Węgier,

wkroczył w tryumfie do Rudy witany okrzykami radości  
przez jej mieszkańców.  
Sława tego zwycięstwa rozeszła się daleko, papież Eugeniusz  
IV-ty, panujący  
wówczas w Europie, królowie Francji, Anglii Hiszpanii  
przysłali do Węgier swych  
posłów, winszując Władysławowi tak świetnego zwycięstwa,  
ludy słowiańskie na  
południu mieszkające, zasyłały do nieba błogosławieństwa za  
królem ich zbawcą, a  
Turcy pokornie o pokój prosili. Stu posłów z bogatymi darami  
wysłał sułtan do  
Węgier, obiecywał oddać zajęte przez niego miasta serbskie,  
wrócić jeńców  
wojennych i przez lat dziesięć nie czynić napaści na kraje  
chrześcijańskie, byle  
Władysław przyrzekł im za to pokój.  
Na taki układ korzystny zgodził się młody król, warunki  
pokoju ułożone zostały,  
podpisał je Władysław IV-ty, poczem przysiągł na świętą  
Ewangelią, iż przez lat  
dziesięć zaczepiać Turków nie będzie, a Turcy tę samą  
przysięgę uczynili na  
Koran, świętą ich księgę, gdzie spisane są zasady wiary  
mahometan.

Pod miastem Warną rozciąga się rozległa równina, która  
trójkąt tworzy, z jednej  
strony od południa oblewa ją zatoka i rzeka Parowa, od  
wschodu górzyste brzegi

morza Czarnego jej strzegą, na zachodzie utrudniają doń  
przystępu jeziora i  
bagna szeroko tam rozlane od północy łańcuch pagórków  
tworzy obronę. Było

to roku -go. Na owej równinie widać dwa wojska stojące  
naprzeciw siebie:  
jedno olbrzymie, półksiężycy, jakie świecą na namiotach za  
niem rozbitych, jakie  
stroją szczyty chorągwi, turbany różnokolorowe, kaftany  
złotem szyte, krzywe  
szable świadczą, kto oni; a moc ich tak wielka, jakby całą  
Europę podbić  
przyszli. Naprzeciw nich, jakby na urągowisko garstka ludzi  
krzyże na piersiach  
świadczą, że to chrześcijanie. Lecz skądże Turcy gotują się z  
nimi do boju,  
wszakże niedawniej jak rok temu przysięgli, iż przez lat  
dziesięć bojuw toczyć  
nie będą, więc złamali przysięgę? Niestety, nie oni dopuścili  
się tego...  
Zwyczajem, który oddawna przyjęli, ustawili się w  
półksiężycy, w pośrodku placu,  
który okrążają widać zatknięty na wielkiej żerdzi jakiś papier,  
cóż on oznacza?  
To umowa zawarta roku -go z Władysławem III-cim, akt  
pokoju  
dziesięcioletniego, na który sułtan i król przysięgli, a który  
król Władysław  
zerwał. sto powodzenie na złe ludziom wychodzi, zwycięzca  
Turków, oswobodziciel

Bułgarów, otrzymawszy tyle pochwał, tyle podziękowań od pierwszych monarchów Europy, Władysław, uwierzył, iż jest najpotężniejszym ze wszystkich, iż nikt nie byłby w stanie go pokonać. Pożałował, że na tak długo zawarł pokój z Turkami, bo mu się zdało, że gdyby był dłużej walczył z nimi, byłby ich całkiem wygnał z Europy; wielu innych toż samo myślało i poczęli namawiać króla, by zerwał umowę. Grecy, Wołosi, inne narody obiecywały, że jeśli król podejmie wyprawę na Turków, oni połączą się z nim, dostawią mu zbrojną pomoc i król uwierzył obietnicom, namowom uległ.

Próżno stary nauczyciel, Grzegorz z Sanoka, przypominał mu przysięgę, uczynioną Turkom. Odpowiedział że przysięga uczyniona niewiernemu nie obowiązuje dotrzymania jej; próżno doświadczony mąż przedstawiał potęgę Turków, wątpliwość, czy Grecy i Wołosi przyjdą z pomocą, wołał:

Mistrzu nie osłabiaj mi ducha, nie odwodź mnie od świętego dzieła.

Nie było sposobu zatrzymania go, młodzież węgierska i polska popierała jego ochotę, zebrały się zbrojne hufce i Władysław wypowiedział wojnę Turcyi. Zacny

Grzegorz z Sanoka, choć miał przekonanie, iż z tej wyprawy  
nikt żywym, lub  
wolnym nie wyjdzie, wybrał się wszakże, bo tego, którego  
kochał w tak trudnej  
chwili odstąpić nie chciał.  
Po długiej, pełnej trudów drodze, stanęły chrześcijańskie  
hufce pod Warną, lecz  
prócz Węgrów i Polaków nikt więcej. Zasepiło się czoło  
Władysława, zasepiło  
bardziej jeszcze, gdy z pośród wąwozów przecinających  
pagórki, jakie stanowiły  
granice równiny wysunęli się niebawem Turcy w liczbie tak  
wielkiej, iż dziesięć  
razy byli liczniejsi od jego wojsk i zatknęli na żerdzi  
podpisaną przez niego  
umowę pokoju. Wiara zachwiała się w królu, -cofać się  
byłoby wszakże hańbą;  
rozpoczęli, musieli iść dalej. Turcy uszykowali się do boju,  
oni toż samo  
uczynili. Na lewym skrzydle stanęli Węgrzy, na ich czele  
wódz ich Hunijad, w  
pośrodku król ze swym orszakiem w lśniącej od złota i  
drogich kamieni zbroi. Na  
prawem skrzydle Wołosi, których wezwał do pomocy  
Władysław, lud sąsiedni Polsce  
z wodzem węgierskim na czele.

W powietrzu głucha cisza panowała, nie tylko na ziemi, lecz i  
na niebie groziła  
burza; czarne chmury gromadziły się, jasne niebo stawało się  
coraz posępniejsze,

jakby słońce nie chciało przyświecać temu, co się stanie.  
Wtem zerwał się wichur szalony, miotać począł chorągwiami  
rycerzy i wyrwawszy z  
rąk tego, który królewską trzymał, złamał ją. Wznieciło to  
popłoch w wojsku  
chrześcijan; sądzili, iż Bóg przemawia do nich tym niemym  
znakiem, że grozi im  
karą za złamaną przysięgę. Turcy spostrzegli popłoch, dali  
hasło do boju i  
uderzyli jednocześnie na dwa skrzydła prawe i lewe. Bitwa się  
rozpoczęła, lecz  
ostygł już zapal w sercach Węgrów i Polaków, złe wróżby,  
jakie ze złamanej  
chorągwi ciągnęli, zawód, jaki im uczynili Grecy i Wołosi  
ostudził ochotę do  
boju i odjął odwagę: lewe i prawe skrzydło za pierwszym  
natarciem Turków poczęło  
się mieszać i cofać. Spostrzegłszy to król ścisnął konia  
ostrogą, dobył szablę,  
skinął na swój hufiec i na wroga się rzucił.  
— Stój! nie chodź — krzyknął za nim stary nauczyciel, ale on  
nie posłuchał  
wołania.  
Turcy widząc pędzącego króla, czy ze strachu, czy umyślnie  
rozstąpili się przed  
nim. Siejąc śmierć na prawo i lewo szablą, którą przerzucał  
wciąż z jednej na  
drugą stronę Władysław pędził tak szybko, iż garstka tylko  
utrzymać się mogła  
tuż za nim, reszta w tyle została, daleko za nimi. Naraz Turcy  
wydali okrzyk,  
jakim zwykle bitwę rozpoczynali, radość, lub rozpacz głosili.

— Ałlach! Ałlach! wzbiło się pod chmurami zasnute niebo, i z tym okrzykiem Turcy rzucili się naraz naprzód i otoczyli w okół tych, co w sam środek placu się zapędzili.

— Ałlach! Ałlach! wrzeszczeli jak nieprzytomni i coraz węższem kołem ścieśniali króla i tak go w końcu zamknęli, iż ruszyć się prawie nie mógł.

Spostrzegł Władysław, iż ostatnia chwila dlań nadchodzi, że ma wybierać niewolę, lub śmierć i tę wybrał, obejrzał się na swoich:

— Gińmy! — zawołał, — gińmy za wiarę naszą, za wolność ludów bratnich.

To powiedziawszy podniósł szablę do góry, by nią uderzyć najbliżej stojącego

Turka, lecz w tej samej chwili koń jego ugodzony przez podstępного wroga

zachwiał się i padł na ziemię. Chciał uwolnić się od niego król, lecz nim zdołał

to uczynić, trzech Turków doń przyskoczyło i rozsiekalo go szablami...

W obozie chrześcijan rozległ się krzyk grozy i jęk żalu: na wysokiej żerdzi,

gdzie akt pokoju był przywiązany, ujrzało rycerstwo głowę ukochanego króla.

Rozsiekawszy Władysława, Turcy ucięli mu głowę i tam ją umieścili. Widok ten

odjął ducha najodważniejszym, wszyscy pierzchać w nieładzie poczęli; próżno

wołał za uciekającymi Hunijad, że nie za króla, lecz za wiarę  
walczyć przyszli,  
pędzili ku rzece, dopadali łodzi i przeprawiali się na drugi  
brzeg. Może odgłos  
grzmotów, które rozlegać się poczęły stłumiły słowa  
Hunijada, może go nie  
słyszeli...  
Tak skończył Władysław III-ci, otrzymał on przydomek  
Warneńczyka od miejsca, na  
którem poległ. Był

to król dzielny, odważny i zacny, długo poddani w śmierć jego  
uwierzyć nie  
chcieli.  
Klęskę pod Warną nietylko Polacy i Węgrzy opłakiwali, lecz  
także i ludy  
słowiańskie na południu Europy mieszkające. Ośmieleni  
zwycięstwem odniesionem  
Turcy, wojnę im wypowiedzieli, podbili większa część państw  
i długo, długo w  
ciężkiej niewoli trzymali. Lecz miłość szczerą zwycięża  
największe przeszkody,  
miłością taką ogrzewani. Słowianie nie upadli na duchu i nie  
sturczeli,  
przetrwali lata niewoli i doczekali się dni swobody.

VII.  
PO WIELU LATACH.

Pomimo zwycięstwa, jakie Jagiełło odniósł nad Krzyżakami w r. -tym ziemie Pomorska i Pruska wciąż jeszcze w ich ręku były. Pokonani przez króla Władysława Łokietka pod Płowcami, przez Jagiełłę pod Grunwaldem i potem jeszcze kilkakrotnie,. Krzyżacy upokarzali się za każdym razem, prosili o pokój, przyrzekli solennie oddanie Pomorza, zapłacenie kosztów wojennych, potem pod różnemi pozorami odelekali z dnia na dzień wykonanie obietnicy. A gdy królowie polscy, wierząc obietnicom, cofali swe wojska i czekali cierpliwie spełnienia przyrzeczenia, oni tymczasem gromadzili tajemnie siły, i gdy znów pewni siebie

byli, hardo stawiali czoła Koronie i Litwie. Oświadczali, że nie oddadzą zabranej ziemi i władali dalej Pomorzem, czerpali skarby z tej ziemi, uciskali ludność słowiańska, wywłaszczali ją z posiadłości, a coraz więcej Niemców do Prus i Pomorza sprowadzali. Gnębieni w nieludzki sposób Pomorzanie i Prusacy postanowili wyrwać się raz z pod rządów mistrzów krzyżackich, zawiązali stowarzyszenie pomocy, zwane związkiem jaszczurki. Kto należał do tego związku, ten za godło nosił jaszczurkę, ten przyrzekał w razie potrzeby poświęcić swój

majątek i życie dla dobra kraju i braci. Na czele towarzystwa  
stało czterech  
członków, których inni słuchać byli powinni. Stowarzyszeni  
schodzili się często,  
radzili nad dolą Pomorza i Prus, aż w końcu postanowili  
wysłać poselstwo do  
cesarza Niemiec, przedstawić mu swój ucisk i prosić, by  
nie dozwolił Krzyżakom  
dopuszczać się takich nadużyć. Wybrawszy  
najwymowniejszego z pomiędzy siebie,  
opatrzywszy ich pieniędzmi i dodawszy dla bezpieczeństwa  
zbrojny oddział,  
stowarzyszeni wysłali ich do Wiednia, polecając, by dobrze  
sprawili się z  
posłannictwa swojego.  
I ruszyli w drogę Pomorzanie, pewni będąc, że się im  
powiedzie, wszak cesarz  
Niemiec, był jednym z najpotężniejszych monarchów;  
nie wątpili, iż Krzyżacy  
złęką się jego groźby. Z wesołą myślą mijali drogi  
niewygodne, góry i lasy  
dzielące ich od stolicy Niemiec; już docierali do celu podróży,  
gdy naraz  
wieczora jednego osaczeni zostali w lesie przez zbrojny  
oddział, który, jak się  
potem pokazało nasłany był przez Krzyżaków. Napastnicy o  
wiele byli liczniejsi

od napadniętych, więc rozbili ich łatwo, jednych po  
mordowali, drugich

skrepowali i do niewoli uprowadzili Z drużyny wysłanej z Pomorza uszedł wszakże nieiaki Bazaine. Ten okryty cieniem nocy umknął zwycięzcom, wydobył się szczęśliwie z lasu, dostał się do Wiednia i skargę u stóp cesarskiego tronu złożył. Cesarz wysłuchał go w milczeniu, potem rzeki: — Pierwej od ciebie byli tu posłowie mistrza: buntownikami kościoła jesteście, chcecie ujść z pod władzy zakonu, by wrócić do pogaństwa, ale ja na to nie zezwolę, dam pomoc mistrzowi, by was upokorzył. I nie chciał dłużej słuchać posła uciemionej ziemi. Wrócił Bazaine smutny do kraju, przyniósł niepomyślną odpowiedź braciom. — Zapomnieliśmy niestety — rzekł, zdawszy sprawę z poselstwa, — że cesarz Niemiec Słowianom ręki pomocy nie poda, ale raczej tym, co pragną ich zgnać. I ucisk trwał dalej, lecz związek jaszczurczy działać uie zaprzestał. Było to r. -go dnia -go lutego, w zamku krakowskim odbywały się gody weselne króla Kazimierza Jagiellończyka, który po śmierci brata swego Władysława, co zginął pod Warną, koronę Polski i Litwy odziedziczył. Już ślub się odbył, zabawiano się na wielkiej sali zamkowej rozmową, zamyślając o tańcach. Na złocistym tronie pod baldachimem szkarłatnym zasiadł król Kazimierz, obok niego świeżo poślubiona żona jego Elżbieta, córka już nieżyjącego cesarza

Niemiec Alberta. Po stronie króla skupili się książęta i panowie niemieccy, między nimi widać kilku rycerzy krzyżackich, których, zaproszony na tę uroczy-

stosć misirz, sam jechać nie mogąc, wysłał w swem zastępstwie, za nimi panowie polscy i litewscy. Królowę grono niewiast i dziewic otoczyło, gwarno, wesoło w sali- Właśnie ukazali się niej muzykanci i próbować swych instrumentów poczęli, cienkie głosy fletów i grube trąb tony się ozwały, gdy mistrz dworu dał znać królowi, iż poselstwo z Pomorza wysłane o posłuchanie prosi. Król kazał wprowadzić natychmiast nowych gości i weszli do sali wysłańcy bratniej ziemi i smutni przed tronem się zatrzymali. — "Zgnębieni i pokorni stajemy przed tobą potężny królu szczęśliwego ludu" — przemówił Baisen, je-don z posłów — "uciskana od stu przeszło lat ziemia Pomorska, wzywa twego ratunku i przebaczenia prosi za tylokrotne wiarołomstwa, jakich się dopuszczała. Winna ona bardzo, lecz żałującym Bóg najcięższe grzechy przebacza, w tej więc nadziei wzywamy twego ramienia Kazimierzu, synu Jagiełły... Winna ona bardzo, lecz, Jak grzesznica, spowiada się w tej chwili u

stóp tronu twego i skargę na ciemężycieli zanosi- Zdobył ją  
niegdyś wielki król  
Polan, Bolesław Chrobry, dał jej światło wiary, z ludem  
swoim połączył i, jak z  
ludem własnym się obchodził, ona przysięgła mu wierność,  
lecz zaraz po jego  
śmierci zerwała węzły łączące ją z Polanami, przysięgę  
złamała... Zdobył ją  
powtórnie prawnuk Chrobrego i wiarę utwierdził w  
najodleglejszych jej zakątkach,  
lecz ona rychło znowu się buntuje. Co ją nakłonią do  
posłuszeństwa, odrywa się  
napowrot aż król Łokietek wezwał przeciw nieposłusznym  
pomocy Krzyżaków, rycerzy  
Krzyża, których przodkowie jego po to w granice swego  
państwa sprowadzili,

by granic jego bronili od pogan." — tu Baisen gość  
krzyżackich znajdujących się  
w sali wskazał wzrokiem. — "Lecz owi rycerze krzyża," —  
ciągnął dalej "pokazali,  
czem są, pobili Pomorzan, upokorzyli ich i ziemię im zabrali.  
Pokonani przez  
Łokietka, który im wojnę wypowiedział, przyrzekli oddać  
Pomorze, lecz nie oddali  
go. Pokonani przez Jagiełłę, sami pokoju się domagali;  
obiecywali, iż ziemię  
nieprawnie dzierżone oddadzą i nie oddali; z wiarołomnych  
stali się następnie  
tyranami, gnębią, uciskają ludność podbitą, odzierają z mienia,  
pokoju i

szczęścia. Zabrać majątek, żonę, dzieci Pomorzaninowi, lub Prusakowi, to nie grzech według Krzyżaków... Sprawiedliwości! królu woła uciskana ziemia, u twego stołu zasiąść dziś mają, jak goście, ciemiejcy bratniego ci ludu, zezwolisz-że na to?.. Sprawiedliwości! wołają obywatele Prus i Pomorza, weź ich ziemię pod twoją opiekę, połącz ją z twem państwem, uwolnij z pod władzy Krzyżaków."

Tu Baisen umilkł, cisza salę zaległa, król podniósł wzrok na oskarżonych, wszystkich spojrzenia za nim się skierowały. Czekano, czyli powiedzą co na usprawiedliwienie mistrza swego, lecz oni siedzieli w ponurem milczeniu, a brew ściągnięta, dłonie które ścisnęły rękojeść szabli, świadczyły, iż gniew nimi miota.

Król zwrócił się do posłów.

— Obywatele Prus i Pomorza, mogą być pewni, że co będzie w niej mocy uczynię, by los ich poprawić, — rzekł głosem uroczystym. — Chęci ich, co do połączenia się z nami nie odpycham, zwołam radę i dam ryciną odpowiedź.

Gniewnie zsunięte brwi Krzyżaków, bardziej się jeszcze ściągnęły, wstali i opuścili zamek krakowski. Nie zmieniło to wszakże postanowienia Kazimierza

Jagiellończyka: zwołany na jego żądanie sejm, uchwalił wojnę przeciw Krzyżakom.

Dnia października ujrzeli mieszkańcy Torunia wspaniałą orszak wjeżdżający w ulice miasta. Poczet zbrojnego rycerstwa, złożony z sześciu chorągwi poprzedzał złocistą, przybraną kobiercami kolosą królewską, w której siedział Kazimierz

Jagiellończyk, obok niego żona jego Elżbieta, za nimi jechały kolasy biskupów i panów świeckich: wojewodów, kasztelanów, kanclerza i wielu innych urzędników.

Pomorzanie i Prusacy zjechali też licznie na ten dzień do Torunia. Na wielkim

placu ziemi wysypanym stały krzesła przygotowane dla królewskiej pary, wokół

ławy dla panów i rycerzy. Gdy Kazimierz Elżbieta tu przybywszy zajęli

przeznaczone dla siebie krzesła, a panowie ławy, wówczas przedstawiciele miast

pruskich i pomorskich poprzedzani przez Baisena, który niósł chorągiew narodową,

przystąpili do tronu i klękłszy u stóp króla złożyli mu przysięgę wierności,

poczem wszyscy razem udali się do kościoła, gdzie odprawiono dziękczynne

nabożeństwo. Z Torunia król a żoną i panami udali się do główniejszych miast

pruskich i Pomorza, wszędzie przysięgę wierności otrzymując, poczem królowa

wróciła do Krakowa, a król wojnę Krzyżakom wypowiedział.

Trwała ta wojna lat

dwanaście, zgnębieni kilkakrotnie Krzyżacy prosili na koniec o  
pokój. Naznaczył  
król zjazd do Torunia na rok . jechali nań prócz króla  
Kazimierza i mistrza  
Henryka von Plauen, pierwsi panowie Polski, Litwy, Prus i  
Po-

morza, oraz legat papieski. Zebrani po długich naradach  
podpisali następującą  
umowę: "Między Zakonem a królem Kazimierzem  
Jagiellończykiem zawarty jest pokój  
wieczysty; tak zwane Prusy Zachodnie, tudzież Pomorzanie,  
należąc będą odtąd do  
niego, a potem do jego następców; Prusy Wschodnie przy  
Krzyżakach zostaną, lecz  
wielki mistrz ma być uważany za lennika króla i każdego roku  
powinien składać mu  
hołd, jeńcy pobrani podczas ostatniej wojny, mają być  
wzajemnie oddani."  
Tak więc po wielu, wielu latach wróciło wreszcie Pomorze do  
Polski. Rozszerzenie  
granic nadmorskim krajem nie mało przyczyniło się do  
zbogacenia jej, obywatele  
mogli bowiem teraz wysyłać zboże morzem Bałtyckim do  
Anglii, Niemiec, Szwecyi.  
Polska za Kazimierza Jagiellończyka nie tylko obszerną się  
stała, lecz także i  
bogata, a przez to o wiele potężniejszą niż była poprzednio.

VIII.

## KRÓLEWICZE.

Jednem z piękniejszych i ze starożytniejszych miast naszych  
jest Lublin,  
położony wśród pagórków zielonych, wśród łąk kwiecistych,  
szumiących lasów i  
strumieni licznych, uchodzących do rzeki Wieprza.

Jednem z piękniejszych i ze starożytniejszych miast naszych  
jest Lublin,  
położony wśród pagórków zielonych, wśród łąk kwiecistych,  
szumiących lasów i  
strumieni licznych, uchodzących do rzeki Wieprza, wznosi się  
on nad rzeką  
Bystrzycą; wspaniałe gmachy

sięgające jeszcze epoki Jagiellonów zdobią jego ulice,  
wysokie mury otaczają  
gród ten w około, mnóstwo wspomnień historycznych łączy  
się z niem.

W czasach, kiedy panował w Polsce Kazimierz Jagiellończyk,  
w pięknym, murowanym  
zamku Lublina chowali się synowie królewscy, a miał ich aż  
sześciu Kazimierz i  
siedm córek prócz nich. Córki rosły pod opieką królowej  
Elżbiety, synów chciał  
Kazimierz mieć zahartowanych na trudy i niewygody,  
nawykłych do pracy, % nauką  
obeznanych, więc do lat siedmiu pozwalał czuwać nad nimi  
matce, lecz potem  
oddawał ich pod opiekę uczonych i surowych mężów, jakimi  
byli Jan Długosz,

Kalimach i Wels. Pod opieką tych nauczycieli królewicze  
wychowywali się w zamku  
królewskim dlatego zdala od dworu, aby do zbytku, jaki już  
wówczas na dworze  
królewskim panował, nienawykli.

— Gdy dorosną, używać będą rozkoszy, — mawiał często  
Kazimierz Jagiellończyk, —  
a teraz niechaj umysł ćwiczą.

I hartowali w istocie ciało i umysł ćwiczyli młodzi królewicze.  
Stary Długosz

wymagającym był nauczycielem, więc o szóstej rano w zimie,  
o piątej latem zrywać  
się musieli z łóżek, potem śpieszyli na mszę do kościoła,  
wróciwszy zasiadali do

śniadania: kubek mleka, kawał chleba czarnego je stanowiły.

Następnie nauką się

zajmowali aż do obiadu; uczyli się łaciny, lub greckiego;  
tłumaczyli, lub

czytali Homera, Virgiliusza, Plutarcha, Tacyta, uczyli się  
matematyki, oraz

innych nauk, wykładanych w akademii krakowskiej, której  
uczniem był Długosz.

Obiad przerywał naukę,

ten bywał zawsze bardzo skromny: krupnik, lub piwo na zupe,  
jedno mięso do

niego, jarzyna, lub kasza go składały. Po obiedzie w porze  
zimowej chłopcy

ćwiczeniom gimnastycznym się oddawali, lub zabawiali się  
fechtunkiem, latem

harcowali na koniach, uganiali się za zwierzyną po lasach, lub  
ryby w Bystrzycy  
łowili wieczorem znowu do książki wracali.

Ubiór ich był skromny, jak potrawy, które spożywali: proste  
kożuchy baranie  
zimą, płócienne suknie latem, z sukna ciemnego, jesienią, i  
wiosną, stanowiły  
cały ich strój. W jedwabie i aksamity przybierali się wtedy  
dopiero, gdy jechali  
do Krakowa odwiedzić rodziców.

Było to roku w miesiącu maju, pewnej niedzieli, wróciwszy z  
kościółką,  
królewicze, korzystając ze święta, bawili się w domu  
swobodnie, każdy wedle  
upodobania. Piętnastoletni Władysław o twarzy dziwnie  
pięknej, łagodnej, tak, iż  
gdyby się przebrał w niewieście suknie z pewnością za  
dziewczynę by uchodził,  
bawił się z maleńkim Zygmuntem, który liczył wówczas  
dopiero lat cztery. To też  
chłopczyzna nie mieszkał tutaj jeszcze stale, na parę dni  
przyjechał tylko  
obecnie, na prośby najstarszego brata, który tak tkliwe, jak  
kobieta, miał serce  
i tęsknił w Lublinie za ojcem i matką, za siostrami i maleńkim  
Zygmuntem.  
Władysław trzymał na kolanach brata, opowiadał mu ciekawe  
wypadki z dziejów  
ojczystych, o wielkich czynach dawnych królów z rodu Piasta;  
o sławie, jaką się

cieszyli, a mały Zygmunt słuchał go z powagą dorosłego  
męża. Opoadał nich  
Kazimierz o rok tylko młodszy, wielce do Władysława

twarzą podobny, stroił ołtarz. Zwykle w niedzielę wróciwszy  
z kościoła modlił  
się on, lub mszę odprawiał księdza udając; ten był równie  
dobry, jak Władysław,  
przytem wielce pobożny... W przeciwnym końcu izby  
Olbracht trzeci syn  
Kazimierza, dwunastoletni wówczas chłopiec, o twarzy pełnej  
życia i energii,  
lecz nie tak urodziwy jak tamci, szablą drewnianą ścierał się z  
dziewięcioletnim  
bratem swym Aleksandrem, który o wiele odeń słabszy, mniej  
śmiały uchylał się co  
chwila przed nim z miną wystraszoną. Olbracht zadowolony,  
iż brat się go lęka,  
coraz silniej nacierał: szabla tylko migiała w jego dłoni.  
— Ostrożnie! ostrożnie! — wołał od czasu do czasu Długosz,  
który czuwał nad  
uczniami, lecz Olbracht nie słuchał, upartym on był z natury.  
Naraz Aleksander krzyknął boleśnie i z płaczem do mistrza  
przypadł, brat  
skaleczył mu rękę, krew płynęła z dłoni zranionej.  
— Obyś nie odpokutował z czasem ciężko twego uporu —  
rzekł Długosz surowo do  
Olbrachta.  
Władysław i Kazimierz usłyszawszy krzyk Aleksandra,  
przybiegli do niego z

pociechą: jeden słowami i pocałunkami ranę starał się zagoić,  
drugi wodą zimną  
ją oblewał, a mały Zygmuntek patrzył wylękłemi oczyma na  
krew. Tylko Olbracht  
współczucia nie okazywał: uparty jak zwykle, zacisnął zęby i  
winnym uznać się  
nie chciał; stał zdala, spoglądał ponuro na płaczącego i  
szeptał:  
— Po co taki niezgrabny?  
Jeszcze Aleksadrowi nie oschły łzy zupełnie, gdy hałas jakiś  
dał się słyszeć  
poza oknami zamku,

a w chwilę potem wbiegł do izby pacholek zdyszany z  
oznajmieniem, iż król  
Kazimierz przyjechał. W izbie powstało zamieszanie, lecz  
Długosz wprędce  
porządek przywrócił. Ustawił starszych królewiczów po  
dwóch przy drzwiach, aby  
pierwsi ojca powitali; sam, trzymając małego Zygmunta za  
rękę usunął się dalej.  
Aleksander otarł łzy i uśmiechnąć się usiłował.  
Ze słowami "niechaj będzie pochwalony Pan wszech rzeczy,"  
król Kazimierz próg  
izby przestąpił; synowie pochyłili się pokornie do jego kolan,  
on pogładził  
każdego po głowie, naraz spostrzegł zapłakane oczy  
Aleksandra.  
— Co tobie? — zapytał.  
— Skaleczyłem się, — odparł chłopiec i oczy spuścił.

— Niewiast to pociecha łyzy, na niewieściucha wyrośniesz,  
jeśli do niej uciekać  
się będziesz, — rzekł król surowo.  
Tu zwrócił się do Długosza, dłoń mu uściskał, pociągnął dalej,  
siadł z nim razem  
pod ścianą izby i coś mu szeptał długo, gdy skończył wreszcie  
tajemną rozmowę,  
wstał, zbliżył się znowu do synów.  
— Od jutra za tydzień, — rzeki głosem łagodnym, jeśli na to  
zasłużycie  
pojedziecie do Krakowa; po co was wzywam, dowiecie się  
później.  
To powiedziawszy pożegnał Długosza i dzieci, puczem  
zabrawszy Zygmunta oddalił  
się.  
Wieczorem dowiedzieli się chłopcy, iż do Krakowa ma  
przybyć poselstwo z Czech,  
które zamierza ofiarować koronę Władysławowi, więc król  
Kazimierz chce, aby  
synowie przyjęciu posłów byli obecni.

— Słuchaj Aleksandrze, — rzekł Olbracht, zwracając się  
naraz do brata, — za to  
coś dziś uczynił, gdy królem zostanę, ciebie księciem Litwy  
uczynię.  
— Skądże marzysz o koronie, mając starszych braci? —  
zapytał Długosz.  
— Władysław nad Czechami będzie panował, Kazimierz  
służbie Boga się odda. Jam  
trzeci z kolei, ja koronę Polski dostanę, — odparł pewnym  
sobie tonem Olbracht.

Cały tydzień przygotowywali się królewicze do wystąpienia na dworze: uczyli się po łacinie pięknych oracyj powitalnych i pożegnalnych, kłaniać i chodzić.

Długosz przypominał nieustannie Władysławowi, jak zachować się powinien, kiedy stanie przed nim poselstwo, co powiedzieć, gdy koronę złożą u nóg jego... Mówił mu też o obowiązkach monarchy względem kościoła i wiary, względem państwa i poddanych, o trudach, jakie go czekają w Czechach, na które Niemcy ustawicznie czychają.

Minał wreszcie tydzień, wszyscy czterej królewicze wybrali się razem z nauczycielem do Krakowa.

Było to maja, w sali przyjęć w zamku krakowskim zasiadł na tronie król Kazimierz, obok niego królowa Elżbieta. Po stronie króla sześciu synów stanęło, wszyscy w jedwabiach, złocie, świecą klejnotami, najstarszy z nich Władysław liczy lat zaledwie, najmłodszy Fryderyk trzy lata dopiero. Ten jedną ręką trzyma się niewiele co starszego od niego Zygmunta, drugą paluszką wskazuje wchodzących co chwila

panów litewskich, polskich, pruskich i pomorskich Wszystko  
dlań nowością, bo on  
tu poraz pierwszy. Obok królowej siedm cór widać,  
najmłodszą Elżbieta trzyma na  
kolanach, królewne jak bracia bogato przybrane: suknie ich,  
zasiane klejnotami,  
mienią się różnemi barwy.  
Coraz tłoczniej w sali, coraz nowi panowie stają przed tronem  
i biją korne  
pokłony królewskiej parze; wtem głośniejszy hałas dał się  
słyszeć w progu sali,  
jacyś obcy przybysze stanęli... To z Czech posłowie, jeden na  
szkarłatnej  
poduszce złotą dźwiga koronę, przystąpili do tronu i koronę  
złożywszy na  
stopniach, rzekli:  
— Synu Kazimierza Jagiellończyka, Władysławie, stroskany  
śmiercią króla Jerzego  
Podiebrada lud czeski osieroconą koronę tobie ofiarowuje,  
przyjm ją i rządz  
nami szczęśliwie  
Rumieniec nieśmiałości oblał piękną twarz królewicza,  
wysunął się przed braci  
swoich.  
— Ku chwale Bożej, pomnożeniu wiary Chrystusowej i  
uczczeniu mowy słowiańskiej,  
którą Niemcy uciskają, z radością koronę tę przyjmuję —  
odparł głosem cichym.  
Panowie czescy podnieśli się z kolan, podjęli koronę i podali  
ją Władysławowi, a  
biskup gnieźnieński, obecny uroczystości, powstawszy z  
krzesła zbliżył się do  
niego, wziął koronę i ustroił nią czoło syna Kazimierza.

W licznym orszaku rycerstwa, pod opieką zacnego swego nauczyciela Długosza, w kilka dni potem Władysław Kraków opuścił i do Czech się udał, gdzie pano-

wał długo i szczęśliwie, a nietylko królem Czechów był, lecz także i Węgrów, którzy widząc, iż Czesi są zadowoleni z jego rządów, koronę państwa swego mu ofiarowali.

Spełniły się słowa Olbrachta: drugi z kolei syn Kazimierza Jagiellończyka, bogobojny Kazimierz wzgardził świecką władzą i służbie Bożej się oddał, tak więc koronę odziedziczył po ojcu Olbracht, lecz panowanie jego do szczęśliwych się nie liczy. Uporem swoim ściągnął straszną klęskę na kraj; przedsięwziął zbrojną wyprawę na sąsiedni kraj Wołoszczyznę zwany, przedsięwziął ją bez woli panów i setki, tysiące ludzi stracił w tej wyprawie.

Po nim panował Aleksander, którego czasy rządów niczem sławniejszem się nie upamiętniły; następnie Zygmunt, przezwany Starym, tego panowanie było bardzo szczęśliwe i świetne. Najmłodszy z synów Kazimierza Jagiellończyka, Fryderyk, jak brat jego starszy, służbie Bożej się poświęcił; siedm cór wyszło za mąż za różnych książąt europejskich.

IX.

W SZKOLE I W AKADEMII.

Na szerokiej drodze ciągnącej się wśród pól, ogołoconych już  
ze złotych kłosów  
żyta, ukazały się dwie postacie: mężczyzna w wieku  
podeszłym i chłopię  
niedorośłe. Obaj byli widocznie mieszkańcami, jeśli nie wsi,  
którą mijali, to  
jakiej innej, ubiór ich świadczył o tem... Stary podpierał się  
grubym, sękatym  
kijem, od czasu do czasu wzdychał ciężko, chłopiec rozglądał  
się ciekawie w  
około.

— No, — rzekł stary, — to i rozstać się nam trzeba; ja dalej  
iść nie mogę,  
choćbym i chciał. Ciężka ci dola naznaczona, lecz sam się do  
niej rwiesz, a ja  
ci dać nic nie mogę. Mam ci wprawdzie chatę i gruntu  
kawałek, ale tego nie urwę  
przecie i nie sprzedam, bo w chacie jeszcze pięcioro żywić  
trzeba. Nie zapomnij,  
że. ś synem prostego kmiecia, nie zapomnij braci twoich i tej  
wioski, gdzieś  
pierwszy raz słońce ujrzał, gdzie stoi chata twoja, gdzie  
mogła twej matki. Gdy  
nad księgami z paniętami zasiądziesz, gdy z tych ksiąg  
mądrości się nauczysz,  
nie pogardzaj ty swemi, nic zaprzej się tych, co z pługiem po  
roli chodzą, bo

oni uczciwie pracują, i oni potrzebni na tej ziemi... Niechaj  
nauka uczyni cię  
tylko mądrym i dobrym, abyś mógł przez nią, kiedyś bliźnim  
twoim drogę do  
szczęścia otwierać,

a starego ojca serce rozradować zanim jeszcze do grobu  
pójcie.

— Ha idźże już teraz sam, ja stary dalej iść nie mogę — rzekł  
znowu.

Chłopak płacząc pochylił się do kolan ojca, uściskał je,  
rozstali się; stary  
podążył ku wsi, której chaty, teraz gdy mgły spadły, ukazały  
się za polami,  
chłopak poszedł naprzód dalej.

Kilkakrotnie obejrzeni się za sobą, kilkakrotnie przystanęli, by  
popatrzeć na  
siebie, nakoniec stracili jeden drugiego z oczu. Chłopak zrazu  
szedł zwolna,

smutny, zadumany, ciągle przystawał i ku wiosce patrzył,  
jakby mu jej żal było,  
lecz po jakimś czasie rozweselił się zupełnie.

Około południa spoczął pod drzewem przy drodze, napił się  
wody ze strumienia,

który toczył się wśród łąk, posilił się chlebem i serem, co mu  
ojciec dał

jeszcze w chacie i znowu powędrował dalej wesoły, a gdy noc  
nadeszła ułożył się  
do snu w suchym rowie. Nazajutrz równo ze świtem, równo ze  
skowronkiem zerwał

się ze swego niezbyt miękkiego łóżka i puścił się znowu między łąki, pytając przechodniów o drogę do Krakowa.

Tak było przez dni parę, lecz wesołość poczęła go jakoś opuszczać, spostrzegł ze strachem, że pieniądze, jakie ojciec mu dał, wyczerpują się, a gdy pytał o drogę do stolicy to ludzie odpowiadali mu ze śmiechem.

— Ho, ho do Krakowa! zajdź ty pierwszej do Wieliczki, a potem o Kraków pytaj.

Podarły się chłopcu chodaki, pospadały z nóg i boso dalej wędrować musiał, kamienie kaleczyły mu nogi. Raz nawet tak sobie rozkrwawił nogę, iż obwią-

zać ją musiał szmatą, którą mu z litości dała jakaś kobieta, idąca tą samą co i on drogą. Coraz mu ciężiej było. Zrazu szedł od świtu do południa bez odpoczynku, teraz co godzina wytchnąć musiał, bo czuł, że padnie w drodze, jeśli nie spocznie.

Smutne myśli poczęły mu przychodzić do głowy, zwątpienie wkradać do serca

— A może ja nie dojdę do Krakowa, może zamrę gdzie w drodze i stolicy nie ujrzę, ojca nie rozraduję ale zasmucę go ciężko, gdy mu powiedzą, że umarłem w drodze A choć dojdę do stolicy, to zbiedzonego, obdartego może nie przyjmą do szkoły i trzeba będzie wrócić ze wstydem.

Głód nieraz dobrze też dokuczył chłopcu. Czasami prócz kawałka chleba nic cały dzień nie włożył do ust. Smutno, ciężko mu było na duszy, przecież nie oglądał się za siebie, nie pytał, czyby nie lepiej było zawczasu wrócić do domu, tylko szedł wciąż naprzód. Cierpiał, lecz się nie skarżył, patrzył z trwogą w przyszłość, ale się nie cofał. Nareszcie po wielu dniach znużenia i głodu wieczora jednego ujrzał jakieś mury, jakieś wieżyce i dachy przed sobą, a gdy zapytał przechodniów, co to za miasto, powiedziano mu, że to Kraków. Więc dobił wreszcie do celu, więc nie umarł w drodze, więc może przyjmą go do szkoły i uczyć się będzie i mądrym zostanie... W głowie mu szumiało, w oczach się mroczyło puścił się wolnym krokiem ku stolicy. Gdy dostał się w gwarne ulice miasta, sam nie wiedział co się z nim dzieje. Wzrokiem nawpół przytomnym rozglądał się w około. Błady ze zmęczenia maleńki, wychudły, obdar-

ty z pokrwawionymi szmatami na nogach, mógł litość budzik i budził ją w istocie Przechodzący przypatrywali mu się z ciekawością, i ze współczuciem, niejeden szepnął: "biedactwo. " Niespodziewanie uczul czyjaś rękę na ramieniu. Obejrzał

się, za nim stał młody ksiądz, czarna długa suknia to wskazywała. Taka dobroć, taki spokój malowały się na jego twarzy, iż chłopiec odrazu nabrał zaufania do tego nieznanego

— Dobry to musi być człowiek, — pomyślał — złe mu z oczu nie patrzy.

— Tyś tu obcy. szukasz kogoś? — spytał nieznanomy głosem łagodnym.

— Szukam szkoły — odparł śmiało chłopiec — przywędrowałem tu zdaleka, by się uczyć w akademii. — Tu zdjął z głowy kapelusz i pokłonił się. Nieznajomy uśmiechnął się — Pierwej trzeba ci się przygotować do akademii, - lata całe uczyć się i uczyć wciąż, zanim do niej cięwpuszczą. W akademii dorośli ludzie się uczą, ludzie już pod wąsem, a ty jeszcze mały.

— To i co, kiedyś przecie będę duży.

— A nie przestrasza cię to, że ty lata siedzieć w szkole będziesz musiał, że.

kiedy inni będą swawolić po łąkach, ty będziesz musiał w izbie nad książką ślęczyć? — zapytał nieznanomy, badawczo patrząc chłopcu w oczy.

Chłopak ruszył ramionami.

— A potem przecie mil tyło wędrował, by się uczyć, jabym całe życie chciał ino nad książką siedzieć.

— He ty masz lat?

— Dwanaście.

— Imię twoje?

— Grzegorz?

— Skądże ty jesteś, masz rodziców?

— Z pod Sanoka pochodzę, ojca mam, pozwolił mi iść do Krakowa, gdy o to prosiłem, ale powiedział że pieniędzy na naukę nie da, bo nie ma.

Nieznajomy patrzył ze współczuciem na dziecko.

— Trudne będziesz miał życie — rzekł po chwili no, ale tak nie jeden tu przyszedł i radzi sobie. Uczyłeś ty się już czego?

Grześ podniósł czoło.

— Umiem pisać, czytać, rachować, no i śpiewać trochę — odrzekł śmiało —

chodziłem tło szkoły parafialnej w Sanoku.

Nieznajomy pogładził jego płowe włosy.

— Zobaczymy, zobaczymy — odparł — w szkole zdasz egzamin z tego co umiesz. Chodź poprowadzę cię do szkoły.

Na jednej z bocznych ulic wznosił się piękny, murowany budynek, schludny i duży.

Gdy weszli do niego, znalazł się Grześ w obszernej izbie.

Stały tutaj ławy, w

których siedzieli chłopcy, naprzeciwko wznosiła się katedra.

Zasiadł w niej ów

ksiądz i podał księgę. Malcy nadstawili uszy, czekając, jak Grześ jąkać się

zacznie, gdy ku ogólnemu zdziwieniu chłopak przeczytał zupełnie gładko całą

stronnicę; ksiądz go pochwalił, kazał mu potem pisać i z kalendarzkiem się

powiodło. Twarze chłopców zmieniły wyraz: ci, którzy  
uśmiechali się złośliwie, a  
byli to po większej części nieucy, spochmurnieli poczęli  
szeptać: "bosak,  
bosak," wskazywali z pogardą owinięte szmatami jego nogi,  
wytartą sukmanę,  
poszturgiwali go. Grześ

słyszał ich docinki, widział drwiące uśmiechy, czuł  
poszturgiwania, lecz nie  
sobie z tego nie robił. Tak był uszczęśliwiony pochwałą  
księdza, że się  
uśmiechał do złośliwych malców i odpowiedział:  
— "Czekajcie będą i buty."

Ale nie wszyscy dla Grzesia tak źle byli usposobieni, kilku  
ścisnęło mu dłoń  
przychylnie.

— Ho! ho! pewnikiem ty będziesz prymus między nami —  
mówili — tak gładko nikt  
nie czyta.

Tegoż jeszcze dnia syn ubogiego kmiecia z pod miasta  
Sanoka, zapisany został do  
grona uczniów szkoły Ś-tej Anny. Łagodna, a przytem  
rozumna jego twarzyczka,  
zdolności, jakie okazywał, zjednały mu łaski księdza, który  
był przełożonym tej  
szkoły.

Gdy dziatwa szkołę opuściła, przywołał chłopca do owej celi,  
która na tym samym  
korytarzu się znajdowała.

— O mieszkanie się nie troszcz — rzekł, wszedłszy tutaj —  
dam ci kąt do spania,  
tylko o obiedzie pomyśleć trzeba, ale na to poradzimy,  
będziesz żył jak wielu z  
jałmużny.

Na bladą twarzyczkę Grzesia wybiegł rumieniec-

— Z jałmużny? — powtórzył pytającym tonem.

— Zaraz cię objaśnię: teraz południe, pójdziesz po obiad; ci  
wszyscy, którym z  
domu nie przysyłają pomocy z jałmużny żyją. Mieszczanstwo  
krakowskie jest  
pocziwe. To powiedziawszy zakrzętał się po celi i niebawem  
przyniósł Grzesiowi  
glinianą miskę, łyżkę drewnianą i jakąś kartkę.

— Idź z tem na ulicę, zastukaj do pierwszego domu za  
kościółem, pokaż kartkę, a  
jeść ci dadzą; znam

ludzi, którzy tam mieszkają, liczną mają dziatwę, pożywisz się  
przy niej.

Grześ patrzył na księdza, spogląda! na miskę i nie odpowiadał,  
nagle z oczu jego  
trysnęły łzy.

— I czegoż płaczesz? — spytał ksiądz — wszak uczyć się  
będziesz.

Chłopak już połknął łzy, skłonił się do nóg księdzu, wziął  
miskę, kartkę i łyżkę  
i wyszedł z celi. Jeść mu się chciało, ale myśl, iż żebrać ma,  
przykrą mu była,  
szedł zwołna, z głową smutnie ku piersiom zwieszoną.  
Nareszcie minął bramę

gmachu szkolnego i ujrzał się na ulicy, tu zatrzymał się, stanął pod ścianą i zadumał się. Wtem ujrzał kilku kolegów wysuwających się z miskami z bramy szkolnej i dążących do jednego z domów położonych wśród zielonych ogrodów. Zastukali do drzwi, rozwarły się podwoje, z jednych wysunęła się jakaś dziewczynka z garnuszką w ręku, uśmiechnęła się do stojącego żaka i naleła mu ciepłej zupy na miskę, z drugich sędziwa niewiasta, z innych grzeczne chłopię, ani jeden z malców z próżną miską nie odszedł. Grześ patrzył i czuł miłe wzruszenie w sercu, piękny bo też był to obraz patrzeć, jak miasto pomaga młodzieży, by na ludzi wyrosła. Teraz już go nie bolało, że prosić musi, posunął się w ulicę i do domu wskazanego przez księdza zastukał, ale bardzo lekko; otworzono mu wszakże natychmiast, w progu ukazała się rumiana, uśmiechnięta dobrotliwie kobieta. — Cóż tak kołaczysz nieśmiało — rzekła — czy się boisz, czy się wstydzisz? pewnoś w Krakowie nieoddawna.

Grześ w miejsce odpowiedzi, podał kartkę księdza. Kobieta na nią nie spojrzała. — Nie masz się czego wstydzić — ciągnęła dalej kobieta. — My wam dziś dajem,

potem wy nam dawać będziecie, wprowadzie nie stawy na  
miskę, lecz coś droższego,  
czego złotem nie opłacisz, dacie nam naukę, mądrość, światło.  
Kto wie, może ty  
kiedyś wnuki moje uczyć będziesz. To powiedziawszy  
wskazała chłopcu drzwi do  
sieni wiodące ł za chwilę Grześ siedział w dużej izbie przed  
stołem, białym  
obrusem zasłanym nad misą pełną krup.

## II.

— I cóż to za dzień uroczysty w akademii krakowskiej? Na  
dziedzińcu pełno służby  
bogato przybranej, rzą rumaki, a ludzie gwarzą; lecz ludniej  
jeszcze wewnątrz  
gmachu, którego oficyny dziedziniec otaczają. W jednej z  
większych sal zebrali  
się dziś wszyscy profesorowie akademii, wszyscy uczniowie i  
wiele dostojnych  
osób... Ławy dziś ściśnięte, stoły wyniesione. W ławach  
siedzą uczniowie,  
katedra pusta, a po obu jej stronach widać rząd krzeseł pięknie  
rzeźbionych W  
krzesłach siedzą jacyś poważni panowie, bogate ich suknie  
świadczą, że wysokie  
zajmują stanowiska... Ten co najbliżej katedry po lewej stronie  
w karmazynowym  
kontuszu w srebrnym żupanie w butach żółtych, w głębokiej  
zadumie oparł głowę na  
dłoni a łokieć na poręczu krzesła, drugą rękę po za poręcz  
zwiesił i czapkę w

niej trzyma, to wielki urzędnik, kanclerz króla, Wojciech Jastrzębiec. Tuż przy nim siedzi starzec w obszernej aksamitnej sukni togą zwanej, to Andrzej z Ko-

koszyna, jeden z najstarszych profesorów akademii, dalej widać różnych stopni młodych nauczycieli, również w togi ubranych. Po prawej stronie naprzeciw kanclerza w infule na głowie siedzi Zbigniew Oleśnicki. Cisza uroczysta panuje w sali, wtem drzwi ukryte za katedra skrzypnęły i w progu ukazał się młodzian w szacie duchownej. Lica jego blade, włos płowy, oko smętne, lecz rozum zeń patrzy; wszedł, postąpił ku katedrze; stanął w niej i poważnym pełnym szacunku okiem powitał zebranych. Wszystkich spojrzenia zwróciły się ku niemu, on zdawał się być mocno wzruszony; usta jego stały się białe jak lica, nozdrza się rozszerzyły ręka którą oparł na katedrze, drżała lekko. Czas jakiś wodził spojrzeniem po zebranych nareszcie zapanował nad wzruszeniem i począł mówić głosem dźwięcznym, pewnym, przekonującym. Dowodził z zapalem, że natura nas otaczająca, to najmędrsza ze wszystkich ksiąg, że ona może nas najwięcej nauczyć, ją więc badać należy. Im dłużej mówił, tem więcej się ożywiał, tem

więcej wzruszał zebranych. Słuchali go z zajęciem coraz bardziej wzrastającym, ze zdumieniem, z zachwytem, dziwiąc się rozumnym zdaniom i pięknej wymowie.

Skończył wreszcie, szmer zadowolenia rozszedł się po sali; młodzian niespokojnym wzrokiem powiódł po wszystkich twarzach, na wszystkich wyczytał uznanie. Wtem podniósł się kanclerz, zbliżyło się do niego dwóch pacholków niosących poduszkę aksamitną czerwoną z jakimś czarnym przedmiotem. Była to toga profesorska, kanclerz przykrył nią ramiona młodzieńca. Teraz wszyscy ruszyli z krzeseł, zbliżyli się do nowo

mianowanego profesora i winszować mu poczęli, życzyć powodzenia w chlubnym zawodzie nauczycielskim.

Tym szczególnym młodzieńcem był znany nam Grzegorz z pod Sanoka. Wytrwałość jego i pilność nagrodzone zostały. Pracował, walczył i zwyciężył. Skończywszy chlubnie niższą szkołę, dostał się do akademii, a teraz z ucznia nauczycielem został, a nawet później doradcą króla Jagiełły. Zasłużył się też Grzegorz z Sanoka Ojczyźnie jako człowiek uczony, rozproszył niejedną przesąd, sprostował niejedną błąd. W owym czasie wykładano nietylko u nas, lecz i w wielu innych

uniwersytetach naukę zwaną astrologiją, która z gwiazd  
uczyła czytać przyszłość  
ludzi. Grzegorz z Sanoka pierwszy nazwał tę naukę  
niedorzeczną, a choć wielu  
oburzało się na niego, że się śmieje z astrologii. Grzegorz  
śmiało głosił swoje  
zdanie. Dowodził, że ci co z gwiazd przyszłość czytają,  
nie tylko siebie lecz i  
drugich oszukują i przekonał w końcu rozumniejszych:  
astrologija powoli  
zarzuconą została.

#### STRESZCZENIE CZĘŚCI CZWARTEJ. WIEK XIV I XV.

Zasłużyłam by odpocząć, — rzekła pewnego wieczora ciotka  
Ludmiła, zebrawszy nas  
koło siebie, a nikogo jakoś nie brakło wówczas: Zosia, Adela,  
Emma i Wacio  
siedzieli razem z nami. Cały miesiąc bawiłam

was mojemu opowiadaniem, dziś wasza kolej mówić a ja  
słuchać będę.

— Dobrze, dobrze ciotuniu! — zawołałyśmy chórem, zadawaj  
pytania, odpowiadac  
będziemy.

— Ja bez pytania coś powiem cioci, — odezwał się Marcyś.

— Cóż takiego? — spytała ciocia.

— Że, jak duży urosnę i do Gore powrócę, to będę zawsze  
zasiadał wieczorem w

sobotę na błoniu pod wielkim dębem, każę przywołać do siebie wszystkich chłopków i pytać będę każdego, co mu dolega.

— To jak widzę podobał ci się król Kazimierz, kiedy go chcesz naśladować, — rzekła ciocia.

— Jakże się nie miał podobać, był taki dobry i mądry — odparł Marcyś — a powiedz cioteczko, jeśli ja tak samo, jak on, będę pocieszał i wspierał kmiotków, czy mnie nazwą Wielkim.

— Kazimierz gdy czynił dobrze kmiotkom, nie pytał o to, czy nazwą go za to

Wielkim, wspierał ich, bo ich kochał, — odparła ciotka Ludmiła poważnie.

Marcyś się zarumienił i oczy spuścił, spostrzegła jego zakłopotanie ciotka.

— Powiedz mi — rzekła, — czy Kazimierz tem tylko zasłużył się krajowi, iż dobrym był dla kmiotków.

— Nadał prawa narodowi w mieście Wiślicy r. , — odparł Marcyś.

— I jeszcze co uczynił?

— Założył r. we wsi Bawole pod Krakowem, akademią czyli szkołę wyższą.

— I jeszcze co?

— Przyłączył r. , Halicz do swego państwa.

— Dużo więc uczynił dobrego; widzisz Marcysiu, żeby zasłużyć na przydomek

Wielkiego, trzeba wiele mądrych i pożytecznych rzeczy dokonać, — rzekła ciocia,  
— takich, jakie spełnił Kazimierz Wielki. Jeśli kochać będziesz szczerze kmiotków, jeśli będziesz się nimi opiekować dlatego, bo szczęście ich miłem ci będzie, nazwą cię oni dobrym, przydomek "wielkiego" nie tak łatwo otrzymać.

Marcyś wstrząsnął główką, na znak, iż zrozumiał ciotkę.  
— To niech mnie nazwą tylko dobrym, — rzekł — będę się nimi opiekował.

— A! bo to nie piękny przydomek, ucieszyłabym się serdecznie, gdybym kiedyś usłyszała, że mieszkańcy wsi Górc nazwali cię "dobrym panem."

To powiedziawszy, ciotka Ludmiła przyciągnęła do siebie Marcysia i pocałowała go w czoło, poczem zwróciwszy się do Wacia, rzekła:

— Kiedy Marcyś tak dobrze pamiętał wszystko, co dotyczyło panowania Kazimierza

Wielkiego, to ty powiedz mi teraz, jak się nazywał jego następca?

— Ludwik, — odparł Wacio i spojrzał na swoją siostrę Zosię, jakby ją pytał, czy dobrze mówi; widocznie jak Terenia nas młodsze rodzeństwo uczyła zawsze tego, co ciotka opowiadała, tak Zosia — Wacia.

— Dobrze odpowiedziałeś, — rzekła Zosia, — lecz sądzę, że ty wiesz jeszcze coś więcej o tym królu.

— Wiem, — odparł flegmatycznie Wacio — Ludwik był siostrzeńcem Kazimierza, synem

jego siostry Elżbiety i króla Węgier, dla Węgrów był dobrym,  
dla nas złym,  
zabrał nam Halicz, pozwolił, że akademija

upadła, na zjeździe w Koszycach r. , nadał panom przywileje z  
krzywdy

kmiotków uczynione, a panowie obiecali mu za to, że po jego  
śmierci, będzie

panować jedna z jego córek.

— I któraż panowała?

— Jadwiga — odparł Wacio.

— Ale ta do ojca nie była podobną, wszak prawda ciociu? —  
spytała Anielcia —

Ludwik nam dużo złego zrobił, a ona dużo dobrego.

Ciocia zwróciła się do niej.

— I cóż tak dobrego zrobiła? — spytała.

— Połączyła Polskę z Litwą, bo na prośby panów zgodziła się  
zostać żoną

Władysława Jagiełły, Wielkiego księcia Litwy. Litwini byli  
poganami, lecz za

namową Jadwigi przyjęli chrzest.

— A w którym roku odbył się ślub Jagiełły z Jadwigą i chrzest  
Litwy, — zapytała

ją Terenia.

— Roku , — odparła Anielcia, — widzisz, że pamiętam, —  
dodała następnie z

minką tryumfującą. — Nie mogłam się nauczyć tej daty,

Terenia mówiła, że jej

zrobię wstyd przy egzaminie, lecz zapisałam sobie rok na  
kartce, co wieczór

odczytywałam, i nauczyłam się; teraz chyba już nigdy nie zapomnę tej daty.

— A pamiętasz, co jeszcze dobrego zrobiła Jadwiga?

— Odebrała Węgrom Halicz i napowrót do Polski go przyłączyła, wszystkie klejnoty swoje oddała na akademiją i szkoła ta podniosła się znowu, a król przeniósł ją do Krakowa; wspierała biednych, nieszczęśliwych pocieszała. Była to bardzo dobra królowa, szkoda, że tak wcześnie umarła r. , czy się nie mylę ciociu?

— Nie, nie mylisz się dziewczeczko, — odparła ciotka, — jestem bardzo z ciebie zadowolona. Teraz starsze siostry twoje będą mi odpowiadać, — tu ciotka zwróciła się do mnie, a mnie serce bić poczęło, spuściłam oczy.

— Czem jest pamiętny w dziejach naszych rok ? — zapytała ciotka po chwili.

— Bitwą jaką stoczył Jagiełło z Krzyżakami pod Grunwaldem i Tanenbergiem, — odparłam głosem cichym, po chwili jednak, nabrawszy odwagi, dodałam: — Chciał odebrać Pomorze, zabrane nam jeszcze za Łokietka i zwyciężył Krzyżaków, zawarł z nimi pokój w Toruniu, Krzyżacy obiecali, że oddadzą Pomorze, lecz słowa nie dotrzymali.

— Jakie to ziemie połączyły się wówczas z nami prócz właściwej Litwy? — zapytała jeszcze ciocia.

— Biała Kuś, Wołyń, Podole, i ziemia Kozaków Zaporoskich  
— odparła Adelka.  
— Ziemie te zamieszkałe były przez ludność słowiańskiego  
pochodzenia, należały  
niegdyś do książąt ruskich, ród Ruryków długo nad nimi  
panował, dopiero w XIV  
wieku zdobyli je Litwini, — dokończyła za nią ciotka. Niemcy  
usiłowali  
wszelkimi siłami rozerwać połączone państwa, namawiali oni  
brata stryjecznego  
Jagiełły, aby królem Litwy się ogłosił, obiecywali, iż mu,  
przyślą koronę i  
Jagiełłę namawiali, żeby się zgodził na koronację Witolda.  
Szczęściem panowie  
polscy stanowczo oparli się temu, i tak, zabiegi Niemców do  
skutku nie przysły.

— Powiedz mi Tereniu, ilu synów miał Jagiełło — przerwała  
naraż opowiadanie  
nowem pytaniem ciotka. Ludmiła.  
— Dwóch, — odparła Terenia — Władysława i Kazimierza.  
Władysław, jako starszy,  
objął władzę, lecz krótko panował. Roku powołali go na tron  
Węgry, którym  
groziła wojna z Turkami.. Władysław poszedł przeciw  
Turkom, pokonał ich i zawarł  
z nimi pokój na lat dziesięć, lecz w następnym zaraz roku  
zerwał ten pokój i  
wypowiedział wojnę Turkom. Boku stoczył z nimi bitwę pod  
Warną, w której

poległ, stąd otrzymał przydomek Warneńczyka. Po nim objął tron Kazimierz Jagiellończyk, który prowadził wojnę z Krzyżakami, zwyciężył ich i zawarł z nimi, pokój roku , mocą którego Krzyżacy oddali nami Pomorze i Prusy Zachodnie.

— A ilu synów miał Kazimierz Jagiellończyk, może Mania mi powie? — spytała ciocia.

Mania niestety myślała w tej chwili o czym innym, to też zamiast odpowiedzieć zaczerwieniła się mocno.

— Nie słyszałam, co ciocia mówiła, — szepnęła.

— Sześciu, — wyreczyła ją Magdzia w odpowiedzi — najstarszy Władysław, węgierskim i czeskim był królem, drugi Kazimierz umarł w młodym wieku, trzeci

Olbracht objął tron po śmierci Kazimierza Jagiellończyka.

— Był to król waleczny i wykształcony, mimo to panowania jego Szczęśliwem nazwać nie można — objaśniła nas ciocia. — Chciał on zdobyć sąsiedni kraj Wołoszczyznę i oddać rządy tego kraju bratu swemu Zygmunutowi, Wołosi często bowiem napadali na Polskę

i nieraz Turków z sobą sprowadzali. Sądził, że tym sposobem zabezpieczy się od ich napaści, lecz wyprawa ta nie powiodła się mu... Stoczywszy kilka potyczek z

Wołochami, namówiony przez brata swego Władysława  
zawarł z nimi rozejm i podążył  
do domu. Droga prowadziła przez ogromne lasy Bukowińskie,  
podstępni Wołosi  
przygotowali w nich zasadzkę; gdy wojsko weszło w głąb  
lasu, jedni wypadli  
niespodzianie z ukrycia i rzucili się na nie z dobytą bronią,  
inni rąbiąc drzewa  
przewracali olbrzymie kłody na rycerzy i przytłaczali ich.  
Setki zginęło tym  
sposobem, a gdy garstka wydobyła się z lasu i na stepy  
podążyła, dziękując Bogu  
za cudownie ocalone życie, podstępni Wołosi zapalili trawy  
stepów i tu znowuż  
wielu rycerzy śmierć znalazło: dym dusił ich, zsuwali się z  
siodła i ginęli w  
płomieniach. Nieszczęśliwa ta wyprawa, którą Olbracht  
przedsięwziął r. zwie  
się w historii, "klęską Bukowińską."  
— Olbrachtem nie chciałabym być, — odezwała się Magdzia,  
— lecz Warneńczykiem,  
choć doznał klęski, choć zginął w bitwie bardzo bym chciała.  
To taki piękny  
charakter, prawda, iż zgrzeszył uporem, lecz wojnę  
przedsiębrał w tak  
szlachetnej sprawie, chciał bronić swych braci Słowian.  
— I kto wie czy nie byłby ich obronił, gdyby inni nie byli go  
zawiedli, gdyby  
przybyli z nim razem na pole bitwy, — rzekła ciocia.  
— Szkoda, że tak młodo i tak marnie zginął. Tu zamyśliła się,  
a potem dodała:

— Nie ma nic smutniejszego, jak młodość zmarnowana, dobre  
chęci w niwecz

obrócone, zacne zamiary niespełnione.

I znowuż chwilę w pokoju cisza panowała.

— Gdyby mnie, kto zapytał "kim chciałabyś być" — odezwała  
się naraz Adelka, — to

z tych wszystkich postaci, które skreśliła nam ciocia,

wybrałabym Grzegorza

Sanokę. Być sobie samej wszystko winną to musi być

przyjemnie; zwalczyć tyle

trudności i zwyciężyć, jaka to rozkosz, a powtóre on dużo

dobrego zrobił braciom

swym, bo uczył ich prawdy, a nikomu nic złego nie zrobił.

Rycerzem choćby

najsławniejszym nie chciałabym być, bo trzeba zabijać,

mordować, ranić i

kaleczyć.

— Baba z ciebie, — rzekł Marcyś.

— Kobieta z sercem, — poprawiła go ciotka Ludmiła i

wyciągnawszy rękę do Adelki

dodała — chodź, niech cię uściskam za twoje zdanie; —

Adelka zbliżyła się do

niej nieśmiało i pocałowała ją w rękę, a ciocia uścisnęła ją.

— Tak więc znacie już ważniejsze wypadki, jakie zdarzyły się  
u nas w ciągu wieku

XIV i XV, — poczęła znowuż ciocia — dorzucę wam jeszcze  
słów parę do tego

obrazu, ma on swoje jasne i ciemne strony; zacznę od

ciemnych, by jasnymi

zatrzeć smutne wrażenia, jakie tamte wywołują... W tej epoce

widzimy, iż między

stanami, coraz większa zaczyna się wytwarzać różnica z krzywdą stanów niższych.

Król Ludwik, jak już wiecie nadał wielkie przywileje szlachcie i władzę królewską ograniczył, Jagiellonowie nadali jeszcze większe, dola kmiotków pogorszyła się znacznie, wła-

dza królewska stała się o wiele słabszą. Król nie mógł teraz nic postanowić, bez rady panów: ani wojny przedsię wziąć, ani pokoju zawrzeć, ani nowych praw wydać.

Kmiotek musiał pracować na gruncie pana, niewolno mu było go rzucić bez pozwolenia, choćby mu dokuczał; niewolno było iść na wojnę i tam szukać sławy i wyniesienia się ze stanu kmieckiego do rycerskiego, jak to dawniej bywało, nie wolno mu było w końcu nawet wszystkich synów do szkół posyłać, tylko jednego.

Obyczaje tego wieku są jeszcze surowe, czasami okrutne: panowie dopuszczają się napadów, na przejeżdżających kupców, rabują ich towary, więzią kmieci bez sądu, a gdy oskarżony do winy przyznać się nie chce, skazują go na tortury, czyli męczarnie: przypiekają mu palce u nóg i rąk, kaleczą ostrem żelazem, rzucają do wody w przekonaniu, że jeśli niewinny to nie utonie i nie poparzy się. Takich

tortur używali i urzędnicy królewscy, gdy chcieli, by oskarżony przyznał się do winy; lecz zwyczaj ten okrutny nie tylko u nas istniał, ale w całej Europie, dopiero postępy nauki zmieniły go. Dzisiaj tortur już nie używają, nie męczą więźniów, lecz starają się wpływać na nich moralnie, poprawiać ich. Oto smutne strony tego obrazu, jasnych jest wiele: Przez przyłączenie Pomorza i Prus za Kazimierza Jagiellończyka, Polska nie tylko rozszerzyła swe granice, lecz stała się bogatą. Panowie poczęli wysyłać teraz zboże za granicę przez morze Bałtyckie, na czym zyskiwali wiele, handel się rozwinął, podniosły się miasta. Za przykładem cudzoziemców panowie poczęli się wygodniej urządzać, dawne nędzne drewniane chaty, zastąpiły modrzewiowe dwory z kilku izb się składa-

jące, otoczone wałem i fosą, aby nieprzyjaciel nie mógł się do nich łatwo dostać; po miastach zjawiały się murowane kamienice. Proste skromne obyczaje, jakie przedstawia epoka Piastów, zmieniają się, poczynają się pojawiać przedmioty zbytku. Jedwabne opony, srebrne dzbany, złoto półmiski nie tylko na dworach królewskich znajdowały się za Jagiellonów, lecz i w

domach rycerzy, orszak panów towarzyszący królowi na zjazdach odznaczał się zawsze bogactwem ubioru. Lecz nie tylko w suknie piękne stroili się Polacy, starali się też o naukę, wysyłali synów do szkół za granicę, lub do Krakowa do akademii. Przybyło w tych czasach wiele szkół, przy każdej parafii były szkoły niższe, gdzie czytać, pisać, gramatyki i arytmetyki uczono, w większych miastach były szkoły wyższe. Gdy wynaleziono druk zagranicą i u nas założono kilka drukarni, oświata razem z bogactwem szerzyła się w kraju. Kilku sławnych mężów zasłynęło w tej epoce, w wieku XIV Janko z Czarnkowa, który opisał panowanie Kazimierza Wielkiego i Ludwika, w wieku XV Jan Długosz, jeden z najslawniejszych historyków swego czasu, Grzegorz z Sanoka i Ostroróg. Pisali oni po łacinie, gdyż język polski jeszcze nie był dostatecznie wyrobiony, aby można było poważne dzieła w nim pisać. Lecz i po polsku pisano także w tej epoce: pieśni, legendy, modlitwy. Posłuchajcie pieśni utworzonej przez nieznanego autora na cześć bitwy Grunwaldzkiej:

"We wtorków dzień apostolski.  
Rzekł marszałek królów Polski,

Wielki to jest lud nad nami,  
Trzeba by był Pan Bóg z nami.

Król widząc, iż blisko było,  
Aby się to dokończyło.  
Acz się Niemcy bardziej brali  
Niż polskiej mocy doznali.

Chorągiew wnet kazał podać  
Chcąc swym serca więcej dodać,  
A iż ją podnosi sprawnie.  
Temi słowy dał znać jawnie:

Boże mój ty wiesz bez chyby,  
Co pomyśli człowiek żywy  
Przeto się nikt nie skryje,  
Kto źle, albo dobrze żyje.

Ty wiesz zawsze żem uchodził  
Abym nikomu nie szkodził,  
I wojna ta za mym żalem  
Świadczę Tobą Bogiem samym.

Ale iżeś mię wysadził  
Abym o twym ludu radził,  
Z krwawych je rąk wyrwać trzeba,  
Na pomoc im zstąp z Nieba.

Iż ci, którzy tu polegną  
Płaczem swym ciebie dosięgną,

Prosząc, by nie żył godzinę,  
Kto tej wojny dał przyczynę.

Potem płaczu zaniechali,  
Boga Rodzice śpiewali.  
Tusząc jutro każdy sobie,  
Wesołym być o tej dobie.

Potem do króla przysłano,  
O bliskim wojsku znać dano,  
A król się modlitwą bawił,  
Nic nie czynił aż to sprawił.

Witold a Maszkowski dbali,  
By wtenczas lud szykowali;  
Król po skończeniu modlitwy  
Na swym koniu czekał bitwy.

Polski lud wziął lewą stronę,  
Litewski prawą obronę,  
Dziewięćdziesiąt wszystkich mieli  
Chorągwi, które widzieli.

Na czele lud co wybrańszy.  
A co dalej to są tańszy,  
Ku bitwie lud nieprzystojny  
Król co obóz odesłał z wojny.

A gdy poczęto trąb słuchać,  
Już każdy jął swego szukać,

Wtem posłowie przysłani,  
Byli od króla słuchani.

Mistrz pruski dał ci powiedzieć:  
Iż mu to tak dano wiedzieć,  
Iż ci serca nie dostawa.  
Dla tegoż dwa miecze dawa.

Abyś i te miał na pomoc,  
Wszak poznasz, co jest niemiecka moc,  
A rozdzieli się niemi z bratem,  
A potykać się każ zatem.

A jeślić pola niedostawa  
Do szyku, Otoż je dawa,  
Abyś nie miał żadnej obmowy,  
Oto już masz plac gotowy.

Wtem się ich wojsko cofnęło,  
Nasze się dobrze poczęło,  
Boć to był znak by wiedzieli,  
Iż tam na rzeź biegnąć mieli.

Król przyjął miecz z pokorą,  
I dał im odpowiedź skorą,  
Która za proroctwo stała,  
Bo się im pycha znać dała.

W mem wojsku acz dosyć broni,  
Pozna ten kogo mój zgoni

A wszakże i za tę dziękuję  
Wygrać sobie otrzymuję."

Nietylko poezycja uprawiali w tej epoce Polacy, lecz inne także sztuki piękne, stawiali wspaniałe świątynie, stroili ołtarze rzeźbami i malowaniem; za Kazimierza Jagiellończyka żył sławny Wit Stwosz. Różne nowe rzemiosła rozwinęły się też w owej epoce. Kazimierz Wielki sprowadził rzemieślników cudzoziemców, aby krajowców nauczyli nieznanym im rzemiosł. Zjawili się w tej epoce, w większych miastach naszych hafciarze, rękawicznicy, kapelusznicy, malarze, tapicerzy, farbiarze i t. d. Rzemiosło kwitło, handel również. Polacy handlują zbożem, miodem, skórami, przywożą pieniądze do kraju, podnoszą się domy mieszczan i rody rycerskie, które w chwili niebezpieczeństwa grożącego krajowi nie żałują mienia i życia, chętnie popierają uczącą się młodzież, ułatwiają im naukę, własnym kosztem zakładają bursy, czyli mieszkania dla uczącej się młodzieży. Jest to jednym słowem epoka, która chlubę nam przynosi, jest ona jakby wstępem do złotego wieku o którym teraz opowiadać będę. Temi słowami zakończyła tym razem nasze zebranie ciotka Ludmiła.

## CZEŚĆ PIĄTA.

### I.

#### HOŁD PRUSKI.

Było to dnia ósmego kwietnia roku -go, na rynku krakowskim  
zielem zasłanym  
widać było od rana, stojące dwa krzesła paradne, umieszczone  
na pewnym  
wzniesieniu, a około nich, ławy kobiercami zasłane; od rana  
też pospólstwo  
ściągało z różnych dzielnic miasta na ów rynek, lecz  
halabardnicy, którzy  
obowiązki straży tu pełnili, nie dopuszczali do środka. Tłum  
zbity w masę  
podpierał mury domów i tylko ciekawe spojrzenia rzucał ku  
środkowi rynku, to ku  
ulicy do zamku wiodącej. Dzień pogodny pozwalał stać i  
czekać, najłżejsza  
chmurka błękitów nie zasłaniała, słońce ciepło już  
przygrzewało, a skwarem  
jeszcze nie dokuczało. Około południa tętent i rzenie rumaków  
lejące z ulicy od  
zamku wiodącej, oznajmił czekającym tłumom, że ktoś zbliża  
się ku rynkowi.  
Poruszyły się masy, jak kłosa na polu, szmer poleciał w po-

wietrze. Po chwili ukazały się oddziały zbrojnego rycerstwa,  
świejące, strojne,  
hałaśliwe. Naprzód konnica potem piechota, zaległy rynek,  
miejsce próżne  
zostawiając we środku, za niemi niebawem nadciągnęły  
kolasy. Pierwsza była  
najparadniejsza: srebrna kolebka, zawieszona na pasach  
wielorybich, wybita  
wewnątrz czerwonym aksamitem, wszystkich oczy ku sobie  
pociągała. Sześć koni w  
szorach z taśmy jedwabnej, przetykanej złotem ciągnęło ją,  
sztuki srebrne  
zdobiły owe szory. W tej paradnej kolebce siedział król  
Zygmunt Stary, syn  
Kazimierza Jagiellończyka; z ramion jego spływał płaszcz  
złocisty, perłami  
szyty, na głowie miał złocistą koronę, w której świeciły się  
klejnoty. Obok  
niego piękna królowa Bona, której rysy twarzy zdradzały, iż z  
włoskiej ziemi do  
nas przybyła, strojna w jedwabie, złoto i klejnoty, w koronie i  
płaszczu  
królewskim dumnym wejrzeniem spoglądała w około. Król  
uśmiechał się do tego ludu  
ściśniętego na rynku, by go ujrzeć, krzyczącego radośnie na  
jego widok,  
skinieniem głowy odpowiadał na jego przychylne wołania.  
Królowa obojętnie i  
wyniośle przyjmowała te oznaki czci i uwielbienia. Między  
nimi widać było  
maleńkie chłopię o wielkich czarnych oczach, Bonę  
przypominających, w aksamitnej

złotem haftowanej sukni, to syn Zygmunta i Bony, jedyny  
następca tronu  
Jagiellonów. Wysunąwszy główkę z pomiędzy ojca i matki,  
jak pisklę z gniazda,  
zdziwionemi oczyma przypatrywał się ludowi i drobną rączką  
podziękowania posyłał  
im za te radosne powitania.  
Królewską kolebkę otaczali dworzanie na rączych pięknych  
rumakach, a suknie ich  
i czapraki rumaków

bogate były. Najpiękniejsze barwy, najdroższe klejnoty na  
nich świeciły; jedni w  
żupanach i kontuszach przybrani byli, drudzy w obcisłych  
sukniach niemieckich.  
Za dworzanami ciągnęły kolasy panów świeckich i  
duchownych, złociste,  
szkarłatne, najrozmaitsze. W jednych widać było biskupów w  
infułach i sukniach  
świętecznych, w innych, kasztelanów i wojewodów w  
kosztownych szubach futrem  
podbitych, w kaftanach sobolowych, przy których błyszcząły  
spinki brylantowe; w  
innych jeszcze dwór niewieści Bony: więc poważne niewiasty  
strojne w materyje  
kosztowne i młode dziewice w białych szatach w wieńcach  
zielonych na głowie, z  
włosami rozpuszczonemi, któremi wietrzyk wiosenny  
dowolnie igrał.  
Tłum krzyczał głośno:  
— Niech żyje król Zygmunt! Niech żyje królowa Bona!

Czapki powiewały w górze, tysiące rąk podnosiło się ku błękitom. Konie musiały zwolnić biegu, aby nie stratować ludzi. Wreszcie kolasy wtoczyły się na rynek i zatrzymały przed owym wzniesieniem, na którym widać było krzesła i ławy.

Halabardnicy utorowali drogę królowi i krokiem poważnym Zygmunt Stary z żoną i synem weszli po wschodach na rusztowanie kobiercami zasłane i w krzesłach miejsca zajęli. Za nimi dworzanie i niewiasty pośpieszyli, ławy wypełnione zostały, królewicz obok ojca stanął, a obok niego dwoje pacholąt. Chłopięta te trzymały szkarłatne poduszki, na jednej leżał szczerbiec Chrobrego, na drugiej jabłko i berło królewskie.

Lud jeszcze krzyczał: "Niech żyje król Zygmunt" gdy turkot nowy zagłuszył te krzyki, nowy szereg kolas się ukazał, jacyś goście na rynek dążyli, goście obcy, bo ci co siedzieli w pojazdach po cudzoziemsku wszyscy byli. ubrani, ani jednego kontusza nie było wśród nich.

Lud umilkł na chwilę, poczem dały się słyszeć pojedyncze wołania.

— Niech żyje książę Albrecht!

Lecz w wołaniu tem ni radość, ni zapał nie brzmiały, za to liczniejsze były szmery.

— Jest też kogo witać, mało oni krwi naszej wytoczyli.  
Kolasy przybyłych gości zatrzymały się jak i poprzednie przed  
rusztowaniem, na  
którem siedział król Zygmunt z rodziną i dworem. Z pierwszej  
wysiadł młodzieniec  
dorodnej postawy, lecz chmurny czegoś, błyszczący od złota,  
jedwabi i drogich  
kamieni, był to Albrecht, dawny mistrz krzyżacki, dziś książę  
pruski; wielkie  
zmiany zaszły w tym czasie na ziemi Pruskiej i w zakonie  
Krzyżaków, do którego  
część wschodnia Prus jeszcze należała. Koku -go obrany  
został mistrzem  
zakonu Albrecht, książę brandeburski, syn siostry Zygmunta  
Starego, Zofii.  
Albrecht przybywszy do Prus, zwinął zakon, zrzucił płaszcz  
krzyżacki i tytuł  
mistrza, przybrał świeckie suknie i kazał się nazywać  
księciem; wielu Krzyżaków  
poszło za jego przykładem, zmienili suknie zakonne na  
zwyczajne i życie świeckie  
wieść poczęli; ci zaś, co tego nie chcieli uczynić, opuścili  
Prusy. Albrecht  
sądził, iż król Zygmunt, będąc jego wujem pozwoli mu  
wyłamać się z pod  
obowiązku, do którego jeszcze mistrz Henryk von Plauen na  
zjeździe

Toruńskim r. -tym się zobowiązał, iż Krzyżacy hołd królom  
polskim składać

będą i z roku na rok odkładał swój przyjazd do Krakowa, lecz nadzieja go omyliła. Zygmunt choć był wujem, nie zapomniał, że jest królem i zażądał, aby Albrecht niezwłocznie hołd złożył. Rad nie rad musiał mu uleść w końcu książę pruski, tembardziej, iż pragnął, aby Zygmunt uznał go księciem i pośpieszył do Krakowa. Wsiadłszy z kolasy podążył ku tronowi, tuż przy nim postępowali dwaj jego bracia Jerzy i Fryderyk, a poprzedzali go biskup i radcy pruscy. Ci przystąpiwszy do tronu, klękli i prosili króla, by księciu Prus hołd złożyć pozwolił; w imieniu Zygmunta odpowiedział biskup krakowski Piotr Tomicki: — Niechaj książę przystąpi. Albrecht się zbliżył, przyklęknął, panowie pruscy go otoczyli, jeden z nich podał księciu piękną, białą, atlasową chorągiew, wiatr rozwiał proporzec i ukazał się na niej orzeł czarny o szponach złocistych, w koronie na szyi. Na piersiach owego orła świeciła cyfra królewska. Tłumy się uspokoiły, każdy oddech niemal wstrzymywał, by przysięgę usłyszeć, cisza uroczysta zaległa, wówczas książę Prus głosem donośnym, wyraźnie i wolno, tak, że nawet ci, co pod murami domów stali zrozumieć go mogli począł mówić: — "Ja Albrecht, książę pruski, braudemburski margraf ślubuję i przysięgam Bogu

wszechmogącemu, iż począwszy od tej chwili wiecznie chcę  
być wiernym, podległym,  
lennym i posłusznym ze wszystkimi poddanym  
Najjaśniejszemu i najpotężniejszemu  
monarsze

i panu Zygmuntowi, jego następcom i koronie, jako przystoi  
na pokój miłującego,  
lennego i pod hołdem zostającego księcia i według stosunku  
uporządkowanych, w  
czem mi Boże dopomóż przez Twą świętą Ewangelią."  
To powiedziawszy książę złożył kornie ręce na piersiach i  
głowę pochylił, a król  
wziąwszy miecz z poduszki, którą mu podał jeden z panów,  
uderzył nim Albrechta  
trzykrotnie po ramieniu, poczem przypasał mu do boku miecz  
i na szyję włożył  
złoty łańcuch.

Teraz lud poruszył się znowu, zaszumiało na rynku, jak na  
polu, gdy wiatr  
kłosami zboża potrąci i znowu o niebiosa radosne okrzyki  
ludu się odbiły:  
— Niech żyje Zygmunt! — drżało w powietrzu.  
— Niech żyje Zygmunt! — krzyczał ten lud, który szczerze  
kochał swego króla, bo  
czuł się szczęśliwym pod jego panowaniem, bo ziemia jego  
dzięki Zygmuntowi była  
potężną, sąsiedzi ją szanowali i nie śmieli czynić najazdów...  
Po skończonym obrządku pośpieszyli wszyscy do kościoła  
katedralnego, gdzie

biskup odprawił uroczyste nabożeństwo, następnie król panów do siebie na zamek zaprosił; nazajutrz dopiero Albrecht opuścił mury Krakowa, uznany przez Zygmunta Starego księciem Prus. Taki był koniec zakonu krzyżackiego, taki początek owego potężnego państwa, które dziś nazwę cesarstwa Pruskiego nosi.

## II. JAN Z TARNOWA.

Wieść bardzo smutna rozbiegła się po kraju: Wołosi sąsiedni Polsce lud. wpadli w jej granice, zdobyli miast kilka i pałac, rabując posunęli się do Halicza.

Mieszkali oni napółudniowo-wschodniej granicy Polski, niegdyś tworzyli potężne niezależne państwo, potem ulegali kolejno różnym mocarstwom Europy, następnie oswobodzili się i mieli znowu udzielnych gospodarów, czyli królów, tak bowiem swych władców nazywali.

Hospodarowie wołoscy nie czując się dość silni, by o własnej mocy istnieć, zawsze czyjeś opieki wzywali i gdzie korzyści dla siebie większe widzieli, na tę stronę się przechylali i tym schlebiali. A że sąsiedowali z Turkami, Polską i Węgrami, więc raz Polski, raz Turcyi, raz Węgier lennikami się uznawali; to z

Turcyją, lub Węgrami na Polskę uderzali, to łączyli się z  
Polską przeciw Turcyi,  
różnie bywało...

Był to lennik niewierny, sąsiad zdradziecki, niepewny zawsze,  
z którym było  
wiele kłopotu.

I teraz oto podmówieni przez Turków Wołosi wpadli  
niespodzianie w granice Polski  
i spustoszenia w niej poczynili. Gdy wieść o tem najeździe  
doszła do Krakowa,  
król Zygmunt zwołał natychmiast rycerstwo i powierzywszy  
nad niem dowództwo  
Janowi Tarnowskiemu, wysłał go przeciw groźnemu  
nieprzyjacielowi.

Po długim, kilkodniowym pochodzie wojska dotarły pod  
zamek Gwoźdź, który Wołosi  
zajęli. Tarnowski przypuścił doń szturm, zdobył z łatwością,  
Wołochów wygnał i  
rozgościł się w zamku ze swoim hufcem, miał zamiar spędzić  
w nim noc. Już  
wieczór zapadał, na niebie pojawiły się gwiazdy, a wśród nieb  
wspaniała kometa,  
której złoty warkocz rozlewał się szeroko po szafirowem  
sklepieniu niebios.  
Zabobonni żołnierze spoglądając na nią mówili, że to różga  
boża na Wołochów i z  
dobrą myślą zabierali się do spoczynku, gdy wtem nadbiegł do  
zamku zdyszany  
goniec, wysłany do Tarnowskiego i skłócił ogólny spokój.  
Doniósł on, iż Petrylło

nadciąga z olbrzymimi siłami, że wie dzie ze sobą , wojska.

Powstał popłoch

wśród zwycięzców, zewsząd poczęły odzywać się głosy:

— Wracajmy do domu. Żołnierze pokazywali sobie kometę, kiwali głowami i mruzczyli:

— Kto wie, na kogo ona, komu grozi. Popłochowi temu dziwić się nie było można.

Jan z Tarnowa miał tylko sześć tysięcy wojska ze sobą.

Kilku ze starszych rycerzy postanowiło zwrócić uwagę hetmana na nierówność sił i

nakłonić go, by cofnąć się do Halicza. Znaleźli Tarnowskiego w jednej z izb

zamkowych, zajęty był rozpatrywaniem karty, która miała go obznajmić z

miejscością, widocznie myślał o spotkaniu. Zbliżyli się do niego pokorni i

poклон mu złożony spoglądali na siebie, który ma przemówić pierwszy.

Hetman podniósł pełne zadumy czoło.

— Co waszmościów do mnie przywiodło? — zapytał.

— Z radą przychodzimy, — odparli razem, — nieprzyjaciel cztery razy liczniejszy

od nas, potykać się z nim, znaczy to samo, co śmierci dobrowolnie szukać, pono

rozsądniej będzie usunąć się im z drogi.

Hetman porwał się ze stołka, twarz jego pociemniała z gniewu, brwi najeżyły się,

oczy skry rzuciły, aż pobledli ci, co przed nim stali.

— Nie daj tego Boże, abym ja tył nieprzyjacielowi, nie widząc go, poddawać miał,

— rzekł głosem silnym — tu albo umrzeć, albo wygrać.  
To powiedziawszy podniósł hardo czoło, a twarz mu tak  
pięknym blaskiem  
rozjaśniła się, iż ci co do odwrotu namawiali, uczyli się tak  
małymi, tak  
nędznymi w obec niego, że oczy spuściwszy patrzeć nań nie  
śmieli.

Ucichły szemrania niechętnych, każdy w milczeniu,  
pośpiesznie spełniał rozkazy  
wodza.

Jan z Tarnowa zostawiwszy w zamku silną załogę z resztą  
wojska ruszył naprzeciw  
nieprzyjaciela. Dotarłszy do wsi Obertyn, tu się zatrzymał i  
kazał rozbić  
namioty. Rozległa równina, najeżona dokoła wzgórzami, zdała  
mu się być miejscem  
dogodnem. Mimo nocy głębokiej, gdy namioty rozbito wódz  
kazał otoczyć je wałem  
dokoła kilka tylko wnijść zostawiwszy, a wały rowem okopać,  
na wałach ustawiono  
pospinane wozy, między niemi działa. Gwiazdy przyświecały  
tej mozolnej robocie,  
a z niemi razem groźna kometa, na którą ciemni ówcześni  
ludzie z niedowierzaniem  
spoglądali.

Świt zastał jeszcze żołnierzy przy pracy, gdy wreszcie wały i  
rowy były  
ukończone. Tarnowski umieścił na wozach strzelców, to jest  
piechotę ze

strzelbami, w pół obozu na placu konnicę zbrojna, poczem  
objechał cały obóz,  
każdemu rzekł dobre słowo, dodawał otuchy, odwagi. Widząc  
pogodną, wesołą niemal  
twarz hetmana wojsko ducha nabrało i bez strachu, nawet z  
upragnieniem wroga  
wyczekiwało.

Dnia -go ukazała się wdali jakaś olbrzymia masa, czarna,  
ruchoma, połyskująca,  
która zwolna posuwała się ku obozowi; pięćdziesiąt armat  
ciągnęło przodem, za  
niemi tłumy różnorodnej ludności. Byli tam Wołosi, Węgrzy i  
Tatarzy, więc stroje  
ich były rozmaite i broń różna i okrzyki niejednakowe,  
prowadził ich sam  
Petryłło.

Na widok wroga krew rycerska zawrzała w żyłach żołnierzy,  
chcieli wybiedz z za  
wałów i rzucić się na nieprzyjaciela, zapomniawszy w tej  
chwili o nierównej  
liczbie sił. Lecz hetman nie pozwolił kazał stać i czekać.  
Petryłło ujrawszy fortecę wśród pól naprzeciw siebie  
wzniesioną, ufając w swe  
siły olbrzymie otoczył ją w około i dla postrachu wroga, kazał  
ze wszystkich  
dział naraz uderzyć. Pięćdziesiąt armat zagrało jednocześnie,  
straszliwy huk  
wstrząsnął powietrzem, ze świstem złowrogim pociski  
wołoskie przebiegając  
powietrze wpadły do obozu Tarnowskiego, śmierć tam  
szerząc. Ten i ów spadł z  
wozu, lecz natychmiast inni ich zastąpili, a strzelając z rusznic  
nawzajem kilku

Wołochów ubili. Bój zawrzał zacięty, bój sił nierównych.  
Sześć tysięcy się  
przeciw

, tysiącom, to znaczy iż każdy z tych sześciu czterech musiał  
zwalczyć.  
Jednak ci, co mniej silni byli, ani na chwilę nie ustępowali.  
Pięć godzin szturmował do obozu Petryłło, wreszcie znudzony  
tą bezskuteczną  
strzelaniną, postanowił na miecze walkę rozpocząć i chytrze,  
jak zawsze  
działając, kazał, by jeden oddział Wołochów wdarł się  
niespodzianie do bocznej  
bramy w wale obóz otaczającym się znajdującej. Stali tam na  
straży ze swemi  
hufcami dwaj wodzowie: Andrzej Trojanowski, młody rycerz  
pełen ochoty do boju,  
ale niedoświadczony jeszcze i Bolicki Topór, stary wojak.  
Gdy Wołosi przypadli  
do bramy Trojanowski miał wielką ochotę pierwszy spotkać  
się z nimi, lecz  
przyszło mu na myśl, iż pierwszy raz dowodzi, mógłby przeto  
błąd popełnić,  
wpuścić nieprzyjaciela do środka obozu i zgubić wszystkich,  
wolał przeto dla  
dobra drugich wyrzec się niepewnej sławy i ustąpił  
Bolickiemu, który dzielnie  
uderzył na wroga. Rozpoczęła się teraz bitwa na miecze:  
spozrzegłszy podstęp  
Petryłły, Tarnowski posłał Bolickiemu pomoc. Wołosi i  
Polacy ścierali się

mężnie, szable migwały w ich dłoniach, szczękały uderzając o siebie, lub kaleczyły walczących, krew tryskała za każdym uderzeniem. Półtorej godziny trwała bitwa, zwycięstwo na żadną stronę się nie przechylało.

Tarnowski postanowił sprawę rozstrzygnąć, kazał naraz wybiedz całemu rycerstwu za wały i uderzyć na nieprzyjaciela.

Nieprzypuszczając, że to ostatek sił, Wołosi przestraszeni zmieszali się i cofnęli, to serca Polakom dodało. Śmielej jeszcze i odważniej nacierać poczęli, a im

dzielniej się bili, tem więcej mieszały się Wołosi; nareszcie poczęli uciekać w największym nieładzie, co widząc Tarnowski puścił się za nimi w pogoń.

Wbiegłszy na jedno ze wzgórz, Petryłło obejrzał się za siebie i teraz dopiero

poznał, jak nieliczne są siły wroga. Chciał przeto zawrócić, wołał na swoich,

krzyczał by się zatrzymali; lecz czy hałas zagłuszył głos jego, czy ze strachu

żołnierze go nie rozumieli, dość, że coraz prędzej uciekali, zostawiając za sobą

działa, chorągwie, namioty, broń, sprzęty, żywność, konie, rannych. Widząc, że

ich nie zatrzyma gospodar sam za nimi podążył.

Tak garstka odniosła zwycięstwo nad cztery razy silniejszym wrogiem.

Rozgromiwszy zupełnie Wołochów, Tarnowski nakazał odwrót; cały obóz Petryły dostał się w jego ręce, armat, chorągwi, więcej niż tysiąc Wołochów i mnóstwo sprzętów, broni, siodeł i koni. Rozdawszy łupy zdobyte prócz chorągwi i armat w nagrodę walecznemu rycerstwu, hetman nazajutrz rano, po wysłuchaniu dziękczynnego nabożeństwa, kazał zwinąć namioty, wozy ściągnąć z wałów, na jednych złożyć rannych na drugich namioty i ruszono w tryumfie ku domowi. Jakże wdzięczni byli teraz rycerze hetmanowi, iż głosu trwogi nie posłuchał. Wracali do braci, do kraju, jako bohaterzy... Przed zwycięskimi hufcami toczyło się zwolna pięćdziesiąt dział, zdobytych na nieprzyjacielu: wołoskie sztandary powiewały nad ich głowami, szeleszcząc im o sławie, o czynach, jakie dokonali, za nimi tysiąc jeńców postępowało, za jeńcami ciągnęły wozy, namio-

tami i łupami zdobytymi na Wołochach wyładowane. Orszak ten tryumfalny prowadził bohater dnia, mąż dorodny, Jan z Tarnowa. Zadowolony z odniesionego zwycięstwa, król Zygmunt dowiedziawszy się, że hetman już do stolicy się zbliża, wyjechał na jego spotkanie z panami, z dworem całym.

Na błoniach, rozciągających się pod Krakowem, ustawiono tron i ławy, tutaj król postanowił powitać bohatera i podziękować mu uroczyście. Oto jak pięknie tę chwilę opisał jeden z naszych poetów Edmund Wasilewski.

"Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa  
A nad nim sztandar tryumfu wiał,  
W gałązkach dębu jego siwa głowa,  
A w oczach ogień zapału tlał.  
A przed nim szło pięćdziesiąt dział u stóp króla usiadły,  
A za działami zdobyte sztandary.  
Pod stopy króla się kładły.  
I z gołą głową wołoskie bojary,  
Na twarz przed królem upadły,  
I zstąpił z tronu on król sędziwy,  
Jana do serca przycisnął.  
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,  
Łzą rozczulenia zabłysnął."

### III. BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA.

Zabrzmiały wszystkie dzwony kościołów wileńskich echem żałobnym, niosąc wieść mieszkańcom, iż król Zygmunt I umarł w Krakowie, było to roku . Pierwej od wszystkich dowiedział się o tej śmierci Zygmunt August, syn zmarłego, który bawił właśnie w Wilnie; żal głęboki przejął jego sercem. Zamknięty w zamku

książęciem przez parę dni ukrywał przed ludźmi swój smutek i rozmyślał nad ważnymi obowiązkami, jakie go czekają, a także i nad ważną sprawą osobistą, iż ożenił się nie pytając panów o radę co do wyboru, jaki uczynił.

Za czasów Piastów, królowie mieli władzę nieograniczoną, każdy z nich był panem życia i śmierci swych poddanych, za Jagiellonów zmieniło się to... Jagiellonowie coraz nowe przywileje nadawali panom, coraz bardziej władzę swą ograniczali, doszło w końcu do tego, iż królowie nic nie mogli postanowić, nie zapytawszy pierwszej sejmicy a raczej panów, czy zgadzają się na to. Nie mogli własnowolnie nakładać podatków, wypowiadać wojny obcym narodom, lub z pomocą im spieszyć; niewolno im było rozdawać urzędów bez pozwolenia panów, naznaczać następców po sobie, niewolno im było nawet żony wybierać dowolnie. Polska z monarchii stała się rzeczpospolitą, król był tylko królem imiennie, a w istocie był najstarszym urzędni-

kiera, zawiadowcą ziemi, która nie była jego własnością, lecz narodu całego...

Zygmunt August stał się przeto nieposłusznym prawom, jakie poprzednicy jego

panom nadali, gdyż nie pytając ich o pozwolenie, ożenił się.  
Domyślał się on, iż  
krok, jaki uczynił, wywoła gniew i oburzenie panów, taić  
niechciał wszakże  
dłużej swego małżeństwa. Rozesłał po Wilnie i okolicznych  
siołach zaproszenia  
panom litewskim, by przybyli do niego na zamek dnia  
kwietnia, a gdy zebrali  
się licznie, gdy powitał wszystkich, wtedy powstawszy z  
książęcego krzesła,  
rzekł do zebranych.

— Co słuszne i nader ważne przyczyny zmuszały mnie taić  
dotąd, to dziś wam  
odkryję... Barbara Radziwiłłówna, wojewodzina Trocka, jest  
moją żoną, oddaną mi  
w małżeństwo obrządkiem chrześcijańskim w obliczu  
krewnych. Wiecie, iż związku  
takiego prawnie pomiędzy chrześcijanami zawartego, żadna  
moc w świecie zerwać  
nie może.

To powiedziawszy przeszedł salę krokiem majestatycznym,  
zbliżył się ku podwojom,  
wiodącym do bocznych komnat i roztworzył je na oścież, a  
zebrani w sali ujrzeni  
w progu drzwi Barbarę w stroju królewskim, braćmi swymi i  
paniami, które dwór  
jej stanowić miały, otoczoną.

Król podszedł ku niej, ujął za rękę i do sali wprowadził.

— Życzeniem mojem jest, — ciągnął dalej, — abyście  
panowie tej, którą ja za wolą  
Bożą pojąłem za żonę, cześć, jako królowej i pani, oddawali.  
Panowie pochylili się kornie przed Barbarą, lecz na niejednej  
twarzy czytać było

można gniew, rozdra-

żnienie Jedni oburzali się na króla, iż złamał ich przywileje,  
drudzy

zazdrościli Radziwiłłom, iż przez to małżeństwo króla,  
spokrewnieni z nim

zostali; ci w duszy przyrzekali sobie, iż zerwą ten związek.

Król zaprosił panów na ucztę, podejmował hojnie, częstował,  
poił, karmił, lecz

gościnność gospodarza nie przejednała niechętnych;

wróciwszy do domu toż samo

postanowienie powtórzyli sobie w duszy, iż zerwą to  
małżeństwo.

Nazajutrz po przedstawieniu żony panom litewskim, Zygmunt  
August pośpieszył do

Krakowa, gdzie miał się odbyć pogrzeb zmarłego króla.

Barbarę w Wilnie zostawił;

chciał pierwej uprzedzić panów koronnych o swem  
małżeństwie, a potem dopiero

sprowadzić żonę

Niespokojnie czekała Barbara wieści od męża, tydzień

niepewności wydał się jej

wiekem, wreszcie przyszły od króla listy, napisał do żony, by  
z bratem swoim do

Krakowa się wybrała.

W licznym orszaku panów i pań puściła się Barbara w podróż,  
Zygmunt August

wyjechał naprzeciw niej aż do Radomia. Droga na której król  
miał się spotkać z

żoną, cała była wysłana suknem czarnem. Z dwóch stron  
zatrzymały się na niej

kolasy: Barbara

i Zygmunt wysiadłszy pośpieszyli naprzeciw siebie, za nim i za nią szli panowie

i panie. Panowie krakowscy przypatrywali się ciekawie

Barbarze: piękna i

strojna, czyniła na nich wrażenie.

— Niedziw, iż ją wybrał, — szeptali, — niemniej królową nie będzie, — dodawali

następnie.

Niewesołe było powitanie małżonków: August oznajmił żonie, iż do Krakowa zabrać

jej nie może...

Matka Zygmunta Augusta, królowa Bona, z domu księżniczka wołoska, dumna kobieta

nie mogła darować synowi, iż taki wybór zrobił. Ona dla jedynaka o królewnie

marzyła, podburzała przeto panów, by zerwano małżeństwo, wystawiała im o ile

będzie korzystniej, gdy król poślubi córkę jednego z monarchów Europy, że naród

zyska przez to sprzymierzeńca potężnego. Podburzani panowie zażądali zwołania

sejmu, na którym postanowili się rozmówić z Zygmuntem Augustem w sprawie jego

małżeństwa.

Nie chcąc narażać żony na spotkanie z tymi, którzy byli jej niechętni, Zygmunt

August namówił ją, by w Radomiu została, dopóki nie uspokoi umysłów, sam zaś

podążył do Piotrkowa, gdzie sejm miał się zebrać.

W starym zamku miasta Piotrkowa w jednej z wielkich jego sal zajęli ławy posłowie ziemscy, krzesła urzędnicy wyżsi, świeccy i duchowni zwani senatorami, wśród tych król, cały w czerni, smutny, zgnębiony... Nie wzruszył ten widok panów: zbliżając się kolejno do tronu wszyscy w kornej postawie, lecz tonem stanowczym prosili, by zerwał małżeństwo z Barbarą, zaklinali go, by uczynił to dla dobra państwa. Długo w milczeniu z głową ku piersiom zwieszoną słuchał ich Zygmunt August. Ośmieleni tem, sądząc, iż nakłania się już do ich próśb, padli przed nim wszyscy na kolana i błagać go ze łzami poczęli, by uległ ich prośbom. Zmieszany tym postępkem król podniósł się z tronu, odkrył głowę. — Powstańcie panowie, — rzekł — przed Bogiem tylko się klęka; zbyt ważna to rzecz, jakiej ode mnie

żądacie, bym lekkomyślnie miał odpowiedzieć — rozważę, zastanowię się i po namyśle odpowiem. To powiedziawszy opuścił salę, za jego przykładem rozeszli się i panowie. Lecz nazajutrz sala zamkowa znowu się zaludniła i scena dnia poprzedniego powtórzyła się; znowuż senatorowie i posłowie podnosili się kolejno z krzesel i ław,

zabierali głos, błagali króla, by zerwał z Barbarą. Zygmunt August łagodnie odpowiadał, lecz z jego słów wnosić było można, iż nie tak łatwo ustąpi; to podniecało panów, coraz natarczywiej nalegali, coraz głośniejsze, energiczniej żądali rozwodu.

— Wolałbym Solimana w zamku krakowskim zobaczyć, niż Radziwiłłównę — wołał Piotr Kmita, wojewoda Krakowski.

— Wolałbym w turmie siedzieć, niż widzieć nasze przywileje złamane, — krzyczał inny.

W sali podniósł się gwar przykry, źle wróżący dla króla. Wtem u drzwi głównych, hałas jakiś dał się słyszeć, wszyscy 'zwrócili w tę stronę spojrzenia i na chwilę w sali ucichło... W drzwiach widać było gromadę ludzi, wśród nich na wywyższeniu starca z głową siwizną przypruszoną: był to Jan Tenczyński, wojewoda Sandomierski. Bezwładny, gdyż nogi miał sparaliżowane, kazał się zanieść służbie do sali senatu, mimo kalectwa przybył na sejm. Gdy go z krzesłem pachołcy wśród sali przed królem postawili, oparłszy się obu rękoma o poręcz krzesła, dźwignął się na pół i pochylony naprzód, rzekł głosem drżącym. — Jużem jedną nogą w grobie, jednak przybyłem tutaj królu błagać cię byś uległ woli narodu: "Głos

ludu, głosem Boga" mówi przysłowie. Lud żąda od ciebie  
ofiary, uczyn ją, gdyż  
Bóg jej żąda.

Lecz Zygmunt August był dzisiaj nieugięty.

— Co się stało, odstać się nie może — odparł stanowczym  
tonem, a waszmościom

przystało nie o to ranie prosić, bym żonie wiarę złamał, lecz  
raczej o to, żebym

ja każdemu człowiekowi dochował. Przysiągłem żonie i nie  
odstąpię jej, póki mnie

Pan Bóg na świecie chować będzie.

To powiedziawszy rozżalony opuścił salę.

Słowa jego mieszały obradujących: w istocie czegoś żądali  
od króla... złamania

przysięgi przed Bogiem uczynionej, boć przecie biorąc ślub z  
Barbarą, przysiągł

jej przed ołtarzem, że jej do śmierci nie opuści. Ten i ów  
poczuł wyrzuty

sumienia, lecz większość burzyła, się, obrady dalej trwały,  
lecz nieobecność

króla niedozwoliła sprawy rozstrzygnąć. Trzeciego dnia  
znowu razem z Zygmuntem

Augustem się zebrali, znowuż namawiali go do zerwania  
małżeństwa, a on ustąpić

im nie chciał. Pięć dni trwał sejm, nakoniec widząc  
nieugiętość króla, panowie

rozjechali się każdy do siebie, król do Krakowa podążył;  
wkrótce wezwał żonę, by

pośpieszyła do stolicy, postanowił, dłużej nie czekać.

Wjazd Barbary świetnym nie był, garść tylko panów  
pośpieszyła naprzeciw niej,

większość z królową Boną udała się do Warszawy, unikając z nią spotkania.

Barbara zajęła na zamku krakowskim pokoje, w których zwykle królowe mieszkały, chociaż ukoronowaną nie była. Łagodnością, płacąc dobrem za obojętność i niechęć, jaka ją otaczała, starała sobie zjednać serca narodu i powoli najzagorzalsi jej przeciwnicy po-

częli mięknać, coraz byli dla niej uprzejmiejsi. Ci co oddalili się do Warszawy, powracali do Krakowa i hołd jej złożyli, nakoniec wszyscy zgodzili się na koronację Barbary.

Dnia dziewiątego grudnia, katedra wawelska zajaśniała od tysiąca świateł, a w progu jej drzwi ukazał się orszak wspaniały: przodem szedł Piotr Kmita, ów najuporczywszy wróg Barbary, niósł on w ręku laskę, godło marszałka koronnego.

Za nim Barbara w stroju królowej w sukni błyszczącej od pereł i klejnotów, w płaszczu purpurowym podbitym gronostajami; obok niej Zygmunt August, ten miał już na głowie koronę. Przed wielkim ołtarzem stały dwa trony obite sukniem szkarłatnej barwy, królewska para je zajęła. Organy ozwały się uroczyście, biskup przystąpił do ołtarza by mszę odprawić. Po jej ukończeniu otoczony

duchowieństwem przystąpił do Barbary i namaściwszy ją olejem świętym włożył na jej głowę koronę. Radosne okrzyki ludu powitały piękną królowę, gdy wyszła z przedsionka kościoła i odprowadziły ją aż do zamku, gdzie gości czekała wspaniała uczta.

Niedługo wszakże cieszyła się Barbara koroną, rozwinęła się w niej choroba śmiertelna... Ci, co niegdyś przykrości jej wyrządzali, teraz żałując swego postępowania starali się nagrodzić je: ubiegali się w usługach dla królowej, w okazywaniu jej przychylności, nie uleczyli jej jednak, choroba szybkie czyniła postępy.

Było to dnia pierwszego kwietnia r. ; pięć miesięcy upłynęło zaledwie od koronacyi Barbary; nie opuszczała ona teraz łóżka: blada, bezsilna leżała

oparta o poduszki, a łoże jej otaczali mąż, oraz liczni przyjaciele. Wtem dano znać królowi, iż poseł przysłany z Warszawy od Bony, pismo jakieś przyniósł, król kazał posła wpuścić, wszedł mnich, Franciszkanin i pokłoniwszy się kornie Zygmuntowi, oraz jego żonie rzekł:

— Najjaśniejsza królowa Bona, pani najmiłociwsza, widząc tu wolę niebios,  
których rozkaz panuje wszystkim na ziemi, jako też życzeniem Jego królewskiej  
mości, najukochańszego syna swego, którego chęciom, nie godzi się opierać, aby  
Waszą królewską mość pojął za najukochańszą małżonkę swoją, po długim, a  
dojrzałym namyśle przyrzeka uznać i szanować Waszą królewską mość, jako córkę i  
synowę najukochańszą, którą przezemnie spowiednika swego sumienia pozdrawia i  
zasyła za nią modły do nieba, aby Waszej królewskiej mości dał rychłe  
wyzdrowienie z tej obecnej niemocy i wszelkie sukcesa i pomyślności na  
przyszłość.

To powiedziawszy podał Barbarze list Bony. Smętny uśmiech okolił usta chorej.

— Oby życzenia te Bóg spełnić raczył, — szepnęła słabym głosem.

Lecz inna była wola Boża, w kilka dni po otrzymaniu listu od matki męża, Barbara umarła. Żal narodu był wielki, lecz nie można go porównać z żalem Zygmuta

Augusta — ten był niepocieszony.

Barbara umierając prosiła męża, by ją pochował w Wilnie.

Stosując się do jej

życzenia, król kazał zawieść jej ciało do stolicy Litwy. Cały miesiąc trwała ta

smutna podróż, sam Zygmunt August dowiózł trumnę żony, nie odstępował on zwłok.

W grubej żałobie jechał tuż za kolosą kirem obitą, ciągnioną  
przez cztery

kare rumaki, w kolosie tej ciało Barbary wieziono, a gdy  
wjeżdżali do jakiego  
miasta, lub wsi, wówczas panowie mary brali na barki, król  
zsiadał z konia i  
pieszo szedł za niemi.  
Barbara pochowaną została w kościele katedralnym miasta  
Wilna.

IV.

#### POGRZEB OSTATNIEGO JAGIELLONA.

W trzy lata po dokonaniu unii lubelskiej, Zygmunt August  
umarł, umarł w  
Knyszynie na Podlasiu, gdzie oddalił się z powodu szerzącej  
się w Krakowie  
zarazy; umarł i nie zostawił po sobie syna, ród Jagiellonów  
wygasł na nim. Żal  
było narodowi tego dobrego króla, żal mu było zacnego rodu,  
pod którego rządami  
czuł się szczęśliwym, tłumy ludu i tłumy panów odprowadziły  
ciało zmarłego z  
Knyszyna do Krakowa, gdzie w grobach wawelskich miał być  
pochowanym. Na  
spotkanie zwłok królewskich, ze starej stolicy Jagiellonów  
wyszło duchowieństwo  
ze wszystkich kościołów, wyszli profesorowie akademii z  
uczniami i dziatwa szkół

niższych, posłowie państw zagranicznych: niemiecki,  
francuski, węgierski,  
szwedzki, wenecki, wyszli panowie Polski, Litwy, Prus i  
Pomorza... Wspaniały był  
to pogrzeb: na wozie, kirem okrytym, jechały mary zasłane  
całunem srebrem  
oszytym, przed nimi szli ze śpiewami

smutnemi zakonnicy Franciszkanie w ciemnych habitach,  
Dominikanie w białych  
szatach, Karmelici zwani bosci i wiele, wiele innych  
klasztorów. Każdy zakonnik  
świecę woskową zapaloną w rękę trzyma, idą powoli, suną  
niby duchy, kapturami  
twarze zasłonili, głowy ku piersiom mają zwieszane. Za nimi  
księża świeccy,  
potem uczniowie akademii-z profesorami, dziatwa szkół niż.  
szych, a na ich czele  
bakalarze. Potem bractwa różne ze światłem i chorągwiami, za  
nimi trzydzieści  
wozów czarnych z trumnami, czterdziestu zbrojnych rycerzy  
na koniach purpurą  
okrytych, kilku z nich trzyma w dłoni chorągwie, a na  
chorągwiach godła różne  
świecą. Za rycerzami widać na koniu królewskim jakiegoś  
męża w zbroję królewską  
od stóp do głów on przybrany, a taki podobny postawą do  
Zygmunta Augusta, iż  
rzec by można, że to on sam; to Jerzy Mniszech, krajczy  
królewski, przedstawiać

on ma na tej uroczystości króla. Za Mniszchem niosą panowie  
klejnoty koronne:

Andrzej Zborowski miecz, Piotr Zborowski jabłko, Jan Firlej  
berło. Za nimi

ciągnie wóz żałobny, wyższy nad inne taki wysoki, iż trumna  
królewska całunem

zasłonięta nad całym tym pochodem góruje, a całun taki długi,  
iż srebrne jego

frędzle włoką się po ziemi. Obok wozu z każdej strony widać  
pięćdziesięciu

dworzan, suknie na nich ciemne, klejnoty nie świecą, i twarze  
ich smutne także.

Gdy kondukt żałobny zbliżył się do bramy floryjańskiej,  
zatrzymał się tutaj,

zdjęto z wozu mary królewskie i sześciu panów w czarne  
aksamity przybranych

wzięto je na barki, przed nimi stanął herold, który wielką  
szkatułkę, pełną

złota dźwigał.

Żałobnym jękiem ozwały się dzwony kościołów krakowskich,  
orszak pogrzebowy

wkroczył ulicę starego grodu, tłum ludu wyległ na jego  
powitanie, herold rzucał

mu garściami ze szkatuły złoto, lud chwycił pieniądze i za  
duszę króla pacierze

szeptał... Brzmią głucho dzwony kościołów, mieszają się z  
niemi psalmy

zakonników i szept pacierzy i szlochanie ludu, a tuż za  
zwłokami idzie siostra

zmarłego, królowa Anna, cała w czerni, prowadzi ją dwóch posłów: francuski i niemiecki. Za nimi przedstawiciele innych państw Europy idą z głowami odkrytymi, dwór niewieści Anny: poważne matrony i młode dziewice, jedne i drugie w żałobnych sukniach, potem znowu panowie, towarzysze, przyjaciele i dalsi krewni króla. Za panami w kolebce złocistej widać arcybiskupa gnieźnieńskiego, który dla wieku pieszo iść nie może, za nim jedzie jeszcze kilku panów świeckich i duchownych, którym wiek, lub choroba karety opuścić nie pozwala.

Pochód wstępował kolejno do główniejszych kościołów Krakowa, wchodzili panowie z marami stawiano dwa naczynia, w które kto chciał rzucał ofiarę na kościół, księża psalmy przy trumnie śpiewali. Obszedłszy głównejsze ulice pochód podążył na zamek, mary wniesiono do kościoła katedralnego i umieszczono je w pięknej marmurowej kaplicy katedry wawelskiej, gdzie obok zwłok ojca umieszczono je. Na trumnie Augusta był wyryty napis: "Zygmuntowi Augustowi, synowi Zygmunta, królowi Polski, Litwy i reszty Sarmacyi; panu, który przez powiększenie Rzeczypospolitej i wcielenie Litwy do królestwa, zjednął sobie chwałę. Królowi, króla

synowi, wnukowi, prawnukowi i praprawnukowi, który nie mając potomstwa zamknął swój żywot i ród, oraz panowanie Jagiellonów do lat w Polsce, a dłużej jeszcze w Litwie trwające. Fan ten prędszy do rady niż do czynu, w obu jednak tych razach łagodny, przewidujący, ojcowski, powolny, łaskawy. Zmarł w Knyszynie d. lipca r. ."

Po odprawionem nabożeństwie wszyscy rozeszli się do gospod, posłowie i dworzanie razem z królową. Anną na zamek podążyli. Przez kilka dni powtarzano tę ceremonija pogrzebową, obnoszono w uroczystym pochodzie mary królewskie po ulicach Krakowa, rozdawano ludowi pieniądze, nareszcie dnia lutego zakończono tę ceremonją. Postawiwszy trumnę przed wielkim ołtarzem panowie złożyli na niej klejnoty koronne, poczem arcybiskup krakowski zbliżył się do ołtarza i nabożeństwo odprawił. U stóp ołtarza klęczała, płacząc cicho królowa Anna, panowie ławy i krzesła zajęli. Na chórze artyści dworscy śpiewali psalmy żałobne, wtórując organom. Wreszcie nabożeństwo skończono, arcybiskup odszedł od ołtarza i siadł w biskupiem krześle dlań przygotowanym. Na ambonę wszedł jeden z wymowniejszych ówczesnych kaznodziejów i piękną mowę pogrzebową powiedział, w której chwaląc cnoty zmarłego wzruszył do

głębi obecnych. Gdy zszedł z ambony wówczas ponure  
"Requiem" zabrzmiało w  
kościelach, organy ucichły, a księża i zakonnicy obchodząc  
mary, śpiewali po  
łacinnie: "Spoczywaj w pokoju."  
Wtem do kościoła wkroczył na koniu Jerzy Mniszech,  
koniuszy królewski prowadził  
jego konia, za nim

weszło dwunastu rycerzy z chorągwiami. Zakonnicy usunęli  
się przed główny ołtarz  
długim szeregiem tam stanęli, rycerze i Mniszech do trumny  
się zbliżyli, panowie  
zdzęli z niej klejnoty koronne i posłom je oddali. Naraz  
straszliwy łoskot  
rozległ się w kościele, rozstąpiła się ziemia pod  
przedstawicielem króla, Jerzy  
Mniszech zapadł się pod nią znikł obecnym z oczu; w tej  
samej chwili powstali  
posłowie i rzucili klejnoty koronne na ziemię, a rycerze  
drzewce chorągwi  
złamałi, miecznik skruszył miecz królewski, marszałek laskę  
swoją. Głuchy hałas  
obił się o mury świątyni, wtórowały mu jęki i szlochania  
obecnych w kościele. Po  
tym obrzędzie przystąpili znowuż panowie do mar, zdjęli z  
nich całun bogaty i  
złożyli go na ołtarzu, poczem trumnę zanieśli napowrót do  
kaplicy, szli za nimi  
wszyscy obecni w kościele, zawodząc głośno. Żal narodu był  
szczerym; bo czasy

panowania Jagiellonów do najszcześniejszych i  
najświetniejszych liczyły się w  
Polsce, mianowicie czasy panowania dwu Zygmunatów;  
nazwali je potomni: "Złotym  
wiekiem."

V.

## WOLNA ELEKCYJA.

Lubo śniegi pola zaścielają, lubo ostra, surowa zima króluje na  
ziemi, jednakże  
wieś Kamień, leżaka, pod Pragą wre życiem. Krzątają się  
ludzie zwawo na

błoniach, zmiatają z nich śnieg, sypią dokoła wały, stawiają  
szopy. To naród  
polski się krząta, czyni przygotowania do elekcji. Zygmunt  
August umarł, syna  
nie zostawił, więc prymas, najstarszy urzędnik w państwie,  
rozesłał po kraju  
uniwersały, zapraszające pańów do wsi Kamień na sejm  
elekcyjnym kazał  
przygotować na ów zjazd namioty, boć pod gołem niebem,  
zwłaszcza w zimie; trudno  
radzić.

I stanęło niebawem niby miasto na błoniach wsi Kamień. W  
pośrodku widać wielki  
namiot tarciami kryty, ściany jego płócienne, wewnątrz cały  
wysłany kobiercami.

W pobliżu owego wielkiego namiotu wznoszą się mniejsze dla posłów mocarstw zagranicznych, a dalej pod samymi wałami szopy o ścianach z chrustu uplecionych, tu szlachta zasiądzie.

W wielkim namiocie stoi stół podłużny, czarnem suknem przykryty, na nim świecznik siedmioramienny i krucyfiks hebanowy z Chrystusem z kości słoniowej. W okół stołu krzesel, te przeznaczone są dla senatorów, czyli starszych urzędników państwa, którzy tak wielkie mają znaczenie, iż król nawet nic bez nich postanowić nie może, a podczas bezkrólewia są władzą najwyższą.

W wałach otaczających owe namioty widać trzy bramy; jedna do Małopolski, druga do Wielkopolski, trzecia do Litwy prowadzi, tak się wówczas Polska dzieliła.

Zaledwie przygotowania ukończono, zaledwie stanęły namioty i wały, na trzech drogach wiodących do wsi Kamień poczęły snuć wspaniałe karoce panów. Za nimi wozy z żywnością, ze sprzętami, ze służbą, boć

nie na jeden dzień tu przyjeżdżano, sejmy czasem do miesiąca się przedłużały.

Pomiędzy karocami panów widać skromne bryczki, na których wybrany przez braci na posła szlachcic wiezie z sobą trochę mięsa wędzonego, oraz chlebow, by móżdżem

głód podczas obrad zaspokoić, a pomiędzy bryczkami i karocami nie rzadko przesuwa się jeździec na biednym, nędznym koniku, lub pieszy wędrowiec z węzełkiem przywiązany do pasa, w którym ma chleba bochenek i sera krajanekę. I ten także spieszy do wsi Kamień, bo choć ubogi, prawie nieznany nikomu, kocha przecież swą ziemię, więc, gdy bracia wybrali go na posła, chętnie rzucił rodzinę, rzucił zagon ojczysty, pracę domową, by radzić kogo obrać na króla.

Zjazd panów, posłów cudzoziemskich i szlachty trwał parę miesięcy. Już śniegi stopniały, surowa zima ustąpiła z ziemi, już skowronek oznajmił mieszkańcom wsi Kamień powrót wiosny, kiedy wreszcie wszyscy się zebrali i obrady rozpoczęto.

Dwudziestu ośmiu starców z białymi głowami zasiadło w okół stołu w wielkim namiocie, siwe ich brody pasa sięgają, jedni duchownych szaty mają na sobie, drudzy kontusze i żupany, lecz wszyscy wspaniale przybrani w jedwabiach, złocie.

Najpierwsze miejsce prymas zajmuje. Infuła na głowie, suknia fioletowa mówią, jaki urząd piastuje; pierwszy on w państwie po królu, to też pierwszy podniósł się i głos zabrał. Przemawiał długo, poważnie przedstawiając zebranym w namiocie panom, jak ważną chwilą jest elekcja, jak zgodnie radzić powinni Polacy, by prędzej króla wybrać, bo gdzie głowy niema,

tam bezład się wkłada; jak zastanowić się dobrze powinni  
zanim głos za tym, lub  
za owym kandydatem dadzą, aby wybór ich był rozumnym.  
Wzruszył, przekonał  
obecnych, każdy w duchu postanowił stosować się do jego  
rad. Po tej przemowie  
panowie zaprosili posłów zagranicznych, wezwali najprzód  
posła papieskiego,  
pierwszeństwo panu jego oddając. Odziany w płaszcz  
purpurowy, kardynał Comendoni  
wszedł do namiotu senatorskiego i zebrany tam panom się  
pokłonił z godnością,  
poczem głos zabrał: nie polecał on nikogo, radził tylko w  
imieniu papieża, by  
Polacy, jako naród katolicki, króla katolika wybrali. Rada ta  
zgadzała się z  
życzeniami panów i oni pragnęli króla katolika. Gdy poseł  
papieski się oddalił,  
wówczas weszli posłowie cesarscy Rosenberg i Perstyn.  
Pierwszy przemówił po  
czesku wyraził najprzód swój żal z powodu śmierci Augusta,  
potem radził Polakom,  
aby wybrali królem syna cesarskiego Ernesta, który przez  
babkę swą Annę, córkę  
Władysława Węgierskiego był spowinowacony ze zmarłym  
królem. Chwalił go, że  
dobry, rozumny, utalentowany, że płynnie mówi po czesku, a  
zatem i po polsku  
łatwo się nauczy, że przez niego Czechy połączyłyby się mogły  
z Polską. Czynił

piękne obietnice, lecz jako przedstawicielowi Niemiec panowie polscy nie bardzo mu ufali i z niedowierzaniem słuchali. Trzecim z kolei, który wszedł do namiotu senatorskiego był Montluc poseł francuski; ten radził by Polacy obrali sobie panem brata króla francuskiego, Henryka Valois. Wymowny, śmiały, przemawiał gorąco i tak unosił się nad przymiotami Henryka, takie obietnice panom czynił, iż wrażenie najsilniejsze wywołał.

Obiecywał, że Henryk wystawi flotę na morzu, ubezpieczy port rygski, poprawi akademiją krakowską, że Francya wrazie potrzeby pomoc zbrojną Polsce będzie przysyłać. Słuchali go z zajęciem panowie, lecz jak poprzedniemu, tak i temu odpowiedzi nie dali, bo nie od nich samych wybór króla zależał, ale od wszystkich na sejmie zebranych. Potem z kolei występowali z mowami poseł szwedzki i hiszpański, a mowy ich tyle czasu zajęły, iż zmierzch począł zapadać. Zdążyli jednak przemówić jeszcze Jan Tomicki, kasztelan gnieźnieński i Jan Zamojski, starosta bełzki, obaj w kole senatorskiem zasiadali. Pierwszy, gdy poseł szwedzki się oddalił, podniósłszy się z krzesła, począł radzić, by zamiast

cudzoziemca wybrać króla Polaka. Lecz Zamojski  
zaprotestował przeciw temu.

— "Wyberzmy Piasta, przystaję na to, — rzekł podniósłszy  
się z krzesła —

niechaj jednakże wystąpią sami ci, co sądzą, że są zdatni by  
rządzić państwem."

I nikt nie wystąpił, bo każdy czuł, że być królem, to trudne  
zadanie, że lepiej

nie nosić korony, jak spełnić źle tak ważne obowiązki.

Gdy wieczór zapadł, wówczas panowie opuścili pole elekcyi i  
podążyli jedni na

Pragę, drudzy do Warszawy, gdzie mieli wynajęte gospody,  
lub stałe mieszkania.

Odjeżdżając zaprosili do siebie na wieczerzę tego i owego ze  
szlachty i pusto

się na polu zrobiło, za to gwarno w mieszkaniach senatorów.

Przy stołach suto

zastawionych mówiono o kandydatach do korony, rozbierano  
ich przymioty, wady,

szlachta słuchała uważnie i nabierała serca do jednego, lub  
drugiego. Nazajutrz

znowuż zebrali się wszyscy na polu elekcyi, prócz po-

słów zagranicznych, którzy do Skierniewic się oddalili i tam  
czekać mieli końca

elekcyi, a to dlatego, aby nie przekupywali szlachty.

Senatorowie osobno

radzili, szlachta osobno. Niby w ulu olbrzymim, tak rojno było  
i gwarno, głosy

pojedyńcze, zmieszane razem tworzyły jeden szmer podobny  
do brzęczenia pszczół

Chwilami wybiegały donośniejsze głosy.

— "Precz z Angrestem" — krzyczał jakiś szlachcic, który nazwisko syna cesarskiego przekręcił.

— "Precz z Walijczykiem" — wołał drugi, któremu również nazwisko obce Valois nie mogło utkwić w pamięci.

— "Piasta obierzmy" — wyrwało się kilka głosów.

— "Lecz kogóż?" — rzucił ktoś pytanie.

— "Bandurę" — odpowiedziało kilku pytającemu. Wojciech Słupski Bandura był to

sobie poczciwy

szlachcic, ale nigdy na króla nie zdatny, bo ani rozumu, ani energii, ani

pieniędzy, ani znaczenia nie miał. Ktoś na żart rzucił jego imię, zapewne jaki

stronnik Henryka, lub Ernesta, by ośmieszyć wybór Piasta.

Bandura jednak

uwierzył w możliwość wyboru i nadał się pysznie, głowę hardo podniósł. Już mu się

zdawało, że korona spływa na jego skronie, gdy wtem ogólny, serdeczny śmiech

zbudził go z marzeń, korona się rozprysła, zrozumiał, iż był celem żartów i

zawstydzony wcisnął się w tłum.

Dzień cały zeszedł na takich naradach, swarami, lub żartami przerywanych,

nie tylko dzień jeden, lecz tydzień jeden, drugi, a wreszcie i trzeci. Co wieczór

dążyli panowie do miasta, szlachtę ciągnęli za sobą, za-

praszali do siebie, poili, karmili, rozprawiali z nią, potem rankiem zbierali się na polu elekcyi.

Niwy otaczające błonie zazieleniły się, drzewa i krzewy w liście się postroiły, a oni jeszcze nie wybrali pana.. Zielone świątki się zbliżały, tydzień tylko dzielił obradujących od tej uroczystości, tydzień ten postanowili poświęcić na zbieranie głosów.

Był to trzeci maj. Śpiących mieszkańców Pragi i Warszawy, oraz posłów, którzy tu gościnnie stali zbudził huk dział i głosy bębnow, zerwali się co rychlej i przywdziawszy z pośpiechem suknie, wybiegli na ulicę, by się dowiedzieć, co ten hałas znaczy. Ulicą szedł woźny, przed nim pacholkiwie z bębniami. Co kilka kroków woźny się zatrzymywał, pacholkiwie przestawali bić w bębny, a on głosem donośnym oznajmiał, iż w pierwszym dniu następnego tygodnia rozpocznie się głosowanie.

Radość stąd wszystkich była wielka, gdyż niejeden tęsknił już za domem; niejeden czuł, że powinien wracać, bo praca zalega; więc radzi byli, że sejm zbliża się do końca.

W poniedziałek od świtu samego gwaro już było i ludno na polu elekcyjnym, a dla bezpieczeństwa, by swary w bójkę nie przeszły, senatorowie sprowadzili rycerstwo i działa, pole, jak obóz zbrojny wyglądało.

Na wałach stały działa, między namiotami, snuli  
się zbrojni ludzie, a tu i owdzie szlachta podzielona na  
gromadki rozprawiała  
głośno, chwaliła tego lub owego kandydata, wykrzykiwała  
głośno imię księcia,  
któremu pragnęła oddać koronę. O ile z tych wykrzykników  
wno-

sić można było, Henryk Valois miał najwięcej za sobą  
stronników.  
Nareszcie zjechali senatorowie, przystąpiono do głosowania.  
Wojewodowie  
zasiadłszy w namiotach zwoływali szlachtę, pytali każdego z  
kolei za kim głosują  
i nazwisko wybranego zapisywali. Praca ta nie na jednym dniu  
się skończyła, lecz  
kilka zajęła, dopiero w piątek ukończono głosowanie; wtedy  
senatorowie zebrali  
się znowu w swym namiocie, wojewodowie przedstawili im  
spisane nazwiska  
kandydatów tronu, senatorowie obliczyli je i pokazało się, iż  
w istocie Henryk  
Walezyjusz najwięcej głosów ma za sobą.  
Gdy nazajutrz rozeszła się o tem wieść po polu. stronnicy  
Ernesta, którzy także  
dosyć liczni byli poczęli się burzyć, odgrażać, że Francuza  
nigdy królem nie  
uznają, poczęli się zbroić i do boju szykować. Stronnicy  
Henryka toż samo  
uczynili, a inni, to tych to tamtych stronę popierać mieli  
zamiar, rycerstwo

czekało rozkazu prymasa, wojna domowa groziła...  
Wtem poważny wiekiem i stanowiskiem marszałek Firlej,  
posłyszawszy, na co się  
zanosi pośpieszył do zwaśnionych i stanąwszy w pośrodku  
głosem wzruszonym  
przemówił:  
— "Widzę to na oko miłościwi panowie, a bracia, że ten pan,  
który nam przez  
Boskie sprawy jest przeznaczony i dany, nie przywiedzie sobą  
pożytku. Alić,  
kiedy wielu ludziom się tak podobało, to niema co mówić,  
lepiej pozwolić, niżeli  
krwi rozlewem braciom i ojczyźnie szkodzić. Pokaże się, iż  
swym uporem wiele  
nabroicie. Jam już stary, długie nie pożyję lata, ale wy młodzi  
doczekacie i  
nieraz moje słowa wspomnicie: "zgu-

Tlicie gwarami waszemi siebie i ojczyzno, waszą kłótniami  
domowemi oddacie w  
pohańbienie swoim i obcym siebie i ziemię waszą."  
To powiedziawszy zalał się łzami.  
Przemowa ta wrażenie uczyniła, ustąpili wszyscy większości  
głosów. Kiedy tegoż  
samego dnia prymas, wsiadłszy do swej kolasy kazał woźnicy  
zwolna objeżdżać w  
okół pole elekcyjne i zatrzymując się przed nanamiotami  
szlachty pytał każdego  
czy zgadza się na wybór Henryka, nie było już przeciwnych  
głosów. Zwoławszy

przeło wszystkich razem prymas polecił jednemu z panów  
ogłosić imię wybranego  
króla. Radosne "Niech żyje Henryk" uczyło nowo obranego  
pana i długo, długo  
brzmiało w powietrzu i daleko, daleko leciało przez błonia i  
pola po wsiach  
okolicznych.

Nazajutrz rano odprawiono w katedrze warszawskiej  
uroczyste nabożeństwo i  
odśpiewano "Te Deum" a gdy powrócili na zamek, prymas  
wezwał posła francuskiego  
i oznajmił mu, że Henryk Valois obrany został królem, oraz  
wręczył mu tak zwane  
"pacta couventa" prawa dla królów, na które nowo obrany  
musiał przysięgać  
podczas koronacyi. Poczem posłowie zagraniczni podążyli  
każdy do siebie, a z  
Montlukiem kilku panów polskich.

Dnia sierpnia r. poselstwo polskie stanęło w Paryżu, lud  
francuski  
wyległ tłumnie na ulice, by obcym przybyszom się  
przypatrzeć. Piękne konie  
przystrojone świecącemi od złota i drogich kamieni  
czaprakami, dorodni panowie  
polscy przybrani w jedwabne kontusze, w pasy złotolite,  
czapki kitami  
brylantowemi

ozdobione zachwycili i lud, witał on przybyszy okrzykami  
radości.

Na dworze paryskim także zrobili wrażenie. Wykwintne ułożenie panów polskich i wykształcenie, z którym w rozmowie się zdradzili, łatwość wyrażania się obcą mową zadziwiły króla Francji i dwór cały. Wspaniale przyjmował Karol IX posłów polskich; cała rodzina zebrała się w wielkiej sali parlamentu na ich powitanie.

Pod bogatym baldachimem zasiadł Karol IX, matka jego, żona i Henryk, a w okół nich dwór cały się skupił, Gdy poselstwo polskie ukazało się w progu sali, mistrz dworu pośpieszył naprzeciw niego i powitawszy pierwszy wchodzących, poprowadził ich do tronu. Przodem poselstwa dwóch panów niosło skrzynkę srebrną, a w niej akt elekcji. Zbliżywszy się do tronu postawili skrzynkę, poczem jeden z piękną przemową wystąpił, prosząc Henryka, by koronę polską przyjąć raczył.

Henryk równie piękną mową odpowiedział, że wdzięczny wielce Polakom za okazane mu zaufanie, że będzie się starał dowieść, iż wart jest korony. Gdy skończył mówić ozwała się ukryta w drugim pokoju muzyka i uroczyste "Te Deum" zabrzmiało, a gdy to ucichło, naprzód król Francji, potem wszyscy z kolei składali powinszowania Henrykowi.

Nazajutrz nowo obrany król w towarzystwie posłów polskich i panów francuskich podążył do Krakowa. Uroczysty był jego wjazd do starej stolicy: mimo nocy jasno

w niej było, jak w dzień, we wszystkich oknach gorzały  
światła, wszystkie  
kamienice postrojone były w wieńce z kwiatów, a taki tłum  
wyległ na ulice, iż

król musiał się co chwila zatrzymywać, a tak lud głośno  
krzyczał: "Niech żyje  
Henryk" że głużył huk moździerzy, co biły salwę na  
powitanie pana. Na bramie  
tryumfalnej, wzniesionej wpośród ulicy do zamku wiodącej,  
orzeł sztucznie  
zrobiony, trzepotał skrzydłami na znak radości.  
Sercem całym powitali Polacy Henryka, lecz on im sercem nie  
odpłacił, nie  
pokochał ziemi, której przyrzekł być ojcem i panem, nudził się  
w Polsce, tęsknił  
do Francji, a gdy w kilka miesięcy po jego koronacji w  
Krakowie przyszła wieść,  
że brat jego Karol, król Francji umarł, lękając się, iż panowie  
nie pozwolą mu  
jechać do Paryża, tajemnie nocą Kraków opuścił i więcej nie  
wrócił do Polski.  
Długo czekali nań Polacy, łudząc się, że może przyjedzie.  
Lecz gdy z powodu  
bezkrólewia sąsiedzi zaczęli najeżdżać Rzeczpospolitą, gdy  
Tatarzy wpadli na  
Ruś, spalili tam kilkanaście wsi i miast, setki ludzi do niewoli  
zabrali,  
wówczas znowu zwołali elekcyjną i ogłosili na niej królową —  
Annę, siostrę

Zygmunta Augusta, a na małżonka wybrali dla niej Stefana Batorego, księcia Siedmiogrodzkiego.

## STRESZCZENIE CZĘŚCI PIĄTEJ. WIEK VI.

Na niebie miliony gwiazd świeciły, wieczór był pogodny,  
ciepły, siedzieliśmy  
wszyscy razem na ganku,

wpośrodku ciotka Ludmiła, my ciasnem kółkiem otaczaliśmy  
ją zamyśleni i  
zapatrzeni we wspaniały krajobraz, jaki naprzeciw nas się  
rysował. Wyniosłe Alpy  
szczytami sięgały obłoków, a przy świetle księżyca przybrały  
one takie dziwaczne  
kształty, iż Bóg wie co roіło się po mej głowie: zdawało mi  
się, że to nie góry,  
ale olbrzymy stoją naprzeciw, że trzymają się za ręce i patrzą  
ciekawie na nas  
pigmejów... Tu i owdzie błyszczały na górach ogniska  
pasterzy, niby oczy  
iskrzące wielkie; jakiś szum, jakiś gwar dochodził od tych gór,  
a mnie się  
zdawało, że to olbrzymy z nas się śmieją.  
— Powiedz mi cioteczko, czy Karpaty są równie piękne, jak  
Alpy, na które  
patrzemy w tej chwili? — rzuciła naraz pytanie Terenia.

Ciocia zbudziła się z zadumy, popatrzała chwile przed siebie, a potem rzekła.

— Wszystko co swoje, to piękniejszym się nam wydaje, bo co swoje, to kochamy goręcej, serdeczniej... Trzynastoletnią byłam dziewczynką, kiedy ojciec powiózł mnie w Karpaty, widok ich uczynił tak silne na mnie wrażenie, jak nigdy nic potem. Zdawało mi się, że nic już piękniejszego zobaczyć nie można; przecież sprawiedliwość powiedzieć mi każe, że Alpy są wynioślejsze od Karpat, a tem samem wspanialsze widoki przedstawiają, hojniej o wiele obdarzyła je natura. Lecz i nasze Karpaty są piękne, bardzo, piękne; jestto jeden z najdłuższych łańcuchów gór Europy wynosi około mil długości; a jakie rozmaite kształty przybrały góry go składające: jedne przypominają piramidy egipskie, inne postacie ludzkie zdają się chcieć naśladować. Jedne sterczą nagie, posępne ku niebu, niby mu-

ry olbrzymie, na których gdzieniegdzie zieleni się mech, to wapienne skały; na innych szumią jodłowe lasy, lub śmieją się łąki. Tu i owdzie wypływa z szumem bystry potok, toczy się wartko po spadzistych ścianach skał, huczy, pieni się,

pryska przezroczystymi kroplami, dobiega do stóp gór i niby  
wstęga srebrna wije  
się dalej między łąkami, rozcielającymi się u podnóża  
łańcucha. Najwyższe części  
Karpát zowią się Tatrami, te prawdziwie wspaniałe  
przedstawiają obrazy, okolone  
dolinami, tworzą jakgdyby olbrzymi szaniec koło nich, na ośm  
mil długi, a do pół  
czwartej mili szeroki. U stóp owego szczytu na dolinach  
znajdują się mieszkania i  
osady ludzkie, na nim, a raczej na stokach gór rosną olbrzymie  
szpilkowate lasy,  
wyżej nad lasami znajdują się pastwiska zwane "halami,"  
wyżej jeszcze sterczą  
nagie granitowe szczyty skał. Hale i szczyty owe przez  
większą część roku białą  
śnieg pokrywa, który z końcem maja na halach topnieje,  
wówczas pojawiają się na  
nich pasterze zwani juchasami, rozbijają szałas i milczące  
góry naraz się  
ożywiają: rozlegają się na nich wesołe śpiewy juchasów,  
smętne fujarki,  
wrzaskliwe kobzy. Skały chwytają te glosy, powtarzają je  
tysiącnym echem, a  
wówczas Tatry jeszcze piękniejsze zdają się być.  
— A czy te góry są bardzo wysokie? — zapytał Marcyś, —  
mówiłaś nam tylko ciociu,  
jak są długie.  
— Łomnica najwyższa z gór karpaccich ma , stóp wysokości,  
a Krywoń ,,  
odparła ciotka Ludmiła. Szczyty tych gór wieczny śnieg  
pokrywa, zimą spadają z

nich lawiny i wyrządzają wielkie szkody; najwięcej owe lawiny dokuczają mieszkańcom doliny zwa-

nej Kościeliska. Piękna to dolina, zamknięta dokoła ogromnemi górami, ale jeszcze piękniejszą jest dolina "pięciu stawów," tak zwana stąd, iż pięć jezior znajduje się w bliskości siebie, A gdy na nie się patrzy z wierzchołka skały, to trudno wyrazić jak wspaniały razem tworzą obraz: każde z nich zdaje się być umieszczone na osobnym piętrze, jedno wyżej, drugie niżej, a w około nich leżą milczące, olbrzymie głazy, które świadczą, że tam, kiedyś wydarzyła się jakaś straszna katastrofa, że te olbrzymie kamienie położyła jakaś siła nieludzka... Największe z tych jezior zowie się "wielkim stawem," z niego wypływa bystry potok, który z szumem, hukiem piętrząc się i przyskając przepływa dolinę pięciu stawów, ; t potem spada z jednej ze skał w głęboką przepaść. A jakie piękne jest owo wielkie jezioro znajdujące się wśród Tatr zwane "morskie oko" olbrzymie. Strome, posepne skały objęły je w około ścianą tak wysoką, tak precz pod obłoki sięgającą, iż wszystko w porównaniu niej maleńkiem, mikroskopijnem się nam wydaje, ludzie niby robaczki, łódki płynące po jeziorze

niby zabawki dziecinne. Piękną jest nasza ziemia, pięknym  
jest świat cały,  
pięknymi są dzieła Stwórcy, nie dziw, iż patrząc na nie Jan  
Kochanowski, jeden z  
naszych najślawniejszych poetów, taką prześliczną modlitwę  
wyśpiewał na cześć  
tego dobrego, wielkiego Boga, co nas tylu łaskami obsypał:

"Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?  
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?  
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie  
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie,

Złota też wiem nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,  
Cokolwiek na tym kwiecie człowiek mieni swoje,  
Wdzięcznem Cię tedy sercem Panie wyznawamy.  
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie znamy.  
Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował  
I złotemi haftami ślicznieś uhaftował,  
Tyś fundament założył nie obeszłej ziemi,  
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi,  
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morzestoi,  
I zamierzonych granie przekroczyć się boi  
Rzeki wód nieprzebranych wszelką hojność mają,  
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają,  
Tobie gwoli śliczne kwiatki ziemia rodzi,  
Tobie gwoli w kłosiauyrn wieńcu lato chodzi,  
Wino. jesień i jabłka rozmaite dawa,  
Potem do gotowego gnuśna ziemia wstawa,  
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie  
I zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie

Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,  
A Ty każdego żywisz z Twojej szczodroblewości  
Bądź na wieki pochwalon nieśmiertelny Panie  
Twoja łaska, Twa dobroć, nigdy nie ustanie.  
Chowaj nas póki raczysz na tej niskiej ziemi,  
Jedno niech zawsze będzie pod skrzydłami Twemi."

Skupieni około ciotki Ludmiły powtarzaliśmy za nią  
półgłosem słowa modlitwy i  
czuliśmy się wszyscy wzruszeni. Gdy umilkła, cisza uroczysta  
zaległa;  
patrzyliśmy w gwiazdziste niebo i w duszy jeszcze  
powtarzaliśmy słowa tej  
pięknej modlitwy.

— Czy dawno temu żył Jan Kochanowski? — przerwała naraz  
tę uroczystą ciszę Mania  
pytaniem, jakie uczyniła cioci.  
— Bardzo dawno — odparła ciotka — więcej niż trzysta lat  
temu... Jan Kochanowski  
żył w szesnastym wieku, w owej szczęśliwej epoce "złotym  
wiekiem" zwanej, w tej  
epoce, w której panowali dwaj ostatni Jagiellonowie: Zygmunt  
Stary i Zygmunt  
August, oraz dzielny Batory. Kraj nasz był wówczas bogaty,  
silny i rozległy:  
przyłączenie Prus i Pomorza za Kazimierza Jagiellończyka,  
Mazowsza za Zygmunta  
Starego. Inflant za Zygmunta Augusta rozszerzyło granice  
państwa od morza

Bałtyckiego do morza Czarnego. Dzielni rycerze jak książę Ostrogski, Jan Tarnowski, Roman Sanguszko, Jan Zamojski potrafili mężnie bronić granic tego państwa, a zwycięstwami swymi przysparzali mu sławy; z nimi razem wielcy uczeni i poeci tego czasu, czynili głośnem imię Polski. Kopernik zadziwił Europę nowem odkryciem astronomicznem, Jan Kochanowski twórca owej pięknej modlitwy, którą mówiliśmy razem przed chwilą, pisał tak piękne wiersze, że do dziś dnia z przyjemnością je czytamy, jakże on ślicznie wypowiedział żal swój, kiedy umarła jego ukochana córka Urszula, posłuchajcie tego wiersza:

"Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,  
Moja droga Urszulo tym zniknięciem swoim:  
Pełno nas, a jakby nikogo nie było  
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło...  
Tyk za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała,  
Wszystkiem w domu kąciki zawdy przebiegała,

Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować  
Ani ojcu myśleniem zbytnie głowy psować.  
To tego, to owego wdzięcznie uściskając  
T onym swym uciesznym śmiechem zabawiając  
Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu,  
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się komu,  
Z każdego kąta żalność człowieka ujmuje  
A serce swej pociechy darmo upatruje."

Możni panowie jak biskup Lubrański, Jan Zamojski, oraz inni  
własnym kosztem  
zakładają w tej epoce nowe szkoły i drukarnie, oświata się  
szerzy, panowie,  
szlachta, mieszczenie, a nawet kmiecie o ile tym dozwalano,  
starają się usilnie  
o naukę dla synów, każdy czuje jej potrzebę.  
Nie tylko nauki, nie tylko poezycja kwitną u nas, przemysł  
rozwija się także,  
powstało w tych czasach wiele rzemiosł nieznanych dotąd w  
kraju, osiedlają się w  
naszych miastach: cukiernicy, aptekarze, piekarze, perukarze i  
t. d. Handel się  
ożywił. Kupcy cudzoziemscy wywożą od nas woły, konie,  
zboże, broń, sukno, len i  
sól, srebrem i złotem płacąc za te przedmioty, więc kraj się  
wzbogaca, a przez  
to samo silniejszym się staje... Wznoszą się nowe miasta,  
wspaniałe kościoły,  
klasztory, zamki obronne, które obmurowane, okopane, ze  
spuszczonymi mostami, z  
wieżami, do obrony służyły w razie niebezpieczeństwa za  
schronienie dla całej  
okolicy. Gdy nieprzyjaciół wdarł się w granice kraju, wówczas  
panowie otwierali  
bramy zamku dla okolicznej ludności i chronili się słabi,  
niepełni, starcy,  
kobiety

i dzieci pod ich opiekę i w murach ich czuli się bezpieczni.  
Zamki takich  
możnych panów wewnątrz wspaniale bywały urządzone:  
miękkie kobierce zaścielały  
ściany i podłogę, zappełniały je sprzęty wygodne; zwierciadła  
szklane sprowadzone  
aż z Wenecyi, kwiaty, ozdoby złote, opony jedwabne stroiły  
komnaty pańskie.  
Panowie przybierali się strojno nietylko wtedy, gdy publicznie  
występowali, lecz  
i w domu: cienkie sukna, jedwabie, sobole i gronostaje  
zastąpiły dawne kozuchy i  
proste skromne suknie, a gdy pan gości przyjmował, to  
zaścielono stoły białemi  
obrusami, mającemi kosztowne listwy, zastawiono srebrem i  
szkłem malowanem. W  
jadle, picciu nastąpiły nawet zmiany, poczęto bowiem  
sprowadzać różne zagraniczne  
przysmaki: wina tokajskie, inuszkatele, i t. p.; a tak lubowali  
się w przepychu,  
że nawet potrawy stroili, więc na jednym półmisku widać było  
srebrem ustrojonego  
barana; na innym złotego koguta i tak dalej.  
Dworzanie, pacholcy, hajdacy strojni w jedwabie i atłasy,  
napęlniali komnaty  
pańskie; zamki panów królewskie przypominały. Cieniste  
ogrody włoskie łączyły  
się zwykle z temi zamkami, a w nich szemrały fontanny. stały  
piękne posagi,  
przepych otaczał panów polskich w XVI wieku, świadcząc o  
zamożności kraju. Obok  
zamków wielkich panów wznosiły się zamożne twory  
szlachty, które również

wewnątrz wygodnie były urządzone, również świadczyły, że kraj jest zamożnym. Nie rzadko zobaczyć było można w takich dworach ściany malowane, podłogę kobiercami zasłaną w oknach szyby szklane, które dawne pęcherze zastą-

piły. Na oknach stawiano doniczki z kwiatami, na ścianach wieszano dla ozdoby rzędy, zbroje, portrety przodków, lub obrazy święte. Pod oknami za domem panienki, zakładały wirydarze z kwiatami, dalej z jednej strony domu było podwórze, a z niem łączyły się zabudowania gospodarskie, z drugiej sady z pasieką, któremi pracowite żony i córki szlachty się zajmowały. Bo chociaż i one zrzuciły dawne skromne szaty i poczęły się strojnziej przybierać, choć mniej samotne wiodły teraz życie, bawiły się nieraz wesoło, jednak w pracy się nie opuszczały: latem pasieką i ogrodem się zajmowały. Zimą zebrawszy służbę niewieścią w izbie czeladniej przędły z nią razem, szyły odzież domową, tkwały grube płótno, lub wełniaki, starając się tym sposobem mężom i ojcom oszczędzić wydatków, grosza przysporzyć, a przy robocie to śpiewały pobożne pieśni, to rozmową starały się oświecać ciemne umysły czeladki, to czytały głośno żywoty

świętych. Bo ówczesne niewiasty umiały czytać i pisać, a niejedna знаła nawet historiją swego kraju, śpiewała umiejętnie, lub grała na jakim instrumencie; oświata może nigdy nie była tak powszechną u nas, jak w tej epoce.

Więc gdy ogół był zamożnym i światłym, ogół musiał czuć się zadowolonym ze swego położenia... Panowie obdarzani od królów przywilejami i majątkami, nabyli wielkiego znaczenia w kraju, bez ich woli król nie mógł nic postanowić na sejmie. Wysyłani w różnych poselstwach zyskiwali sobie przyjaźń monarchów europejskich, którzy chętnie ugaszczali u siebie, ofiarowywali im urzędy, godności, zaszczyty. Jan Tenezyński wysłany przez Zygmunta Augusta w poselstwie do

Sztokholmu został zaręczony z Cecyliją Renatą, córką króla szwedzkiego, Eryka.

Położenie szlachty było także bardzo pomyślne. Mogli zasiadać na sejmie i godzić się na to, co król z panami uradził, lub opór stawić; jeżeli odznaczali się zdolnościami, mogli sięgać po najwyższe urzędy. Zamożni, swobodni wiedli życie wesołe na dowód czego opowiem wam o pewnym obywatelu z owych czasów. Zwał się on

Pszonka Stanisław, posiadał w ziemi lubelskiej piękną wioskę,  
znany był z nauki  
i dowcipu. Otóż ten Pszonka zmówiwszy się z sąsiadami,  
zawiązał towarzystwo, w  
którem były różne urzędy, lecz nadawa. no je odwrotnie do  
przymiotów i wad,  
jakie posiada ten, co miał urząd pełnić i tak: koniuszym  
mianowano takiego, co  
konia się lękał, aby go zmusić do jazdy konnej; pisarzem  
takiego, który pisać  
nie umiał, chcąc go skłonić, żeby się nauczył; piwnicznym  
tego, który nadto lubił  
wino; kanclerzem takiego, co dużo mówił i nieumiał  
tajemnicy dochować.

Towarzystwo to nazwanem zostało: "Rzeczpospolitą  
Babińską," gdyż w Babinie  
rozdawane były urzędy i sejmy się zbierały. Król Zygmunt  
August dowiedziawszy  
się o istnieniu Rzeczypospolitej Babińskiej, zapytał Pszonkę,  
czy między innymi  
urzędnikami mają króla w Babinie i kto nim jest:  
— Uchowaj Boże najjaśniejszy panie, abyśmy za życia twego  
innego obierali króla,  
— odparł, kłaniając się pokornie Pszonka.  
— Panuj miłościwy panie i w Babinie. Mieszczanie nie tak  
hojnie byli obdarzeni  
od królów przywilejami, nie stali oni na równi ze szlachtą i to  
ga-

nić należy, boć przecie byli dziećmi tej samej ziemi a zatem  
braćmi szlachty i

choć nie bronili jej orężem, nie uprawiali jej niw, lecz  
zajmując się handlem i  
przemysłem przyczyniali się do wzbogacenia  
Rzeczypospolitej. A jednak nie wolno  
im było kupować majątków ziemskich, choć posłów wysyłali  
na sejmy, nie wolno  
było tym posłom głosu zabierać podczas obrad; lecz czynni,  
pracowici często  
dochodzili do majątków, przez to mieli znaczenie w kraju,  
mogli synów kształcić  
i niejeden syn mieszczański zasłynął w tej epoce z nauki.  
Marcin Kromer, znany jako historyk XVI wieku, Jan  
Dantyszek, zdolny poeta z tej  
samej epoki byli pochodzenia mieszczańskiego. Mieszczanom  
powierzano najczęściej  
obronę bram miast w razie grożącego niebezpieczeństwa, więc  
w różny sposób  
służyli oni Ojczyźnie i zasługiwali, aby równe prawa ze  
szlachtą mieli.  
Lepszą wszakże o wiele była dola mieszczan od doli  
kmiotków, tych los w tej  
epoce był smutny; panowie ich nie gnębili wprawdzie, lecz  
odebrali im swobodę, a  
cóż miłszego człowiekowi nad swobodę. Kmiotek w tych  
czasach jest poddanym pana:  
musi kilka dni w tygodniu pracować na jego roli i nie wolno  
mu zmieniać miejsca  
wedle upodobania, może tylko jednego syna do szkoły  
posyłać. Jednak kmiecie  
dawali dowody, iż zasługiwali, aby mieli też same prawa, co  
inni, bo szczerze  
kochali swą ziemię i w razie potrzeby potrafili się poświęcić;  
garnęli się też

chętnie do nauki, dopuszczeni do niej nieraz przyczyniali się  
do -powiększenia  
sławy swej ziemi. Niejaki Klemens Janicki, syn ubogiego  
chłopa wielkopolskiego,  
oddany do szkół, zasłynął jako poeta, a wysłany do Włoch  
przez możnego

pana Piotra Kmitę został tam uwieńczony. Była to  
najzaszczytniejsza nagroda,  
jaką w owych czasach otrzymywali ci, co odznaczyli się  
talentem. Pięknie ten  
Janicki opisał wierszem chwilę, kiedy do szkoły poznańskiej,  
w jakiej się uczył,  
przyjechał nauczyciel jej Lubrański, a on powitał go  
wierszem:

"O pomnę, pomnę z jakim mozołem  
I dni i noce dałem na prace!  
Za nic mi praca cóż ona znaczy  
Przed młodocianym moim zapałem?  
Pomnę, gdy pierwszy trud mój czytałem  
W sali popisów, w gronie słuchaczy,  
W cześć Lubrańskiego złożyłem pieśnię,  
Lud mię z oklaskiem przyjął nad miarę,  
Dobrze o dziecku wróżąc zawczasie,  
Odtąd przodkując nad uczniów trzodką  
Skarbiłem serce mistrza nieznacznie  
I rosłem w chlubę. O jak to słodko  
Kiedy bywało chwalić kto zacznie!  
Lubiłem sławę, pragnąłem sławy  
Badałem drogi co do niej wiodą,

Przebóg ubóstwo, los niełaskawy  
Ciężką mym chęciom bywał przeszkodą."

— Zobaczysz ciotuniu, że jeżeli ja z czasem w Górach  
zamieszkać, to będę bardzo  
dobry dla kmiotków i będę ich do szkół posyłać, a może  
znowu zasłynię jaki  
Janicki — odezwał się Marcyś.

Ciocia pogłaskała jego jasną główkę.

— Chciałabym doczekać tej chwili — rzekła — lecz wątpię,  
czy Bóg dozwoli.

Tu ciche westchnienie wyrwało się z jej piersi. umilkła i  
zamyśliła się, a mnie  
nieokreślony smutek ogarnął, cisza zapanowała w raalutkiem  
naszem kółku.

— Dużo opowiedziałam wam dzisiaj szczegółów odnoszących  
się do XVI wieku, teraz  
przekonam się, czy pamiętacie wypadki zdarzone w tej epoce,  
które wam w

obrazkach kreśliłam. — Temi słowami przerwała ową przykrą  
ciszę ciotka Ludmiła —

które z was powie mi, jacy królowie panowali u nas w tej  
epoce — dodała  
następnie.

Nie wiem skąd mi się na odwagę tego dnia zebrało, gdyż nie  
dając się innym  
wyprzedzić rzekłam.

— Ja odpowiem cioteczko. Po Olbrachcie objął koronę brat  
jego młodszy

Aleksander, po nim Zygmunt I-szy. który oddał koronę  
synowi swemu Zygmuntowi  
Augustowi, na którym wygaś! ród Jagiellonów. Po śmierci  
Zygmunta Augusta,  
panowie zebrawszy się na sejm elekcyjny okrzyknęli królem  
Henryka Walezyusza,  
brata króla francuskiego, lecz ten krótko panował, gdyż  
dowiedziawszy się o  
śmierci brata swego uszedł tajemnie do Francyi, po Henryku  
panował Batory,  
książe Siedmiogrodzki.

— Nie zawiodła cię pamięć — rzekła ciotka i spojrzawszy na  
mnie uśmiechnęła się,

pewno z moich kolorów, bo czułam, że mi twarz płonie.

— A czy wiesz, czem jest pamiętny rok — dodała.

— Roku wpadli w granice Litwy Tatarzy, było to za  
panowania Aleksandra,  
odparłam spokojnie.

— Niechaj Tereniami powie, jakie pamięta ważniejsze  
wypadki z dziejów króla

Zygmunta Starego?— naczyniła nowe pytanie ciotka.

— Wojnę z mistrzem Krzyżaków Albertem, — rzekła  
spokojnie Terenia. Albert nie

chciał złożyć hołdu Zygmuntowi, zmienił wiarę, zamknął  
zakon, zrzucił płaszcz

krzyżacki i przyjął tytuł księcia, lecz pokonany przez  
Zygmunta przyjechał roku

do Krakowa i złożył mu hołd, a Zygmunt uznał go za to  
księciem pruskim...

Pamiętam i to jeszcze, że roku wpadli w granice naszego kraju Wołosi i że Jan Tarnowski pokonał ich pod Obertynem. — Za tego króla złączyło się z koroną Mazowsze — dopełniła odpowiedź Tereni ciotka — które jeszcze Bolesław Krzywousty nadał synowi swemu Bolesławowi Kędzierzawemu, a którego potomkowie wciąż udzielnie władali tą ziemią. Lecz gdy umarł ostatni z rodu Piastów książę Janusz, Zygmunt stary zajął Mazowsze i do korony je wcielił r. Zygmunt Stary dobry, łagodny, a przytem rozumny zjednał sobie miłość i szacunek całego narodu... Może ty powiesz mi teraz, jakie to nieporozumienia domowe zakłócały pierwsze lata panowania Zygmunta Augusta? — zwróciła się naraz do Mani z pytaniem ciotka Ludmiła — wiem, że o wojnach mówić nie lubisz, wybrałem inny przedmiot dla ciebie. Mania spojrziała z wdzięcznością na ciotkę. — Zygmunt August nie pytając panów o pozwolenie, potajemnie się ożenił jeszcze za życia ojca z Barbarą Radziwiłłówną. — rzekła. — Panowie chcieli, by zer-

wal to małżeństwo, Zygmunt odpowiedział, że tego nic uczyni. Stąd wynikły nieporozumieniu, między królem a narodem, w końcu panowie ustąpili i Barbara

ukoronowaną została roku .

— Dobrze odpowiedziała — rzekła ciotka Ludmiła, a czy pamiętasz na jakim to sejmie panowie domagali się koniecznie zerwania tego małżeństwa i którzy najgłośniej się odzywali.

— Tego już nie pamiętam — z westchnieniem odparła Mania.

— W Piotrkowie r. — pośpieszyła wyręczyć ją Terenia —

Panowie: Kmita i

Boratyński najuporczywiej przeciw Barbarze mówili.

Ciocia uśmiechnęła się, widząc jej gorliwość.

— Szczęśliwemi można nazwać czasy panowania. Zygmunta

Augusta — rzekła — krzątał

się on gorliwie około dobra publicznego, między innemi ulepszeniami zaprowadził

i to, że odtąd miało być w rzeczypospolitej wojsko stale, gotowe zawsze do

obrony kraju, na utrzymanie którego przeznaczył czwartą część dochodów ze wsi

królewskich. Rozszerzył granice państwa przez przyłączenie Inflant. Inflanty

leżały na północ Litwy, od zachodu sięgały brzegów morza Bałtyckiego, od wschodu

z Nowogrodem się łączyły. Niegdyś zamieszkiwał je lud Kuronami zwany,

pochodzenia mongolskiego. Tych Kuronów wyparli ze swych siedzib Łotysze, plemię

litewskie, którzy naciskani przez Słowian tu przybyli. W roku osiedli w

Inflantach zakonnicy rycerze, nosili oni nazwę "Kawalerów mieczowych" ci

wyćpili pogaństwo, Łotyszów podbili i ogłosili się panami zdobytej ziemi; długi

czas siedzieli oni spokojnie

w zajętej ziemi, lecz potem poczęli napadać na nich sąsiedzi, nie czując się na siłach im opór stawić r. poddali się dobrowolnie Zygmuntowi Augustowi.

Mistrz kawalerów mieczowych zostawił sobie tylko zachodnią część kraju, która otrzymała nazwę "Księstwa kurlandzkiego" zrzucił płaszcz zakonnika, przyjął tytuł księcia i uznał się lennikiem Zygmunta Augusta. Zakon kawalerów mieczowych został zwinięty.

— Lecz Magdzia nic jeszcze nie mówiła dzisiaj — zwróciła się naraz do Magdusi ciocia z pytaniem. Magdzia Była zdolną, ale przy nauce myślała często o czym innym, niezawsze bywała przeto przygotowaną i dziś widocznie nie była pewną siebie, gdyż schowała się za Manię, nie uratowało jej to wszakże od pytania.

— Gdzie odbywały się zwykle sejmy elekcyjne? — rzekła ciotka.

Magdusia wysunęła się z za pleców Mani.

— We wsi Kamień niedaleko Pragi lub pod Wolą przy Warszawie — odparła śmiało.

— Bardzo dobrze — rzekła ciocia.

— Taka duża i nie miałyby wiedzieć takiej łatwej rzeczy — odezwał się Marcyś, minę pogardliwą zrobiwszy. Magdzia pokiwała główką.

— Takiej łatwej rzeczy no proszę, kiedy to pytanie dla ciebie załatwe, to  
powiedz mi, kiedy odbył się pierwszy sejm elekcyjny we wsi  
Kamień.

— Roku — odparł Marcys — obrano na nim królem Henryka  
Walezyjusza, który  
kilka miesięcy panował, a po nim wstąpił na tron Stefan  
Batory, książę  
Siedmiogrodzki.

Terenia, która tuż obok Marcysia siedziała, tak się ucieszyła tą  
jego

odповідzią, że pochyliwszy się do niego ucałowała go.

— A może pamiętasz jeszcze co dobrego zrobił dla kraju  
Batory? — zapytała.

— Urządził Kozaków i utworzył z nich dzielne wojsko.

— Więcej on jeszcze dokonał rozumnych rzeczy — odezwała  
się ciotka Ludmiła. —

Założył w Wilnie akademię, czyli wyższą szkołę, zaprowadził  
trybunały w kilku

miastach, a w trybunałach tych sędziowie oskarżonych sędzili;  
trybunał koronny

sędził pół roku w Lublinie, pół roku w Piotrkowie, trybunał  
litewski w Wilnie i

Nowogródki. Tak więc streściłam wam dzieje naszej  
przeszłości do końca

szesnastego wieku. Widzieliście jak to powoli, stopniowo kraj  
się urządzał

wewnątrz, rozszerzał swe granice, stawał się coraz silniejszy i  
bogatszy, jak

ludzie nabywali powoli oglądy, nauki, jak z surowych,  
szorstkich, ciemnych,  
stali się dobrze wychowani i wykształceni, jak nieznani prawie  
nikomu,  
zdobyliśmy sobie w końcu ogólny szacunek. Tak to pracą  
wytrwałą pojedynczy  
ludzie i narody całe z niskiego, niepozornego stanowiska  
wzbijają się do  
znaczenia i potęgi.  
To powiedziawszy podniosła się, myśmy cisnęły się, by  
dobranoc jej powiedzieć,  
ona ucałowała każde z nas po kolei, a gdy Marcyś przystąpił  
do niej — rzekła.  
— Jutro niedziela, obmyślcie jaki spacer na poobiedzie, wybór  
wycieczki wam  
zostawiam, zastosuję się do waszego życzenia.

— Idźmy do Schloss Tyrolu, tam tak pięknie, — pierwsza  
wykrzyknęła Anielcia.  
— Podoba mi się twój projekt, jeśli całe zgromadzenie poprze,  
tam pójdziemy —  
odparła ciocia.  
— Do Schloss Tyrolu, do Schloss Tyrolu! poczęliśmy  
wszyscy wołać.  
Tak więc projekt Anielki nie upadł.  
— Czuję się bardzo zmęczoną — rzekła ciotka — wy więc  
wszystko przygotujcie do  
spaceru, zaproście kogo chcecie, by wziął w nim udział,  
Tereni kasę i swobodę  
działania na cały dzisiejszy wieczór i jutrzejszy dzień oddaję.  
To powiedziawszy

oddaliła się do siebie, a my skupiliśmy się koło Tereni i radzić  
poczęliśmy nad  
czekającą nas przyjemnością.

— Jutro w kościele poproszę panią L., by i oni z nami poszli  
— rzekła Terenia.

Przyklasnęliśmy temu projektowi.

— Lecz wybierzmy się na całe poobiedzie, — radziła  
Magdzia, tam tak pięknie nie  
znudzim się niezawodnie, razem będziemy się bawić  
wybornie.

— Trzeba będzie zabrać z sobą podwieczorek — odezwała się  
Mania, — owoców,  
ciast, kurcząt pieczonych. Oddała ci kasę ciocia, wstańmy  
jutro rano i obie  
wybierzmy się na miasto po przysmaki.

Terenia zgodziła się na ten projekt.

Nazajutrz punkt o czwartej po obiedzie wybraliśmy się na  
spacer. Pani L. chętnie  
w wycieczce udział wzięła, liczna więc nas gromadka  
przybyła do Schloss Tyrolu.

Wdarłszy się na górę, na której wznosiły się ruiny starego  
zamku możnej niegdyś

rodziny hrabiów von Tirol, postanowiliśmy tam parę godzin

spędzić. Przed zamkiem stały stoły biało nakryte, otoczone  
krzesłami prostej  
roboty, zajęliśmy je i rozłożyliśmy na stole nasze prowianty.  
Niebawem zjawiała  
się czysta Niemeczka, pytając nas uprzejmie, czego żądamy,  
ciotka Ludmiła

prosiła ją, by nam kazała przynieść mleka i bułek. Skłoniwszy  
uprzejmie głową i  
uśmiechnąwszy się mile, Niemka oddaliła się, w kilka minut  
potem przyniosła  
żądane mleko i bułki, a wszystko tak było czysto podane, iż  
przyjemnie było  
patrzeć. Gdy dziewczę się oddaliło, ciotka Ludmiła zwróciła  
się do nas.

— Nie myślcie, że to służąca — rzekła — to córka właściciela  
tej oberży. Franz

Gortz zamożnym jest człowiekiem, ale jest Niemcem, więc  
jest oszczędnym i

pracowitym. U nas córka takiego pana Gortz siedziałaby w  
pokoju z książką w

ręku, lub elegancką robótką i z okien przypatrywałyby się  
gościom zwiedzającym

Schloss Tyrol, a papa za to jedną sługę więcej musiałby  
trzymać, płacić i żywić,

tutaj nikt za ubliżenie nie uważa, że panna Gortz poda  
gościom mleko lub kawę.

Dwie córki ma właściciel tej oberży i one całe gospodarstwo  
same prowadzą: jedna

gotuje, smaży, piecze; druga gościom usługuje, cięższą tylko  
robotę spełnia

sługa... Marcyś wczoraj mnie pytał, dlaczego nasz kraj  
zubożał, otóż powiem wam

dzisiaj dlaczego? dlatego, że nie umiemy tak pracować, jak  
inni pracują i tak

oszczędzać jak inni oszczędzają; większość rodzin w naszym  
kraju wydaje nad

możność Właśnie ciotka mówiła te słowa, gdy do Schloss  
Tirołu przybyło nowe

towarzystwo, poważna już wiekiem kobieta i dwie młode panienki, zapewne matka z córkami.

Siadłszy przy jednym ze stołów, panie te dobiły z koszyczków pończochy i szybko drutami przebierać poczęły, a pracując rozmawiały z ożywieniem. I do nich także zbliżyła się panna Gortz, one wydały jej jakieś polecenie, a w chwilę potem przyniesiono im trzy szklanki kawy, oraz trzy bułki.

— Te panie przyszły tutaj jakby po to, żeby potwierdzić moje słowa — odezwała się ciotka Ludmiła, macie żywy dowód, iż Niemcy czas i grosz potrafią oszczędzać.

— Prawda — potwierdziła pani L. — ileż to myśmy wydały pieniędzy z powodu tej wycieczki. Owoce, ciastka, mleko, kurczęta, uczynią w rachubie codziennych naszych wydatków sporą sumę, one zaś zadowolniły się każda szklanką kawy; my wyszedłszy o czwartej z domu nic nie robiłyśmy całe poobiedzie, one robią pończochy, pewno w domu jest młodsze rodzeństwo. Użyją przyjemności, a rubryka codziennych wydatków nie powiększy się.

Terenia słuchając pani L. zarumieniła się, a ja domyśliłam się dlaczego; wszakże ciotka Ludmiła wczoraj dała jej zupełną swobodę działania, ona to więc Zbytkowny

ten podwieczorek urządziła.

— Od dziś dnia będę starać się Niemców naśladować w ich pracowitości i oszczędności — rzekła — wstyd mi w tej chwili wydatków, jakie porobiłam tak bez zastanowienia.

Naśladuj ich w czym godni naśladowania — odparła ciocia — niechaj każdy stara się zdobyć sobie przymioty, tak potrzebne nam.

Słońce powoli poczęło zapadać, złote jego promienie oświeciły wznoszące się naprzeciw Kuehelberg, Porphyrgebirge, oraz inne góry, więc podnieśliśmy się, by do domu podążyć. Wracaliśmy przez Dorf Tirol. ulica wsi wysadzoną była drzewami owocowymi; na jednych czerwieniły się wiśnie, na innych dojrzewały śliwki.

Marcyś, który był wielkim smakoszem przypatrywał się z zajęciem tym drzewom.

— Powiedz mi ciotuniu, czy w Górcach także rosną na ulicy drzewa owocowe? — zapytał.

— Nie mój chłopcze — odparła ciotka Ludmiła.

— A dlaczego?

— Bo takie drzewa nie utrzymałyby się u nas gdyby strzeżone nie były: jeszcze niedojrzały owoc łakoma dziatwa by oberwała, psotne chłopaki podzierałyby drzewa z kory, połamałyby gałęzie na bicze i praca ludzka zmarnowanaby została,

grosz wyrzucony daremnie, boć pojmujesz, że zasadzenie  
takiego drzewka  
kosztowało wiele pracy i pieniędzy tego, co to dokonał. U nas  
niema poszanowania  
cudzej własności; do ogrodu cudzego się wkraść, poobrywać  
owoce, kwiaty, to  
rzecz tak zwykła. Tu drzewa owocowe oceniają drogi,  
najpiękniejsze kwiaty rosną  
bez ogrodzenia, przecież nikt nie rwie tych owoców, nie łamie  
gałęzi, kory nie  
odziera, bo szanuje rzecz cudzą, bo myśli o tem, ile to pracy  
kosztowało  
wyhodowanie drzewa, lub kwiatu jaka to przykrość, gdy praca  
nasza zmarnowana  
zostaje.

— To my nietylko oszczędności i pracowitości od Niemców  
mamy się uczyć — rzekł  
Marcyś.

— Nietylko mój chłopcze, mają oni wiele przymiotów,  
których nam brak, a choć  
przyjaciółmi naszymi

nie są, powinniśmy je uznać. Nienawidząc ich i obmawiając,  
słabszymi ich nie  
uczynimy, ani siebie silniejszymi, lecz przyswoiwszy sobie  
ich przymioty, możemy  
zyskać wiele. Dotychczas widzieliście z moich opowiadań, jak  
kraj ten powoli się  
dźwigał, podnosił, stawał się coraz silniejszy, teraz  
zobaczycie, jak stopniowo,

powoli chylił się do upadku; jak coraz był słabszy i  
biedniejszy, jak inne  
wyprzedzały go w nauce, w wynalazkach, w oświacie.  
Mnie smutno się zrobiło na duszy słuchając tych słów i  
pomyślałam sobie:  
"wolałabym nie słyszeć tych opowiadań."  
I nie słyszałam ich w istocie... niestety ostatnia to była nasza z  
ciocią  
wycieczka, opowiadania i spacerzy przerwane zostały...  
Nazajutrz ciotka Ludmiła  
nie podniosła się z łóżka, dostała silnej gorączki, potem  
maligny i nie  
odzyskała przytomności, aż w ostatnim dniu życia jakby po to,  
by nas pożegnać,  
pobłogosławić i powiedzieć nam: "Wróćcie teraz zapewne do  
wioski waszej  
rodzinnej, pracujcie w niej uczciwie i starajcie się być  
użyteczni  
społeczeństwu, wśród którego żyć będziecie"  
Przez kilka dni byłam jak nieprzytomna i niewiele pamiętam,  
co się u nas działo:  
rzecz naturalna, iż odbył się pogrzeb, że odprowadziliśmy  
naszą kochaną ciotkę  
Ludmiłę na cmentarz, że grabarze złożyli jej trumnę do grobu,  
usypali nad nią  
mogiłę, a my wieńcami ją ustroiliśmy, lecz te wszystkie  
wypadki mglisto rysują  
się w mej pamięci, za to późniejszy dzień z niego życia stoi mi  
wyraźnie przed  
oczyma... Było to popołudniu, siedzieliśmy wszyscy na ganku  
zajęci każde

inaczej. Marcyś układał na stole łamigłówkę, ja czytałam cicho "Rozrywki Hofmanowej," Mania coś szyła, Magdzia rysowała jakiś wzorek, Anielcia suszone kwiaty składała do kajetu, tylko Tereni nie było w pośród nas, brzęk owadów, które unosiły się nad kwiatami, powietrze było pełne woni tych kwiatów, mimowoli stanął mi w pamięci ów wieczór, kiedy to ciotka Ludmiła obiecała nam opowiadać o tem "co kiedyś było, o tych, co kiedyś żyli." Zamknęłam książkę i utonęłam we wspomnieniach, wtem we drzwiach balkonu ukazała się Terenia, w ręku trzymała list, była mocno wzruszoną.

— Stryj pisał, — rzekła, — wkrótce tu przyjedzie po nas, wrócimy do domu.

Zerwaliśmy się wszyscy z krzeseł.

— Do domu! wyrwało się nam wszystkim razem z ust, a w głosie naszym brzmiała radość.

Terenia zbliżyła się do nas, siadła między nami.

— Takie jest życzenie stryja — rzekła, — pragnie byśmy z nim razem w Górcach zamieszkali, lecz ja mam nadzieję, że zgodzi się na moje projekty: Ostatnie życzenie, jakie ciotka objawiła było, abyśmy pracowały uczciwie i starały się być użyteczne, chcąc je spełnić trzeba się do pracy przygotować. Dość już też i smutku nad stratą naszej ukochanej, teraz czynem powinniśmy pokazać, jak drogiem

jest nam jej wspomnienie: spełniając jej życzenia, stając się  
się takimi, jakimi  
ona pragnęłaby nas widzieć, damy dowód że ją prawdziwie  
kochamy; więc  
zamieszkamy na czas jakiś w Warszawie i uczyć się będziecie  
pilnie. Mania nie ma  
zdolności ani ochoty do nauki, więc gdy skończy cztery klasy,  
umieszczę ją w  
jakiej szkole fachowej, gdzie wykształci

się na zdolną i praktyczną gospodynię. Anielcia skończywszy  
pensyjną,  
ogrodnictwu się poświęci, Magdzia jest bardzo zdolna,  
mogłaby marzyć o  
uniwersytecie, bo i zdrowiem dobrem się cieszy, lecz niestety  
brak jej  
zamiłowania do nauki; myśląc o niej powiedziałam sobie:  
"gdyby chciała, mogłaby  
zostać doktorem, lecz niema co marzyć o tem."  
Magdzia zerwała się z krzesła, oplotła ręce koło szyi Tereni,  
— Będę doktorem, będę niezawodnie, — rzekła — zobaczysz  
siostrzyczko, jak ja się  
teraz uczyć zacznę.  
Terenia pocałowała ją w czoło.  
— Czas to pokaże, — odparła, poczem zwróciła się do mnie.  
— Co do ciebie, — rzekła — chciałabym, żebyś skończyła  
wyższą szkołę  
pedagogiczną i nauczycielski zawód sobie obrała.  
— O tem i ja marzę, — odparłam, — podobno dogodziłaś  
nam wszystkim, byle tylko  
stryj oporu nie stawiał.

— A ja czem będę? — zapytał naraz Marcyś, z miną  
pieszczocha przysuwając się do  
Tereni.

— O tobie pomówię ze stryjem, — odparła całując go;  
poczem zwróciwszy się do  
ranie ciągnęła dalej:

— Gdyby moje projekty się urzeczywistniły, dogodziłabym i  
sobie, bo gdybyście  
poszli tą drogą jaką dla was wybrałam, moglibyśmy z czasem  
zebrać się wszyscy w  
Górcach, żyć razem i wspólnie pracować dla dobra wioski  
naszej. Górcze to wieś  
obszerna, Mania mogłaby gospodarstwo kobiece na szeroką  
skalę prowadzić,  
Anielcia dostarczałaby miastu pięknych owo-

ców, Magdzia leczyłaby chorych we wsi, Jadwinia założyłaby  
szkołę, a Marcyś ze  
stryjem dział gospodarstwa męskiego by objęli, ja zaś  
czuwałabym nad wami  
wszystkimi, aby wróciwszy po pracy do domu było w nim  
każdemu z was dobrze,  
ciepło, spokojnie i miło. Marzenia przyszłości złagodziły  
smutek w jaki śmierć  
ciotki nas pogrążyła, odtąd najczęściej o powrocie do domu  
rozmawialiśmy i  
nadszedł wreszcie ten dzień, stryj przyjechał po nas, projekty  
Tereni podobały  
mu się i pojechaliśmy do Warszawy, aby je urzeczywistnić.

KONIEC

